

JONATHAN KELLERMAN

POKREŃNY UMYSŁ

Dla Faye

Na moje szczególne podziękowania zasługujš:

John Ahouse, RickAlbee,

prywatny detektyw Miguel Porras,

Terri Porras i Susan Willcox.

Maj przyniósł Hollywood lazuruwe niebo i kalifornijski optymizm. Petra Connor pracowała nocami, a dni przesypiała. Miała powody do radoci: rozwijała sprawy dwóch trudnych morderstw.

Pierwsze: trup na weselu. Japońsko-koreańskim weselu, w głównej sali balowej hotelu Roosevelt. Panna młoda była Amerykanką japońskiego pochodzenia, pan młody, Amerykanin - koreańskiego; oboje studiowali prawo i poznali się na uniwerku. Ojciec panny młodej, chirurg, urodził się w Glendale; ojciec pana młodego, imigrant i sprzedawca mebli kuchennych, ledwie mówił po angielsku. Petra zastanawiała się, jak poradzili sobie ze zderzeniem kultur.

Trup, Baldwin Yoshimura, był jednym z kuzynów panny młodej, trzy-dziesięciomiesięcznym księgowym; znaleziono go w kabinie męskiej toalety. Kark miał tak skręcony, że wyglądał jak bohaterka Egzorcysty. Koroner oznajmił, że morderca musiał być bardzo silny, ale na tym jego medyczna wiedza się kończyła.

Petra, znów pracując bez partnera, spotkała się ze wszystkimi krewnymi i znajomymi zabitego, i w końcu odkryła, że Baldwin Yoshimura był niepoprawnym kobieciarzem, któremu nie robiło różnicy, czy ofiara jego podbojów jest zamężna, czy nie. Naciskając i sondując dalej, zauważyła nerwowe spojrzenia panny młodej. W końcu jedna z kuzynek, Wendy Sakura, wykrztusiła prawdę: Baldwin przystawiał się do żony swojego brata Darwina. Do tej dziwki.

Darwin, czarna owca wykształconego klanu Yoshimurów, był instruktorem sztuk walki; pracował w szkole w Woodland Hills. Petra zmusiła się, żeby wstać w ciągu dnia, wpadła do dojazdu i przyglądała się, jak Darwin prowadzi zajęcia judo dla zaawansowanych. Przysadzisty facet, ogolona głowa, przyjemna aparycja. Kiedy skończył zajęcia, podszedł do Petry i wyciągnął ręce, czekając, że zakuje go w kajdanki.

- Ja to zrobiłem. Aresztujcie mnie.

Na posterunku odmówił widzenia z adwokatem, od razu wszystko wyznał. Od pewnego czasu co podejrzewał; na weselu poszedł za swoją żonę i bratem do pustej sali bankietowej. Ukrywszy się za przepierzeniem, rzeczona żona, wykazując przy tym dużo entuzjazmu, zrobiła rzeczonemu bratu łaskę. Darwin pozwolił jej skończyć, poczekał, aż Baldwin pójdzie do kibelka, poszedł za nim i zrobił, co zrobił.

- A pana żona? - spytała Petra.

- Co moja żona?

- Jej pan nie ukarał.

- To kobieta - powiedział Darwin Yoshimura. - Jest słaba. To Baldwin powinien być mądrzejszy.

Druga sprawa: zaczęło się od plam krwi w Los Feliz, a skończyło trupem w lesie państwowym Angeles Crest. Ofiarą był właściciel sklepu spożywczego, niejaki Bedros Kashigian. Krew znaleziono na parkingu za jego marketem przy Edgemont. Kashigian i jego pięcioletni cadillac zniknęły.

Dwa dni później strażnicy leni znaleli wóz przy drodze w lesie. Martwy Kashigian siedział za kierownicą. Strumyk zaschniętej krwi wyciekał mu z lewego ucha na twarz i koszulę, ale nie było widać żadnej rany. Analiza larw much wykazała, że nie żył od pełnych dwóch dni lub co koło tego. Oznaczało to, że zamiast wrócić po pracy do domu, pojechał czterdzieści pięć kilometrów na wschód. Albo kto go tam wywiózł.

Z tego, czego Petra się dowiedziała, był porządnym obywatelem, żonatym, z trójką dzieci, ładnym domem i bez większych długów. Tydzień solidnego dochodzenia pozwolił stwierdzić, że na dwa dni przed zniknięciem Kashigian brał udział w bójce.

W barowej bójce w lokalu przy Alvarado, którego klientami byli głównie Latynosi; Kashigian romansował z jedną z salwadorskich kelnerki i chadzał tam często, żeby wypić kilka piw i pięćdziesiątek, a potem zaszyć się z dziewczyną w jej pokoiku nad barem. Wszystko zaczęło się od bójki dwóch pijaków. Kashigian przypadkiem znalazł się między nimi i zarobił w głowę. Według barmana tylko raz. Przypadkowy cios gołej pięci; Kashigian wyszedł z baru o własnych siłach.

Wdowa po nim, zmagająca się ze stratą i z odkryciem, że Bedros ją zdradzał, powiedziała, że mąż narzekał na ból głowy spowodowany, jego zdaniem, uderzeniem o półkę z chlebem. Po kilku aspirynach podobno mu przechodziło.

Petra zadzwoniła do koronera Rosenberga, nad wyraz wesołego faceta, i zapytała, czy pojedynczy cios gołś pięciś w głowę mógł doprowadzić do czyjej mierci dwa dni póniej. Rosenberg odparł, że raczej wštpi.

Wglšd w akta ubezpieczeniowe Bedrosa Kashigiana ukazał solidne polisy na życie, a także rachunki za leczenie wypłacone pięć lat temu po tym, jak Kashigian uczestniczył w karambolu na Pištej Północnej, z którego wyszedł z pękniętš czaszkš i wewnętrznym krwotokiem. Przywieziony nieprzytomny na ostry dyżur został oddany w ręce chirurgów, którzy wycięli mu z czaszki kawałek wielkoci półdolarówki, żeby móc oczyścić mózg. Kawałek ten, nazwany przez Rosenberga plakietkš, przymocowano z powrotem przy użyciu rub i szwów.

Kiedy Rosenberg usłyszał o wypadku, zmienił zdanie.

- Plakietka trzymała się na tkance bliznowej - powiedział Petrze. -A to draństwo wyrosło cieńsze niż reszta czaszki. Twój facet miał pecha, dokładnie w to miejsce go trafili. Reszta jego głowy wytrzymałaby uderzenie, ale cieńsza koć nie. Pękła, odłamki wbiły się w mózg, spowodowały powolne krwawienie', aż w końcu bum!

- Bum - powtórzyła Petra. - Znowu mydlisz mi oczy medycznym żargonem.

Koronier się zamiał. Petra też. Żadne z nich nie chciało myleć o kolosalnym pechu Bedrosa Kashigiana.

- Jedno uderzenie - powiedziała.

- Bum - powtórzył Rosenberg.

- Powiedz mi, doktorze R., czy mógł pojechać do lasu, bo nie wiedział, co się z nim dzieje?

- Niech pomyle. Z kawałkami koci w szarych komórkach, z powolnym krwotokiem, tak, mógł być skołowany, zdezorientowany.

Co nie tłumaczyło, dlaczego wybrał włanie Angeles Crest.

Petra zapytała kapitana Schoelkopfa, czy może oskarżyć o morderstwo faceta, który zadał cios.

- Kto to?

- Jeszcze nie wiem.

- Bójka w barze. - Schoelkopf rzucił jej spojrzenie z gatunku czy—ty-zglupiała?" - Wpisz to jako przypadkowy zgon.

Nie mając ochoty ani chęci się z nim spierać, zrobiła, jak kazał. Potem pojechała zawiadomić o wszystkim wdowę, która powiedziała jej, że Angeles Crest to miejsce, gdzie ona i Bedros jedzili na randki jako nastolatki.

- Przynajmniej zostawił mi porządne ubezpieczenie - dodała. - Najważniejsze, żeby dzieci zostały w prywatnej szkole.

Kilka dni po zakończeniu obu spraw odezwała się samotność. Petra popełniła błšd, wdala się w romans z partnerem, a teraz pracowała i mieszkała sama.

Obiektem jej uczuć był dziwny, małomówny detektyw Eric Stahl, były oficer służb specjalnych armii o przeszłoci, która bardzo powoli się ujawniała. Za pierwszym razem, kiedy Petra zobaczyła jego czarny garnitur, bładš cerę i matowe, ciemne oczy, pomyślała grabarz". Instynktownie zapałała do niego niechęciš i to uczucie wydawało się jej odwzajemnione. Wszystko jednak się zmieniło.

Zaczęli pracować nad zagadkš morderstw z zimnš krwiš razem z Mi-lem Sturgisem z West LA, usiłując posłać za kratki wszawego psychologa, którego kręciło zabijanie utalentowanych ludzi. Doprowadzenie tej sprawy do końca nie było łatwe; niewiele brakowało, a Eric umarłby pchnięty nożem. Siedząc i czekając w poczekalni na ostrym dyżurze, Petra poznała jego rodziców i dowiedziała się, dlaczego nie mówił, nie czuł ani nie zachowywał się jak człowiek.

Kiedy miał rodzinę, żonę i dwoje dzieci, ale wszystkich stracił. Heather, Danny'ego i Dawn. Okrutnie mu ich odebrano. Odszedł z

wojska, rok przetrwał na lekach antydepresyjnych, a potem zgłosił się do policji Los Angeles, gdzie dzięki swoim koneksjom dostał od razu stopień detektywa pierwszej klasy w okręgu Hollywood, a tam Schoelkopf przydzielił go Petrze.

Jeli kapitan co wiedział, zachował to dla siebie. Niepoinformowana Petra próbowała jako dogadać się ze Stahlem, ale że jej nowy partner miał w sobie tyle ciepła co płytka podłogowa, szybko dała sobie spokój. Ostatecznie podzielili się pracą, ograniczając do minimum czas spędzany razem. Zimne, milczące godziny obserwacji.

A potem nadeszła noc grozy. Nawet teraz Petra zastanawiała się, czy Eric nie próbował popełnić samobójstwa przez sprawcę. Nigdy go o to nie spytała. Nie miała powodu.

Nie była jedyną kobietą w jego życiu. Podczas ledztwa zimnej krwi” Eric poznał egzotyczną tancerkę, utapiowaną blondynkę o doskonałym ciele, Kyrę Montego alias Kathy Magary. Kyra też była wtedy w poczekalni, wcinięta w za ciasne ubranie, chlipała w chusteczkę, oglądała swoje paznokcie i nie mogła poczytać nawet najgłupszego pisma z niepokoju albo, jak podejrzewała Petra, z powodu zaburzeń koncentracji. Petra wykazała więcej wytrwałości i kiedy Eric się ocknął, to ona trzymała go za rękę, to ona patrzyła w jego umęczone, brązowe oczy.

Podczas kilkumiesięcznej rehabilitacji Erica Kyra wpadała do jego wynajętego bungalowu w Studio City z zupą na wynos i plastikowymi

10

łyżkami. Miała do zaoferowania plastikowe cycki, trzepoczące rzęsy i Bóg wie co jeszcze.

Petra znalazła na to sposób: zaczęła gotować dla Erica. Dorastając w Arizonie z pięcioma braćmi i owdowiałym ojcem, nauczyła się wiele radzić sobie w kuchni. Podczas swojego krótkiego małżeństwa bawiła się wręcz w smakosza. Teraz, jako rozwódka i nocny marek, rzadko choćby włączała piekarnik. Ale leczenie Erica domowym jedzeniem wydało jej się niezwykle ważne.

Ostatecznie blond laska zniknęła, a Petra zadomowiła się w życiu Erica na dobre. Przeszli od niezręczności przez niechętnie odkrywanie się przed sobą nawzajem i przyjań do bliskoci. Gdy w końcu poszli do łóżka, Eric rzucił się na Petrę z żądzą wygłodzonego zwierzęcia. Kiedy zaczęli regularnie uprawiać seks, Petra odkryła, że Eric jest najlepszym kochankiem, jakiego miała, czułym, gdy takim go potrzebowała, silnym i wytrwałym, kiedy to było specjałem dnia.

Rozstali się jako partnerzy, ciążąc swój związek jako kochankowie. Mieszkali osobno: Eric w bungalowie, Petra w swoim mieszkaniu przy Szóstej, niedaleko Museum Row. Potem był jedenasty wrzenia i specjalne wyszkolenie Erica kazało departamentowi zobaczyć go w nowym wietle. Przeniesiono go z wydziału zabójstw do nowo utworzonego Oddziału Bezpieczeństwa Krajowego i wysłano za ocean na przeszkolenie antyterrorystyczne. W tym miesiściu Eric był w Izraelu, uczył się o zamachowcach samobójcach i jak sporządzać profile, dowiadywał się też innych rzeczy, o których nie mógł Petrze powiedzieć.

Dzwonił, kiedy mógł, sporadycznie przysyłał e-maile, ale nie mógł odbierać wiadomości elektronicznych. Ostatnio odezwał się tydzień temu: Jerozolima jest pięknym miastem, Izraelczycy są twardzi, nietaktowni i kompetentni; zamierzał wrócić za dwa tygodnie.

Dwa dni później przyszła kartka pocztowa z Wież Dawida i schludnym, pochyłym pismem Erica.

P.

Mylę o tobie, wszystko OK. E.

Praca w pojedynkę jej pasowała, ale Petra wiedziała, że następny przydział jest tylko kwestią czasu.

Po zamknięciu spraw Yoshimury i Kashigiana wzięła kilka dni wolnego, spodziewając się mniejszego nawału pracy.

Zamiast tego dostała krwawą łanię i Isaaca Gomeza.

11

To się stało w dniu, kiedy znów zaczęła malować. Zmusiła się, żeby wstać o dziesiątej i przy wietle dziennym skopiować Georgię O'Kee-fe, którą zawsze uwielbiała. Nie kwiaty czy czaszki; szarś, pionowś scenę miejskś z Nowego Jorku, z wczesnego okresu O'Keefe.

Czysty geniusz; nie mogła mieć nadziei, że uda się jej go uchwycić, ale warto było chociaż spróbować. Minęły całe miesiśce, odkśd trzymała w ręku pędzel, i niełatwo było jej znów zacząć. Ale o drugiej już się rozpędziła i stwierdziła, że idzie jej całkiem niele. O szóstej usiadła na kanapie w salonie, żeby podziwiać swoje dzieło, i zasnęła.

O pierwszej piętnacie w nocy obudził j ś telefon z posterunku.

- Wielokrotne zabójstwo pod klubem Paradiso, Sunset przy Western, wszyscy na pokład - informował dyżurny. - Pewnie mówisz już o tym w telewizji.

Petra włączyła telewizor, idśc pod prysznic. W pierwszej stacji informacyjnej, którą wybrała, już to szło.

Grupa dzieciaków zastrzelonych pod Paradiso. Koncert hiphopowy, rozróba na parkingu, lufa wystajśca z okna samochodu.

Cztery trupy.

Kiedy Petra dojechała na miejsce, teren był już ogrodzony, a ofiary przykryte koronerskimi płachtami - cztery pakunki pod czarnogranato-wym hollywoodzkim niebem. Wiatr podwinśł róg jednej z płacht, odsłaniajśc stopę w adidasie. Różowym, niedużym.

W wietle mocnych reflektorów nawierzchnia parkingu lniła. Chyba ponad setkę dzieciaków - niektóre wyglśdały na o wiele za młode, żeby o tej porze być poza domem - podzielono na grupy i spędzono na bok; pilnowali ich mundurowi policjanci. Pięć grup, wszyscy potencjalni wiadkowie. Paradiso, kiedy kino, potem kociół ewangelicki, teraz klub, mógł pomiećć ponad tysiśc osób. Wybrano te dzieciaki.

Petra rozejrzała się za innymi detektywami, wypatrzyła Abramsa, Mon-toyę, Dilbecka i Haasa. Razem z niś pięcioro detektywów na pięć grup.

MacDonald Dilbeck był detektywem trzeciej klasy z ponadtrzydziesto-letnim stażem i to on kierował akcją.

Petra podeszła do niego. Z odległoci dziesięciu metrów pomachał jej.

Szećdziesięciojednoletni Mac, były marinę o srebrnosiwych, nabłysz-czonych brylantynś włosach, nosił szary garnitur, lniścy tak samo jak włosy. Wśskie, zaokrśglone klapy marynarki wiadczyły, że ubiór ten jest już zabytkiem, ale Petra wiedziła, że Dilbeck kupił go w sklepie

12

jako nowy. Mac miał metr siedemdziesiśt piśc wzrostu, pryskał się aqua velva, nosił pamiśtkowy piercień ze szkoły, ze sztucznym rubinem, i spinkę do krawata z logo policji Los Angeles. Mieszkał w Simi Yalley, poza służbś jedził starym cadillakiem, w weekendy - konno i na harleyach. Żonaty od czterdziestu lat, na bicepsie miał tatuaż SEMPER Fi. Petra uważała go za mśdrzejszego od wiėkszoci prawników i lekarzy, jakich znała.

- Przykro mi, że spieprzyłem ci urlop - powiedział. Oczy miał zmęczone, ale postawę nienagannś.

- Wyglśda na to, że potrzebujemy kaźdego. Mac skrzywił się.

- Masakra. Czwooro dzieci.

Odcisgnśł jś od zwłok w stronę szerokiego podjazdu, prowadzścego na Western Avenue. Poranny ruch był jak zwykle niewielki.

- Koncert skończył się o jedenastej trzydzieci, ale dzieciaki zostały na parkingu, paliły, piły, trochę rozrabiwały. Samochody wyjeźdzały, ale jeden cofnśł i podjechał do tłumu. Powoli, nikt nie zwrócił na to uwagi. Wtedy z okna kto wystawił broń i zaczął strzelać. Ochroniarz był za daleko, żeby to zobaczyć, ale usłyszał z tuzin strzałów. Cztery trafienia, wszystkie miertelne, wyglśda na kaliber 9.

Petra zerknęła na najbliższą gromadę dzieciaków.

- Nie wyglądasz gronie. Co to był za koncert?

- Zwykły, lekki hip-hop, remiksy taneczne, trochę muzyki latino. Żadnego gangsta”. Mimo grozy Petra poczuła, że się umiecha.

- Żadnego gangsta”? Dilbeck wzruszył ramionami.

- Wnuki. Z tego, co słyszeliśmy, to była grzeczna gromada, kilku wyrzucono za alkohol, ale nic poważnego.

- Kogo wyrzucili?

- Trzech chłopaków z Yalley. Białych, niegronych, zabrali ich rodzice. To nie o to chodziło, Petra, ale o co - nikt nie wie. Włócznie z naszymi potencjalnymi wiadkami.

- Nic? - spytała Petra.

Dilbeck jedną dłoń zasłonił oczy, drugą usta.

- To dzieciaki, które miały pecha i były jeszcze na miejscu, kiedy przyjechały radiowozy. Wydostaliśmy z nich tylko w miarę spójny opis samochodu, z którego strzelano. Mały, czarny, granatowy albo ciemnoszary, najpewniej honda albo toyota z chromowanymi wykończeniami. Ani jednej cyfry z tablicy rejestracyjnej. Kiedy zaczęła się e^l^w^ wszyscy padli na ziemię, schowali się albo uciekli.

13

— Ale te dzieciaki zostały.

- Mundurowi przyjechali w cięgu dwóch minut, kod trzy - powiedział Dilbeck. - Nie pozwolili nikomu iść do domu.

- Kto ich wezwał?

- Przynajmniej osiem osób. Oficjalnym informatorem jest bramkarz. - Zmarszczył brwi. - Ofiary to dwóch chłopców i dwie dziewczyny.

- Ile lat?

- Zidentyfikowaliśmy troje: piętnacie, piętnacie i siedemnacie. Czwarta, jedna z dziewczynek, nie miała przy sobie dokumentów.

- Żadnych?

Dilbeck potrzęsł głowę.

- Jacy biedni rodzice będą się martwić, a potem usłyszysz złe wiadomości. Paskudna sprawa, co? Może jednak powinienem zwinąć swój namiot. Mówił o przejściu na emeryturę, odkąd Petra go znała.

- Ja złożę swój pierwszy.

- Pewnie tak - przyznał.

- Chciałabym spojrzeć na zwłoki, zanim je zabiorę.

- Patrz do woli, a potem zajmij się tą najbliższą grupą, o tam.

Petra postarała się dowiedzieć jak najwięcej o ofiarach.

Paul Allan Montalvo, dwa tygodnie do szesnastych urodzin. Puciołowaty, kraciasta koszula, spodnie od dresu. Gładka, oliwkowa skóra, rozerwana postrzałem pod prawym okiem. Dwie dziury w nogach.

Wanda Leticia Duarte, siedemnaście lat. Piękna, blada, o długich, czarnych włosach, piercionki na omiu palcach, pięć kolczyków. Trzy postrzały w pier. Lewa strona, bingo.

Kennerly Scott Dalkin, lat piętnaście, wyglądał raczej na dwanaście. Jasna cera, piegi, ogolona głowa barwy kitu do okien. Czarna, skórzana kurtka i czaszka zwisająca na skórzanym rzemyku z przebitej kulś szyi. Ubranie i zdarte martensy wiadczyły, że chciał wyglądać na twardziela, ale mu to nie wychodziło. W portfelu miał legitymację członka honorowego Stowarzyszenia Liceum Birmingham.

Niezidentyfikowana dziewczyna była prawdopodobnie Latynoska. Niska, piersiasta, o sięgających do ramion włosach z farbowanymi na rudo końcówkami. Obcisły biały top, obcisłe czarne dżinsy, tanie, z supermarketu, różowe adidas - te, które Petra zauważyła wcześniej - rozmiar najwyżej pięć.

Jedna rana głowy, postrzępiona czarna dziura tuż przed prawym uchem. Cztery następne w tułowiu. Kieszenie dżinsów wywrócone. Petra zajrzała do taniej torebki z imitacji skóry. Guma do żucia, chusteczki, dwadzieścia dolarów w gotówce, dwie paczki prezerwatyw.

14

Bezpieczny seks. Petra uklękła obok dziewczyny. Po chwili wstała, żeby zająć się robotą.

Nic nie wiedzieli, cała osiemnastka.

Zwróciła się do nich jako do grupy, starała się być łagodna, przyjazna, podkreślać wagę współpracy, żeby co takiego się nie powtórzyło. Odpowiedzi były osiemnaście pustych spojrzeń. Kiedy ich przycisnęła, kilkoro powoli pokręciło głowami. Mógł to być szok, ale Petra miała wrażenie, że ich nudzi.

- Nic mi nie powiesz? - spytała szczupłego, rudego chłopaka.

ciśgnął usta i pokręcił głową.

Kazała im się ustawić w kolejce, spisała nazwiska, adresy i numery telefonów. Ukradkiem obserwując, co zdradzali swoim zachowaniem.

Dwie dziewczyny wyróżniały się z grupy nerwowości. Jedna cały czas wykręcała sobie palce, druga tupała. Petra kazała im zostać, resztę puciła do domu.

Bonnie Ramirez i Sandra Leon, obie po szesnacie lat. Były podobnie ubrane - obcisłe topy, dżinsy biodrówek i pantofle na wysokim obcasie - ale nie znały się nawzajem. Top Bonnie był czarny, z taniego, podobnego do krepiny materiału; twarz wytapetowała grubą warstwą makijażu, żeby ukryć gęsty trądzik. Miała brązowe, postrzępione włosy, uczesane w skomplikowaną fryzurę, której ułożenie musiało trwać kilka godzin, ale która wyglądała przy tym na niedbałą. Bez przerwy wykręcała palce, słuchając przemowy Petry na temat wagi otwartości i szczeroci.

- Jestem szczerą - powiedziała płynnym angielskim, ze pewnym akcentem wschodniego LA, każącym przeciągać ostatnie słowa.

- A samochód, Bonnie?

- Mówiłam pani, nie widziałam go.

- W ogóle?

- W ogóle. Muszę iść, naprawdę muszę już iść. Wykręt, wykręt, wykręt.

- Dlaczego tak ci się spieszy, Bonnie?

- George siedzi z małym tylko do pierwszej, a pierwsza już dawno minęła.

- Masz dziecko?



- Dwa latka - odparła Bonnie z dumš i zdumieniem zarazem.

- Jak ma na imię?

- Rocky.,

- Masz jego zdjęcie?

15

Bonnie sięgnęła do wyszywanej cekinami torebki i znieruchomiała.

- Co to paniš obchodzi? George powiedział, że jak nie wrócę do domu na czas, to on po prostu wyjdzie, a Rocky czasami budzi się w nocy, nie chcę, żeby się przestraszył.

- Kto to jest George?

- Ojciec Rocky'ego. Rocky to też George. Jorge Junior. Mówię na niego Rocky, żeby go odróżnić od George'a, bo nie podoba mi się, jak George postępuje.

- A jak George postępuje?

- Nic mi nie daje.

Bluzka Sandry Leon była uszyta z przylegającej do skóry satyny i odsłaniała jedno ramię. Gładkie, nagie ramię z gęsiš skórks. Dziewczyna przestała tupać, zaczęła za to obejmować się mocno ramionami, wypychając miękki biust na rodek wšskiej klatki piersiowej. Jej ciemna cera kontrastowała z burzš platynowych blond włosów. Ciemnoczerwona szminka, przyklejony pieprzyk nad ustami. Sandra nosiła w nadmiarze taniš biżuterię z imitacji złota. Jej pantofle aż kapały od górskich kryształów. Parodia seksu; szesnastolatka udająca trzydziestkę.

- Nic nie wiem - powiedziała, zanim Petra zdšżyła o cokolwiek zapytać. Jej spojrzenie bezwiednie powędrowało w stronę trupów. I różowych adidasów.

- Ciekawe, skšd wzięła te buty - rzuciła Petra. Sandra patrzyła wszędzie, tylko nie na niš.

- Skšd mam wiedzieć? - Przygryzła wargę.

- Dobrze się czujesz?

Dziewczyna zmusiła się, żeby spojrzeć Petrze w oczy. Spojrzenie miała tępe.

- Dlaczego miałabym się le czuć? Petra nie odpowiedziała.

- Mogę już ić?

- Na pewno nie chcesz mi niczego powiedzieć?

Tępe oczy się zwiężyły. Nagła wrogoć; raczej nie na miejscu.

- Nie muszę nawet z paniš rozmawiać.

- Kto tak twierdzi?

- Prawo.

- Masz dowiadczenie z prawem?

- Nie.

- Ale się na nim znasz.

- Mój brat jest w więzieniu.

16

- Gdzie?

- W Lompoc.

- Za co?

- Za kradzież samochodu.

- Twój brat jest twoim ekspertem od prawa? - pytała dalej Petra. -Zobacz, gdzie trafił.

Sandra wzruszyła ramionami. Platynowe włosy się przesunęły.

Peruka.

Petra przyjrzała się dziewczynie uważniej. Zauważyła co jeszcze. Oczy były tępe, bo miały żółte obwódki.

- Dobrze się czujesz?

- Poczuję się dobrze, kiedy mnie pani puci. - Sandra poprawiła perukę. Wsunęła palec pod grzywkę i umiechnęła się. - Białaczka. Miałam chemię w Western Peds - wyjanała. - Kiedy miałam bardzo ładne włosy. Powiedzieli, że odrosnś, ale może kłamiś.

W jej oczach pojawiły się łzy.

- Mogę już ić?

- Jasne. Dziewczyna odeszła.

Wciśgu następnego tygodnia strzelaninś pod Paradiso zajmowało się pięcioro detektywów: przesłuchiwali rodziny zabitych nastolatków i kontaktowali się z potencjalnymi wiadkami. Żadna z ofiar nie miała powiśzań z gangami, wszystkie były chwalone: "To dobre dzieciaki". Nikt z ich krewnych nie miał kryminalnej przeszłoci, nikt nie potrafił powiedzieć nic ważnego.

Dziewczyna w różowych adidasach wciśż pozostawała niezidentyfikowana, co dla Petry było osobistś porażkś. Zgłosiła się na ochotnika do ledztwa, zabrała się do niego, niczego się nie dowiedziała, z wyjśtkiem informacji od koronera: dziewczyna przed paroma miesiścami przeszła aborcję.

Petra spytała Maca Dilbecka, czy może zwrócić się do mediów, a on powiedział: "Proszę bardzo". Trzy stacje pokazały szkice twarzy dziewczyny w wieczornych wiadomościach. Zadzwonilo kilka osób, nic ważnego.

2 - Pokrętny umysł 17

Petra zainteresowała się adidasami w nadziei, że może to co niespotykanego. Wręcz przeciwnie: produkcja supermarketowa, made in Makao, wysyłane do Stanów olbrzymimi partiami przez cały rok. Znalazła je nawet na eBayu.

Próbowała skontaktować się z Sandrś Leon, bo Sandra była jaka niespokojna, ale mogło to być po prostu napięcie spowodowane chorobś. Petra postanowiła traktować biednś dziewczynę łagodnie. Bóg jeden wie, co przeszła przez tę swój ś białaczkę. Telefon dzwonił, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Dziesięć dni po masowym morderstwie zespół wciśż nie miał żadnych tropów, a na następnej naradzie Mac Dilbeck poinformował, że skład zredukowano z pięciu do trzech osób: on dalej pozostawał szefem, Luc Montoya i Petra mieli go wspierać.

- Co to znaczy? - zapytała go Petra po spotkaniu. Mac zebrał swoje papiery, nie podnosząc wzroku.

- Co znaczy co?

- Wspierać.
- Jestem otwarty na propozycje.
- Niezidentyfikowana dziewczyna - powiedziała Petra. - Zastanawiam się, czy to ona jest kluczem. Nikt nie zgłosił jej zaginięcia.
- Dziwne, prawda? - mruknął Mac.
- Może komu zależało na tym, żeby zniknęła. Przyglądał lniście włosy.
- Chcesz pójść tym tropem?
- Mogę spróbować.
- W porządku, to dobry pomysł. - Zmarszczył brwi.
- O co chodzi?

Dotknął swojego płaskiego, zrytego zmarszczkami czoła.

- Tłucze mi się tam wielkie, ciężkie a co, jeli?" W sensie, a co, jeli nie było motywu? Jeli zgraja bandziorów postanowiła po prostu kogo sobie zabić?
- To by dopiero było - powiedziała Petra.
- Ale mogło tak być.
- Pewnie, że mogło.

Dwa dni pracy nad anonimową dziewczyną niemal doprowadziły ją do szału. Siedziała za swoim biurkiem i jadła hot doga, kiedy usłyszała chrząknięcie i podniosła wzrok.

Isaac Gomez. Znowu.

18

Stał z boku, ubrany jak zwykle w niebieską koszulę, wyprasowane w kant spodnie khaki i mokasyny. Czarne włosy, uczesane z przedziałkiem i przylizane jak u chłopca z chóru. Gładka, brązowa twarz, wiezo umyta. Trzymał przed sobą plik starych księzek morderstw.

- Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam, detektyw Connor - powiedział.

Oczywiście przeszkadzał. Oczywiście umiechnęła się do niego.

Za każdym razem, kiedy widziała Isaaca, kojarzył się jej z młodym Diego Riverą. Włosy najeżone jak szczotka; cera barwy gałki muszkatołowej; wielkie, wilgotne migdałowe oczy; wyrane lady indiańskiej krwi w wystających kociach policzkowych i delikatnym nosie.

Isaac mierzył metr osiemdziesiąt, ważył może siedemdziesiąt pięć kilo, miał proste ramiona, kociste nadgarstki i poruszał się jakby w celowo niezdarny sposób.

Chronologicznie miał dwadzieścia dwa lata.

Dwadzieścia dwa lata i rok do doktoratu. Bóg jeden wie, ile lat Isaac miał intelektualnie. Ale kiedy rozmowa schodziła z faktów i liczb, często grzeszył w nieporadnej niedojrzałości.

Petra była pewna, że był prawiczką.

- Co tam, Isaac?

Spodziewała się umiechu - zakłopotanego umiechu, który wydawała się u niego wywoływać. Nie miał nic wspólnego z radością, za to bardzo wiele z nerwami. Kilka razy, kiedy byli razem, zauważała wybrzuszenie jego spodni w okolicach krocza. Czerwienił się wtedy po uszy i szybko zasłaniał kieszonkę albo laptopem. Petra udawała, że nic nie widzi.

Tego wieczoru się nie umiechał. Wyglądał na spiętego.

Ósma czternacie wieczorem. Pokój detektywów był prawie pusty, rozsądni ludzie poszli już do domu. Petra bawiła się komputerem - logowała do baz danych zaginionych dzieci, wciśniętym próbując wytropić dziewczynę w różowych butach.

- Na pewno nie przeszkadzam?

- Na pewno. Co tu robisz o tej porze? Isaac wzruszył ramionami.

- Wcisnęło mnie... Zaczęłem od jednej rzeczy, a skończyłem na innej. - Podniósł stos niebieskich notatników. Spojrzenie miał rozgorączkowane.

- Połóż to - powiedziała Petra. - Przysuń sobie krzesło.

- Przepraszam, jeśli pani niepokój, detektyw Connor. Wiem, że pracuje pani nad Paradiso, i w normalnych okolicznościach nie zwracałbym

19

pani głowy. - Błysk umiechu. - To chyba nieprawda. Zwracałem pani głowę dość często, prawda?

- Wcale nie - skłamała Petra. Co tu dużo mówić, opieka nad Chłopcem-

-Mózgowcem była straszliwie upierdliwa, kiedy trzeba było zajmować się jeszcze czym innym. Petra wskazała Isaacowi krzesło przy biurku. Usiadł.

- Co jest?

Skubał guzik kołnierzyka.

- Pracowałem nad swoją analizą regresji wielorakiej, dokładałem nowe zmienne... - Potrząsnął głową. Mocno. Jakby chciał ją opróżnić ze zbędnych informacji. - Nie musi pani tego wysłuchiwać. Chodzi o to, że szukałem dodatkowych sposobów zorganizowania danych i, zbiegiem okoliczności, trafiłem na coś, co według mnie powinna pani zobaczyć.

Przerwał. Wziął głęboki oddech.

- Co takiego, Isaac? - spytała.

- To zabrzmiało... Na pierwszy rzut oka to nic specjalnego, przypadek... Ale przeprowadziłem testy statystyczne, kilka testów, z których każdy wyklucza matematyczne słabości innych, i jest dla mnie oczywiste, że to nie jest tylko zbieg okoliczności, nie przypadek. Moim zdaniem to prawda, detektyw Connor.

Nieskazitelnie gładkie, brązowe policzki nagle pokryły się potem.

Petra siedziała bez ruchu; milczała.

- To przedziwne - cisnęła głosem, który nagle wydał się jej dziecinny

- ale jestem pewien, że tak jest.

Zaczął otwierać książki morderstw. Na początku mówił cicho, prawie szeptem. Potem wyrzucał z siebie słowa jak karabin maszynowy.

Mózg w natarciu.

Petra słuchała. Genialny czy nie, chłopak był amatorem, to musiały być bzdury.

- Przysięgam, to prawda - powiedział, jakby czytał jej w myłach.

- Może opowiedz mi o tych swoich testach statystycznych.

Irma Gomez pracowała u Lattimore'ów dziewięć lat, zanim w ogóle wspomniała o problemie z Isaakiem.

Państwo doktorowie Seth i Marilyn Lattimore mieszkali w dziewiętna-stopokojowym domu przy Hudson Avenue, w Hancock Park. Oboje byli

20

chirurgami po sześćdziesiątce, on kardiochirurgiem, ona oftalmolożką. Ci twardo stąpający po ziemi perfekcjonisci byli jednak uprzejmi i hojni, jeśli nie zaprzętały ich sprawy zawodowe. Bardzo się kochali, wychowali troje dzieci, które teraz studiowały, na różnych etapach, medycynę. W czwartki grali razem w golfa, ponieważ czwartek był dniem koedukacyjnym w klubie country. W styczniu wyjeżdżali na tydzień na Cabo San Lucas, a w maju lecieli Air France do Paryża, pierwszą klasą, tam wynajmowali zawsze ten sam apartament w hotelu Le Bristol i urządzali sobie wycieczki po trzygwiazdkowych restauracjach. W domu, w Kalifornii, co trzeci weekend spędzali w apartamencie w Palm Desert, gdzie spali do późna, czytali nędzne powieści i smarowali się obficie kremem do opalania.

Przez dziesięć lat, sześć dni w tygodniu, Irma Gomez jechała autobusem ze swojego trzypokojowego mieszkania w Union District, by o ósmej rano stawić się w posiadłości Lattimore'ów, do której wchodziła kuchennymi drzwiami i wyłączała system alarmowy. Zaczynała od sprzątnięcia całego domu - powierzchownie, ustawiając tylko wszystko na miejscu. Bardziej szczegółowe prace - polerowanie, czyszczenie, poważne odkurzanie za meblami - dzieliła sobie na kilka dni w tygodniu za radą doktor Marilyn, bo dom był przytłaczająco wielki.

Od poniedziałku dorody dół, od czwartku do soboty góra.

- W ten sposób - zapewniła już doktor Marilyn - nie będziesz miała tyle roboty na koniec tygodnia. Zwłaszcza że pokoje dzieci są pozamykane.

Dzieci" miały kolejno dwadzieścia cztery, dwadzieścia sześć i trzydzieści lat i od dawna nie mieszkaly już z rodzicami.

Irma pokiwała głową. Jak się okazało, doktor Marilyn miała rację, ale nawet gdyby nie miała, Irma by się nie kłóciła.

Była cichszą kobietą, cichszą, tym bardziej że przez jedenacie lat, które przeżyła w Stanach, nie udało się jej nauczyć dobrze angielskiego. Ona i jej mąż Isaiah mieli troje dzieci i kiedy Irma zaczęła pracować u Lattimore'ów, mały Isaiah miał cztery latka, Isaac dwa, a Joel był rozbrykanym niemowlakiem, ruchliwym jak małpka.

W wieku dwudziestu trzech lat Irma Flores wyruszyła ze swojej wioski w San Francisco Guajoyo w Salvadorze, przejechała przez Meksyk i granicę Stanów Zjednoczonych, niedaleko na wschód od San Diego, szturchana w ciemności przez podłego coyote o imieniu Pa, który próbował szantażem wymusić od niej więcej pieniędzy, niż się umówili, a na odmowę zareagował użyciem gwałtu.

Irmie udało się uwolnić i jakim cudem dotarła do ródmięcia LA. Do drzwi kociola zielonowiskowców, gdzie miała obiecane schronienie.

21

Pastor był dobrym człowiekiem. Kiedy nie wygłaszał kazań, pracował jako stróż i znalazł Irmie nocną pracę przy sprzątnięciu biur.

Kociół był jej schronieniem i w kociele właśnie poznała Isaiaha Gomeza. Jego niemiałość i nędzne ubranie obudziły w niej matczyne uczucia. Zarabiał na życie, farbując płachty materiału w zakładzie w East LA; nachylony nad parującymi kadziami wdychał toksyczne opary i wracał do domu nad ranem błady i zmęczony.

Pobrali się, a kiedy Irma zaszła w ciążę, zrozumiała, że nie może już pracować nocami. Zdobyła fałszywe papiery i zarejestrowała

się w agencji przy Larchmont Avenue. Jej pierwszy szef, reżyser mieszkający w Hollywood Hills, przerażał ją napadami szału, piciem i kokainą, więc zrezygnowała po tygodniu. Bóg ulitował się jednak nad nią i za drugim razem zesłał jej Lattimore'ów.

W połowie dziewiętego roku pracy Irmy doktor Marilyn bardzo się przeziębila i przez dwa dni siedziała w domu. Być może właśnie dlatego zauważyła wyraz twarzy Irmy. Irma pracowała przeważnie w samotności, nucąc, piewając i wzbudzając echa w wielkich, sklepionych pomieszczeniach.

Rozmowa odbyła się w pokoju niadaniowym. Doktor Marilyn siedziała z gazetą, popijając kawę i wycierając cieknięcy nos. W przyległej kuchni Irma z zapalonym czyciła pokrywę palników kuchenki.

- Dasz wiarę, Irmo? Tydzień operowania, a mnie powala taki arogancki, mały wirus. - Głos doktor Marilyn, normalnie lekko ochrypły, teraz brzmiał jak męski. - Na studiach, Irmo, kiedy pracowałam na pediatrii, złapałam wszystkie wirusy, jakie zna ludzkość. I później, oczywiście, kiedy urodziłam dzieci. Ale odtąd cała lata już nie chorowałam i uważam, że to po prostu oburzające. Na pewno zaraził mnie jaki pacjent. Chciałabym tylko wiedzieć, który, żeby osobiście mu podziękować.

Doktor Marilyn była ładną kobietą, niewysoką, o włosach koloru miodu; wyglądała na o wiele młodszą, niż była. Codziennie o szóstej rano chodziła na trzykilometrowy spacer, potem pół godziny spędzała na maszynie eliptycznej i podnosiła ciężary. Jadła niewiele, nadrabiała tylko w Paryżu.

- Pani silna, pani szybko wyzdrowieje - powiedziała Irma.

- Mam nadzieję... Dziękuję za tę odrobinę optymizmu, Irmo... Czy byłaby tak dobra i przyniosła mi trochę figowych konfitur do grzanki? Irma przyniosła jej słoik.

- Dziękuję, moja droga.

- Co jeszcze, pani doktor Em?

22

- Nie, dziękuję, moja droga... Wszystko w porządku, Irmo? Irma zmusiła się do umięchu.

- Tak.

- Na pewno?

- Pewnie, tak, doktor Em.

- Hm... Nie oszczędzaj mnie ze względu na mój katar. Jeli co cię martwi, wydu to z siebie. Irma zaczęła cofać się do kuchni.

- Moja droga - zawołała za nią doktor Marilyn. - Znam cię dobrze i widzę, że co cię trapi. Tak samo wyglądała, zanim zajęliśmy się twoimi papierami. A potem znów, kiedy się martwiła, czy zadziała amnestia. Zdecydowanie co cię dręczy.

- Wszystko jest w porządku, doktor Em.

- Odwróć się, spójrz mi w oczy i powtórz to.

Irma posłuchała. Doktor Marilyn wbiła w nią wzrok. Miała uważne piwne oczy i zdecydowane usta.

- Jak sobie chcesz.

Dwie minuty później, kiedy skończyła jeść grzankę:

- Proszę, Irmo. Przestań się chmurzyć i wydu to z siebie. W końcu jak często możesz z kim porozmawiać, skoro mnie i doktora Ess nigdy nie ma? To taka samotnicza praca, prawda... To właśnie tak ci doskwiera?

- Nie, nie, kocham pracę, doktor...

- W takim razie co?

- Nada. Nic.

- Jeste uparta, młoda damo.

- Ja... Nic.

- Irmo!

- Martwię się o Isaaca.

Bystre piwne oczy rozjarzyły się niepokojem, zrobiły się lisie, prawie straszne.

- O Isaaca? Co mu jest?

- Nie, jest bardzo zdrowy. Bardzo mśdry. Irma wybuchła płaczem.

- Jest mśdry, a ty płaczesz? - Doktor Marilyn się zdziwiła. - Czego tu nie rozumiem.

Napiły się herbaty, zjadły po cienkiej grzance z dżemem figowym, a potem Irma opowiedziała wszystko doktor Marilyn. O tym, jak Isaac wracał ze szkoły, płacząc z nudów i frustracji. O tym, jak skończył cały materiał szóstej klasy w dwa miesiŃce, pożyczył ksiŃzki do klasy siódmej, ósmej,

23

a nawet kilka do dziewiętej, i je też pochłonił. W końcu przyłapano go, jak czytał ćwiczenia do algebry, wyniesione ze składziku, i wysłano na dywanik do dyrektorki za nieupoważnionŃ naukę i nienormalne zachowanie”.

Irma poszła do szkoły, próbowała zająć się sprawŃ sama. Dyrektorka na jej prosty ubiór i ciężki akcent zareagowała pogardŃ; nakazała, by Isaac darował sobie rozwój ponad wiek” i skupił się na spełnianiu klasowych standardów”.

Kiedy Irma próbowała zauważyć, że chłopiec dawno już wyprzedził te standardy, dyrektorka przerwała jej w pół słowa i poinformowała jŃ, że Isaac będzie musiał zadowolić się powtarzaniem wszystkiego jeszcze raz.

- To oburzajŃce - powiedziała doktor Marilyn. - Po prostu oburzajŃce. No juź, juź, wytrzymaj oczy... Trzy lata do przodu? Sam?

- Dwa, prawie trzy.

- Mój najstarszy, John, był trochę podobny. Nie aź tak mśdry jak twój Isaac, ale szkoła zawsze go męczyła, bo za szybko mu szło. Aleź mielimy z nim przejęcia! Teraz jest starszym rezydentem na psychiatrii w Stanford. - Doktor Marilyn się rozpromieniła. - A moźe twój Isaac mógłby być lekarzem, Czy to by nie było cudowne, Irmo?

Irma pokiwała głowŃ, jednym uchem słuchajŃc szczebiotania doktor Marilyn.

- Kiedy dziecko jest takie mśdre, Irmo, nie ma granic... Daj mi numer tej dyrektorki, a ja sobie z niŃ porozmawiam. - Kichnęła, zakaszłała, wytarła nos. Zamiała się. - Ten baryton z pewnością doda mi autorytetu.

Irma milczała.

- Podaj mi numer, moja droga. Cisza.

- Irmo?

- Nie chcę kłopotów, doktor Em.

- Juź masz kłopoty, Irmo. Teraz musimy znaleźć rozwiŃzanie. Irma wbiła wzrok w podłogę.

- Co? - Doktor Marilyn spytała ostro. - Ach. Martwisz się o konsekwencje, o to, że kto wykorzysta to przeciwko tobie i twojej

rodzinie. Cóż, moja droga, nie przejmuj się tym. Jeste tu legalnie. Kiedy załatwiałimy wam papiery, przyłożylimy duży wagę do wszystkich szczegółów.

- Nie rozumiem - powiedziała Irma. Doktor Marilyn westchnęła.

- Kiedy wynajęlimy adwokata... abogado...

- Nie to - przerwała Irma. - Nie rozumiem, skąd wziął Isaac. Ja nie mśdra, Isaiiah nie mśdry, tamci dwaj nie mśdrzy.

24

Doktor Marilyn zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią. Nadgryzła grzanekę i odłożyła ją na talerz.

- Jeste mśdra, moja droga.

- Nie jak Isaac. On zawsze szybki, Isaac. Chodzi szybko, mówi szybko. Ocho... osiem miesięcy on mówi, mówi papa, mama, pan\*, vaca\*\*. Tamci dwaj czteracie, piętnacie...

- Osem miesięcy? - powiedziała doktor Marilyn. - O rany. To niesamowite, nawet John nie powiedział ani słowa, dopóki nie skończył roku. - Opadła na oparcie krzesła, zamylała się, a potem nachyliła do Irmy i wzięła ją za rękę. - Zdajesz sobie sprawę, jaki otrzymała dar? Czego taki kto jak Isaac może dokonać?

Irma wzruszyła ramionami.

Doktor Marilyn wstała, zakaszłała i podeszła do wiszącego na cianie w kuchni telefonu.

- Zadzwoń do tej durnej dyrektorki. W taki czy inny sposób jako to załatwimy.

Doktor Marilyn stawiała czoło biurokracji szkoły państwowej i nie wskórała więcej niż Irma.

- Niesłychane! - zawołała. - Ci ludzie to skończeni kretyni!

Rozmówiła się z doktorem Sethem i we dwójkę postanowili porozmawiać z doktorem Melvynem Pogue'em, dyrektorem Burton Academy, w której John, Bradley i Elizabeth Lattimore'owie dostawali prawie same piśtki.

To był strzał w dziesiątkę. Burton dostała się pod ogień krytyki swoich co bardziej postępowych alumnów jako uczelnia biała i elitarna, i chociaż nakreślono plany zwiększenia różnorodności uczniów, nie podjęto jeszcze ku temu żadnych kroków.

- Ten chłopiec - stwierdził doktor Pogue - wygląda na doskonałego kandydata.

- Jest niesłychanie bystry - powiedział doktor Seth. - To dobrze wychowany, religijny młody człowiek. Ale nie wymagajmy od niego doskonałości. Nie ma potrzeby go naciskać.

- Tak, tak, oczywiście, doktorze Lattimore. - W szufladzie biurka Pogue'a leżał wieżo podpisany przez Lattimore'a czek. Czesne za pełny rok nauki, do tego pieniądze na remont sali gimnastycznej. - To dobrze, że mśdry i religijny... Ehem, to na pewno katolik?

*Pan (hiszp.) - chleb (przyp. red.). \* Vaca (hiszp.) - krowa (przyp. red.).*

25

Isaac zjawił się w kampusie Burton, na Trzeciej przy McCadden - w odległości krótkiego spaceru od posiadłości Lattimore'ów - wieżo ostrzyżony i ubrany w najlepsze kocielne ubranie. Szkolny psycholog przepuścił go przez serię testów i oznajmił, że chłopiec wykracza poza skalę".

Irma i Isaiiah Gomez oraz ich syn zostali umówieni z doktorem Melvynem Pogue'em, jego asystentem, z Ralphem Gottfriedem, przewodniczącym komitetu fakultetów, oraz MonšHornsby, kierowniczką administracji. Wszyscy ci ludzie byli umięchnięci, białoróżowi, bez wyjstku otyli. Mówili bardzo szybko, a Isaac tłumaczył, kiedy jego rodzice wydawali się nie rozumieć.



Tydzień później przeniósł się do Burton jako siódmoklasista. Dodatkowo zapewniono mu indywidualne lekcje wzbogacające”, polegające głównie na samodzielnym czytaniu w zastawionym księżkami gabinecie Melvyna Pogue’a.

Jego bracia, szczęśliwi i krnąbrni w szkole państwowej, uznali wszystko to za dziwactwo - burtoński mundurek: mieszne, niebieskie, plisowane spodnie, biała koszula, szaroniebieska marynarka i pasiasty krawat; to, że Isaac jedził z mamą autobusem do pracy i cały dzień zadawał się z Angolami; to, że uprawiał sporty, o których nigdy nie słyszeli, a więc hokej na trawie, wodne polo, sšuasha, oraz jeden, o którym słyszeli, ale który uważali za nieosięgalny: tenis.

Kiedy pytali Isaaca, jak to jest, mówił, że może być”, ale pilnował się, żeby nie ujawniać za dużo uczuć. Nie było powodu, żeby bracia czuli się gorsi.

W rzeczywistości nie tylko mogło być” - było po prostu bajecznie. Pierwszy raz w życiu Isaac czuł, że jego umysł może wędrować wszędzie tam, gdzie chce - mimo że większość uczniów Burton uważała go za małego, ciemnoskórę ciekawostkę i najczęściej zostawiała samemu sobie.

Uwielbiał być sam. Papierowo-skórzany zapach gabinetu Melvyna Pogue’a zagnieździł się w jego wiadomości, bliski jak mleko matki. Pochłaniał książki, robił notatki, których nikt nie czytał, zostawał w szkole długo po lekcjach. Czekał z plecakiem pełnym podręczników, aż przyjedzie po niego Irma, a potem razem wyruszyli w długą podróż autobusem do Union District.

Czasami mama pytała go, czego się uczył. Zazwyczaj jednak drzemała w autobusie, podczas gdy on czytał. Uczył się o cudownych, dziwnych rzeczach, innych wiatrach - innych wszechwiatach. W wieku jedenastu lat widział wiat jako co nieskończonego.

Kiedy skończył lat dwanaście, miał już kilkoro przyjaciół - dzieci, które zapraszały go do swoich wspaniałych domów, chociaż on sam nie mógł im się odwzajemnić tym samym. Mieszkanie jego rodziców było czyste,

26

ale małe, a Union District, wielkowiejska dzielnica, ponura i brudna, słynęła z wysokiej przestępczości. Nawet bez pytania Isaac wiedział, że rodzice dzieci z Burton w żadnym razie nie puciliby swoich latoroli tak daleko na wschód od Van Ness.

Przywykł do podwójnego życia: eleganckich budynków szkoły i szmaragdowych boisk za dnia, w nocy za do wystrzałów, wrzasków i salsy brzęczącej natrętnie za oknami sypialni wielkoci schowka na miotły, które dzielił ze swoimi braćmi.

Nocami często rozmyślał o tym, jak różni są ludzie. Biedni i bogaci, o skórze jasnej i ciemnej. O przestępczości, o tym, dlaczego niektórzy postępują le. Czy życie jest sprawiedliwe? Czy Bóg interesuje się osobicie każdym człowiekiem?

Czasami myślał o swojej matce. Czy jej życie też jest podwójne? Zastanawiał się, czy którego dnia jej o to nie zapytać.

W wieku czternastu lat umiechał się i mówił jak uczeń Burton; miał już za sobą cały program matematyki, całą biologię i dwa lata zaawansowanej historii. Cztery lata liceum zostały skrócone do dwóch. Mając piętnaście lat, Isaac ukończył szkołę ze wszystkimi możliwymi wyróżnieniami i został przyjęty w wyjątkowych okolicznościach” na Uniwersytet Stanu Południowa Kalifornia.

To na studiach postanowił zostać lekarzem. Skończył matematykę i biologię. Uniwersytet chciał go zatrzymać i kiedy Isaac ukończył studia sum-ma cum laude, Phi Beta Kappa, w wieku zaledwie dziewiętnastu lat przyjęto go do Szkoły Medycznej Kecka.

Jego rodzice byli zachwyceni, ale on sam nie był pewien, czy dobrze zrobił.

Kolejne cztery lata wykładów bez przerwy. Wszystko działo się tak szybko. W głębi ducha wiedział, że nie jest do końca dojrzały, by opiekować się innymi ludźmi.

Poprosił o urlop dziekański i dostał go. Potrzebował odpoczynku, czego lżejszego, mniej wymagającego.

Oznaczało to dla niego doktorat z epidemiologii i biostatystyki. W wieku dwudziestu jeden lat wypełnił wszystkie wymagania programowe, otrzymał tytuł magistra i zaczął pracę nad rozprawą doktorską.

Dyskryminacyjne i przewidywalne wzorce rozwięzanych i nierozwięzanych spraw morderstw w Los Angeles w latach 1991-2001.

Kiedy siedział i układał swoje hipotezy, skulony w kącie piwnicy Biblioteki Doheny’ego, w głowie huczały mu wspomnienia

Chociaż uniwersytet starał się chronić swoje cudowne dziecko przed rozgłosem, wieści o naukowych osiągnięciach Isaaca trafiły na biurko radnego miejskiego Gilberta Reyesa; ten natychmiast zwołał konferencję prasową, na której przypisał sobie wszystko, czego młody człowiek dokonał.

Isaac posłuchał rady swojego promotora i udał się na uroczysty obiad, na którym siedział obok Reyesa, ciskał dłonie grubych, hałaśliwych ludzi i nie zaprzeczał niczemu, co radny mówił.

Wodś na młyn Reyesa były fotografie: w jego hiszpańskojęzycznych ulotkach, rozdawanych przed następnymi wyborami, pojawiły się odpowiednie zdjęcia. Isaac, wyglądający jak harcerz w pobitewnym szoku, został w nich ochrzczony El Prodigio \*.

Dowiadzenie to pozostawiło w nim lekki niepokój, ale kiedy przyszła pora poprosić o dostęp do archiwów policji, Isaac wiedział, do kogo zadzwonić. Po dwóch dniach miał załatwioną przepustkę stałego gościa, lewy status stażysty”, zagwarantowany dostęp do akt zamkniętych spraw morderstw i wszystkiego innego, co tylko znalazł w piwnicach archiwum. Biurko miał dostać w Hollywood Division, ponieważ Gilbert Reyes był dobrym kolegą Randy’ego Diaza, nowego komendanta tego okręgu.

Pewnego kwietniowego poniedziałku promiennie umiechnięty Isaac zjawił się w Hollywood i trafił do nieuprzejmego kapitana Schoelkopfa, który wyglądał jak Stalin.

Schoelkopf potraktował go jak podejrzanego, nawet nie udawał, że słucha ani kiedy Isaac recytował swoje hipotezy, ani kiedy wyrażał głęboką wdzięczność za własne biurko. Wpatrywał się tylko martwo w przestrzeń i żuł sumiaste, czarne wśsy, jakby to był jego obiad. Kiedy Isaac przestał mówić, twarz kapitana rozciśgnęła się w zimnym umiechu.

- No, dobra - powiedział. - Zapytaj o Connor. Ona będzie się umiała tobś zaopiekować.

Petra nigdy by tego nie zauważyła. Nawet gdyby samo się jej narzucało. Przed nią leżała kartka schludnie zapisana na maszynie przez Isaaca. On za siedział na metalowym krzele obok biurka. Bębnił palcami. Przestał. Udawał nonszalancję.

\* El Prodigio (hiszp.) - cud (przyp. red.).

Petra jeszcze raz przeczytała nagłówek. Tłustym drukiem. Zabójstwa 28 czerwca: ukryty wzorzec?

Jak tytuł pracy semestralnej. Właćwie, dlaczego nie? Isaac miał dopiero dwadziecia dwa lata. Nie znał niczego poza szkoł.

Poniżej tytułu znajdowała się lista szeci zabójstw popełnionych dwudziestego ósmego czerwca o północy albo tuż koło niej.

Szeć w ciśgu szeci lat: Petra najpierw zareagowała: Co z tego”. Przez ostatniś dekadę roczna liczba morderstw w Los Angeles wahała się od stu osiemdziesięciu do szeciuset, a w ciśgu kilku ostatnich lat utrzymywała się na poziomie dwustu pięćdziesięciu. rednio oznaczało to jedno morderstwo co półtora dnia. Oczywiście jedne dni były gorsze, a w inne zupełnie nic się nie działo. Biorśc pod uwagę letnie upały, dwudziesty ósmy czerwca mógłby z pewnością być jednym z tych gorszych.

Powiedziała to wszystko Isaacowi. Po szybkości jego odpowiedzi domyliła się, że przewidział takie argumenty.

- Nie chodzi tylko o ilość, pani detektyw Connor. Chodzi o jakoć. Te wielkie, wilgotne oczy. Pani detektyw Connor. Ile razy mówiła mu, żeby mówił jej po imieniu? Chłopak był uroczy, ale w pewien sposób uparty.

- Jakoć morderstw?

- Nie w sensie oceny wartoci. Przez jakoć rozumiem pewne nieodłśczone właciwoci zbrodni, pewne... - Ucichł. Skubnił róg listy.

- Mów dalej - zachęciła Petra. - Tylko nie komplikuj, bez żadnych pi er kwadrat i jakich tam analiz. Kończyłam malarstwo. Zaczerwienił się.

- Przepraszam, czasami mam skłonności do...

- Przestań - przerwała mu. - Tylko żartowałam. Kazałam ci opowiedzieć o twoich testach statystycznych, a ty to zrobiłeś. - Na złamanie karku, z zapalem gorliwego wyznawcy.

- Testy to nic wielkiego, badajś tylko ten fenomen z matematycznego punktu widzenia. W sensie prawdopodobieństwa, że co się przypadkiem wydarzy. Jednym ze sposobów przeprowadzenia takiej analizy jest porównanie grup przez zbadanie rozkładu... wzorca rozkładu wyników. I to właśnie zrobiłem. Porównałem dwudziesty ósmy czerwca z każdym innym dniem roku. Ma pani rację, że morderstwa się skupiają, ale żadna inna data nie podchodzi pod ten wzór. Nawet skutki letnich upałów objawiają się raczej w weekendy i dni wolne. Tych sześć przypadków wypada w różne dni tygodnia. Tylko jedno morderstwo, pierwsze, zostało popełnione w weekend.

Petra sięgnęła po kubek. Herbata jej wystygła, ale i tak ją wypijała.

- Przynieć pani wody? - spytał Isaac.

29

- Nie trzeba. Co jeszcze?

- No więc... Można na to spojrzeć inaczej, po prostu zbadać właściwe prawdopodobieństwa podstawowe... - Podkreślał każde słowo, dgając powietrze palcem. Przerwał i zaczerwienił się jeszcze bardziej. - Proszę, znów to robię. - Jeszcze jeden długi, głęboki wdech. - Po kolei. Zacznijmy od narzędzia zbrodni, bo to najmniej kontrowersyjna... to dość prosta zmienna. Mordercy w Los Angeles najbardziej lubią broń palną. Przejrzałem morderstwa z ostatnich dwudziestu lat i siedemdziesiąt trzy procent z nich przeprowadzono przy użyciu pistoletów, karabinów albo strzelb. Dalej są noże i inne ostre narzędzia, około piętnastu procent. Razem daje to prawie dziewięćdziesiąt procent. Dane FBI w skali kraju są podobne. Sześćdziesiąt siedem procent broń palna, czterdzieści procent noże. Sześć procent to ręce i nogi, reszta to różna mieszanka. Tak więc fakt, że w żadnym z przypadków dwudziestego ósmego czerwca nie użyto broni palnej ani noża, jest godny uwagi. Tak samo jak miętelną raną. We wszystkich bazach danych, jakie sprawdziłem, morderstwa przy użyciu tępego narzędzia nie wykraczają poza pięć procent. To rzadkie przypadki, pani detektyw Connor. Na pewno wie to pani lepiej niż ja.

- Isaac, właśnie zamknęłam takie dwie sprawy. Cios w głowę gołą pięścią i kark skręcony chwytem judo. Isaac zmarszczył brwi.

- A więc zamknęła pani dwie rzadkie sprawy. Widziała pani dużo takich? Petra spróbowała sobie przypomnieć. Pokręciła głową.

- Już od dość dawna nie.

- Przyjrzyjmy się temu jeszcze dokładniej. Zmiażdżenie ciemienia tępym narzędziem nie wykracza poza trzy procent morderstw w LA. Ale to sto procent tych przypadków. Jeli dodamy do tego inne podobieństwa: tę samą datę, mniej więcej tę samą godzinę i przypuszczenie, że zabójca nie znał ofiary, a potem zbadamy współczynnik prawdopodobieństwa, nie może być mowy o zbiegu okoliczności.

Przerwał.

- To wszystko? - spytała Petra.

- Nie, jeszcze nie. Detektywi departamentu policji Los Angeles rozwińsz od dwóch trzecich do trzech czwartych spraw, a mimo to wszystkie z tych szeciu pozostały nierozwińszane.

- To dlatego że morderca nie znał ofiar - powiedziała Petra. - Jeste tu już dość długo, żeby wiedzieć, co udaje nam się zamknąć szybko: kiedy mundurowi nakrywają jakiego kretyna z dymiścz spluwś w łapie.

- Mylę, że się pani nie docenia, pani detektyw Connor. - Powiedział to szczerze, bez cienia wyższości. - Prawda jest taka, że jesteście bardzo

30

skuteczni; niech pani sobie wyobrazi pałkarza z pierwszej ligi, który trafia siedemset. Nawet dziwniejsze morderstwa zostają rozwiązane. Ale żadne z tych. Wszystko to potwierdza moją tezę: to bardzo niezwykle zdarzenia. Ostatecznie osobliwość jest fakt, że w tym samym okresie sześciu lat liczba zabójstw z działalności gangów wzrosła z dwudziestu procent wszystkich zabójstw do prawie czterdziestu. Co oznacza jednocześnie, że możliwość morderstwa niezwiązane z gangami proporcjonalnie spadła. A mimo to żaden z przypadków dwudziestego ósmego czerwca nie wydaje się mieć związku z gangami. Wszystko to razem daje kombinację bardzo niespotykanych okoliczności. Prawdopodobieństwo, że to przypadek, to jeden do jednego z tyłoma zerami, że nawet nie wiem, jak się ta liczba nazywa.

Załóżę się, że wiesz, pomyślała Petra. Założę się, że po prostu się nade mną litujesz.

Wysunęła listę spod jego dłoni i przyjrzała się jej uważnie. Zabójstwa 28 czerwca: ukryty wzorzec?

1. 1997; 00.12, Marta Doebbler, lat 29, Sherman Oaks, biała, mężatka. Była z przyjaciółmi w Pantages Theater w Hollywood, wyszła do toalety, nie wróciła. Znaleziona we własnym samochodzie na tylnym fotelu. Wgniecenie czaszki.
2. 1998; 00.06, Geraldo Luis Solis, lat 63, Latynos, wdowiec. Znaleziony we własnym domu w jadalni, Wilsh. Div., zabrano jedzenie, ale nie pieniądze. Wgniecenie czaszki.
3. 1999; 00.45, Coral Laurine Langdon, lat 52, biała, panna. Wyszła na spacer z psem na wzgórze Hollywood Hills, znalazł ją patrolowiec, pod krzakiem, szczęć przecznic od domu. Wgniecenie czaszki. Pies (Brandy, 10 lat, rasa cockapoo) zdeptany na mierć.
4. 2000; 00.56, Darren Ares Hochenbrenner, lat 19, czarny, kawaler. Podporucznik marynarki, stacjonował w Port Huenerne, na przepustce w Hollywood, znaleziony w zaułku, Czwarta ulica, Cent. Div., opróżnione kieszenie. Wgniecenie czaszki.
5. 2001; 00.01, Jewell Janis Blank, lat 14, biała, panna, uciekła z domu, znaleziona w Griffith Park niedaleko Fern Dell przez strażników lenych. Wgniecenie czaszki.
6. 2002; 00.28, Curtis Marc Hoeffy, lat 20, biały, kawaler, znana męska prostytutka, gej, znaleziony w zaułku Highland przy Sunset. Wgniecenie czaszki.

Petra podniosła wzrok.

- Nie widać tu żadnej prawidłowości, jeśli chodzi o ofiary.

- Wiem - powiedział Isaac. - Ale mimo wszystko.

31

- Mam przyjaciela, psychologa, który twierdzi, że ludzie to chodzące pryzmaty. Widzimy mózgiem, nie oczami. A to, co widzimy, zależy od kontekstu.

Teraz to ona przemawiała jak mentor. Isaac osunął się na krzele. Wyglądał na zdruzgotanego.

- Do czego zmierzam - ciągnęła. - Wszystko zależy od tego, jak na to spojrzysz. Poruszyły pewne interesujące kwestie... Bardziej niż interesujące: prowokujące. - Wskazała listę, przesunęła palcem po nazwiskach. - To zupełnie różni ludzie pod względem płci, wieku... klasy społecznej. Ciało znajdowano w mieście i w okolicach na pół wiejskich. Gdyby chodziło o seryjny mord, byłby w tym jakiś kontekst seksualny, a ja nie widzę, co sześćdziesięcioletni mężczyzna i czternastolatka mają wspólnego jako cele seksualne.

- To wszystko prawda - przyznał Isaac. - Ale nie uważa pani, że inne czynniki są zbyt oczywiste, by je ignorować? Petre zaczęła boleć głowa.

- Z pewnością kosztowało cię to wiele czasu i nie lekceważę tego, ale...

- Dlaczego - przerwał - musi być kontekst seksualny?

- Tak najczęściej bywa.

- Profil FBI. Tak, tak, wszystko to wiem. Ich podstawowa teza opiera się na tym, że tak zwani mordercy zorganizowani, czyli po prostu bardziej łopatologiczna wersja tego, co psychologowie nazywają psychopatami, działają pod wpływem kombinacji przemocy i seksualności. Zgoda, na ogół jest w tym trochę prawdy. Ale jak pani powiedziała, pani detektyw, rzeczywistość zależy od tego, jakiego pryzmatu się używa. FBI przesłuchiwało więzionych morderców i na tej podstawie skompilowało banki danych. Ale dane są tylko tak dobre, jak dobre są próbki, a kto powiedział, że złapani mordercy są tacy sami jak ci niezłapani? Może FBI złapało ich, bo byli psychologicznie nieelastyczni? Może zgubiła ich przewidywalność? - Mówił coraz głośniej. Żar w jego piwnych oczach sprawił, że przestały być wilgotne. - Chcę tylko powiedzieć, że czasami wyjścia są ważniejsze od reguł.

- Jaki motyw proponujesz dla tych zabójstw? - spytała Petra. Długa chwila milczenia.

- Nie wiem.

Oboje nic nie mówili. Isaac oklapł.

- Dobrze, dziękuję, że poświęciła mi pani tyle czasu. - Zabrał listę i włożył ją do lniścej skórzanej teczki, którą wszędzie ze sobą nosił. Petra widziała, że inni detektywi umiechali się kąśco na jej widok. Sły—

32

szła wygłaszane za plecami Isaaca uwagi. Mózgowiec”. Cudowne dziecko”. Petra została przedszkolanką”. Kiedy była w podłym nastroju, gasiła te szeptki lodowatym spojrzeniem.

Teraz odkryła, że czuje się odpowiedzialna za chłopaka, ale zarazem poirytowana. Ostatniś rzeczś, jakiej potrzebowała, była teoria zwalajśca jej na głowę szeć lat zimnych” spraw. I to włanie teraz, kiedy miała cztery trupy pod Paradiso, w tym dziewczynę, której nie mogła nawet zidentyfikować.

Z drugiej strony Isaac był od niej mśdrzejszy, o wiele mśdrzejszy. Zlekceważenie go bez namysłu mogło okazać się bardzo poważnym błędem. Bo gdyby tak poszedł od razu do Schoelkopfa... do radnego Reyesa. Gdyby tak zrobił i okazało się, że ma rację...

Przed oczami zatańczyły jej nagłówki gazet. MŁODY CZARODZIEJ ODKRYWA NIEROZWILZANE SPRAWY MORDERSTW. I tekst: Detektyw departamentu policji Los Angeles nie sprawdziła...”

Isaac wstał.

- Przepraszam, że zmarnowała pani przeze mnie tyle czasu. Mogę jako pani pomóc? W pani głównej sprawie?

- Mojej głównej sprawie?

- Paradiso. Słyszałem, że nie idzie łatwo.

- Naprawdę? - spytała. Usłyszała chłód we własnym głosie i zmusiła usta do umiechu. IQ jak wieżowiec czy nie, to tylko dzieciak. Pełen entuzjazmu, upierdliwy dzieciak z politycznymi koneksjami. -Nie idzie łatwo - zgodziła się. - Tyle skoszonych maluchów, a nikt nie chce mówić. Jak mógłby mi pomóc?

- Nie wiem. Może zerknę na dane. - Znów się zaczerwienił. - To była straszna arogancja z mojej strony. To pani jest zawodowcem, co ja mogę wiedzieć? Przepraszam, nie będę już pani przeszkadzał...

- Wiesz co o różowych adidasach z Kmartu?

- Słucham?

Opowiedziała mu o niezidentyfikowanej dziewczynie.

Rozlunił się. Tak działało na niego mylenie, analizowanie.

- Myli pani, że to ona mogła być celem ataku, a pozostali to niewinni, przypadkowi wiadkowie?

- W tym momencie, Isaac, nic nie myślę. Wydaje mi się tylko dziwne, że nikt się nie zgłosił, żeby jś zidentyfikować.

- Hm... Tak, to by sugerowało jakiego rodzaju... zamieszanie w jej życiu... Wygląda na to, że kwestię butów zbadała pani najdogłębniej, jak się dało... Zastanowię się nad tym. Na pewno nic nie wymyślę, ale spróbuję.

3 - Pokrętny umysł 3 3

- Będę wdzięczna - powiedziała Petra. Nie mówiła poważnie, ale dalej umiechała się szeroko jak cholera. Prawie dziewiśta. Chłopak też pracował do póna. I to za darmo.

- Może co zjemy, hamburgera, cokolwiek? - spytała.

- Dziękuję, ale muszę wracać do domu. Mama ugotowała obiad, a bardzo się przejmuję, jeli wszyscy go nie zjemy.

- W porzśdku. Może innym razem.

Geniusz mieszka wciśż z rodzicami... Union District, przypomniała sobie. Pewnie w jakim małym, podłym mieszkanku. To zupełnie co innego niż zielone trawniki i wysokie drzewa uniwersytetu. Co innego niż uwaga, jakś przyciśga chłopak geniusz. Z własnym biurkiem w pokoju detektywów. Nić dziwnego, że zostaje tu do póna.

- Skseruj mi tę listę - powiedziała.

- Nie zamierza pani tego zlekceważyć?

- Daj mi jeszcze pomyleć. Wielki umiech.

- Nie ma sprawy. Dobranoc, pani detektyw Connor.

- Dobranoc. - Profesorze Gomez. Wyszedł, a Petra myłami wróciła do rzezi pod Paradiso. Narzędziem zbrodni był pistolet. Przynajmniej w tym względzie to było typowe. Co z jakiej przyczyny sprawiło, że poczuła się gorzej.

wjrsero listy leżało na biurku Petry następnego popołudnia. W górnym Młprawym rogu, na przyklejonej żółtej karteczce napisano: Pani detektyw C: Dziękuję. I.G

Petra schowała listę do szuflady i następnne dwa dni spędziła na rozmowach z gliniarzami z wydziału osób zaginionych z całej Kalifornii, faksu-jśc im zdjęcia zabitej dziewczyny w różowych adidasach. Dostała kilka telefonów, ale nic to nie dało. Zaczęła się zastanawiać, czy nie spróbować w sśsiadnich stanach. Pucółowata dziewczyna wyglądała na Latynoskę, więc południowy zachód wydawał się logicznym rozwiązaniem.

Obdzwanianie Arizony i Nevady zajęło jej cały następnny dzień, potem przerzuciła się na Nowy Meksyk, gdzie detektyw policji Santa Fe, zwany Darrellem Dwa Księżyce, powiedział:

34

- To może być dziewczyna, która w zeszłym roku zaginęła w pueblo San Ildefonso.

- Nasza ofiara niedawno przeszła aborcję.

- Tym bardziej by się to zgadzało - powiedział Dwa Księżyce. - Chodziła tu plotka o niechcianej ciśży. Żonaty facet, doć paskudny typ. Zastanawialimy się, czy się jej nie pozbył, ale jak dotśd nie znalelimy ciała. To sprawa policji plemiennej, ale wezwali nas na pomoc. Niech pani przyle zdjęcie.

- Ten ojciec - spytała Petra - czy to taki typ, który przyjechałby do LA, żeby jś zastrzelić?

- Jeli chodzi o brak skrupułów, na pewno. Czy zadałby sobie tyle trudu? Trudno powiedzieć.

Dwadziecia minut póniej zadzwonił do niej partner Dwóch Księżyców, niejaki Steve Katz.

- Wiem, że Darrell rozmawiał z panią o Cheryl Ruiz. Przykro mi, że na zdjęciu to nie ona. Poza tym policja plemiennej nie przyszła do głowy zawiadomić nas, że znaleźli Cheryl. Pojechała autobusem do Minnesoty, urodziła dziecko, cały czas mieszkała u ciotki.

- Nie ma to jak współpraca. Skąd ja to znam?

- Włanie - przytaknął Katz. - LA, co? Byłem w policji w Nowym Jorku, pracowałem w centrum Manhattanu. Pamiętam, jak to jest mieć pełne ręce roboty.

- Brakuje panu tego?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, jak bardzo dłuży się noc. Od tego, co jeszcze robi się w życiu.

Jeszcze jedna zmiana bez żadnych efektów wprowadziła Petrę w kiepski nastrój. Nie zaszkodziłby jej porządny seks z romantycznym zacięciem, ale od ostatniego telefonu Erica minął tydzień i nie wiedziała nawet, gdzie on teraz jest.

Pora się związać, jechać do domu, wziąć długie, gorzkie prysznic, może nawet ugotować sobie coś porządnego i zdrowego. To by oznaczało, że po drodze musiałaby kupić warzywa i co do nich. Uznała jednak, że nie ma siły oglądać zimnych jarzeniówek supermarketowych działów i innych samotnych ludzi. Postanowiła zjeść cokolwiek, co znajdzie w lodówce, a potem spróbować zrobić coś jeszcze ze swoich O'Keefe.

Wielkie, wysokie nowojorskie budynki, zamieniające miasto w mroczny labirynt.

35

Budynki, ale żadnych ludzi. Namalowane na długo przedtem, zanim wysokie, nowojorskie budynki oznaczały cel”.

Co za życie.

Kiedy zamknęła na klucz biurko, w głębinach torebki odezwał się telefon. Wykopała go spod pistoletu, chusteczek i przyborów do makijażu i odebrała po trzecim dzwonku.

- Cześć - powiedział głos, który kiedy uważała za ponury, mechaniczny i upiornie wyprany z emocji.

W jego brzmieniu nic się nie zmieniło, ale teraz oznaczał dla niej coś zupełnie innego. Słyszymy mózgiem, nie uszami”.

- Cześć - powiedziała. - Gdzie cię teraz wysłali?

- Sam się wysłałem. Jestem na dole, na parkingu.

Serce załomotało jej w piersi. Jedno zdanie mogło to spowodować?

- Na parkingu? Tutaj?

- Tutaj.

- Zaraz schodzę - powiedziała.

Eric stał obok hondy accord Petry, na wpół ukryty w cieniu. Ramiona opucił wzdłuż boków, patrzył w jej kierunku, nie ruszał się. Miał na sobie czarną, nylonową wiatrówkę, do połowy rozpiętą, pod nią biały T-shirt i wąskie czarne dżinsy. I te swoje czarne buty na grubej, gumowej podeszwie, które tak lubił wkładać, kiedy miał brać udział w zasadzce.

Wyglądał na jeszcze chudszy niż zwykle. Błady, z zapadniętymi policzkami, oczy miał tak czarne i wpadnięte, że w wieczornym półmroku nie było ich widać. Ciemne włosy przyciśnięto krótko, krócej niż dotąd - wrócił do wojskowej fryzury.

redniego wzrostu, chudy facet o cerze kujona. Nie próbował przybierać żadnych póz, ale wciąż miał w sobie to co z Jamesa Deana,

co tak poruszało Petrę.

Jak mogła kiedykolwiek uważać, że on nie jest sexy?

Podbiegła do niego i rzucili się sobie w objęcia. On pierwszy się odsunął, pogłaskał ją po policzku. Wtulił twarz w jej włosy, znów przycisnął ją do siebie - z natarczywością stęsknionego dziecka.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- Teraz już tak.

- Dlaczego nie weszła na górę?

- W zasadzie formalnie mnie tu nie ma.

Ujęła jego twarz w dłonie, pocałowała go w oczy, odsunęła na długość ramienia.

- A gdzie teoretycznie jeste?

36

- W Jerozolimie.

- Samo wołka?

- W zasadzie.

- To znaczy?

- Izraelczycy zrobili przerwę, bo musieli się zająć sprawami w Dżeni-nie. Pojawiła się szansa na miejsce w samolocie.

- W samolocie.

Umiechnął się słabo, prawie niewidocznie.

- Wiesz. Takie co ze skrzydłami.

- Jak długo możesz zostać?

- Muszę wyjechać jutro po południu.

- Jedna noc - powiedziała Petra.

- Może być?

- Oczywiście. - Pocałowała go w nos. - Masz samochód? Pokręcił głową.

- Wziłem taksówkę.

Wsiadli do hondy. Petra zapaliła silnik i zauważyła cienie pod oczami Erica.

- Jak długo leciała?

- Dwadzieścia trzy godziny.

- Niezły stop.

- Stopem tylko kawałek. Z Heathrow kupiłem bilet. Przeszukiwali tam starsze panie na wózkach, a faceci, co wyglądali jak złe nasienie Osamy, przechodzili bez problemu. Jeste głodna?



Petra chciała zabawić się w kolację w domu, ale pusta lodówka zmusiła ich, żeby zjeść na miecie.

Poszli do włoskiej restauracji na Trzeciej przy La Brea, staromodnej tawerny, gdzie pod sufitem wisały butelki po chianti. Zamówili cielęcinę marsala, spaghetti z małżami i spumoni na deser. Nie wzięli wina; Eric nigdy nie pił.

Zapytała go, jak było w Jerozolimie.

- Byłem tam kilka lat temu, jeszcze przed Rijadem - odparł. - Wtedy uważałem, że jest piękna. Teraz to bardziej skomplikowane. Dupki obwieszane trotylem trochę psujś atmosferę.

Nawinśł makaron na widelec, jego ręka zawisła w powietrzu.

- Spotkałem faceta, który cię zna. Superintendent Sharavi.

- Daniel - powiedziała Petra. - Pracowaliśmy razem nad jednś sprawś. On, Milo i ja.

- Tak włanie mówił. - Eric odłożył widelec, ujśł jej dłoń, pogładził palce.

37

- Naprawdę musisz jutro wracać?

- Taki jest plan.

- Przez Londyn?

Zawahał się. Instynktowna dyskrecja i tajemniczoć.

- Zabukowałem lot Jet Blue z Long Beach do Nowego Jorku.

- Jedna noc - powiedziała.

- Chciałem cię zobaczyć.

Wrócili do mieszkania Petry, usiedli na kanapie, posłuchali płyty Diany Krall, potem się kochali.

Eric zaczął łagodnie, tak jak to robił od ich pierwszego razu. Zazwyczaj Petrę to podniecało - gotowanie na wolnym ogniu, erotyczny balet... Tego wieczoru była niecierpliwa, ale się hamowała. Przez chwilę. Rozebrała Erica do bladej, kocistej nagoci, potem zerwała z siebie ubranie w takim popiechu, że prawie się przewróciła, zapłśtana w nogawkę spodni.

Dobre zagranie, pani detektyw.

Eric niczego nie zauważył. Miał zamknięte oczy, a jego płaska klatka piersiowa unosiła się szybko i opadała. Nagi wyglśdał młodziej. Delikatniej.

Dotknęła go i otworzył oczy. Położył dłonie na jej ramionach, zsunśł je na biodra, ujśł poladki. Podniósł j ś zręcznie i posadził na sobie. Przejśł inicjatywę: poruszał niś w górę i w dół, powoli, potem szybciej. Całował jej sutki, lekko je przygryzał. Odrzucił głowę w tył i wydał długie, gardłowe westchnienie. Skrzywił się, walczśc ze sobś.

- Już, kochanie - powiedziała Petra. Ale on wciśz się powstrzymywał. Przyspieszyła więc, trśc ciałem o ciało. A kiedy szczytowała, dyszśc i z trudem łapiśc powietrze, z włosami na twarzy, on uderzył w niś jeszcze kilka razy.

- Boże! -krzyknśł.

Potem, w łóżku, kiedy leżeli przytuleni w pocieli, Petra uszczypnęła go w poladek.

- Nie wiedziałam, że jeste religijny.

- Nie trzymam się religii, w której mnie wychowano.

Jego tata był ministrem. Wielebny Bob Stahl, łagodny i miły człowiek, który postanowił wierzyć w dobro natury ludzkiej. Mama Erica, Mary, była równie pozytywnie nastawiona do wiata. Petra poznała ich oboje na ostrym dyżurze, w poczekalni. Zyskała na pełnych dezaprobaty spojrzaniach, którymi Stahlowie obrzucali skšpe wdzianka blondyny.

Zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej, kiedy minšł kryzys i Erica przeniesiono do pojedynczej sali, wcišž nieprzytomnego. Wszyscy troje sie—

38

dzieli przy jego łóžku, kiedy spał i zdrowiał. Gdy Petra proponowała, Źeby pobyli z nim sami, nalegali, by została.

Raz, tuŹ przed tym, jak Eric się ocknšł, Mary Stahl uciskała Petrę i powiedziała:

- Jeste dokładnie takš dziewczynš, jakš chciałabym, Źeby przyprowadził do domu.

Nie wie pani wszystkiego.

Eric zaczął masować miękkie miejsca pod jej łopatkami. Powiedziała mu kiedy, Źe zawsze jš tam boli.

- Ojej - westchnęła. - Nie wiem, czy cię stšd jutro wypuszczę.

- Mogłaby mnie zwišzać. Miałbym się jak tłumaczyć.

- Nie ku.

Próbowała namówić go, Źeby opowiedział co o swojej pracy.

- Nie chciałaby wiedzieć - stwierdził.

- AŹ tak le?

Przetoczył się na plecy, wbił wzrok w sufit.

- Co się stało?

- Patrę na sytuację Izraelczyków i się martwię. Codziennie majš swój jedenasty wrzenia, ale nie mogš zrobić tego, co powinni. wiatowa opinia publiczna, dyplomacja, wszystkie te bzdury.

Zacisnšł usta i zakrył oczy ramieniem. Petra była pewna, Źe juŹ nic nie powie. Myliła się.

- Polityka to trucizna. Przedawkujesz politykę i nie moŹesz się juŹ bronić.

Eric, najbardziej małomówny ze wszystkich ludzi, czasami mamrotał co przez sen. Ale tym, co obudziło Petrę w rodku nocy, był jej własny, wewnętrzny głos - co w rodzaju ostrzeżenia. Odwróciła się, popatrzyła na twarz Erica, zobaczyła spokój. Lekki, zadowolony umiech zadbanego dziecka.

Po raz drugi obudziła się tuŹ po dwunastej w południe. Eric brał prysznic. O dwunastej trzydzięci juŹ smaŹyła jajecznicę. Zjedli, czytając gazety. BoŹe, jakaż rodzinna scenka. O wpół do drugiej Eric pocałował jš i ruszył do drzwi.

39 .

- Zawiożę cię - zaproponowała Petra.

- Wezwałem taksówkę.

Przyjechał bez bagaŹu, wyjeżdżał tak samo. Ubrany w wyprasowane niebieskie džinsy, granatowš koszulę, tę samš czarnš wiatrówkę i czarne buty. wieŹe ciuchy wybrał z rzeczy, które trzymał u Petry w szafie dla goci.

Przeleciał pół wiata tylko z portfelem. Jakby wyskoczył po papierosy.

Tam i z powrotem. Żeby się z niś zobaczyć.

- Odwołaj taksówkę - powiedziała. - Ja cię zawiozę.

Siedzieli razem w przytulnej, turkusowej, nowoczesnej kawiarni nad terminalem Jet Blue, aż młody mężczyzna zajrzał do rodka i oznajmił, że samolot za chwilę odlatuje.

Eric wstał, wzruszył ramionami, sprawiając wrażenie zawstydzonego. Petra uciskała go najmocniej jak potrafiła. Jeszcze jeden pocałunek i już go nie było. Kiedy wychodziła z terminalu, bolały jś oczy.

Już ruch na drodze numer 405 zwiastował korki i przyjechała do Hollywood dopiero dwadzieścia pięć po szóstej. Przy biurkach siedziało dwóch detektywów, Kapłan i Salas; przywitali jś skinięciem głowy.

Żadnych wiadomości od Maca Dilbecka ani nikogo innego w sprawie strzelaniny pod Paradiso. Petra usiadła przy wolnym komputerze i sprawdziła kilka krajowych baz danych zaginionych dzieci, z którymi już się kontaktowała, nie mając jednak większych nadziei na sukces. Słusznie, bo nic nie wskórała.

Co robić?

- Pani detektyw Connor - powiedział głos z drugiego końca pokoju.

Isaac Gomez, w oliwkowym garniturze, żółtej koszuli, zielono-czerwonym krawacie, gładko uczesany z przedziałkiem, szedł w jej stronę ze swoją teczką.

- Bardzo szykownie - powiedziała. - Poważne zebranie? Jak można było przewidzieć, poczerwieniał.

- Niezupełnie. Czy miała pani chwilę, żeby zastanowić się nad moją hipotezą? Za szybko zmienił temat. Petrze włączył się tryb złośliwoci.

- Daj spokój, powiedz. Znow zaszczycił cię radny Reyes?

- Gdzieżby tam... -Mamrotał, Szarpał węzeł krawata.

- Zrobił co więcej, niż zaszczycił? Isaac kopnął się w but.

- No, Isaac. My, zwykli ludzie, nie mamy okazji zadawać się z tymi na górze. Jeste moim oknem na wielki wiat. - Petra osłoniła usta dłonią. -

40

Czy to prawda, co mówisz o Reyesie? Rzeczywiście ma mały problem z gazami? Isaac słabo się umiechnął.

- Nic z tego, jak widzę - stwierdziła. - Pan Gomez jest uosobieniem dyskrecji.

Isaac zamiał się na tyle głośno, że Kapłan i Salas się odwrócili. Od razu spoważniał.

- Randka - wyrzucił z siebie. - Musiałem ić z kim na obiad.

- Musiałe? Mówisz, jakby to była praca domowa. Isaac westchnął.

- W pewnym sensie tak było. Przydzieliła mi jś moja matka. Uważa, że powinienem częściej się bawić.

- A ty się nie zgadzasz.

- Mam wystarczająco dużo rozrywek, pani detektyw Connor. Po prostu nie potrzeba mi... Problem w tym, że moja matka uparcie wierzy, że skoro poszedłem na studia, otworzyły się przede mną jakie towarzyskie złote wrota. Czasami mam wrażenie, że to znaczy dla niej więcej niż mój a nauka.

- Matki zawsze się martwiś - stwierdziła Petra. A ona niby skąd to wiedziała? Jej matka umarła, wypychając jś na wiat.

- Tak... Martwi się, ale... - Isaac potarł policzek. Kiedy jego ręka opadła, Petra zobaczyła czerwony punktik. Nabrzmiwający pryszcz. Geniusz czy nie, chłopak wciśz nie wyszedł z okresu dojrzewania. - Moja matka wyobraża sobie, że odniosę największy sukces osobisty, jeśli poznam dziewczynę, która podniesie mój status społeczny - powiedział. - Nigdy nie czuła się dobrze w mojej szkole, to była elitarna szkoła prywatna. Matka czuła się tam gorsza, co jest bzdurą, bo to niesamowita kobieta. Ale nie mogłem jej przekonać, więc nie chciała mieć do czynienia z rodzicami moich kolegów z klasy. Ale myślę, że chciałaby, żebym zwiślał się z jedną z koleżanek. Tak samo jest z ludmi, u których pracuje. To lekarze, zadbałi o mojs naukę. Uważajś, że matka jest wspaniała, ale ona nie chce wyjć z roli słuźskej... Przychodzi mi na myl Pigma-lion. To wszystko jest skomplikowane i na pewno dla pani mało interesujśce.

Przygryzł wargę. Zaczęła mu skakać powieka. Biedak, naprawdę nie miał lekko. Petrze zrobiło się głupio, że mu dokuczała.

- Przestań - powiedziała. - Jeste bardzo bystrym gościem. Zrobisz to, co uznasz za stosowne.

- Próbowałem to wytłumaczyć mojej matce. Jestem zajęty, nie mam czasu na poważny zwiśzek.

41

Petra wskazała krzesło obok swojego biurka. Isaac ciężko usiadł.

- Randka nie wyszła, co? Wyszczrzył się w umiechu.

- Aż tak widać?

- A ja sobie myślę, że gdyby mama umówiła cię z superinteligentną królową piękności, może znalazłby dla niej trochę czasu.

- Dziewczyna była nawet miła, ale... Zupełnie nic nas nie łączy. Jej rodzina jest nowa w naszym kociele. Ona sama jest religijna i skromna, a mojej matce to już wystarczy.

- Czyli to nie królowa piękności - domyliła się Petra.

- Wyglądała jak mastyf.

- Au.

- To było okrutne - przyznał Isaac. - Ale co z tego? Była też agresywna. W kociele urocza, ale wystarczy gdzie jś zaprosić i strzeż się człowieka! - Pokręcił głową.

- W jakim sensie agresywna?

- W każdym. Miała mnóstwo do powiedzenia o sprawach, o których nie miała pojęcia. Faktycznie, religia bardzo jś kręci. Wierzy w dogmaty z siłą młota parowego. Ledwie usiedlimy, a już zaczęła mnie przekonywać, że powinienem częściej chodzić do kocioła. Instruowała mnie, w co mam wierzyć. I bynajmniej nie z jakś wyjątkową teologiczną elegancją.

- O, rany - powiedziała Petra. - Nie jest jeszcze twoją żoną, a już mówi ci, co masz robić. Isaac znów się umiechnął.

- Mówi pani jak mężczyzna. To znaczy, co takiego powiedziałby jeden mężczyzna do drugiego. - Mocno się zaczerwienił. - Nie w sensie, że jest pani mało kobieca, jest pani bardzo kobieca, tylko... Ma pani męża?

- Miałam. Skończyło się nie, dlatego że próbowałam mówić mu, co ma robić. Byłam najlepszą żoną na wiecie, ale on był chamem.

- Pani żartuje, ale ja się założę, że to prawda - patrzył na nią bezradnie.

- Co do tego, że mówię jak facet... Dorastałam z pięcioma braćmi. Niektóre rzeczy są zaraliwe.

- To pewnie pomaga pani tu pracować... w zdominowanym przez mężczyzn rodowisku. Temat rozmowy jako się zmienił.

- Pomaga - przyznała Petra.

- No włanie... Co do tych spraw dwudziestego ósmego czerwca. Zapomniałem powiedzieć, że do czterech z szeciu morderstw doszło tutaj,

42

w Hollywood Division. Nie jestem jeszcze pewien, czy to dodaje kolejną warstwę statystycznej wagi do...

- To dzielnica wysokiej przestępczoci, Isaac.

- Kilka innych ma wyższy wskanik morderstw. Ramparts, Central, Newton...

- Może i masz rację, Isaac. Obiecuję, że się temu przyjrę, ale teraz jestem trochę zajęta.

- Strzelanina pod Paradiso.

- Włanie.

- Zidentyfikowała już pani tę dziewczynę?

- Jeszcze nie.

- Rozumiem. Przepraszam za...

- W cięgu ostatniego miesiřca czy dwóch przeszła aborcję. Co ci to mówi?

- Oczywista rzecz. To możliwy powód konfliktu. Z ojcem.

- Aborcja?

- Mylałem o samej cięży. W pewnych okolicznociach niehciana cięża mogłaby być bardzo silnym motywem zabójstwa, nie sřdzi pani? Theo-dore Dreiser napisał o tym wspaniał księzkę...

- Ona usunęła tę ciężę, Isaac.

- Ale może zachowała ten fakt dla siebie. Petra się nad tym zastanowiła. Dlaczego nie?

- To pewien punkt widzenia. Dzięki. Teraz muszę tylko rozpracować, kim jest ta dziewczyna. Umiechnęła się do Isaaca i zajęła bałaganem na biurku.

- Pani detektyw Connor...

- Tak?

Czy mógłbym z paniš pojechać? Zobaczyć na własne oczy, co pani robi? Obiecuję, że nie będę się wtręcał.

- To straszna nuda, Isaac. Dużo rutyny, dużo lepych zaułków.

- To nic. Im dłużej tu jestem, tym bardziej zdaję sobie sprawę, jak mało wiem. Piszę doktorat o przestępczoci, a nie wiem o niej najważniejszego.

- Wřpię, czy wyjazd ze mnš co ci da.

- Myle, że da, pani detektyw.

Po lewej skroni, za ucho spłynęła mu strużka potu. Wytarł jř dłoniš. Jak długo zbierał odwagę, żeby o to poprosić? Za profesorskimi stwierdzeniami kryło się tyle niepewnoci...

- Dobrze - powiedziała Petra. - Jutro rano mam rozmawiać ze wiadkami. Będiesz mógł pojechać ze mnš. Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?
- Zacziesz mi mówić po imieniu. Jeli nie, ja zacznę nazywać cię doktorem Gomezem. Umiechnął się.
- Jeszcze długo na to nie zasłużę.
- Ja na swój tytuł zasłużyłam, ale zrezygnuję z zaszczytów. Przez ciebie czuję się stara.

Autobus, którym Isaac jechał do Union District, był wielkim, rozdygotanym, w połowie pustym dieslowskim dinozaurem, podskakującym z łoskotem na wybojach, piszczącym hamulcami i buchającym spalinami. Jasno owietlonym - miało to chronić przed przestępcami.

Samochodem z Hollywood jechało się tu dwadzieścia minut. Komunikacją miejską - godzinę.

Isaac siedział z tyłu; czytał ostatnie wydanie Psychologii anormalnej Davisona. Jego współpasażerami były głównie sprzątaczk i kilku pracowników restauracji, no i paru pijaków. Prawie sami Latynosi, w większości pewnie nielegalni imigranci. Tacy jak jego rodzice zanim państwo doktorowie temu zaradzili.

A on teraz nosił garnitur po ojcu i bawił się w naukowca.

Na litość...

Kiedy wróci do domu, ojciec będzie prawdopodobnie jeszcze w pracy. Ostatnio brał drugą zmianę moczenia płacht w trujących kadziach, chcąc zarobić trochę więcej. Isaiah, zmęczony po całym dniu roboty na dachach, na pewno pi, a czy Joel, który ostatnio zaczął się gdzie szwendać, będzie w domu? Nie wiadomo.

Matka będzie w kuchni, przebrana ze swojego mundurka w spłowiła podomkę i kapie. Garnek zupy albondigas będzie bulgotał na kuchence. Do tego taca tamales, słodkich i pysznych, wieżo z piekarnika.

Isaac przez cały dzień prawie nic nie jadł, pilnując, żeby odpowiednio zgłodnieć na obiad. Nauczył się tego na pierwszym roku, kiedy jadał pónie obiady na uczelni i wracał do domu z marnym apetytem. Mama nie mówiła ani słowa, pakując zimne jedzenie w folię. Ale te smutne spojrzenia...

Dzi wieczorem zamierzał się objeć pod jej czujnym okiem. Potem spróbuje namówić ją, żeby opowiedziała, jak j ej minął dzień. Ona powie,

że to nudne, i zacznie go wypytywać o ekscytujący wiat, w którym żył. On się będzie opierał, w końcu podzieli się kilkoma szczegółami. Nic o przestępstwach. Tylko liczby i wielosylabowe słowa.

Kilka umiejętnie dobranych wielosylabowców zawsze robiło na mamie wrażenie. Kiedy próbował uprościć swój język, przerywała mu, mówiąc, że rozumie.

Nie miała pojęcia, o czym mówił. W każdym języku analiza regresji wielorakiej” i procent sprzeczności policzalnej” są zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych. Ale Isaac nie był tak głupi, żeby traktować matkę z wyższością.

Był w końcu wrażliwym facetem.

Jednym z wtajemniczonych.

Cokolwiek to znaczy.

Zapadł w drzemkę i nił, kiedy autobus nagle się zatrzymał. Obudzony szarpnięciem Isaac rozejrzał się i zobaczył, jak kierowca

wyrzuca bezdomnego, który nie zapłacił za bilet.

Przez dychawiczny jęk zamykanych drzwi przebiły się gniewne słowa i zacinięte pięci; obdarty, brudny gapowicz stał w rynsztoku i wyciem zapowiadał zemstę. Isaac patrzył, jak przygięty hańbš mężczyzna maleje w oddali.

Kierowca zakłšł i przyspieszył.

Punkt zwrotny przemocy. Wiele przestępstw, które Isaac zgłębiał, włanie w takich chwilach brało swój poczštek.

Ale nie morderstwa dwudziestego ósmego czerwca. To było co innego, nie miał wštpliwoci. Liczbami można kłamać, ale te liczby, które on stworzył, nie kłamały.

Teraz trzeba tylko przekonać paniš detektyw Connor.

Petrę.

Nazywanie jej po imieniu nawet w mylach było niepokojšce; przypominało mu, że jest kobietš.

Zsunšł się niżej na siedzeniu, chcšc zniknšć z widoku, chociaž żaden ze współpasażerów zupełnie się nim nie interesował. Niektórzy jedzili tš liniš regularnie i na pewno go już poznawali, ale nikt się do niego nie odzywał.

Kujon w pożyczonym garniaku.

Czasami kto -jaka kobieta, podobna do jego matki - umiechała się, kiedy Isaac wsiadał. Ale najczęściej wszyscy chcieli tylko odpoczšć.

pišcy ekspres.

Zanim się ocknšł, miał przyjemny sen. Co z udziałem pani detektyw Connor.

45

Petry.

Czy on tam był? Chyba tak.

Ona na pewno. Smukła i pełna wdzięku, z kaskiem czarnych włosów.

Ostre rysy. Skóra koloru koci słoniowej, niebieskie linie żyłek w okolicy...

Nie przypominała w najmniejszym stopniu współczesnego ideału kobiety: zaokršglonej tu i ówdzie, cycatej blondynki. Była antytezš tych wszystkich cech, a Isaac szanował j š podwójnie za to, że była sobš i nie ulegała presji społecznego prymitywu.

Poważna osoba. Miał wrażenie, że bawi jš bardzo mało rzeczy.

Zawsze ubierała się na czarno. Oczy miała ciemnobršzowe, ale w pewnym wietle one też wydawały się czarne. Szukajšce oczy - pracujšce oczy - a nie narzędzia flirtu.

Wygłšdała jak młoda Morticia Addams i Isaac słyszał, jak inni detektywi tak na niš mówili. Ale nazywali jš też Barbie. Tego nie rozumiał.

W Hollywood Diyision, a ogólnie w pracy policyjnej znaczenie wielu rzeczy mu umykało. Jego profesorowie uważali, że wiat akademii jest złożony, ale teraz, po czasie, jaki spędził wśród glin, z trudem powstrzymywał się od miechu na wydziałowych zebraniach.

Petra nie była żadnš Barbie.

Wręcz przeciwnie. Była skupiona, poważna.

Nieraz leżał w łóżku, wyobrażając sobie jej piersi, ale zaraz otrząsał się z tych marzeń, przerażony własną wulgarnością.

Małe, jędrne piersi... Przestań.

Co jeszcze... Była piękną kobietą.

Mjetra siedziała za biurkiem jeszcze długo po północy, zapominając o Isaacu, jego teoriach i wszystkim, co nie miało związku ze strzelaniną pod Paradiso.

Rozmawiała z kilkoma specami od gangów w Hollywood i ich kolegami z Ramparts. Nie słyszeli niczego, co by wiadczyło, że zabójstwa miały coś wspólnego z walkami o terytorium, ale obiecali, że będą się dowiadywać. Potem spróbowała skontaktować się z wszystkimi osiemnastoma małolatami, których przesłuchiwała na parkingu.

Dwanacioro było w domu. W pięciu przypadkach przestraszeni i/albo oburzeni rodzice próbowali nie dopuścić jej do dzieci. Za każdym razem

46

udawało się jej jako ich przekonać, ale nastolatki powtarzały, że nic nie wiążą.

Wśród szcziorga, których nie zastała, były dwie nerwowe dziewczyny, Bonnie Ramirez i Sandra Leon. Pod żadnym numerem nikt nie odbierał, nie włączyła się też sekretarka.

Petra siadła do komputera; zamierzała przejrzeć strony o zaginionych dzieciach. Zobaczyła, że ma nową pocztę, więc najpierw zajrzała do skrzynki.

Wydziałowe miści i e-mail od Maca Dilbecka.

p: luc i ja bylimy dzisiaj w terenie u nas nic, jak tam u ciebie? chodź słuchaj że jak nie zrobimy postępów oddadź to HOMESPEC to by dopiero było. może powinniśmy wykorzystać twojego mózgowca przydałby się nam tu jakiś sprawny mózg. m.

Odpisała:

nic plus nic równa się sam wiesz co. jadę do domu. jutro sprawdzę dwoje nerwowych wdk. zamierzam zabrać geniusza, chociaż jeśli go chcesz, to bierz. p.

Kiedy jednak wylogowała się i wyjęła torebkę z szafki, wzdrygnęła się na myśl o pustym mieszkaniu. Nalała sobie kawy z automatu, kupując trochę bezsenności.

Kto zostawił przy automacie pół pudełka drożdżówek. Nie wyglądały na zbyt wieże - lukier kruszył się już przy brzegach. Ale te z jabłkiem wydawały się jeszcze znowe, więc zaniósł je do swojego biurka.

Kapłan i Salas wyszli i nikt ich nie zastąpił. Petra siedziała sama, przeglądając stare wiadomości i nieważną pocztę; wypełniła zaległy formularz emerytalny i drugi, dotyczący wydziałowego ubezpieczenia zdrowotnego.

Zostało jej tylko podsumowanie Isaaca.

Dwudziesty ósmy czerwca.

Oddzieliła hollywoodzkie sprawy od innych, przepisała nazwiska ofiar, wróciła do komputera i zalogowała się do statystycznych archiwów posterunku.

Tak jak twierdził Isaac, wszystkie cztery sprawy pozostawały otwarte. Z czterech przydzielonych do nich detektywów prowadzących Petra znała dwóch.

Neil Wahlgren dostał największe morderstwo - Curtisa Hoffeya, dwudziestoletnią męską prostytutkę. Jewell Blank, nastolatka, która uciekła z domu i została zatłuczona w Griffith Park, przypadła Maksowi Stokesowi.



Neil przeniósł się do Yalley, żeby oszczędzić czas na dojazdach do pracy. Nie tak dawno, niedługo po Hoffeyu. A Max Stokes w zeszłym roku przeszedł na emeryturę.

47

Co oznaczało, że obie sprawy mogły zostać szybko zakończone.

Neil i Max byli kompetentnymi, przestrzegajścymi zasad facetami. Czy zadaliby sobie trud rozwiązywania takich zagadek, skoro wiedzieli, że niedługo odchodźś?

Petra chciała myleć, że tak.

Obie sprawy na pewno zostały przekazane komu innemu, ale komputer nie wywietlał nazwisk nowych detektywów.

Dalej. Coral Langdon, kobieta, która zginęła razem ze swoim psem na wzgórzach Hollywood Hills.

Tym zajmowała się Shirley Lenois. Na widok jej nazwiska Petrę za-szczypały oczy.

Kiedy zaczęła pracować w Hollywood, Shirley była jedynś kobietś wśród detektywów z wydziału zabójstw. Niska, przysadzista, pięćdzie-sięciodwuletnia, z koronś siwoblond włosów, wyglśdała bardziej na nauczycielkę niż detektywa. Żona weterana motocyklisty z drogówki, miała pięcioro dzieci, a Petrę traktowała jak szóste i robiła, co mogła, żeby ułatwić życie dziewczycy wydziału zabójstw.

Pilnowała, żeby w damskiej toalecie były tampony, bo wszyscy inni mieli to gdzie.

W grudniu zeszłego roku zginęła w wypadku narciarskim na Wielkim Niedwiedziu. Głupie drzewo, cholerne głupie drzewo.

Petra trochę cicho popłakała, potem otarła oczy i przeszła do czwartej ofiary. Chronologicznie pierwszej z szeciu. Do morderstwa, od którego według Isaaca zaczęła się cała seria.

Marta Doebbler, kobieta, która wybrała się z przyjaciółmi do teatru. Szeć lat temu, zanim Petra zaczęła tu pracować. Do sprawy przydzielono dwóch detektywów, o których nie słyszała, detektywa trzeciej klasy Conrada Ballou i detektywa drugiej klasy Enriśue Martineza.

Gliniarze odchodzili z departamentu szybciej, niż podejmowali w nim pracę. Pewnie to znów jacy emeryci.

Może zresztś Ballou i Martinez zrobili, co w ich mocy. N

Czasami to nie miało znaczenia.

10

Petra zjawiła się przy swoim biurku następnego ranka, Isaac siedział u siebie w kście, łączśc nad jakimi dokumentami i udajśc, że jej nie zauważył.

48

Czuła się skacowana, było jej niedobrze i nie miała ochoty bawić się w niańkę.

O dziesiśtej dwadziecia, już po dwóch kubkach kawy, mogła zacząć udawać człowieka. Wstała, machnięciem ręki wskazała Isaacowi drzwi, a on poszedł za niś ze swojś teczkś. Nie miał już na sobie garnitur, ale nie włożył też niebieskiej koszuli i spodni khaki. Spodnie granatowe, koszula granatowa, krawat granatowy. Wyszykował się na przejażdżkę. Teraz młodzi ubierali się tak jednokolorowe. Fajnie, tyle że Isaac wyglśdał trochę jak przebieraniec.

Wyszli razem z budynku, ale nie rozmawiali. Petra zostawiła swojś hondę na jej miejscu i wzięła nieoznakowany wóz służbowy. Od wielu lat obowiśzywał zakaz palenia, ale samochód mierzdiał stęchłym dymem cygar, a kiedy przekręciła kluczyk, silnik zaproteutował jękliwie, zanim zapalił.

- Kiepski sprzęt - powiedziała do Isaaca. - Porozmawiaj o tym z radnym Reyesem.

- Nie rozmawiamy regularnie.

Wyjechała na ulicę. Isaac się nie umiechał. Obraził się? Jaka szkoda.

- Dzisiaj - powiedziała - skontaktujemy się z dwójką wiadków. Obie to szesnastoletnie dziewczyny, obie wyglądały na zdenerwowane, kiedy przesłuchiwałam je po raz pierwszy. Jedna mogła mieć powód bez zwiższku ze sprawą. Ma białaczkę.

- To jest wytłumaczenie - powiedział Isaac.

- Wszystko w porządku?

- Jasne.

- Pytam, bo jesteście jakiegoś cichy.

- Nie mam nic do powiedzenia. - Przerwa. - Dla odmiany.

- Eee tam - skwitowała Petra. - Nie jesteście gadatliwi, jesteście bystry. Znowu cisza.

Petra kierowała nieoznakowanym gruchotem po zasnutyh smogiem ulicach Hollywood. Isaac wyglądał przez okno. Eric też to robił, kiedy jechał samochodem. Eric dużo zauważał.

- Młodzi ludzie mają prawo mówić, Isaac - powiedziała Petra. - To głupi działają mi na nerwy. W końcu umiech. Ale szybko zniknął.

- Jestem tu po to, żeby obserwować i się uczyć. Dziękuję, że poświęciła mi swój czas.

- Nie ma sprawy. - Pojechała Hollywood Boulevard do Western, potem do Los Feliz, zamierzając wskoczyć na Golden State Freeway i przecisnąć się Dziesiątą Wschodnią aż do Boyle Heights. - Pierwsza dziewczyna

4 - Pokrętny umysł

49

nazywa się Bonnie Annie Ramirez. Mieszka na Sto Dwudziestej Siódmej Wschodniej. Znasz tę okolicę?

- Niezbyt dobrze. Tam mieszkają głównie Meksykanie.

A on był Salwadorczykiem.

Czyżby delikatnie mówił jej: nie jesteśmy wszyscy tacy sami?

- Bonnie ma szesnacie lat i ma już dwuletnie dziecko - cięgnęła Pe-trę. - Ojcem jest jakiś George, który z jej opowieści nie wygląda na księcia. Nie mieszkają razem. Bonnie wyleciała ze szkoły.

Zero komentarza przez pół przecznicy. Potem:

- Była zdenerwowana?

- Zdenerwowana i wojownicza. Co może znaczyć tyle, że nie lubi policji. Nienotowana, ale w takiej okolicy można dużo przeszkrobać i nie dać się ani razu spisać.

- To prawda - przyznał Isaac. - FBI ocenia, że na każde przestępstwo popełnione przez schwytanego przestępcę przypada sześć niewykrytych. Moje wstępne badania wykazują, że ten współczynnik jest prawdopodobnie wyższy.

- No włanie.

- W przypadku większości przestępstw nikomu nie przychodzi do głowy ich zgłaszać. Im wyższy współczynnik przestępczości w danej okolicy, tym częściej tak jest.

- To ma sens - powiedziała Petra. - System się nie sprawdza, ludzie przestają w niego wierzyć.

- Biedni ludzie ogólnie podupadli na duchu. We moją okolicę. W ciągu piętnastu lat trzy razy włamali się nam do mieszkania, ukradli mi rower, napadli ojca i obrobili mu samochód. Mojemu młodszemu bratu zabrali pieniądze na obiad, groźcą bronią, a nie powiem ci nawet, ile razy moja matka musiała uciekać przed pijakami albo ćpunami, kiedy wracała z pracy. Nie dotknęło nas nic poważnego, ale strzały słychać u nas przynajmniej dwa razy w tygodniu, a syreny o wiele częściej.

Petra nic nie powiedziała.

- Kiedy było gorzej - ciągnął Isaac. - Kiedy byłem mały, zanim uaktywniły się jednostki CRASH\*. Istniały wtedy kwartały, do których nie należało wchodzić. Można było zginić za nieodpowiednie buty. CRASH

\* Community Resources Against Street Hoodlums (Siły Lokalnej Społeczności Przeciw Ulicznym Bandziom). Jednostki policji Los Angeles, utworzone pod koniec lat osiemdziesiątych, mające za zadanie zwalczać działalność gangów. Rozwiązane po skandalu korupcyjnym w dzielnicy Ramparts, kiedy okazało się, że duża część policjantów z CRASH prowadziła działalność przestępczą (przyp. tłum.).

50

działał całkiem sprawnie. Potem, po skandalu w Ramparts, ograniczono walkę policji z gangami i znowu zaczęło się robić nieprzyjemnie.

Zacisnął usta i zwinął dłonie w pięci.

Petra przez chwilę jechała w milczeniu.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego badasz przestępczość.

- Może to był błąd.

- Dlaczego?

- Im bardziej się w to zagłębiam, tym większą stratę czasu wydaje mi się akademickie badanie poważnych problemów społecznych. Większość moich profesorów cały czas wierzy w to, co nazywają przyczynami. Dla nich są nimi nędza i pochodzenie rasowe, chociaż uważają się za liberałów. Prawda jest taka, że większość biednych ludzi chce po prostu żyć w spokoju tak samo jak inni. Problemem nie są biedni ludzie, tylko ci ludzie, którzy żerują na biednych, bo biedni nie mają się jak bronić.

Petra wymamrotała co pojednawczo. Isaac jakby tego nie słyszał.

- Może powinienem był iść od razu na studia medyczne. Skończyć specjalizację, zarobić trochę pieniędzy i przenieść rodziców do lepszej okolicy. Albo przynajmniej kupić mamie samochód, żeby nie musiała się 'użerać z pijakami i ćpunami. - Przerwa. - Chociaż nigdy nie nauczyłaby się jeździć.

- Boi się?

- Ma swoje zasady.

- Matki takie bywają - powiedziała Petra. A ty niby skąd to wiesz? -Dobra, jesteśmy. Autostrada nie wygląda le.

Bonnie Ramirez mieszkała z matką, trzema starszymi braćmi i małym Rockym w maleńkim żółtym domku za ogrodzeniem z rdzewiejszej siatki. Wzdłuż ulicy ciągnęły się całe kwartały takich domów. Zbudowano je dla wracających z wojny żołnierzy; ich stan wahał się od zapuszczonych po lniące i zadbane.

W utrzymanie domu Ramirezów na przyzwoitym poziomie włożono trochę wysiłku. Maleńki trawnik był wyschnięty i spłowiwały, ale przystrzyżony, a rosnące w nierównych rzędach niecierpki zmagaly się z wczesnym, wiosennym upałem. Na drewnianym ganku stał spacerowy wózek i trynięty na złoto, gipsowy cokolik, służący nie wiadomo czemu.

Bonnie nie było w domu, a jej matka opiekowała się Rockym. Dziecko spało w kojcu ustawionym w dużym pokoju, trzy na trzy metry. Podłogi były tu drewniane, a sufity niskie. Dom pachniał dobrym jedzeniem, sosnowym płynem do czyszczenia i ledwie zauważalnie brudną pieluchą.

51

Anna Ramirez była niską, szeroką w biodrach kobietą o ufarbowanych na czerwono włosach, pucołowatych policzkach i obwisłych ramionach. Twarz miała tak nalaną, że jej oczy wyglądały jak szparki. Nadawało jej to podejrzliwy wygląd, chociaż bardzo starała się być serdeczna i gocinna. Mówiła ze pewnym akcentem.

Zaprosiła Petrę i Isaaca do rodka, zaproponowała, by usiedli, przyniosła napoje w puszkach i miseczkę precelków. Opowiedziała, że ojciec Bonnie był weteranem Wietnamu, który przeżył wojnę tylko po to, żeby zginąć w wypadku na budowie przy kopaniu fundamentów pod biurowiec w centrum. Zdjęła jego zdjęcie ze ciany, trzymała je z nabożeństwem jak relikwię. Był na nim przystojny mężczyzna w wojskowym mundurze. Miał jednak brzydki cerę - niefortunny spadek, który zostawił Bonnie.

- Wie pani, kiedy Bonnie wróci? - spytała Petra. Anna Ramirez pokręciła głową i nachmurzyła się.

- Włanie się z nią państwo minęliście. Wychodzi i wraca, kiedy chce. Cała noc jej nie było, spała do dziesiątej, wyszła.

- Wraca póno?

- Zawsze.

Rocky poruszył się w kojcu.

- Nie chciałabym go obudzić - powiedziała Petra.

- Dobrze jest - odparła Anna. - Mocno pi. - Zerknęła na miseczkę z precelkami na kolanach Petry. Petra posłusznie jednego zjadła.

- Mogę państwa czym jeszcze poczęstować?

- Nie, bardzo dziękuję. Wie pani, dlaczego tu jesteśmy?

- Ta strzelanina w Hollywood. Bonnie mi o tym opowiadała.

- Co mówiła?

- Że to było na parkingu. Usłyszała strzały, ale nic nie widziała. Powiedziała, że rozmawiała z jakimś policjantką. To była pani? Petra skinęła głową. Anna Ramirez spojrzała na Isaaca. Przyjrzała mu się uważnie.

- Wygląda pan jak mój siostrzeniec Bobby. Isaac słabo się umiechnął.

- Wród zastrzelonych dzieci była dziewczynka, której wciśz nie udało nam się zidentyfikować.

- Żadni rodzice o nią nie pytają?

- Nikt się nie zgłosił, proszę pani.

- To smutne.

Mały Rocky zapiszczał. Poruszył się. Zahuczał. Anna Ramirez podeszła do niego i wyjęła go z kojca. Biedactwo było zaczerwienione i wy—

52

dglądało, jakby cierpiało na niestrawność. Owinięto je w zbyt dużo koczków.

Anna z powrotem usiadła i położyła sobie wnuka na szerokim podolku. Rocky beknął, zmarszczył się, zasnął. Miał okrągłą buzię, czarne, kręcone włoski. Był słodki. Petra zauważyła jego równo przycięte paznokcie i że na kocyku nie ma ani jednej plamki.

- liczny - powiedziała. Anna Ramirez westchnęła.

- I żywiutki. A więc... ta dziewczynka...

— Zastanawiałam się, czy Bonnie jś zna-powiedziała Petra. Uwiadomiła sobie, że odkąd weszła do tego domu, używa liczby pojedynczej. Czy powinna włączyć w to Isaaca? Siedział sztywny i wyprostowany jak delikwent przed rozmowś kwalifikacyjnś.

- Nie pytała pani Bonnie, czyjś zna?

- Spytałam, a ona powiedziała, że nie. Teraz tylko sprawdzam. Anna Ramirez zmarszczyła brwi.

- Nie wierzy jej pani.

- Nie o to chodzi...

- To nic. Ja też czasami jej nie wierzę.

Petra miała nadzieję, że jej umiech wyraża współczucie.

- Wszyscy jej bracia pokończyli szkoły - powiedziała Anna. - Dwaj sś w JC, ale Bonnie nigdy nie przepadała za naukę. W głębi duszy to porządna dziewczyna... - Zerknęła na Rocky'ego. - To był jakby... No i jestem znów mamś, niech będzie, co tam. Trudno przemówić do Bonnie, ale zmuszę jś, żeby chociaż zrobiła maturę. Bez tego, jakś dostanie pracę?

Petra kiwnęła głowś.

Anna znów westchnęła.

- W każdym razie, kiedy wróci do domu, czy byłaby pani tak uprzejma, żeby do mnie zadzwonić?

- Jasne - odparła Anna. - Myli pani, że tamta dziewczyna mogła być razem z Bonnie?

- Naprawdę trudno mi cokolwiek powiedzieć.

- Jak ona wyglśdała?

- Niska, trochę przygruba. Nosila różowe adidas.

- To mogła być Jacśui. Jacśui Olivarez. Jest niska i bardzo gruba, dopiero ostatnio trochę schudła. Ale wciśz nie jest chuda. I ma problemy.

- Jakie problemy?

- Dwójkę dzieci. Chłopca i dziewczynkę. A ma dopiero siedemnaście lat.

53

- Widziała ją pani kiedykolwiek w różowych adidasach? Anna przyłożyła palec do ust. Rocky znów się zaczął wiercić; pobujała go chwilę na kolanach, odgarnęła spocone włosy z małego czoła.

- Nie - powiedziała. - Nigdy tego nie zauważyłam. Ale Jacśui już tu nie przychodzi. Powiedziałam Bonnie, że jej tu sobie nie życzę.

- Zły wpływ.

- Nawet pani nie wie jaki.

- Mam tu zdjęcie tej niezidentyfikowanej ofiary, ale muszę paniś ostrzec, że nie jest ładne.

- Zdjęcie zwłok?

- Tak, proszę pani.

- Widywałam martwych ludzi, widziałam mojego Rudy'ego nieżywego, proszę je pokazać.

Petra wybrała najmniej drastyczne ze zdjęć z kostnicy i podała je Annie.

- To nie Jacśui stwierdziła Anna. - Nigdy nie widziałam tej dziewczyny.

Sandra Leon podała adres niedaleko domu Ramirezów, ale kiedy tam przyjechali, Petra zorientowała się, że została nabrana.

Tym numerem oznaczona była zabita deskami winiarnia w ciśgu opuszczonych budynków i zaroniętych zielskiem zaułków. Po zrujnowanej ulicy pełnej graffiti krząyli gniewni młodzi mężczyźni o ogolonych głowach i wytatuowanych powiekach; kiwali się w rytm muzyki, gapili, warczeli.

Petra szybko się stamtąd ulotniła, pojechała na Soto Avenue, niedaleko kostnicy hrabstwa, i zatrzymała się na ruchliwej stacji benzynowej, gdzie kupiła kawę dla siebie i colę dla Isaaca. Próbował oddać jej pieniądze, ale nie chciała o tym słyszeć. Kiedy pili, zdobyła numer do szpitala pediatrycznego Western Pediatrics, poprosiła o pośczenie z oddziałem onkologii i długś chwilę czekała na sygnał.

- To informacja zastrzeżona - powiedziała sekretarka na drugim końcu linii, kiedy Petra zapytała ją o adres Sandry Leon. Kłamstwo przyszło Petrze bez trudu.

- Mam powody przypuszczać, że panna Leon jest w niebezpieczeństwie.

- Z powodu jej choroby?

- Z powodu przestępstwa. Wielokrotnego morderstwa, którego była wiadkiem. Długa chwila milczenia.

54

- Musi pani porozmawiać z jej lekarzem.

- Proszę mnie z nim pośczyć.

- Nazwisko... Leon... Okej, jest, Sandra, bez drugiego imienia. To będzie doktor Katzman. Łščzę. Petra usłyszała w słuchawce łagodny, męski głos, nagrany na tamę.

- Mówi doktor Bob Katzman. Przez następne dwa tygodnie będę w podróży, ale będę odbierał wiadomoci. Jeli chodzi o nagły wypadek, proszę wybrać numer oddziału onkologii...

Petra rozłščzyła się i znów zadzwoniła do sekretarki.

- Doktor Katzman wyjechał na dwa tygodnie. Potrzebny mi tylko adres Sandry Leon.

- Jest pani z policji? Policja to ja, skarbie.

- Detektyw Connor. - Petra przeliterowała nazwisko. - Hollywood Division, to mój numer odznaki, może pani zadzwonić i sprawdzić...

- Nie, nie trzeba, połączę paniś z działem danych osobowych. Pięć minut później Petra miała już adres, który Sandra Leon podała do formularza przyjęcia. Dziewczyna sama zgłosiła się do szpitala.

- To nieletnia z pełniś praw?

- Nie wiem - odparł mężczyzna po drugiej stronie.

- Czy na formularzu jest nazwisko kogo dorosłego?

- Hm... Chyba nie, pani detektyw.

- Kto za niś płaci?

- Fundusz Dzieci z Rakiem, państwowy.

- Nie ma żadnej rodziny.

- Nie ona jedna - odparł urzędnik. - Bez przerwy trafiajś do nas uciekinierzy. To Hollywood.

Drugi adres Sandry Leon to było Gower, na północ od Hollywood. Kilka minut drogi od stacji. Gdyby kto miał ochotę na spacer, mógłby się przejść.

Petra wjechała na autostradę.

- Widzisz, o co mi chodziło? - spytała Isaaca. - To żmudna robota.

- Ja uważam, że to interesujśce - odparł.

- Co takiego?

- Cały proces. To, jak dochodzisz od jednej rzeczy do drugiej. Petra nie wierzyła, że do czegokolwiek dochodzi. Zerknęła na Isaaca. Na jego twarzy nie było ladu ironii.

- Uważam też, że to interesujśce, jak odnoszś się do ciebie ludzie - dodał. - Na przykład matka Bonnie. Wyranie widziała w tobie przedstawiciela

55

władzy i to kazało jej okazywać szacunek. To kobieta wierna tradycji, dumna ze służby wojskowej męża, poważnie traktujśca swoje obowiązki.

- W przeciwieństwie do swojej córki

- Tak.

- Rozdwięk pokoleniowy - stwierdziła Petra,

- Pokoleniowa katastrofa - poprawił Isaac. - Pokolenie Bonnie uważa się za wolne od konwencji i uregulowań prawnych.

- Uważasz, że to le? Isaac się umiechnł.

- Moja komisja dysertacyjna poinstruowała mnie, żebym nie wydawał osłdów, dopóki nie będę miał wszystkich danych.

- Nie jesteśmy w szkole. Spróbuj zaszaleć. Poprawił krawat.

- Uważam, że ekstremalnie otwarte społeczeństwo to broń obosieczna. Niektórzy korzystają z wolności w zdrowy sposób, inni sobie z tym nie radzą. Gdybym miał wybierać, głosowałbym za jak największą wolność. Czasami, kiedy uda mi się nakłonić ojca do rozmowy, opowiada nam o Salwadorze. Znam różnicę między demokracją i jej alternatywami. Nie ma kraju równie wspaniałego jak Ameryka XXI wieku.

- Nie licząc tych, którzy nie potrafią sobie poradzić z nadmiarem wolności.

- Oni - powiedział Isaac - muszą sobie radzić z wami.

Gower Street. Mieszkanie numer 11 w dwudziestomieszkaniowym kompleksie koloru brązowego cukru, w połowie drogi między Hollywood Boulevard a Franklin Avenue.

- No dobrze - powiedziała Petra, wysiadając z samochodu. - Zobaczmy, co nasza klamczucha ma na swoje usprawiedliwienie.

Przyjrzała się skrzynkom pocztowym przy drzwiach. Numer 11 był podpisany HAWKINS, A.

Na żadnej skrzynce nie było nazwiska Leon.

Drzwi wejściowe były otwarte. Petra i Isaac weszli na górę i skręcili w głębi korytarza, gdzie było mieszkanie numer 11. Petra nacisnęła przycisk dzwonka i drzwi otworzył bardzo wysoki, czarnoskóry mężczyzna w zielonym swetrze i brązowych spodniach. Na golfie i mankietach swetra wyszyte były białe płatki niegu - narciarski ciuch w czerwcu. Długą czaszkę dryblasza porastały pracowicie wystrzyżone w zygzaki włosy - takimi fryzurami lubiły się popisywać gwiazdy NBA. W jednym ręku rapidograf, na koniuszkach palców plamy tuszu. Z tego, co Petra widzia-

ła, mieszkanie było skromnie urządzone i czyste. Pod oknem stała tablica krelarska. Na korytarz wydostała się, chmura dymu z kadzidła.

- Tak? - spytał mężczyzna, obracając rapidograf w dłoni.

- Dzień dobry - Petra błysnęła odznaką. - Szukam Sandry Leon.

- Kogo?

Petra powtórzyła nazwisko.

- Podała to mieszkanie jako swój adres.

- Może kiedy tu mieszkała, ale to musiało być przynajmniej rok temu, bo tyle czasu ja tu jestem.

- Rok.

- Dokładnie dwanaście miesięcy i dwa tygodnie. - Obrót, obrót. Szeroki uśmiech. - Nie nazywam się Sandra, może pani być pewna. Petra odwzajemniła uśmiech.

- A jak, proszę pana?

- Alexander Hawkins.

- Artysta?

- Kiedy mi wolno. Przeważnie pracuję w biurze podróży, Serenity Tours, w Crossroads of the World\*. - Znów uśmiech. - Jeli to ma jakie znaczenie.

- Nie ma - odparła Petra - chyba że zna pan Sandrę Leon.

- Czy to atrakcyjna młoda dama, która docenia dobrą sztukę? - spytał Hawkins.

- To szesnastolatka, która mogła być wiadkiem morderstwa. Hawkins spoważniał.



- Nie, nie znam żadnej Sandry Leon.

- Czy jest tu jaki właściciel albo gospodarz domu?

- Chciałbym. Tymi luksusowymi apartamentami zarządza agencja Fran-chise Realty, z siedzibą we wsłaniałym mieście Downey. Właśnie rozmawiałem z ich automatycznš sekretarkš. Mały problem z insektami. Mogę pani podać numer, znam go na pamięć.

Kiedy wrócili do samochodu, Petra zadzwoniła do agencji. Poprzednio w mieszkaniu numer 11 pięć lat mieszkała rodzina niejakich Kimów. W cišgu siedmiu lat, odkšd firma zarządzała kompleksem, żadni Leonowie nie wynajmowali w nim mieszkania.

Petra się rozłšczyła.

- Sandra skłamała dwa razy - powiedziała Isaacowi. - A to sprawia, że zaczynam się niš naprawdę interesować.

\* Słynne centrum handlowe w Hollywood, jedna z tamtejszych turystycznych atrakcji (przypp. tłum.).

57

Zadzwoniła do doktora Boba Katzmana i zostawiła mu szczególowš wiadomoć.

- Co teraz? - spytał Isaac.

- Teraz wracamy na posterunek, a ja spróbuję zlokalizować panienkę Leon - odparła Petra. - Kiedy ugrzęznę, co nastšpi prawdopodobnie wczyniejsz niż póniej, przyjrę się dokładniej twoim hipotezom.

- Zbadałem przypadki dwudziestego ósmego czerwca, żeby sprawdzić, czy zachodziła tam jaka historyczna zależnoć. Jedyne, co wpadło mi w oko, to to, że tego dnia urodził się John Dillinger. Podejrzewam, że dla socjopatki to mogłaby być jaka inspiracja. Ale Dillinger napadał na banki, był bardzo dramatycznš postaciš, uosobieniem przestępcy aktora. Z tego, co wiem, ten morderca jest jego zaprzeczeniem. Wybierał bardzo różne ofiary, żeby zakamuflować regularnoć zabijania.

Ten morderca. Regularnoć. Chłopak był przekonany, że za wszystkimi tymi przypadkami czai się jaka zbrodnicza persona. Ach, młodzieńcza impulsywnoć.

Petra ruszyła w krótkš drogę do Wilcox.

- Dwudziestego ósmego czerwca stało się co jeszcze. Dwudziestego ósmego czerwca 1914 roku dokonano zamachu na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Od tego na dobrš sprawę zaczęła się I wojna wiatowa.

- No, proszę - powiedziała Petra. - Kto wypowiedział wojnę spokojnym mieszkańcom LA.

Dreńczył j ę powtarzający się sposób zadawania ran. Osiemnasta. Zgodnie z przewidywaniami ugrzęzła w poszukiwaniach Leon wczniej niż póniej. Zadzwoniła do pobliskiej pizzerii i zamówiła małą specjalność zakładu ze wszystkimi dodatkami.

Isaac siedział po drugiej stronie pokoju przy swoim biurku w rogu; co zapisywał, stukał w klawiaturę laptopa, robił notatki. Bardzo starał się pokazać, że nie przeszkadza. Kiedy przyjechała pizza, Petra zaproponowała mu kawałek. Podziękował, poszedł za nią do jej biurka, kręcił się przy niej, kiedy otwierała zatłuszczone pudełko.

Wybrała kawałek, a potem zaczęła skubać ser z ostrego końca.

- Miłego wieczoru - powiedział Isaac i wyszedł z posterunku.

58

Petra nalała sobie jeszcze kawy, poigrała ze sznurkami mozarelli, wzięła jedną z teczek. Piję i jedzę, zaczęła czytać. Zatłuciła kartki. Doć nonszalancko.

Dopóki nie doszła do wyników autopsji.

Szeć raportów napisanych przez szecioro różnych koronerów. Niemal identycznym językiem.

Wgniecenie obszaru ciemieniowego.

Cios z tyłu.

W każdym raporcie broń opisano jako ciężki, walcowaty przedmiot, rednicy około siedemdziesięciu siedmiu milimetrów w trzech przypadkach, siedemdziesięciu pięciu w jednym, siedemdziesięciu omiu w dwóch. Na jedno wychodziło, biorę pod uwagę różną gęstość koci u osób różnej płci i w różnym wieku.

Dwóch patologów odważyło się na spekulację, że przedmiot ten był z metalu albo twardego plastiku, ponieważ w ranach ofiar nie znaleziono odłamków drewna.

Znaleziono za to mnóstwo krwi, fragmenty koci i kawałki materii mózgowej .

Dla Petry opis broni pasował do kawałka rury. Siedemdziesiąt siedem milimetrów na jej staromodnej linijce odpowiadało trzem calom. Porządny, poręczny kawał rury.

Głębokie wgniecenia czaszki, tyle krwi.

Kto -jeli w ogóle można było mówić o kim” - lubił oględać cudze mózgi.

Zacęła od detektywa, o którym wiedziała, że wcięż pracuje.

Neil Wahlgren, prowadzący sprawę Curtisa Hoffeya. Słyszała tylko, że został przeniesiony gdzie do Yalley.

Zajęło jej to chwilę, ale w końcu znalazła go w wydziale kradzieży samochodów w Van Nuys. Przebieg kariery Petry był dokładnie odwrotny, od dziupli paserów do dziur w ludziach; zastanawiała się, dlaczego Neil zmienił przydział.

Nie było go przy telefonie, ale dyżurny w Van Nuys podał jej numer komórki Wahlgrena i udało jej się do niego dodzwonić.

- Czeć - powiedział. - Barbie od Kena i Barbie, zgadza się? Pamiętał Petrę i Stu Bishopa. To były dobre dni.

- To ja - powiedziała.

- Czeć - powtórzył. Miał serdeczny, naprawdę ciepły głos. Petra pamiętała go niewyranie: wielki, rumiany Nordyk z nosem jak kartofel. Z rodzaju tych, których człowiek wyobraża sobie zawsze z wędks podlodowš

nad przereblem, popijajšcego wszystko to, co podlodowi wędkarze popijaj ł-

- Siedzisz w samochodach? - spytała. - Koniec z denatami?

- Dziesięć lat denatów wystarczyło. Rasowany lexus z GPS-em to jest co. W czym mogę pomóc?

- Przyglądałam się kilku zimnym” sprawom i trafiłam na jednšz twoich. Curtis Hoffey.

- Męska prostytutka, dostał w łeb - wyrecytował natychmiast Wahlgren.

- To on.

- Masakra.

- Masakra w sensie miejsca zbrodni czy dochodzenia?

- Jedno i drugie. Nie udało mi się pchnšć sprawy ani o centymetr -powiedział Neil. - Ale właściwie powinienem był się tego spodziewać, zważywszy na ofiarę. Dwadziecia lat, a z tego, co się dowiedziałem, na ulicy od dwunastego roku życia. Biedak pewnie obsłużył nie tego wacka, ale nikt nic nie wiedział, nie było też żadnych podobnych przypadków wczynie.

- Być może mam jeden... - wtršciła Petra z naciskiem na być może”. - Kto szperał w starych aktach i znalazł szeć rozwalonych głów, które pasujš do siebie pod względem rodzaju ran i domniemanego narzędzia.

Przerwała. Czy powinna ić na całość, opowiedzieć mu o dwudziestym ósmym czerwca? Nie, to było zbyt dziwne. Nie w tym momencie - zresztš facet siedzi w kradzionych samochodach, co go to obchodzi?

- Naprawdę? - powiedział Neil. - No, wtedy nic o tym nie wiedziałem. W jego głosie pojawił się obronny ton.

- Nie mogłe - zapewniła Petra. - To pewnie nic takiego.

- Kto to wyszperał?

- Stażysta. Kto inny miałby na to czas?

- Co, jaki harcerz, pełen entuzjazmu i wiary w ludzi?

- Aha. Słuchaj, kto przejšł sprawę po twoim odejciu?

- Nie wiem. Schoelkopf powiedział, że zajmie się przeniesieniem. Cišgle tam u was siedzi? I wcišż jest totalnym dupkiem?

- Cały czas tu jest - odparła. - Jeli nawet przekazał komu sprawę, nie ma o tym ani słowa w papierach.

- Nic dziwnego - mruknšł Neil. - Nawet kiedy ja się niš zajmowałem, nie chciał, żebym powięcał jej za dużo czasu, stwierdził, że musimy się zająć gangami, a to była sprawa z rodzaju West Hollywood”. Wiesz, o co mi chodzi.

60

- Gej.

- Gej dziwka, małe prawdopodobieństwo zamknięcia sprawy, do tego rada miasta robiła dużo szumu wokół gangów. Dostajesz morderstwo bez konkretnych poszlak, krewni ani politycy cienie poganiajš... -Neil uciħł.

- Jasne - powiedziała Petra.

- Prawda jest taka, że Schoelkopf miał rację. Że to pewnie lepy zaulek. A tobie nie chciało się tego sprawdzić.

- Czyli Curtis nie miał rodziny? - spytała. Użyła imienia ofiary. Chciała, żeby Neil pomyślał o Hoffeyu jak o człowieku, choćby przez chwilę.

- Nikt się nie zgłosił po ciało. Porządnie oberwał. Szczerze mówiąc, wolałbym czego takiego więcej nie oglądać.

12

Jewell Blank, czternastolatka zamordowana w Griffith Park, miała krewnych, ale według notatek detektywa Maksa Stokesa jej rodzina niewiele pomogła.

Matką była Grace Blank, lat dwadzieścia dziewięć, panna, barmanka, mieszkająca ze swoim chłopakiem Thomasem Crispem, lat trzydzieści dwa, bezrobotnym kierowcą ciężarówki i motocyklistą. I żadne nie widziało Jewell od ponad roku, odkąd uciekła z ich przyczepy kempingowej na obrzeżach Bakersfield. Żadne z nich, wydawało się, nie szukało jej ze zbytnim entuzjazmem.

Dwadzieścia dziewięć lat - a więc Grace urodziła Jewell, mając lat piętnaście, a Petra umiała sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać.

Jeszcze jeden dzieciak w Griffith Park. Petra poczuła, że ciska jej się żółtek, bo przypominała sobie Billy'ego Straighta. Taka sama historia, taka sama ucieczka. Billy mieszkał w parku jak mały dzikus, żywił się tym, co znalazł w kontenerach na mieci, i cudem uniknął mierci. Ale gdyby w jego przypadku zakończenie nie było szczęśliwsze niż w przypadku Jewell Blank, mógłby teraz siedzieć na chmurce obok niej.

Petra uratowała Billy'ego. Przez pierwszy rok po tym, jak przygarnęła go jego babka, utrzymywali kontakt - regularnie do siebie dzwonili, czasem się spotykali. Teraz Billy miał piętnaście lat, prawie dwa metry wzrostu i chodził do liceum. Wybierał się na Uniwersytet Stanforda, zwierzyła się Petrze pani Adamson. Rozmawiała już z dziekanem.

61

Minęło kilka miesięcy, odkąd Billy ostatnio odezwał się do Petry. Tak było najlepiej, przynajmniej z jego perspektywy. Poukładał sobie życie, po co mu była policja?

Nie znalazła niczego, co by wiadczyło, że sprawa Jewell Blank została przydzielona jakiemu innemu detektywowi.

Wyglądało na to, że Max Stokes przyłożył się do ledztwa; jak się okazało, pomagała mu Shirley Lenois. Dwoje detektywów weteranów weszło na ulicach, przesłuchiwało dziesiątki innych uciekinierów z domów, sprawdzało schroniska, kocioły i agencje.

Jewell przemieszczała od czasu do czasu w ostatnich pozostałych w Hollywood opuszczonych budynkach i była znana swoim ulicznym rówienikom jako przemędrzała, bezczelna żebraczka i zręczna złodziejka. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy sprzedawała się za pieniądze, ale sypiała z chłopcami w zamian za narkotyki.

Narkomanka: trawka, pigułki, amfa, kwas, ecstazy. Ale nie heroina, co do tego wszyscy byli zgodni. Jewell bała się igieł. Petra wróciła do raportu z autopsji, unikając zdjęć głowy dziewczynki. Nie było ladów po nakłuciach. Badanie toksykologiczne krwi wykazało wysoki poziom konopi indyjskich, alkoholu i pseudoefedryny, przypuszczalnie z dostępnego bez recepty leku na katar.

Według innych dzieci Jewell często chodziła do parku, kiedy była w złym humorze i chciała pobyć sama.

Nie, nigdy nie wspominała, że kogo tam spotkała.

Nie, nie miała swojego chłopaka ani z nikim regularnie nie sypiała. Przynajmniej nigdy o tym nie mówiła.

Znaleziono już ubranie, bez ladów gwałtu. Koroner stwierdził, że była seksualnie aktywna już od jakiegoś czasu.

Do akt przypięte było zdjęcie sprzed zgonu. Wyglądało na szkolną fotkę, przedstawiało dziewczynkę w wieku na oko dziewięciu lat. Jewell Blank miała ciemne włosy, była blada, piegowata, nieskora do umiechu.

Grace Blank i Thomas Crisp chcieli wiedzieć, czy miasto zapłaci za pogrzeb. Max Stokes wspominał o tym w swoich notatkach dość lakonicznie:

Poinformowałem ich, że obowiązek przygotowania pogrzebu itp. spoczywa na rodzinie. Pozwanych rozczarowała ta informacja, powiedzieli, że jeszcze się do mnie odezwę.

Zwłoki Jewell Blank leżały w kostnicy przez miesiąc, zanim zakład pogrzebowy z Inglewood zabrał je i skremował.

Czy był sens rozmawiać z Maksem? Psuć biedakowi emeryturę, przypominając mu o tym, czego nie udało mu się dokończyć?

62

Rozejrzała się po pokoju. Nad stosami papierów garbiło się trzech detektywów. Młody, przystojny Eddie Barker; Ryan Miller, też przystojniak, i Barney Fleischer, chudy, łysy, stary, też bliski przejścia na emeryturę.

Petra podeszła do biurka Barneya. Wypełniał formularze zapotrzebowania na przybory biurowe. Na jego haczykowatym nosie wisały okulary. Pisał drobnym, ładnym pismem, prawie kaligrafował.

Spytała go, czy wie, gdzie jest Max Stokes.

- Corvallis, stan Waszyngton - odparł, nie przerywając pisania. - Ma tam córkę Karen. To lekarka, nigdy nie wyszła za mąż, więc pewnie w księżce będzie pod nazwiskiem Stokes.

Nie był ciekaw, dlaczego Petra o to pyta. Podziękowała mu i wróciła do akt Jewell Blank. Jeszcze chwilę je przeglądała, potem odłożyła na bok, zadzwoniła do Corvallis i zdobyła służbowy i domowy numer telefonu doktor Karen Stokes.

Odebrał Max.

- Petra Connor - powiedział. - Włanie siadalimy do obiadu.

- Przepraszam, zadzwonię później.

- Nie, nie ma problemu, jemy na zimno. Czemu zawdzięczam zaszczyt?

Wyobrażając sobie rumianą, wspaniałą twarz Maksa, Petra opowiedziała mu o przeglądaniu na nowo akt Blank - sprzedała mu tę samą historyjkę o wcibskim stażycie.

- Zamierzasz znów to rozgrzebać? - spytał.

- Jeszcze nie wiem, Max. To zależy, czego się dowiem.

- Mam nadzieję, że się na to zdecydujesz. Może tobie pójdzie lepiej niż mnie.

- Wstąpię.

- Nigdy nic nie wiadomo, Petra. wieża krew i tak dalej.

- Ty i Shirley nie bylicie amatorami.

- Biedna Shirley. Co chciałyby wiedzieć?

- Naprawdę nie wiem, Max. Wygląda na to, że oboje zrobiliście wszystko, co się dało.

- Tak sądziłem... Od czasu do czasu o tym myślę. Biedne dziecko. Wszyscy mówili, że była agresywna, nie umiała nad sobą panować, ale kiedy się na nią popatrzyło... takie maleństwo. To było okrutne.

Przed Petra leżał raport z autopsji. Dane Jewell. Metr pięćdziesiąt pięć, czterdzieści siedem kilo.

Uraz czaszki...

Jaki w tym wszystkim sens?

Max Stokes mówił:

63

- ...z rodzicami, a właściwie tylko z jednym rodzicem, z matką, no i z jej chłopakiem.

- Odpowiedzialni obywatele - mruknęła Petra.

- Instynkt mi podpowiadał, że to on, Thomas Crisp, to zrobił. Wiesz, typowy scenariusz z chłopakiem łajzś, może za bardzo zbliżył się do córki, kto wie? Koroner stwierdził, że Jewell od kilku lat uprawiała seks. Założę się, że Crisp jś molestował, to by był dobry powód, żeby uciec. Nigdy nie zapytałem go o to wprost, tylko sugerowałem, a on się wtedy robił nerwowy. Poza tym był notowany. Czeki bez pokrycia, próba wyłudzenia zasiłku. Wiem, że to nie to samo co gwałt czy morderstwo, ale łajza to łajza. Ogólnie robił złe wrażenie, nie udawał nawet, że przejmuję się losem Jewell. Dokładnie go sprawdziłem, nawet pojechałem do Bakersfield. Goć miał alibi. W chwili popełnienia morderstwa był w trzydniowym cugu z kilkoma innymi łajzami. Najpierw urządzili rundę po barach, potem kupili gorzałę i wrócili do przyczepy Crispa i matki Jewell. Ssiedzi narzekali, wezwali policję. Crisp na pewno był cały czas w Bakersfield, wszyscy go widzieli.

- A matka?

- Na krawędzi niedorozwoju, moim zdaniem. Trochę się jakby przejęła, ale za każdym razem, kiedy zaczynała płakać, Crisp szturchał jś w żebra i się zamykała. Jego największym zmartwieniem było to, kto zapłaci za pogrzeb.

- Czytałem twoje notatki, Max - powiedziała Petra. Westchnś.

- Co ci będę mówił. Czasami po prostu się nie udaje.

- więte słowa. Jak ci się podoba na emeryturze?

- Sam nie wiem. Zastanawiam się, czy nie znaleźć sobie roboty w ochronie. Żeby tylko wyrwać się z domu.

- Jasne. Rozumiem.

- No dobra, powodzenia z małż Jewell.

- Jeszcze jedno, Max. Nie widzę tu przeniesienia.

- Chciałem przekazać sprawę Shirley, a ona chciała jś wziść. Bo już zaczęła. W zasadzie to ona przyszła z tym do mnie, potrzebowała partnera. Miała jeszcze inny przypadek, kilka lat wczniej, to pewnie nie był ten sam sprawca, ale podobne okolicznoci.

- Naprawdę? - spytała Petra.

- Tak - odparł Max. - Też rozwalona głowa, ale nie dziecko, tylko jaka kobieta, na wzgórzach Hollywood. Zabili tam też psa. Jak ona się... Skleroza nie boli.

Chodziło o Coral Langdon.

64

- Shirley uważała, że te sprawy mogś być jako powiśzane? - spytała Petra.

- Na poczśtku tak, ale potem nie. Za dużo różnic, Jewell była biednś uciekinierkś, a tamta druga... jak ona się nazywała... to dobrze ustawiona rozwódka z ładnym domem. U tamtej... Lambert, Lan-co tam... W każdym razie w jej przypadku Shirley głównego podejrzanego widziała w eksmeżu, bo rozwód nie był przyjacielski. Poza tym ssiedzi mówili, że facet zawsze nienawidził psa. On też twierdził, że ma alibi, ale nie najlepsze. Siedział w mieszkaniu i oglśdał telewizję, sam. Shirley jednak nie znalazła niczego przeciw niemu, a jeden ssiad powiedział, że w tym czasie, kiedy popełniono morderstwo, samochód byłego stał na podjeździe.

- Dlaczego Shirley nie dostała sprawy Jewell Blank?

- Założyłem, że dostała.

- Jeli tak było, nie ma o tym żadnej wzmianki w aktach.

- Hm. Nie wiem, co ci powiedzieć, Petra.

- Shirley nie uważała, że przypadki Blank i kobiety z psem były podobne.

- Podobne było tylko to, że rozwalono im głowy... Langdon, tak się nazywała. Co tam Langdon. A więc Shirley nie dostała Jewell?

- Na to wygląda.

- Właciwie to dziwne - mruknął Max. - Pamiętasz Shirley. Była uparta. Zmarła tragicznie, nie wiedziałem nawet, że jedziła na nartach.

Petra podziękowała Maksowi, przeprosiła, że przeszkodziła mu w obiedzie, odłożyła słuchawkę i otworzyła akta Coral Langdon.

Były mąż zamordowanej kobiety, Harvey Lee Langdon, był agentem ubezpieczeniowym. Ubezpieczenie było jednym z najlepszych motywów, ale Harvey ubezpieczał nieruchomości, nie życie. Shirley i tak dokładnie przyjrzała się papierom Coral i skontaktowała się w kilkoma firmami ubezpieczeniowymi. Żadnej pokanej polisy. Od czasu rozvodu trzy lata wcześniej między Harveyem i Coral w ogóle nie było żadnych powiślań finansowych, z wyjątkiem alimentów wysokości pięciuset dolarów miesięcznie. Coral Langdon pracowała jako asystentka dyrektora dużej firmy lotniczej, sama niele zarabiała.

Pies, Brandy, był powodem konfliktów w małżeństwie Langdonów. Harvey przejął się mierciś żony, ale umiechnął, kiedy usłyszał o psie. Shirley zapisała jego uwagi dosłownie:

Głupia krowa. Wie pani, jak brzmiało jej motto? Cały wiat to mój kibel.

5 - Pokrętny umysł

Psycholog mógłby mieć tu niezły ubaw. Harveyowi zdecydowanie warto było się przyjrzeć, ale Shirley nie zrobiła żadnych postępów w tym kierunku.

Sposób działania i miejsca zbrodni - dwie kobiety załuczone w zalesionych rejonach Hollywood - sprawiły, że zawzięta detektyw Lenois powiśzała ze sobś Langdon i Jewell Blank. Czyżby data dwudziestego ósmego czerwca nie zrobiła na niej wrażenia?

Pewnie wcale tego nie zauważyła.

Ale czy Shirley - bystra, uparta, pracowita - przeoczyła by co takiego?

Oczywiście. Petra nigdy nie zwracała uwagi na datę morderstwa. Jako detektyw Shirley skoncentrowałaby się na szczegółach sceny zbrodni.

Na rozwalonej głowie. Tak jak powiedział Isaac, to było rzadkie.

Ostatecznie Shirley uznała, że oba przypadki nie mają ze sobś zwiśzku, ale nie wiedziała o dwóch poprzednich, dokładnie tego samego dnia miesiśca.

A teraz Shirley nie żyła i znów nie było żadnych dowodów, że sprawa została przydzielona komu innemu.

Petra przyjrzała się kserokopii prawa jazdy, przypiętej do akt. Coral Langdon była atrakcyjnś kobietś o ogorzałej, owalnej twarzy. Krótka grzywka jasnych włosów. Metr siedemdziesiśt pięć wzrostu, szećdziesiśt pięć kilo wagi. Szczupła. Pewnie też silna. Według notatek Shirley, Coral ćwiczyła na siłowni, uprawiała kick boxing.

Co oznaczało, że ten, kto rozwalił jej głowę, był w dobrej formie. I umiał skradać się na tyle dobrze, że zaszedł jś z tyłu.

Petra to sobie wyobraziła. Langdon wyprowadza psa na nocny spacer, on wychodzi z cienia...

Z Jewell Blank musiało pójć o wiele łatwiej. Drobna, mała dziewczynka w parku.

Bez wśtpienia Shirley o tym myślała i doszła do wniosku, że jedno do drugiego nie pasuje.

Ale szeć przypadków pod tś samś datś, to już co innego.

Tak jak powiedział Isaac, to statystycznie znacźsze.

Tak jak powiedział Isaac.

Petra pomyślała, że na dłuugo zapamięta te słowa.

Cofnęła się do dwóch pierwszych morderstw i przyjrzała się im szczególowo. Marta Doebbler, dwudziestodzieciolatnia gospodyni domowa, która poszła obejrzeć sztukę w Pantages, wyszła do toalety i nie wróciła, i Geraldo Solis, przypadek z Wilshire Division. Starszy mężczyzna, znaleziony przy stole w jadalni z mózgiem wyciekajścym na talerz jajecznicy na kiełbasie. To dopiero uroczy szczegół.

Nic innego w sprawie Solisa nie wzbudziło zainteresowania Petry, ale zatrzymała się przy notatce na temat Marty Doebbler: kobietę wywołał sygnał telefonu komórkowego, a detektywi doszli, że dzwoniono z automatu telefonicznego za rogiem teatru.

Czy kto jś wywabił? Fakt, że wyszła, połśczoney z tym, że jej zwłoki porzucono w jej własnym samochodzie - w przeciwieństwie do innych -oznaczał, że to był kto, kogo znała. Detektywi przesłuchali męża, inżyniera Kurta Doebblera; odnotowali, że wydawał się nadmiernie spokojny". Doebbler miał alibi: był w domu z dziewięciolatniś córkś swojś i Marty, Katiś.

Petra przeczytała raz jeszcze akta Solisa. Nie było ladów włamania. Czyżby starszy pan też znał mordercę?



Między ofiarami nie było żadnego widocznego powiększenia, a jednak czy mogła to być ta sama osoba?

Petra zapisała nazwiska detektywów od obu spraw. Conrad Ballou i En-rišue Martinez u Doebbler, u Solisa jeszcze jedno nieznanne nazwisko, detektyw drugiej klasy Jacob Hustaad, Wilshire Division.

Barney Fleischer wciř siedział przy swoim biurku z długopisem w ręku, ale czytał. Własny, niebieski kołonoatnik. Petra zawsze uważała go za dziadka u kresu kariery. Czyżby cały czas dostawał własne sprawy?

Znów do niego podeszła.

- Przepraszam, ale jestem ciekawa, czy znasz którego z tych gości. Barney zamknął książkę morderstwa - podpisaną Chang - i przyjrzał się licie.

- Dostała przydział do zimnej” sprawy?

- Sama się przydzieliłam. Ten młody, Gomez, wymyślił, że powinnam rzucić okiem na stare papiery.

- Geniusz - powiedział Barney. - Miły dzieciak. Lubię go.

- Rozmawiacie?

- Od czasu do czasu. Lubi słuchać opowieci o tym, jak to było dawno temu - umiechnął się. - A kto opowiada je lepiej niż taki weteran jak ja? - Położył akta Changa na biurku. - Tę zakończyłem pięć lat temu. Nikt nie daje mi już nic nowego. Powinienem odejść, ale nie jestem pewien, czy byłoby to dla mnie dobre.

Znów zerknął na listę.

- Connie Ballou to dopiero staruszek. Był tu, zanim jeszcze ja zacząłem pracować, pewnie jest ode mnie z dziesięć lat starszy. Przeszedł na emeryturę jakie pięć lat temu. - Barney zmarszczył brwi.

- O co chodzi? - spytała Petra.

- Connie odszedł w... smutnych okolicznościach.

67

- Jakich okolicznościach?

- Miał mały problem z piciem. Wszyscy o tym wiedzieliśmy, wszyscy go krylimy. Której nocy nawalił się, wsiadł za kierownicę nieoznakowa-nego wozu i wbił się w dom na Cahuenga. Co takiego trudno było ukryć.

- Jaki był jako detektyw? Kiedy był trzewy? Barney wzruszył ramionami.

- Za często mu się to nie zdarzało.

- Czyli nie był Sherlockiem.

- Raczej szeryfem Dawgiem z kreskówki, kiedy go znałem. Ale słyszałem, że wczynie był w porządkiem.

- A jego partner, Martinez?

- Enrišue nie miał większych problemów, ale większego talentu też nie. Poleciał na fali zamieszania z Conradem. Góra uznała, że powinien być zgłosić jego picie, i zdegradowała go do krawężnika. Pozostawało oczywiste pytanie, co z wszystkimi innymi partnerami, z którymi jedził Connie. Ale Enrišue został kozłem ofiarnym. Trafił chyba do Central Division jako dyżurny, ale nie wiadomo, jak długo tam wytrzymał.

- Teraz mieszka na Florydzie.

- To by się zgadzało - powiedział Barney. - To Kubańczyk.

Pijak i beztalencie. Była spora szansa, że morderstwem Marty Doebbler nikt nie zajął się tak, jak powinien. W dodatku, z tego, co Petra wiedziała, nie przydzielono go nikomu innemu. Zapytała o to Barneya.

- Schoelkopf-odparł od razu.

- Nie przekazuje spraw?

- Nie lubi, jeśli zdążyły wystygnąć. Rozumiesz, braki kadrowe, problem gangów. Ty o tym nie wiesz, bo swoje sprawy rozwiązujesz. - Barney zdjął okulary i pomasażował grzbiet nosa w miejscu, gdzie uwierała go oprawka. Oczy miał szeroko rozstawione, jasne, niebieskie, w gniedzie zmarszczek. - Wiem, że go nie lubisz, Petra, ale na jego miejscu zrobiłbym to samo. To zawsze i wszędzie kwestia priorytetów. Sprawy nie stygną bez powodu.

- Kto powiedział, że go nie lubię? Barney się umiechnął, Petra też. Znowy spojrzał na listę.

- Jack Hustaad nie żyje. Samobójstwo. Niezwiązane z pracą. Grywalimy od czasu do czasu w golfa. Jack palił cztery paczki dziennie, dostał raka płuc, zaczął chemioterapię, uznał, że mu się nie podoba, i najadł się rodków przeciwbólowych. Nie można powiedzieć, że to zupełnie irracjonalna decyzja, prawda?

- Prawda.

68

- Włanie.

- Dzięki, Barney.

- Zakładam - powiedział stary detektyw - że wolałaby, żebym o twoim dochodzeniu z nikim nie rozmawiał?

- Dobrze by było - odparła Petra.

- Nie ma sprawy. Ja też go nie lubię.

13

Następnego dnia Mac zwołał zebranie w sprawie strzelaniny pod klubem Paradiso. On, Petra i Luc Montoya jedli kanapki w małej salce konferencyjnej i porównywali notatki. Montoya miał czterdzieci lat, był łysy, muskularny, o twarzy gwiazdy filmowej i najdłuższych rękach, jakie Petra kiedykolwiek widziała u dorosłego mężczyzny. Był ubrany w kremową, sportową marynarkę, beżowe lniane spodnie i biały koszulę. Do tego jasnoniebieski krawat. Wyglądał bardzo sztywnie, ale miał zrezygnowany wyraz twarzy i niewiele mówił.

Mac jak zwykle przyszedł w szarym garniturze, z nieprzenikniętym spojrzeniem.

Razem z Lukiem zanurkowali w stos akt wiadków, niczego się nie dowiedzieli, niczego nie było też w plotkach lokalnych gangów.

Petra opowiedziała im o kłamstwach Sandry Leon.

Luc przygryzł wargę.

- A więc nie mamy pojęcia, gdzie ta dziewczyna mieszka - stwierdził Mac. Petra pokręciła głową.

- Ten jej lekarz - cięgnął Mac. - Mylisz, że on może wiedzieć?

- Zostawiłam mu wiadomość.

- Może uda ci się go dopaść, zanim wróci z urlopu. Ja jadę do Comp-ton. Mieli tam w zeszłym roku strzelaninę po koncercie rapowym, kto strzelał z przejeżdżającego samochodu. Trzy osoby. Nie rozwiążali tego, ale miał kilka pomysłów i pomyślałem sobie, że porównamy wyniki. Niestety chodzą parami i w ogóle.

Petra znów zadzwoniła do doktora Katzmana, wysłuchała nagrania na sekretarce, przełszyła się na onkologię i bardzo stanowczo porozmawiała z sekretarką, która połączyła ją z szefową oddziału, Kim Pagionides.

69

- Sandra Leon - powiedziała Pagionides. Jakby znała dziewczynę. Jakby miała o niej niskie mniemanie.

- Widziała się z nią pani w ostatnim czasie? - spytała Petra.

- O, nie. - Lekki, nerwowy mieszek. - Nie, nie sądzę. Poproszę doktora Katzmana, żeby się do pani odezwał, kiedy wróci.

- Muszę z nim pomówić teraz.

- Na pewno jest bardzo zajęty.

- To tak jak ja. Gdzie konkretnie jest?

- Podróżuje. Do kilku miast. Wiezie prace naukowe na cztery sympozja. Ważne prace. Mówimy o ratowaniu ludzkiego życia.

- A ja mówię o unicestwionym ludzkim życiu. Więc może dobry pan doktor będzie w stanie co w tej sprawie zrobić. Ciszka.

- Sprawdzę jego rozkład podróży - powiedziała Kim Pagionides. Kilka chwil później:

- Jest w Baltimore, w Johns Hopkins. Proszę, to numer jego komórki.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Petra zadzwoniła na podaną komórkę i usłyszała identyczną wiadomość w stylu „tu-doktor-Bob-Katzman”, technicznie spokojem i dodając otuchy. Lekarze, którzy leczyli jej tatę, zanim zmarł na Alzheimera, mogliby się od Katzmana sporo nauczyć, jeśli chodzi o podejście do pacjenta.

Petra starała się, żeby jej głos zabrzmiał równie spokojnie, ale miała wrażenie, że nawarczała na doktora Boba. Trudno.

Była pierwsza czterdzieści trzy po południu, Isaac jeszcze nie przyszedł, a Petrze było to nawet na rękę. Mogła się lepiej skoncentrować. Zadzwoniła do działu kadr departamentu i poprosiła o aktualne dane emerytowanych detektywów Conrada Ballou i Enriue Martinez.

Martinez mieszkał w Pensacoli na Florydzie, ale Ballou osiadł niedaleko. W Palmdale, godzinę jazdy autostradą, jeśli nie przestrzegano się zbyt rygorystycznie ograniczeń prędkości.

Nie mając nic więcej do roboty w sprawie Paradiso, do tego czując się samotna i rozdrażniona, Petra uznała, że godzina w samochodzie to niezły pomysł.

Postanowiła wsiść własny wóz. Żeby posłuchać własnej muzyki.

70

Kiedy szła w stronę hondy, kto zawołał ją po imieniu. Przez jedną krótką, szaloną chwilę miała nadzieję, że to Eric. Ostatnim razem spotkali się na parkingu. Gdyby to był film, Eric znów by tam był.

Odwróciła się i zobaczyła biegnącego w jej stronę Isaaca w białej koszuli, spodniach khaki i adidasach. O udo objęła mu się teczka.

- Cześć - powiedziała. — Co tam?

- Przytrzymali mnie na uczelni, miałem nadzieję, że zdążę cię jeszcze złapać.

- Jakie nowe informacje?

- Nie, pomyślałem tylko, że jeśli nie masz nic przeciwko temu, pojechałbym z tobą. Petra nie odpowiedziała, a Isaac się wzdygnął.

- To znaczy, jeśli to nie jest problem...

- Nie ma sprawy. Jadę pogadać z kimś o jednym z twoich przypadków z dwudziestego ósmego czerwca. Isaac szeroko otworzył oczy.

- A więc widzisz zasadność...

- Uważam, że znalazłem coś interesującego. A skoro nie mam nic innego do roboty, dlaczego miałabym tego nie sprawdzić?

- Jedno musimy sobie wyjanić - powiedziała, kiedy zbliżali się do podjazdu na 5. - To nie jest oficjalne dochodzenie. Ważne jest, żebyśmy byli dyskretni.

- W sensie...

- W sensie rozmowy z kimkolwiek. I tyle.

Powiedziała to sztywnym tonem. Isaac przysunął się do drzwi.

- Jasne. Oczywiście.

- Zwłaszcza z kapitanem Schoelkopfem - podkreśliła Petra. - Nie lubi mnie, nigdy nie lubił. Zbaczanie z wyznaczonego kursu, kiedy prowadzę poważną, dużą sprawę, mogłoby jeszcze bardziej skomplikować moją sytuację. Poza tym wygląda na to, że kapitan miał jakieś swoje przemyślenia na temat czerwcowych morderstw. We wszystkich przypadkach prowadzący detektyw z tego czy innego powodu odchodził. Niektórzy przeszli na emeryturę, inni przenieśli się do innych okręgów, jeszcze inni nie żyją. Samo w sobie to nic dziwnego. Od czasu zamieszek i skandalu w Ramparts w departamencie takich przewalane było mnóstwo. Dziwne natomiast jest to, że żadna ze spraw nie została przekazana nowemu detektywowi. To dlatego że Schoelkopf nie lubi przenosić zimnych spraw. Więc gdyby jakimś nieskończonym, mało prawdopodobnym zrzędzeniem losu faktycznie udało nam się czegoś dowiedzieć na temat któregoś z tych morderstw, mogłoby się to na nim odbić nie najlepiej.

71

W samochodzie zapadła długa cisza.

- Narobiłem zamieszania - powiedział w końcu Isaac.

- Nie przejmuj się - odparła Petra. - Prawda jest taka, że ci ludzie zasłużyli na więcej, niż dostali. Kilka chwil później:

- Dlaczego on cię nie lubi?

- Bo ma kiepski gust. Isaac się umiechnął.

- Mnie chyba też nie lubi.

- Miała z nim w ogóle jakiś dłuższy kontakt?

- Odbyłem tylko wstępny rozmowę, poza tym mijamy się od czasu do czasu na korytarzu. Udaje, że mnie nie zauważa.

- Nie bierz tego do siebie. To mizantrop. Ale naprawdę ma kiepski gust.

- Tak, ma - zgodził się Isaac.

Skręciła w drogę numer 210, potem przeskoczyła na 114, kierując się na północny wschód przez Antelope Valley. Po drodze minęła Burbank, Glendale i Pasadena. Wystające spod ziemi głązy i pas zieleni, należący do lasu państwowego Angeles Crest, były sceną ostatnich chwil Bedrosa Kashigiana i ulubionym miejscem porzucania zwłok dla wszystkich psychopatów w mieście.

Dzisiaj wyglądały ładnie pod czystym, niebieskim niebem i cienkimi pasemkami białych obłoków.

Można by to namalować. Powinna wyjść tu przenone sztalugi, znaleźć sobie przyjemne miejsce z dobrym widokiem i stworzyć obraz.

Minęło dużo czasu, odkąd namalowała co w kolorze.

Opowiedziała Isaacowi, że zrobił na niej wrażenie powtarzający się sposób zadawania i rodzaj ran i wszystko inne, czego dowiedziała się o szeciu morderstwach.

- Podobne rozmiary - powiedział. - Tego z kolei ja nie zauważyłem. A żaden z detektywów nie zauważył daty dwudziestego ósmego czerwca.

- Za mało wiedziały.

- W przyszłości będę bardziej uważny. W przyszłości?

- Interesujący jest ten telefon z budki - powiedział. - Prawdopodobieństwo, że to mógł być kto, kogo pani Doebbler знаła. A jeli pan Solis też go znał? Jeli to kto, kogo znały wszystkie ofiary?

- Myślałam o tym - przyznała Petra. - Ale to naciągana teoria.

72

- Mimo to możliwa.

- Jeli nasz morderca znał wszystkie szec ofiar, miał bardzo szerokie znajomoci. Mamy tu uciekiniarki z domu, męskie dziwki, asyistentki dyrektorów, emerytów, do tego porucznika marynarki, tego Hochenbren-nera. Nawet jeszcze nie zajrzałam do jego akt.

Isaac wpatrywał siew pustynny krajobraz. Jeli słuchał jej dywagacji, nie było tego po nim widać.

- Pan Solis miał na talerzu niadanie - powiedział w końcu - ale do morderstwa doszło około północy.

- Ludzie jadaj š o dziwnych godzinach, Isaac.

- Pan Solis też?

- Nie wiem. Mylisz, że morderca usmażył jajecznicę na kiełbasie po tym, jak rozwalił Solisowi głowę, a potem podał niadanie trupowi?

Isaac poruszył się niespokojnie. Petrze udało się go zniesmaczyć i sprawiło jej to perwersyjną satysfakcję.

- Nie mam tak naprawdę zbyt rozległej bazy danych, na podstawie których mógłbym wydać osąd... - zaczął.

- Kulinaryny morderca - przerwała mu Petra. - Jakby to wszystko było nie doć skomplikowane.

Isaac zamilkł. W samochodzie zrobiło się goršco. Na pustyni było o kilka stopni cieplej niż w miecie. A i czerwiec był z tych upalnych.

Czerwiec. Dzisiaj był czwarty. Jeli w tym wariactwie rzeczywiście co było, za dwadziecia cztery dni miał zginść następny człowiek.

- Znalazły jakie inne warte uwagi wydarzenia z dwudziestego ósmego czerwca w historycznych archiwach? - spytała.

- Nic specjalnego. - Isaac mówił cicho, ze wzrokiem utkwionym w oknie. Zastraszyła go? Zła Petra, niedobra Petra. To jeszcze dzieciak.

- Opowiedz o wszystkim, co znalazły. To może być ważne. Isaac odwrócił się do niej profilem.

- Logowałem się do różnych almanachów, wydrukowałem kilka list. Długich list. Ale nic nie rzuciło mi się w oczy. Pokażę ci, o co mi chodzi. - Otworzył swój teczkę, pogrzebał w niej, wyjął plik papierów. - Przyjrzałem się datom urodzin i najdalej, dokąd dotarłem, to 28 czerwca 1368 roku, kiedy urodził się Zygmunt, cesarz Czech i Węgier.

- Był złym facetem?

- Zwykłym, samowładnym królem. - Isaac przesunął palcem po długiej licie, zapisanej drobnym drukiem. - Potem jest papież Paweł IV, artysta Peter Paul Rubens, następny twórca Jean-Jacques Rousseau, kilkoro aktorów: Mel Brooks, Kathy Bates... jak mówiłem, lista jest dość długa. Tak doszedłem do Johna Dillingera.

73

- Sł tam jacy li gocie oprócz Dillingera?

- Nie na licie urodzin. Kiedy przyjrzałem się dwudziestemu ósmemu czerwca jako dacie mierci, znalazłem jeszcze kilka osób. Ale żadna z nich nie wydaje się. mieć zwiżsku ze sprawš tego typu.

- Sprawš tego typu? - spytała Petra.

- Seryjnym mordercš.

Na dwięk tego okrelenia Petrę prawie zabolaty zęby. Za duzo telewizji. Za trudno co takiego rozwiřzać. Postarała się, żeby ton jej głosu pozostał swobodny.

- Kto ze złych facetów umarł tego dnia?

- Pięter van Dort, holenderski przemytnik. Powiesili go dwudziestego ósmego czerwca 1748 roku. Thomas Hickey, żołnierz kolonii skazany za zdradę, powieszony w 1776. Dalej prawie nic, aż do 1971, kiedy zastrzelono Josepha Columbo, nowojorskiego mafioso. Dziesięć lat póniej aja-tollah Muhammad Beheshti, założyciel Irańskiej Partii Islamskiej, zginšł zabity wybuchem bomby. Chociaż przypuszczam, że to, czy był zły, zależy od politycznych przekonań.

- Nie masz niczego bardziej kryminalno-nienormalnego? Jakiego Teda Bundy, Dusiciela z Hillside?

- Nie, nic takiego, przykro mi. Jeli chodzi o wydarzenia historyczne, dwudziestego ósmego czerwca zdarzyło się mnóstwo nieszczęć, ale nie więcej niż dowolnego innego dnia. Przynajmniej ja nie jestem w stanie znaleźć żadnej statystycznie istotnej różnicy. Historia opiera się na tragedii i wstrzřsach, jak również na dokonaniach wielkich ludzi. - Zwinšł papiery w ciasny rulon, zabęnił nim w udo. - Nie mogę uwierzyć, że przeoczyłem podobieństwo gabarytów broni.

- Przestań sobie to wyrzucać.

Wiřczyła radio, przestawiła je na stację grajšcš rocka mocniejszego niż ten, do którego przywykła, i zatopiła się w łoskocie bębnów, sprzęzeniach gitar i w naładowanym testosteronem, wrzaskliwym piewie, aż wjechali głębiej w góry i sygnał zginšł w białym szumie.

Czwarty czerwca.

Wcisnęła mocniej pedał gazu.

Minęli już dawno Angeles Crest, przemykali teraz przez jeden kanion za drugim, sto dwadziecia na godzinę, na wschodzie majšc niskie, szarobrunatne misy pustynnego płaskowyżu. Do autostrady przytuliło się małe lotnisko, za nim były białe, przypominajšce rozrzucone pudełka magazyny i zakłady, a potem w oddali szeregi domów o czerwonych dachach, stojšcych równo jeden obok drugiego w kurzu. Wród nich Petra

74

ddwypatrzyła maleńkie, zielone trawniki, gdzieniegdzie turkusowš taflę basenu. Między osiedlami było sporo przestrzeni. Antelope Valley rozwijała się na potęgę, ale wciřz było tu dość miejsca na nowe inwestycje. W zasięgu wzroku pojawił się znak informujšcy, że zbliżajš się do Palmdale. Petra wymówiła na głos nazwę miasta.

- Kiedy nazywało się Palmenthal - powiedział Isaac. - Założyli je Niemcy i Szwajcarzy. Zanglicyzowało się na przełomie wieków.

- No proszę - mruknęła Petra.

- Zawracam głowę, prawda?

- Przestań. Edukacja jest dobra dla duszy. Gdzie wynajdujesz takie rzeczy?

- Miałem zaawansowaną geografię w liceum, uczyłem się głównie samodzielnie. Badałem kilka miast hrabstwa Los Angeles i okolic. To mnie zaskoczyło, można by pomyśleć, że wszystko tu ma latynoskie korzenie, a wiele miejsc nie ma. Eagle Rock na przykład, nazywano już Szwajcarią Zachodu. Kiedy jeszcze powietrze było czyste.

- Zamierzchna historia - powiedziała Petra.

- Różne nieistotne informacje często zostają mi w głowie, a potem czasami wyrwyją się mi z ust.

- I czasami-dokończyła Petra-sz bardzo interesujące.

Zjechała z autostrady pierwszym zjazdem na Palmdale, zajrzała do atlasu drogowego i pojechała pod adres, który Conrad Ballou podał na formularzu emerytalnym, około pięciu kilometrów na zachód.

Znajść alkoholową przeszłość Ballou, spodziewała się, że będzie mieszkał w przygnębiającym bloku z kawalerkami dla emerytów albo czym jeszcze gorszym - i rzeczywiście, okolica, przez którą przejeżdżała, wyglądała dość smutno. Ale potem zrobiło się lepiej - dookoła wyrosły takie same czerwone dachy, jakie widziała z autostrady, duże domy, zamknięte enklawy.

Dom Ballou był redziej wielkoci, w hiszpańskim stylu, położony na terenie ładnego osiedla Golden Ridge Heights, gdzie drzewa - palmy i jakie inne, o korze jak z papieru - wyrosły całkiem spore, a na trawnikach widać było krzewy w rozkwicie. Wszędzie stały samochody z częścią mieszkalną, przyczepy na motocykle, pikapy i terenówki. Ulice były szerokie, czyste i ciche, a domy miały podwórka z widokiem na pustynną panoramę. W tle rysowały się ostre szczyty gór. Jak dla Petry za spokojnie, ale wyobraziła sobie ciepłe, ciche, rozgwieżdżone noce i pomyślała, że może nie byłoby tu aż tak le.

Zatrzymała się przy krawężniku. Na podjeździe Ballou stał dziesięcioletni, półtonowy ford. Ssiedzi po obu stronach powiesili nad drzwiami

75

garażowymi kosze do koszykówki, podwórka wylali betonem. Ballou zasadził u siebie piękne, płószce, karłowate jałowce, nieskazatelnie zielone kępy trawy mondo i bujne sagowce, a wysypany żwirem chodnik odgrodził rzędami niskich, ukonie ciętych bambusowych rurek. Dłuższy kawałek bambusa, nachylony nad kamienną misą, służył za fontannę; strumień wody szemrał nieustannym sopranem.

Japanofil?

Dom nie wyglądał na mieszkanie alkoholika. Może dane z działu kadr były nieaktualne, jak wiele innych danych departamentu policji Los Angeles. Petra powinna najpierw zadzwonić, zamiast w ciemno marnować czas i paliwo. A teraz wyszła na kretynkę przed Panem Geniuszem.

W lekowych panelach frontowych drzwi wycięte były japońskie litery, pod nimi wisiała mosięzna kołatka w kształcie ryby. Karpia koi, takiego, jakie Alex Delaware trzymał w swoim uroczym małym stawie.

Petra postukała kołatką. Mężczyzna, który otworzył drzwi, był niski, krzywonogi, szczupły, ale z wystającym brzuchem, zwisającym nad klamrą paska.

Klamrę z karpem koi.

Miał sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu lat, ogoloną na tyso, opaloną głowę i białe sumiaste włosy. Był ubrany w dżinsową koszulę, dżinsowe spodnie z czerwonymi szelkami i sznurowane wysokie buty. Z tylnej kieszeni wystawała mu biała chusteczka.

Obrzucił Petrę i Isaaca spojrzeniem od stóp do głów i potarł ręce, jakby włanie je umył.

Jasnoniebieskie oczy, czyste, niezmscone wódką. Bystre oczy.

- Sprzedają tylko w weekendy - powiedział.

- Detektyw Ballou?

Dłonie mężczyzny przestały się poruszać. Oczy zmieniły się w dwa okruchy granitu.

- Od dawna nikt się tak do mnie nie zwracał. Petra pokazała mu legitymację. Pokręcił głowę.

- Skończyłem z tym. Hoduję i sprzedaję ryby, i nie myślę o przeszłości. - Zaczął cofać się w głąb domu.

- Marta Doebbler - powiedziała Petra. - A o niej pan czasami myli? Conrad Ballou poruszył szczękę.

- Nie mogę powiedzieć, że tak. Nie mogę powiedzieć, że w ogóle mnie to jeszcze obchodzi.

- Nie minęło aż tak dużo czasu, proszę pana. Sześć lat. Badam kilka starych spraw, w tym Doebbler. Gdyby mógł pan ruszyć dla mnie głowę...

76

- Nie ma czym ruszać - powiedział Ballou, pocierając łysą czaszkę. - Według psychiatrów, do których wysłał mnie departament. - Wyglądał, jakby miał zamiar splunąć. - Mogłem oszczędzić im kłopotu. Nie byłem wariatem, tylko pijakiem. Dzięki Bogu, że nikogo nie zabiłem. - Pokręcił głowę. - Powinni mnie wykopać dużo wcześniej. Cholerny departament.

- Czyli tęskni pan za pracą w policji - powiedziała Petra. Ballou spojrzał na nią wilkiem. Umiechnął się. Zamiał.

- Lubi pani ryby?

- Jeć?

- Oglądać. Proszę wejść. I wziąć ze sobą stażystę.

Przed banałem dom ratowało japońskie wyposażenie wnętrza. Barwione roślinnymi barwnikami dywany, palisandrowe stoły, porcelanowe wazy i donice, papierowe ekrany na cianach, a wszystko to ozdobione brokatowymi koi.

Nazbierało się tego za dużo jak na taką przestrzeń; na oko Petry nie było tu nic drogiego. Głównie krzykliwe, za grubo polakierowane rzeczy, które można kupić w każdej pułapce na turystów w Chinatown albo Małym Tokio.

Ballou zaprowadził ich dalej, przez podwójne tylne drzwi na podwórko. Na to, co kiedy było podwórkiem. Każdy centymetr kwadratowy tysiącmetrowego terenu zajmowały stawy rybne. Cały teren przykrywała druciana siatka rozpięta na słupkach, rzucająca cień i chłodząca pustynne powietrze. Na drugim brzegu znajdowało się wysokie, bambusowe ogrodzenie i przyczepa kempingowa ssiada.

Wszystko bulgotało, ale stawy nie były tak ładne jak ten Aleksa. Te tutaj - dwanacie - były zwykłymi, prostokątnymi, betonowymi zbiornikami; znajdowały się obok siebie z przejeźdem porodku. Również woda w nich nie była tak klarowna jak u Aleksa - zielona, gęsta jak zupa. Tylko przewody napowietrzające powodowały w niej jakiś ruch.

Kiedy jednak Conrad Ballou podszedł do pierwszego zbiornika, powierzchnia zakotłowała się i wyjrzały nad nią dziesiątki - nie, setki - małych złotych i różowych rybich pyszczków, rzucających się, kłapiących i dyszących.

Ballou wskazał najbliższą cianę, gdzie obok splątanej sieci leżały na stosie jasnoniebieskie, plastikowe pojemniki. Obok stał automat na gumę do żucia. Szklana kula, zamiast słodyczy, pełna była małych, rdzawych kulek wielkości połowy ziarnka grochu.

Ballou zaprosił ich gestem do automatu.

- Wrzucicie dwadzieścia pięć centów.

77



Petra wrzuciła. Ballou przytrzymał jej dłoń pod podajnikiem. Przekreślił dwignię i z kuli wysypały się małe kuleczki, a powietrze wypełnił zapach zepsutych owoców morza.

- Proszę je nakarmić - powiedział Ballou. - To prawdziwa frajda.

- W którym stawie?

- W tamtym. To młode, muszś się dobrze odżywiać.

Wskazał pierwszy zbiornik, w którym wciśz szamotały się małe rybki. Petra podeszła bliżej i wrzuciła kulki do wody, gdzie natychmiast doszło do gwałtownych, rybich zamieszek.

Isaac był już trzy zbiorniki dalej. Nachylał się nisko i przyglądał rybom, które wypływały mu na spotkanie. Większym, czerwono-czarno—złoto-niebieskim.

- Panie Ballou - powiedział - hoduje pan je sam, czy sprowadza z Nii-gaty? Ballou spuścił wzrok, potem popatrzył na chłopaka.

- Znasz się na koi.

- Zachwyciły mnie - powiedział Isaac. - Pracodawcy mojej matki mają staw.

- Zachwyciły, tak? - odparł Ballou. - To może sam się tym zajmij. Isaac się rozemiał.

- Co cię tak mieszy, synu?

- Trochę przekraczająś mój budżet. I warunki lokalowe. Mieszkam w małym mieszkaniu.

- Hm - mruknął Ballou. - W takim razie znajd sobie dobrś pracę, poharuj jak wół i kup dom. Spłać część kredytu i spraw sobie w nagrodę japoński ogród i staw pełen nishikigoi. Nic tak dobrze nie obniża cinienia.

Isaac pokiwał głowś.

- Jak już to wszystko zrobisz, synu, wróc tu i kup ode mnie kilka ryb, a ja ci dam za darmo karasu, to ta czarna. Symbol szczęcia.

- Mnie by się przydało trochę szczęcia - wtrciła się Petra. - Z Martś Doebbler.

- A mówiliśmy o takich przyjemnych rzeczach - westchnął Ballou. -Pijecie herbatę?

Kiedy wrócili do kuchni, nalał parującego zielonego płynu do trzech kamiennych czarek.

- Nie mylcie, że jestem jakim fanatykiem. Azjatycka kultura mnie uspokaja. Kiedy wyszedłem z odwyku, zatrudnił mnie sprzedawca koi, miły, starszy pan w Gardenie. Sprzśtałem u niego przez dwa lata, trzymałem głbę na kłódkę, w trzecim roku zacząłem zadawać pytania, trochę się

78

nauczyłem. On umarł, ale umiecił mnie w testamencie. Zostawił mi trochę materiału rozplodowego. To mnie zmotywowało, żeby kupić ten dom, otworzyć weekendowy biznesik. Naprawdę tu spokojnie. Nie wspominam czule poprzedniej pracy. Petra popijała gorścś, aromatycznś herbatę.

- Marta Doebbler to dobry przykład - ciśgnął Ballou. - Paskudny widok. Kiedy pomylę sobie o rzeczach, do jakich przywykłem, kiedy pracowałem w wydziale zabójstw...

Zaczepił kciuk o szelkę, zamyłony wyjrzał za okno. Potem spojrział na Isaaca.

- Wyglśdasz na porzśdnego chłopca. Dlaczego chcesz sobie to zrobić?

- Isaac zamierza być lekarzem - powiedziała Petra. - Jednoczenie pisze doktorat z biostatystyki.

- Jednoczenie? - powtórzył Ballou, jeszcze raz uważnie przyglądając się Isaacowi. - Czyli mamy tu Einsteina?

- W żadnym razie - wymamrotał Isaac. Mimo jego ciemnej karnacji widać było wyranie, że się zaczerwienił. Był różowy jak rednio wysmażony befsztyk.

- Możemy porozmawiać o Doebbler? - spytała Petra.

14

Pamiętam - powiedział Conrad Ballou - że interesujący był jej mąż. Popijał herbatę, w żaden sposób nie dając do zrozumienia, że chciałby powiedzieć co jeszcze.

- Interesujący jako główny podejrzany? - spytała Petra. Pokiwał głową.

- Żadne konkretne dowody z niczym go nie wiślały. Wszyscy mówili, że między nim i ofiarą wszystko układało się poprawnie. Ale mnie się on nie podobał. - Odstawił czarbkę. - Dziwnie zareagował na wiadomość o mierci żony. Kamienna twarz, ani jednej łzy. Kiedy pojechałem go zawiadomić, zabrałem ze sobą pudełko chusteczek, zawsze tak robiłem. Ani jednej nie zużył. Stał tylko i patrzył na mnie. Czasami tak się dzieje, a potem się załamuję, więc czekałem. A on stał i się gapił. Przez chwilę myślałem, że dostał jakiego ataku. Wtedy powiedział: Chyba będzie lepiej, jak pan wejdzie”.

79

- Jest inżynierem - zauważyła Petra.

- Co z tego?

- To nic nie wyjania, ale nieraz ten typ ludzi... - Przypomniała sobie czasy, kiedy była wydziałową maskotką. Doktor Kenneth Connor, profesor antropologii na Uniwersytecie Stanu Arizona w Tucson, zabierał swój mały córeczkę na akademickie przyjęcia. Spotykała się z kadrą uniwersytecką. Większość tych ludzi uważała za zwyczajnych, tyle że z nieco wyższym IQ, kilku było po prostu nudnych. Jeszcze kilku nieprzyzwoicie głupich.

- Ten typ? - spytał Ballou.

- Inżynierowie, fizycy, matematycy, wszystkie te megamózgi. Czasami nie reaguję emocjonalnie, nie tak jak my wszyscy.

Ballou zerknął na Isaaca, jakby oczekując potwierdzenia u ródła. Isaac umiechnął się z przymusem.

- Doebbler pracował chyba nad raketami - powiedział Ballou. - W Pacific Dynamics, przy elektronice, komputerach.

- Czy co jeszcze, oprócz jego zachowania, kazało panu go podejrzewać?

- Jego żonę kto wywabił z teatru. To musiał być kto, kto znał jej plany, bo kto inny wiedziałby, gdzie jej szukać? I kto inny mógłby ją skłonić, żeby wyszła, nie mówiąc przyjaciółkom, gdzie idzie?

- Mąż, z wiadomości o nagłym wypadku - odparła Petra. - Może, że co stało się córce.

- To by ją wyciśnęło - zgodził się Ballou. - Mała była alibi Doebblera. Był z nią w domu całą noc, Marta miała wychodne. Rozmawiałem z trzema przyjaciółkami, z którymi wybrała się do teatru. Ani jedna nie podała żadnych pikantnych szczegółów z życia Marty, ale kiedy je przycisnąłem, widać było, że nie lubi Kurta. Jedna powiedziała nawet, że według niej to on to zrobił.

Tego nie było w księżce morderstwa.

- Mocne słowa - stwierdziła Petra.

- Nie lubiła go. Chyba nikt nie lubił.

- Jak on i Marta się poznali?

- W Niemczech. Ona też była mózgowcem, studiowała astronomię. On pojechał tam na wymianę studencką. Kiedy się pobrali, Marta rzuciła studia i została pełnoetatową mamą.

- To mogło być frustrujące.

- Jasne, tak właśnie pomyślałam - powiedział Ballou. - Może próbowała zaradzić frustracji w klasyczny sposób. Ale nawet jeśli miała jakiś romans, nie znalazłam na to żadnych dowodów.

80

- Rozmawiał pan z córką? - spytała Petra.

- Małe biedactwo, nie chciałem jej naciskać. - Ballou skubał włosy. - Ona w przeciwieństwie do ojca zareagowała, płakała rozpaczliwie. Można by pomyśleć, że Doeblers powinien ją jako pocieszać. A on tylko przyniósł jej szklankę soku.

- Soku?

- Szklankę soku pomarańczowego. Masz, napij się, poczujesz się lepiej”. Jakby witamina C mogła pomóc na stratę matki. - Ballou zamiał się sucho, ochryple. - Jak ja bym chciał go za to zamknąć... Jak to się stało, że pani otwiera tę sprawę na nowo?

- Możliwe, że jest powiązana z kilkoma innymi.

- Innymi, za którymi może stać Doeblers?

- Innymi o podobnych wynikach autopsji.

Zapadła długa cisza. Nawet w kuchni słychać było bulgotanie stawów. Potem głośny plusk.

- Pora tarła - wyjął Ballou. - Skacz. Czasami wyskakujesz na beton i kiedy nie przybiegnę na czas, znajduję zdechłą rybę. Wstał, wyjrzał przez okno. Znowu usiadł.

- Na razie wszystko w porządku. Opowie mi pani o tych innych?

- To pięć rozłupanych głów - odparła Petra. - W rocznych odstępach. Wszystkie dwudziestego ósmego czerwca. Ballou wytrzeszczył oczy.

- Nabiera mnie pani.

- Chciałabym.

- Przed Martą?

- Wszystkie po Marcie. Z tego, co wiem, ona była pierwsza. Jeśli to w ogóle seria.

- Jeśli? - powtórzył Ballou. - Wszystkie tego samego dnia? To brzmi całkiem przekonująco.

- Ale ofiary są zupełnie różne pod względem płci, wieku i rasy. - Podała mu kilka szczegółów.

- Rozumiem, o co pani chodzi. A mimo to... Jak to pani odkryła? Departament w końcu zaczął coś robić przy starych sprawach?

- Nie departament, a obecny tu pan Gomez. Ballou po raz kolejny przyjrzał się Isaacowi.

- Tak było?

- Przypadkiem - powiedział Isaac.

- Gówno prawda. Nie wierzę w przypadki. To, że wbiłem się w budynek, to nie był przypadek. To była głupota. A to, że ty to znalazłeś, to też nie był przypadek, tylko rozum i spryt. - Nachylił się niespodziewanie

i poklepał chłopaka po ramieniu. - Jestem przekonany, że którego dnia dorobisz się stawu, i to dużego. Będzie cię na niego stać, zbudujesz go, a ja dostarczę ci do niego licznotek.

- Mam nadzieję.

- Zapomnij o nadziei. Rozum i ciężka praca, i nic innego. Tak właśnie ja wygrzebałem się z gówna. - Do Petry: - Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinna pani wiedzieć o Marcie. W samochodzie znaleliśmy lady krwi, ale nie jej krwi.

Petra nie pamiętała, żeby widziała to w aktach. Ballou jakby czytał w jej myślach.

- To wyszło później, po raporcie z autopsji; tylko kropelka. Technik, który zeskrobał ją z tapicerki, położył próbkę nie tam, gdzie trzeba, i została le wpisana. Kiedy dotarła do mnie, mogłem nie być w stanie tego dopilnować.

Wyjął chustkę i wydmuchał nos.

- Pamiętam tylko, że nie należała do niej. Ona miała A Rh plus, a to było O Rh minus. Kurt ma grupę krwi O Rh plus, więc niewiele nam to powiedziało. Ale może miała chłopaka. - Wzruszył ramionami.

Petra nic nie powiedziała.

- No tak - mruknął Ballou. - Nie byłem wtedy w najlepszej formie, ale co z tego. Życie to nie film.

- Gdzie jest ta próbka krwi?

- Jeli w ogóle gdzie jest, to u koronera.

- Okej. Dziękuję.

- W tych innych sprawach znaleziono jakie płyny? - spytał Ballou.

- W książkach morderstw nic na ten temat nie ma, ale różne rzeczy tam nie trafiały. - Była zirytowana i nie bała się tego okazać. Ballou wstał, o ciężale i powoli.

- To wszystko, co mogę wam powiedzieć, więc życzę miłego dnia. Sympatyczna kobieta była z tej Marty, z tego, co słyszałem. Rodzina mieszka w Niemczech, przyjechali tu: matka, ojciec, siostra. Zabrali ciało, wyglądali na bardzo zszokowanych. Zapisałem chyba ich adresy i telefony w księżce morderstw.

- Zapisał pan - potwierdziła Petra.

- To dobrze - powiedział Ballou. - Czasami nie jestem pewien, co wtedy zrobiłem, a czego nie.

- Kto, kogo Marta znała - powiedział Isaac, kiedy wracali z Golden Ridge Heights. - A bycie w domu z córką to mało przekonujące alibi.

- Mało - zgodziła się Petra. - Kiedy dziewczynka zasnęła, mógł zadzwonić do Marty, wywabić ją jakim wymysłem, zrobić swoje i wrócić.

82

To, że w samochodzie nie było jej krwi, oznacza, że została zabita gdzie indziej, a kto bardzo się postarał, żeby samochód został czysty.

- Samochód był Doebllera.

- Albo morderca miał odchył na punkcie czystości. Ale zanim pójdziemy tym tropem, musimy założyć, że technicy niczego nie przeoczyli.

- To się często zdarza"! - spytał Isaac.

- Częściej niż mogłoby ci się wydawać. Ale jedno mnie intryguje: Marta była jedyną ofiarą, której morderca nie zostawił na ulicy. To by pasowało do teorii, że ją znał.

Wróciła znając jej już drogę przez przedmieścia Palmdale i wyjechała z powrotem na numer 114.

- Mężczyzna, który zabija własną żonę, a potem atakuje obcych, to dość niezwykle, prawda?

- Nigdy o czym takim nie słyszałam. Zwykle okazuje się, że seryjny ma żonę albo dziewczynę, wychowuje dzieci, urządza przyjęcia z grillami i prowadzi podwójne życie.

- Maski człowieka - powiedział Isaac.

- Wszyscy je nosimy.

Petra zjechała drogą numer 210 na Brand Boulevard w Glendale, pojechała na północ i zatrzymała się w cichej, ładnej okolicy. Miała ze sobą kopie notatek Ballou; zaczęła je przerzucać, aż znalazła numery telefonów do pracy i do domu Kurta Doebblera. Właśnie minęła piętę, co oznaczało, że mógł być albo tu, albo tam.

Mieszkał w domu przy Rosita Avenue w Tarzanie, dokładnie po przeciwnej stronie doliny na zachodzie. O tej porze jechałoby się tam co najmniej godzinę. Petra zadzwoniła do wydziału komunikacji. Adres Doebblera się nie zmienił. Na jego nazwisko zarejestrowane były dwa samochody. Dwuletni infiniti coupe i trzyletnia toyota kombi. Jeśli chciał mieć opłaconego sedana Marty, to nie dla siebie.

Jego córka Katia miała piętnaście lat, była za młoda, żeby prowadzić, ale Kurt zafundował sobie dwa wózki.

Podwójne życie?

- Jak stoisz z czasem? - spytała Petra Isaaca.

- Kiedy?

- Teraz.

- Chciałem uporządkować materiały rodzinne. Ale to może poczekać.

- Mogę cię równie dobrze gdzie podrzucić albo jechać dalej.

- Jechać dalej dokąd?

- Do domu Kurta Doebblera.

83

- Teraz? - spytał Isaac.

- Teraz jest najlepsza pora.

- Mogę jechać z tobą?

- Jasne.

- No to jedmy - powiedział podekscytowanym głosem. A potem: - Mogę skorzystać z twojego telefonu? Zadzwonię do mamy i powiem, że nie wrócę na obiad.

15

Najbardziej zatłoczona autostrada w całym stanie, pora największych korków.

Od Burbank do Encino na zmianę toczyli się i czekali, rednia prędkość piętnacie na godzinę. Petrze w końcu udało się dopchać do zjazdu na Balboa. Resztę drogi pokonała, jadąc Yentura Boulevard - napotykała zablokowane skrzyżowanie, kierowców w paskudnych nastrojach, zdekoncentrowanych kierowców rozmawiających przez komórki, przerażających ryzykantów.

Kiedy dotarli w końcu do Tarzany, była zbyt zdenerwowana, żeby rozmawiać. Isaac wyjść z teczki książkę i zaczął co w niej zakreślać żółtym markerem. Petra zerknęła mu przez ramię, zobaczyła strony pełne równań, i obiecała sobie, że więcej tam nie zajrzy. W szkole z matematyki szło jej najgorzej. Z wyjątkiem geometrii, bo wtedy do głosu dochodziły jej zdolności plastyczne - była wietna w rysowaniu złożonych wieloboków.

Kto za nią oparł się na klaksonie. Co mam zrobić, kretynie? Przejechać przez cadillaca escalade przede mną?

Uwiadomiła sobie, że ręce bolą już od ciskania kierownicy, i wysiłkiem woli je rozluźniła.

Isaac się umiechnął. Co mogło być zabawnego w równaniach?

- To właśnie jest najbardziej ekscytujące w pracy policjanta - powiedziała. Jego umiech stał się jeszcze szerszy.

- Mnie się podoba.

- Naprawdę?

- Przynajmniej jest czas, żeby pomyleć.

- To się nazywa racjonalizacja - mruknęła.

84

Isaac podniósł wzrok znad książki.

- Właściwie w ogóle wszystko w twojej pracy mi się podoba.

Dom Kurta Doebblera przy Rosita Avenue, jasnoszary, piętrowy, tradycyjny budynek, stał w zagłębieniu terenu; posesje za nim były położone wyżej. Podjazd był z cegieł i asfaltu. Drzwi i okiennice miały kolor ciemniejszej szaroci. Przed domem stał lniący czystościś infiniti Doebblera w kolorze szampana, a przed nim zaparkowana toyota, pokryta warstwą kurzu, z jedną oponą bez powietrza.

Drzwi otworzył sympatycznie wyglądający mężczyzna. Wysoki, w wieku trzydziestu kilku - czterdziestu lat, barczysty, dobrze zbudowany, z gęstą grzywą falistych czarnych włosów, siwiejących na skroniach. Miał wydatny podbródek i nos, szerokie usta. Zmarszczki od słońca, takie, z którymi niektórym mężczyznom jest do twarzy. Petra nie potrafiła wyobrazić sobie kobiety, którą upiększałaby starsze się skóra.

Mężczyzna miał na sobie lniący, kraciasty koszulę z rękawami zawiniętymi do łokci, spłowiałe dżinsy i białe adidas. W jednym ręku trzymał talerz, w drugim ciekę do wycierania naczyń. Talerz był mokry. Samotny tata przy kuchennych obowiązkach?

Z wnętrza domu Petre doszedł zapach pieczystego. Już po obiedzie. Aż tyle czasu jechali. Sama by co zjadła.

- PanDoebbler?

- Tak. - Przyjazne, piwne oczy, lekko przygarbiona postawa. lady na nosie mówiły, że nosi okulary. Na szyi miał kilka drobnych skaleczeń po goleniu.

Jak dotąd, nic dziwnego. Zobaczmy, jak zareaguje, kiedy zobaczy odznakę.

Umiechnął się.

- Myślałem, że jesteście państwo wiadkami Jehowy. - Spojrzał na Isaaca. Petra zrozumiała, o co mu chodziło.

- Jaka skarga sąsiadów? - zapytał Doebbler.

- Jestem detektywem z wydziału zabójstw w Hollywood Division, proszę pana. Zajmuję się morderstwem pana żony.

- Mojej żony? - Umiech w końcu spełzył z jego twarzy. - Przykro mi, chodzi państwu o mojego brata Kurta. Jestem Thad Doebbler.

- Pan też tu mieszka?

- Nie, mieszkam w San Francisco, przyjechałem tu w interesach. Kurt nie pozwolił mi zatrzymać się w hotelu. Otwieracie państwo na nowo sprawę Marty?

85

- Sprawa Marty nigdy nie została zamknięta, proszę pana.

- Aha... Pójdę po Kurta. Jest na górze z Katiš, pomaga jej w lekcjach. Proszę wejść.

Petra i Isaac weszli za nim przez mały, pusty przedpokój do skromnego salonu. Dalej widać było wąski korytarz prowadzący do kuchni.

- Chwileczkę - powiedział Thad Doebbler, pobiegł do kuchni i wrócił bez talerza i cierki. Po lewej stronie były zakręcające w prawo, dębowe schody.

- Nie chciałbym się wtrącać, pani detektyw, ale mój brat... radził sobie całkiem niele przez ostatnie kilka lat. Wyszło na jaw co nowego? Mogę mu to powiedzieć?

- To nic takiego - odparła Petra. - Staramy się tylko podokonać stare sprawy. Poruszył ramionami.

- Jasne. Proszę się rozgocic, pójdę powiedzieć Kurtowi, że państwo jesteście.

Petra i Isaac siedli na przeciwnych końcach ponaddwumetrowej kanapy. Bardzo miękkiej kanapy, z kosmatym obiciem. Biała bawełna z nadrukowanymi olbrzymimi czerwonymi różami i wijącym się zielonym pnączem. Miękkie poręcze, szwy z zakładką, złoto-czerwony pasek na dole. Naprzeciwko kanapy stały dwa skórzane fotele, najczarniejsze, jakie Petra w życiu widziała. Czarna skóra obciśnięta była na chromowanych ramach.

Na rodku nie było stolika, tylko spłowiała brązowa otomana, na której leżały pilot od telewizora i tacka na chrupki.

Cały pokój taki był, kobieca ręka współistniała niepewnie z oczywistymi ładami męskiej bytności. Jedną cianę zajmował wielki telewizor, chyba siedemdziesięciocalowy, i prawie puste regały na książki. Obok stał antyczny stolik nakryty koronką. Na białych cianach wisiały reprodukcje martwych natur flamandzkich mistrzów, obok dwóch olbrzymich, oprawnych w mosiędz zdjęć startujących promów kosmicznych i jednego przedstawiającego myliwiec mknący przez błękit nieba. Wykładzina na podłodze była szara - w takim samym odcieniu jak dom - i wyglądała, jakby już dawno nikt jej nie prał. W powietrzu wciśz unosił się ciężki zapach pieczonego mięsa.

Mężczyzna, który zszedł na dół po schodach, był jeszcze wyższy od Thada Doebblera - na oko Petry mierzył ze dwa metry. Był też szczuplejszy. Miał takie same, bujne, faliste włosy jak jego młodszy brat, ale zupełnie siwe. Ciemniejszą cerę. Grube okulary w srebrnych oprawkach.

86

Wielkie dłonie, zwisające wzdłuż boków. Podobne rysy twarzy, ale ó nim trudno by powiedzieć, że jest przystojny.

Był ubrany w białą koszulkę polo, brązowe spodnie, czarne buty.

Zatrzymał się w tym samym miejscu, co jego brat. Stał i patrzył na nich. Przez nich.

- Pan Doebbler? - spytała Petra.

- Już to pani przecież wie. - Czemu takiemu powinien towarzyszyć umiech. Kurt Doebbler tylko się gapił.

- Przepraszam, że pana tak nachodzimy. Milczał.

- Ma pan czas porozmawiać?

- O Marcie.

- Tak.

Doebbler złączył dłonie, spojrzął w sufit, jakby szukał boskiego natchnienia. Petra wiedziała, że takie gesty mogły zapowiadać kłamstwo.

- A o czym konkretnie? - spytał.

- Wiem, że to trudne, proszę pana, i przykro mi, że...

- Jasne, porozmawiajmy - powiedział. - Dlaczego nie?

Usiadł na jednym z czarnych foteli, sztywno wyprostowany, z rękami przy sobie i złączonymi nogami. Miał kociste kolana. Lniśce, brązowe spodnie z podwójnie tkanej wełny - kiedy ostatni raz widziała co takiego?

- Pytanie może się wydać głupie - zaczęła - ale czy jest co, co dotyczy Marty i czego nie powiedział pan pierwszemu detektywowi sześć lat temu?

- Conradowi Ballou - powiedział Doebbler. Wyrecytował numer telefonu, a Petra poznała wewnętrzny numer jej posterunku. - Często do niego dzwoniłem. Czasami nawet oddzwaniał.

Nawet na siedzisko był dość wysoki, by patrzeć gdzie ponad linię wzroku Petry. Czowała się przez to mała.

- Czy co...

- Był pijakiem - powiedział Doebbler. - Cuchnął alkoholem. Tamtej nocy, kiedy przyszedł mnie powiadomić, cały mierział. Powinienem być złożyć skargę. Ciśgle pracuje jako detektyw?

- Nie, proszę pana. Przeszedł na emeryturę. Doebbler nie poruszył się, nawet nie mrugnął okiem.

- Wolał pan detektywa Martineza?

- Kogo?

- Drugiego detektywa, przydzielonego do tej sprawy.

87

- Jedyńm detektywem, z którym rozmawiałem, i to nie za często, był Ballou. - Usta Doebblera wygięły się nagle w bardzo nieprzyjemny umiech. Trudno było nawet nazwać to umiechem. - Najwyraniej jesteście wietnie zorganizowani.

~ Wiem, że to trudne, panie Doebbler...

- Nie trudne. Daremne.

~ Tamtego dnia, kiedy zniknęła pana żona, był pan tutaj.

Nle odpowiedział.

- Proszę pana?



~ To było twierdzenie, a nie pytanie.

~ Czy to prawdziwe twierdzenie?

- Tak.

~ co pan robił?

- Zajmowałem się pracą domową.

- Z córką?

- Córkę spała. Mój też pracował.

- Uczył się pan?

- Zabieram pracę do domu. Nie pracuję tylko od dziewiętej do piątej.

- Komputery.

~ Projektuję oprogramowanie lotnicze i kosmiczne.

- Jakiego rodzaju?

- Systemy naprowadzania, zintegrowane systemy śledzenia statków kosmicznych. - Ton Doebblera jasno dawał do zrozumienia, że Petra nie powinna nawet próbować tego zrozumieć.

- Falowody kołowe? - spytał Isaac. - Akceleratory? Doebbler odwrócił się do niego.

- Akceleratory budują fizycy i inżynierowie. Ja piszę instrukcje, które pozwalają wykorzystać w kontekście człowiek-maszyna.

- Czynniki ludzkie - powiedział Isaac.

Doebbler machnął ręką.

~ To psychologia. - Do Petry: - Dowiedzieliście się czegoś nowego o Marcie czy nie? - Poruszył w górę i w dół jednym kolaniem. Usta miał mocno zacinięte.

- Byłoby mi łatwiej - powiedziała Petra - gdybym wiedziała, jaka Marta była.

- Jaka była?

- Jako człowiek.

- Pyta mnie pani, jakiej muzyki słuchała? Jak lubiła się ubierać? ~ Tego typu rzeczy.

- Lubiała soft-rocka i jaskrawe kolory. Lubiała gwiazdy.

- Astronomię.

- Tak, poza tym traktowała gwiazdy w kategoriach estetycznych. Chciała, żeby wiat był piękny. Była mądra, ale to akurat była głupota.

- Naiwność?

- Głupota. - Doebbler wbił w nią wzrok.

Wyjęła notatnik i ostentacyjnie zaczęła w nim coś zapisywać.

Soft-rock. Jaskrawe kolory.

- Po co tu państwo przyjechali? - spytał.
- Badamy kilka naszych otwartych spraw, chcemy sprawdzić, czy możemy je dokończyć.
- Sprawy Ballou. Badacie je, bo to był pijak, robił poważne błędy, a wy się teraz boicie skandalu.
- Nie, proszę pana. Ogólnie otwartych spraw. Ballou zajmował się tylko Martš.
- Otwartych - powiedział Doebbler. - Eufemistyczne określenie porażki. Dla was Marta to tylko statystyka.
- Nie, proszę pana. Była... człowiekiem. Dlatego chciałabym się dowiedzieć o niej czego więcej. Doebbler jakby się nad tym zastanawiał. Pokręcił głowš.
- Minęło dużo czasu. Nie pamiętam już jej twarzy.
- Tamtego wieczoru, kiedy wyszła, w jakim była nastroju?
- W nastroju? Była w dobrym nastroju.
- I nic nie wskazywało, że zamierza robić co innego, niż tylko obejrzeć przedstawienie?
- Tak mi powiedziała - odparł Doebbler. Jego kolano zaczęło podskakiwać szybciej. Pobielały kłykcie zaciniętych pięci. Pytanie go zabolalo.
- Tak panu powiedziała - powtórzyła jak echo Petra. Milczenie.
- Dwudziesty ósmy czerwca.
- Co w związku z tym?
- Czy tš data ma jakie znaczenie...
- To data zamordowania mojej żony. Co to ma być, jaka gra?
- Proszę pana...

Doebbler się zerwał, trzema długimi krokami dobiegł do schodów. Ruszył na góre, przeskakujšc po dwa stopnie, zatrzymał się w pół drogi.

- Muszę pomóc córce. Sami traficie państwo do drzwi.

I już go nie było. Isaac już się podnosił, ale kiedy zobaczył, że Petra siedzi na miejscu, opadł z powrotem na kanapę. W końcu wstała, a on patrzył, jak chodzi po salonie, zatacza coraz szersze kręgi, zagłšda do

89

korytarza prowadzšcego do kuchni. Przyjrzała się tak wielu szczegółom, ilu mogła, zanim na schodach rozległy kroki. Wtedy gestem wskazała Isaacowi drzwi.

- Przepraszam - powiedział Thad Doebbler, kiedy miała już rękę na klamce. - Kurt żyje w dużym stresie.
- Nowym stresie? - spytała Petra, odwracajšc się do niego.
- Praca. Jest bardzo trudna i odpowiedzialna. Naprawdę nie może państwu powiedzieć o Marcie nic więcej.
- Włanie to panu powiedział? Thad pokręcił głowš.

- Nic nie powiedział, poszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Przepraszam, jeli był trochę... Kurt swoje wycierpiał.

- A pana bratanica? Thad zamrugął oczami.

- Kurt bardzo o niš dba.

- Rozumiem, samotny ojciec i tak dalej - powiedziała Petra. W niektórych kwestiach była ekspertem. Profesor Kenneth Connor był wspaniałym samotnym ojcem. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak musiało wyglądać dorastanie w domu Kurta Doebblera.

- Włanie - przytaknął Thad Doebbler. Petra nacisnęła klamkę i wyszła na zewnątrz.

- Na pewno będzie chciał się dowiedzieć, jeli co państwo odkryjecie - zawołał za nimi Thad.

Nawet na dworze, kiedy szła do samochodu, Petra nie mogła się pozbyć przeladującego jš zapachu pieczeni. Była głodna. Isaac zadzwonił do mamy i powiedział jej, że nie przyjedzie na domowy obiad, ale Petra miała przeczucie, że mama zostawi co dla swojego złotego dziecka.

- Mam cię gdzie podrzucić czy wpadniemy do jakiej knajpy i co przekšsimy?

- Nie jestem głodny, ale pojedę z tobš - odparł Isaac.

Nie był głodny? Petra uwiadomiła sobie, że nigdy nie widziała go jedzšcego. Potem sobie przypomniła: chłopak jedził autobusem, nosił na zmianę te same trzy koszule.

Obiad w restauracji w jego przypadku oznaczał zestaw w McDonalddie od czasu do czasu.

- Jedziemy - powiedziała.

Wybrała restaurację serwujšcš owoce morza i steki, przy granicy Enci-no-Tarzana, bo wyglądała bezpretensjonalnie i wydawała się niezbyt droga.

90

Kiedy przejrzała menu, zauważyła, że ceny sš wyższe, niž myślała. Ale co z tego, miała ochotę na konkret.

Sala jadalna za gwarnym barem była przytulna i ciemna - czerwone obrusy na stolikach, boazeria z ciemnego drewna i zdjęcia ludzi, którzy trzydzieci lat temu byli u progu sławy. Kelnerka, która przyszła ich obsłużyć, była truskawkowš blondynkš, młodš, słodkš i cyncatš. Petra zauważyła, że kobieta przyglšda się Isaacowi, a potem jej, i w jej oczach błyska ciekawoć.

Zastanawia się: Jak to jest między nimi?

Kiedy Isaac odsunął się od Petry, najdalej jak mógł, a Petra zamówiła dla niego jedzenie, tak jak zamawia się je dla dziecka, kelnerka się umiechnęła. Potem zaczęła z nim bezwstydnie flirtować.

Isaac wydawał się nie dostrzegać wszystkich tych umiechów, odrzucania włosów, prężenia pleców i ocierania się o jego ramię obfitym biustem. Umiechał się uprzejmie i dziękował goršco Truskawkowemu Torcikowi za niemal każdy ruch. Kiedy pojawiło się jedzenie, nachylił się nad talerzem, przyjrzał stekowi i w końcu odkroił kawałek.

Porzšdny, gruby kawał delikatnego mięsa. Isaac twierdził, że ma ochotę na hamburgera, ale Petra się uparła, a Truskawka wzięła jej stronę.

- Dobrze robi na koci. - Umiech, ruch rękš, nachylenie, biust.

Niemal odruchowo Petra zamówiła dwa kieliszki burgunda. Psuła dzisiejszš młodzieź. Kiedy kelnerka przyniosła wino, Petra postanowiła darować sobie to całe wšchanie i mieszanie w kieliszku, nie chcšc peszyć chłopaka.

Była głodna jak wilk i zaatakowała talerz, jakby to była twarz Schoelkopfa.

Po chwili pożerania w milczeniu zapytała Isaaca, jak mu smakuje.

- Pyszne. Bardzo dziękuję. - Skończył mięso, mierzył wzrokiem pieczonego ziemniaka wielkości psiego łba.

- Duży - stwierdziła Petra.

- Wielki.

- Pewnie radioaktywny. Wynik złowieszczych manipulacji DNA w Idaho. Isaac się rozemiał. Odkroił kawałek.

- I co mylisz o panu Doebblerze?

- Wrogo nastawiony i aspołeczny. Rozumiem, dlaczego detektyw Ballou nazwał go dziwnym.

- Zauważyła u niego co jeszcze? Isaac chwilę się namylał.

- Jest wyjątkowo nieuczuciowy. I z całą pewnością nie był skłonny do współpracy.

91

- Fakt, nie był - zgodziła się Petra. - Ale to mogło wynikać z tego, że pojawiliśmy się bez zapowiedzi. Po tylu latach bez żadnych efektów, po tym, jak musiał znosić Ballou i Martineza... nie oczekiwałam, że będzie wielkim fanem policji.

Pijak i olewacz. Departament policji w Los Angeles w całość okazałoci. Petra zastanawiała się, czy Isaac o tym pomyślał.

Czy zamierzał o tym wspomnieć w swojej dysertacji?

A jak ona sama dotąd wypadła?

- Na nieszczęście są tacy ludzie jak Ballou i Martinez. Na szczęście są w mniejszości. - Mała Miss Obrończyni. - Intryguje mnie w tym wszystkim to, że pan Kurt Doebbler nie poskarżył się na nich przełożonym. Tyle niechęci, a tłumiał ją w sobie.

Isaac odłożył nóż i widelec.

- Nie poskarżyłby się, gdyby mu zależało, żeby sprawa pozostała nierozwiązana. Petra kiwnęła głową.

- Niesamowite. Nie wpadłabym na to. Chwilę jedli w milczeniu.

- Ta uwaga o tym, że nie pamięta twarzy swojej żony? Czasem ludzie z pogranicznym zaburzeniem osobowości mają problemy z podtrzymywaniem w umyśle obrazów swoich bliskich. Nie umieją się też wzruszyć. Chyba że wydaje im się, że zostali zdradzeni. Jeli tak, potrafisz reagować bardzo emocjonalnie.

- Zdradzeni, czyli na przykład czyja żona ma romans - powiedziała Petra. - Ballou rzucił to mimochodem i nie jestem pewna, czy warto przykładać do tego jakąś wagę.

Isaac pokiwał głową.

- Co to jest pograniczne zaburzenie osobowości? - spytała.

- To zaburzenie psychiatryczne związane z problemami z tożsamością i bliskością, trudność nawiązywania kontaktu z innymi ludźmi. Chorzy są bardziej podatni na kliniczną depresję i łatwiej wpadają w nałogi. Kobiety najczęściej karzą same siebie, ale mężczyźni potrafisz być agresywni.

- Zabijajś żony?

- Nie słyszałem o takim przypadku. Przyszło mi to tylko do głowy.

- Doebbler jest dziwny, zgadza się - Petra usłyszała własny głos - ale kiedy tracisz kogo bliskiego, czas łagodzi ból. Zapominasz. To mechanizm obronny. Nieraz słyszałam, jak krewni ofiar to właśnie mówili.

Mówiła spokojnie, jednocześnie tłumiąc to wszystko, co rozsadało jej wiadomość; wszystkie te godziny spędzone nad zdjęciami. Mama i tata

92

na randce jako studenci. Mama opiekująca się braćmi: noworodkami, niemowlakami, małymi chłopcami. Mama w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, liczna, nad jeziorem Mead. Mimo zdjęć to było wszystko, co potrafiła zrobić, by wskrzesić w pamięci choćby najslabszy obraz kobiety, która umarła, wydając jś na wiat. Jej twarz musiała co zdradzić, bo Isaac wyglądał na zmieszanego.

- Tak czy inaczej - powiedziała - zanim zaczniemy za bardzo analizować psychikę Kurta, pamiętajmy, że jego grupa krwi nie pasuje do próbki zeszkrobanej z fotela, że nie znaleziono absolutnie żadnych dowodów, które łączyłyby go z tś zbrodniś, i że ma swego rodzaju alibi.

Odkroiła kawałek mięsa, ale uznała, że nie jest już głodna.

- A więc co dalej? - spytał Isaac.

- Jeszcze nie wiem. Zakładając, że zajmę się tś sprawś. Którśkolwiek z nich. - Umiechnęła się do niego pojednawczo. - Popatrz, w co mnie wpakowałe.

Następny klasyczny Isaacowy rumieniec. Emocjonalny barometr miał dobrze skalibrowany, wszystko od razu wypływało na wierzch.

Całkowite przeciwieństwo Kurta Doebblera. Tamten był wprost nieludzko opanowany.

- .. przepraszam, jeżeli skomplikowałem... - mówił Isaac.

- Skomplikowałe - potwierdziła Petra. - Ale nie szkodzi. Postąpiłe słusznie. Umilkł. Lekko cisnęła jego ramię.

- Przestań, zabawiłam się tylko twoim kosztem. Udało mu się wykrzesać miniumiech.

- Prawda jest taka - ciśgnęła - że zabieranie się do pół tuzina zimnych spraw, do tego prawdopodobnie nierozwiśzywalnych, nie było czym, co brałam pod uwagę, układając plan dnia. Ale masz rację, podobieństw mamy tu zbyt wiele, żeby je zlekceważyć.

Kiedy do tego doszła?

Schemat powtarzających się ran głowy.

A może wczenej. Może wiedziała od samego pocżtku, ale jakby się przed tym bronila.

- Gdybym to zostawiła - powiedziała - byłabym taka sama jak Ballou albo Martinez. Więc wszystko jest w porzśdku. Okej? Isaac co mruknśł.

- Słucham?

- Mam nadzieję, że ci dobrze pójdzie.

- Pójdzie. W taki albo inny sposób. Tylko posłuchajcie, Mała Miss Karma.

93

- Masz ochotę na deser? - Zanim zdśżył odpowiedzieć, machała już na Małś Miss Truskawkę.

16

Isaac wiedział, że popełnił bład. Poprosił Petrę, żeby wysadziła go na skrzyżowaniu Pico i Union. Niedaleko przystanku, na którym zwykle wysiadał, cztery przecznice od domu. Nie chciał, żeby zobaczyła sklepy monopolowe i opuszczone budynki. Rozsypując

się, drewniane domy, zamienione w noclegownię. Czteropiętrowe stiukowe bryły, takie jak ta, w której mieszkała jego rodzina, poznaczone opryszczkś graffiti.

Matka utrzymywała mieszkanie w nieskazitelnej czystości, a ich kamienica nie była gorsza od innych. Ale i tak wyglądała paskudnie. Czasami jacy zabłąskani bezdomni załatwiali się na klatce schodowej. Kiedy Isaac wchodził po skrzypiących schodach na trzecie piętro, gdzie mieszkał, starał się nie dotykać poręczy. Była malowana tak często, że w dotyku wydawała się galaretowata. I czasem była galaretowata. Kiedy trafiło się dłoniś na przyklepieniś do niej starś gumę do żucia. Albo co gorszego.

Przez krótki okres, na początku studiów, kiedy głowę miał nabitiś biologii i chemii organicznej, Isaac miał w zwyczaju wkładać przed wejściem do budynku plastikowe rękawiczki. Zawsze pamiętał, żeby zdjąć je i wyrzucić, zanim wstąpi w próg matczynej domeny.

Hałas, zapachy. Zazwyczaj udawało mu się nie zwracać na nie uwagi.

Tego ranka, kiedy wychodził na zajęcia, zauważył, że fronton domu wygląda wyjątkowo obskurnie.

Nocami potrafił o tym wszystkim zapomnieć; pozwalał myłom dryfować ku statecznym drzewom i ceglanemu urokowi uniwersytetu, ku aromatowi starego papieru, wypełniającemu Bibliotekę Doheny'ego.

Ku innemu życiu.

Życiu, które być może którego dnia będzie jego. Być może.

Kogo chciał oszukać? Petra była bystra, musiała wiedzieć, że rodzina Gomezów nie mieszka w rezydencji.

Mimo to mył, że mogłaby zobaczyć jego dom, jako go odrzucała.

Dlatego poszedł na piechotę.

Skręt w prawo przy nocnym sklepie z alkoholem, ulubionym przez starych żuli, potem ciemne, boczne uliczki, obok zaułków, zasłanych jak zwykle bezdomnymi, narkomanami i pijakami.

94

Biernymi w swoim nieszczęściu. Z niektórymi rozmawiał. Czasami dawał im resztki drugiego niadania. Mama i tak zawsze pakowała mu go za dużo.

Większość ignorował, a oni odwzajemniali się tym samym.

Robił tak od wielu lat, nigdy nie miał żadnych problemów.

Dzisiaj miał.

Nie zauważył ich, dopóki nie zaczęli się miać.

Ochryple, wysokie pohukiwanie z tyłu, za nim. Blisko. Kiedy zaczęli za nim ić? Był aż tak rozkojarzony?

Zamylił się: Marta Doebbler. Kurt Doebbler.

Dwudziesty ósmy czerwca coraz bliżej.

Petra. Te ciemne oczy. To, jak zabrała się do olbrzymiego steku. Zatakowała go... smukłe, ale silne dłonie. Agresja, ale bardzo kobieca.

Znów miech. Bliżej. Obejrzał się przez ramię i zobaczył ich, kiedy przechodzili przez krąg wiatła latarni.

Trzech. Wyluzowane, rozchichotane towarzystwo, niecałe dziesięć metrów za nim.

Trajkotali. Pokazywali go palcami i wpadali na siebie. Rechotali. Mówili po hiszpańsku z meksykańskim akcentem, przetykając go

angielskim fuck w roli rzeczownika, czasownika i przymiotnika.

Przyspieszył kroku, zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie w tył.

Szły po zaokrąglonych zarysach głów, ogolone czaszki. Niewysocy. Luno ubrania.

Jeden z nich machnął pięścią w górę i zawył. Sopranem jak dziewczyna.

Może nic do niego nie mieli. Może po prostu przypadkiem szli tą samą ulicą.

Szurali i wpadali na siebie. Mieli młode głosy. Bełkotliwe. Gówniarze. Naćpali się czego.

Jeszcze dwie przecznice do domu. Odwrócił się.

Szli za nim.

Przyspieszył.

- Yo. Maricon - zawołał któryś.

Nazwali go ciotą.

Przez tyle lat, chociaż okolica była paskudna, nigdy co takiego go nie spotkało. Zazwyczaj był w domu o ósmej. Ale teraz było dobrze po dziesiątej. Wrócił z Petrą późno na posterunek, jeszcze chwilę tam siedzieli. Udawał, że nie zwraca na nich uwagi, kiedy pracowała przy swoim biurku.

Sam udawał, że pracuje. Chciał po prostu tam być. Być w jej otoczeniu.

95

Petra.

Dzień przemknął tak szybko. Jedził z nią, obserwował ją, słuchał. Poznawał niuanse pracy detektywa, rzeczy, których nie mógł przekazać za-j den podręcznik. Kiedy go o to prosiła, mówił, co myli - a pytała go o wiele częściej, niż się spodziewał.

Była po prostu uprzejma czy naprawdę uważała, że on ma co do zaoferowania?

Musiałoby chodzić o to drugie: Petra nie znosiła głupich.

- Yo, ty, Maricon! Hej, pedale, która godzina?

Isaac szedł.

Jeszcze jedna przecznica.

Obiad, deser, espresso - nigdy nie pił takiej kawy. Nawet w uniwersyteckim klubie, gdzie czasami zapraszał go na obiad doktor Gompertz, nie mieli tak dobrej kawy.

- Hej, ty, puto, gdzie ci się tak spieszy?

Zaczął biec i usłyszał, że tamci z wyciem i pohukiwaniem ruszyli za nim. Przyspieszył, nagle zlany na całym ciele lepkiem potem.

Dzięki Bogu, że Petra tego nie widzi.

Co uderzyło go z tyłu, nisko w plecy. W nerki. Twardy bucior. Przeszył go ból, potknął się, udało mu się nie upaść, ale wypadł z rytmu i kiedy jego nogi znów były gotowe biec, kto wyszarpywał mu teczkę.

Jego notatki. Laptop. Trzymał mocno, ale inna rozcapierzona ręka drapała jego szyję; kiedy się uchylił, teczka wysunęła mu się z dłoni.

Zatrask pucił, rozsypały się papiery. Komputer, ciężki, został w rodku.

Ręczne obliczenia leżały nieruchomo na chodniku. Całe strony analizy regresji wielorakiej subetnicznych populacji rejonów o wysokiej przestępczoci. Nie miał czasu wprowadzić tego wszystkiego do komputera i zapisać na dysku, głupi, głupi! Gdyby je stracił, oznaczałoby to kolejne godziny w...

Pięć - twarde, ostre kłykcie - otarła się o bok jego głowy. Zachwiał się i odskoczył w tył.

Odzyskał równowagę, cofnął się, stanął z nimi twarzą w twarz.

Byli młodsi, niż myślał. Czternacie, piętnacie lat. Małe dzieci getta, dwóch chudych, jeden grubszy. W tym samym wieku co kuzyn Samueli-to. Ale Sammy był grzecznym chłopcem, chodził do kociola, a ci trzej to byli łysi gówniarze w spodniach z krokiem w kolanach.

Dzieciaki - marne to pocieszenie. Nastolatki potrafią być najniebezpieczniejszymi socjopatami. Słaba kontrola nad impulsami, niedostatecznie rozwinięte sumienie. Czytał, że jeśli nie zmieni się ich postępowania, zanim ukończą dwanaście lat...

96

Otaczali go, trio złych karłów, szurających nogami, przeklinających i chichoczących. Obrócił się, starając się chronić plecy. Miejsce na policzku, gdzie trafiła go pięć, szczypało i robiło się coraz gorętsze.

Najgrubszy z trójki rozstawił szeroko nogi i podniósł pięci. Małe pięci. Jak z Olivera Twista.

Nocna bryza dmuchnęła wzdłuż ulicy, zakotłowały się kartki obliczeń.

- Dawaj, kurwa, kasę, puto - ryknął gruby. Nosowy głos, dopiero po mutacji.

Pojedynczo byłby w stanie stłuc każdego z nich do nieprzytomności. Ale trzech... Kiedy rozważał możliwości, jeden z nich, najmniejszy, machnął dłonią, w której błysnęło coś metalowego.

O, Boże, pistolet?

Nie, nóż. Leżał płasko na otwartej dłoni. Dzieciak zataczał nią małe łuki.

- Pokroję cię, puto.

Isaac cofnął się jeszcze bardziej. Znow powiał wiatr; jedna z kartek poleciała kilka metrów dalej.

- Dawaj, kurwa, kasę, czy mamy cię, kurwa, pokroić?! - wrzasnął gruby. Głos mu się łamał, pisał.

Dać się wypatroszyć idiotcie bez włosów łonowych... Mały z nożem tanecznym krokiem przysunął się bliżej. Wszedł w krąg wiatła i Isaac zobaczył wyranie broń. Sprężynowiec, tandetna zabawka, ciemna, plastikowa rękojeść, może pięciocentymetrowe rozkładane ostrze. Chłopak miał chudy delikatny nadgarstek. mierział, wszyscy trzej mierzcieli. Niepranym ubraniem, marykś i rozhulanymi hormonami.

Naćpani mali socjopaci. Sytuacja wyglądała nieciekawie. Na myl o tym głupim, małym nożyku, wbijającym się w jego ciało, Isaac się wciekł.

Wyciągnął swój policyjny identyfikator stażysty.

- Policja, gnoje. Wlećcie prosto w zasadzkę.

Miał nadzieję, że oglądali telewizję. Że byli aż tak głupi.

Nanosekunda ciszy.

Ochryple:



- He?

- Policja, skurwysyny - powtórzył głoniej, warkotliwym barytonem z samego dna piersi. Sięgnął do innej kieszeni, wyjął etui na długopis, bo było ciemne i mniej więcej odpowiedniej wielkości, przycisnął je do ust.

- Tu funkcjonariusz Gomez, wzywam wsparcie. Mam trzech młodocianych, podejrzani o trzy-jedenacie. Pewnie też narkotyki. Przytrzymam ich tu.

- Kurwa - powiedział gruby. Jakby zabrakło mu tchu.

7 - Pokrętny umysł

97

Isaac uwiadomił sobie, że nie podał nawet adresu. Czy to możliwe, że byli aż tak głupi?

Chudy popatrzył na nóż. Miał ponurś, maśś twarz jeżozwierza. Zastanawiał się.

Drugi, ten który nic nie powiedział ani nie zrobił, zaczął się cofać.

- A ty dokśd, gówniarzu? - zawołał Isaac.

Dzieciak uciekł.

Zostało dwóch. Większe szansę. Nawet jeli jeden miał nóż, Isaac miał szansę wyjć z tego tylko dranięty.

Gruby kołysał się na piętach. Chudy cofnął się, ale nie zamierzał uciekać. To on był bardziej niebezpieczny, w jego organizmie nie było doć strachu. I to właśnie on musiał mieć nóż.

Dlatego go miał.

Isaac znów podniósł etui. Tym razem wyciśgnął rękę. Ruszył w stronę chudego, celując w niego z plastikowego pudełka.

- Rzuć ten pilnik, młody, i, kurwa, wal na ziemię, zanim ci odstrzelę dupę. Ale już! Gruby odwrócił się i uciekł.

Chudy cały czas rozważał szansę. Rzucił w Isaaca nożem. Ostrze mignęło mu obok twarzy, o centymetry mijając lewe oko.

- Już po tobie, skurwysynu! - ryknął Isaac. Chłopak prysnął.

Stał w ciszy. Obrzydliwej ciszy; zostawili po sobie swój smród.

Odczekał, aż się upewnił, że ich nie ma; dopiero wtedy zaczął normalnie oddychać. Pozbierał papiery, wepchnął je z powrotem do teczki. Potem sprintem przecisnął przecznicę dzieląc go od jego kamienicy. Wbiegł za niś ze ciniętym sercem i żośdkiem w gardle, zmrożony dreszczami opadającej adrenaliny.

Oparł się o cianę, po kostki w rosnącym tam zielsku. Dyszał. Pomyślał, że już po wszystkim.

Nie było po wszystkim. Zaczął wymiotować i nie przestał, dopóki nie zaczęła, go w gardle palić żółć.

Kiedy zwrócił już cały obiad, splunął i ruszył do domu.

Następnego dnia, przed podróżś autobusem na posterunek w Hollywood, zamierzał odwiedzić Jaramilla.

Dawno temu, przed Akademiś Burtona, przed wszystkimi dziwnymi, wspaniałymi, przerażającymi zakrętami, jakie pokonało jego życie, on i Jaramillo byli przyjaciółmi.

Może to się na co zda.

98

Dziwne zachowanie Kurta Doebblera zakodowało się w głowie Petry i kiedy po kilku dniach wciśz nic nie wskórała w sprawie Paradiso, odkryła, że znów o nim myli.

Włanie minęła dwunasta; Isaaca ani ladu.

Eric się nie odzywał. A Bob Katzman, doktor o łagodnym głosie, nie oddzwonił.

Dlaczego Doebbler nie złożył skargi na pijaństwo i niekompetencję Ballou?

Im więcej myślała o tym, jak niedbale poprowadzono tę sprawę, tym mniej zaufania miała do spisanych wtedy akt.

Na przykład krew w samochodzie Marty Doebbler - zero Rh plus. A Doebbler miał zero Rh minus. Według Ballou.

Ile były warte jego zapewnienia?

Przekartkowała akta, w końcu znalazła notatkę o próbce w zapisanym drobnym pismem załączniku koronera.

Postanowiła jś odnaleźć.

Biuro koronera było pewne, że jama. Aż nagle pracujący tam urzędnik stwierdził, że wcale nie. Została przekazana ledczemu biura koronera, niejakiemu panu Ballard, mężczyźnie o młodym głosie.

- Hm - powiedział. - Powinna być w dziale bio waszego magazynu dowodów. W Parker. Mój magazyn dowodów.

- Powinna być - powtórzyła Petra.

- Cóż, nie ma wpisu, że jś stśd zabrano, ale jej tu nie ma, więc gdzie musiała trafić, prawda?

- Chyba że zginęła.

- Mam nadzieję, że nie. Parker miało jaki czas temu problemy z katalogowaniem materiałów dowodowych, pamięta pani? Zginęły jakie próbki, kto co zepsuł.

Nie słyszała o tym. Kolejna wyspa, która jakim cudem nie znalazła się w wieczornym wydaniu wiadomości.

- Gdzie jeszcze może być?-spytała.

- Nic mi nie przychodzi do głowy. A, mogła jeszcze zostać wysłana do Departamentu Sprawiedliwoci na analizę DNA. Ale nawet w takim przypadku zatrzymalibymy większość tu, a im wysłali tylko odrobinę. Chyba że byłoby tego za mało, żeby to jeszcze dzielić... Tak, mogło tak być... O, proszę, mam. Dwa centymetry na półtora. Zapisano, że krew była

99

przyschnięta do kwadratowego kawałka tapicerki. Czyli próbka była cienka, prawdopodobnie mieliby tylko kilka płatków, W takim razie możliwe, że departament dostał całość. Dlaczego pani o to pyta?

- Dla zabawy - odparła Petra, rozłszyła się i zadzwoniła do Sacramento.

Laboratorium Departamentu Sprawiedliwoci nie miało żadnej notatki na temat przyjęcia do analizy próbki z morderstwa Marty Doebbler. Magazyn Materiałów Dowodowych Parker's Center też nie wpisał jej w ewidencję.

Wielka wpadka, ale nikt nie przyznaje się do winy.

Czas przyjrzeć się dokładniej pozostałym morderstwom dwudziestego ósmego czerwca.

W księżce morderstw Geralda Solisa Petra znalazła interesującś notatkę detektywa Jacka Hustaada: według córki Solisa, jej ojciec spodziewał się serwisanta kablówki w dniu, w którym został zabity.

Nic nie wiadczyło, że Hustaad poszedł tym tropem.

Petra zadzwoniła do Wilshire Division i dowiedziała się, że w przeciwieństwie do przypadków z Hollywood sprawę Solisa po samobójstwie Hustaada przydzielono komu innemu. Ale dopiero dwa lata po morderstwie. Hustaad przez cały ten czas musiał trzymać akta u siebie, włącznie z trzymiesięcznym okresem między odejciem na urlop zdrowotny a samobójstwem. Tydzień po jego pogrzebie sprawę Solisa przekazano Scot-towi Weberowi, detektywowi pierwszej klasy.

Weber ciśnie pracował w Wilshire i Petra do niego zadzwoniła.

- Nie udało mi się nic z tym zrobić - powiedział. - Dlaczego pani o to pyta?

Opowiedziała mu o podobieństwach kilku starych spraw, o ranie głowy Marty Doebbler, nie wspomniała nic o innych morderstwach dwudziestego ósmego czerwca. Weber chciał dowiedzieć się więcej, ale kiedy podała mu kilka szczegółów, stracił zainteresowanie.

- Nic mi się tu nie zgadza - powiedział. - Ludzie czasami dostają po głowie. Nie tak znów często ze śmiertelnym skutkiem. Według mojego eksperta.

- To prawda - zgodziła się.

- Jakś broń pani podejrzewa?

- Rurę.

- To samo w przypadku Solisa - odparł Weber. - Ma pani jakie konkretne lady? Tylko próbkę krwi, która zginęła.

100

- Na razie nie.

Dlaczego nie chciała powiedzieć całej prawdy innemu detektywowi? Dlatego że cały czas miała wstpliwoci.

- To chyba tyle - zakończył Weber.

- Jeszcze jedno pytanie. Znalazłam notatkę o serwisancie kablówki...

- Ma pani kopię akt?

- Jeden z naszych stażystów pisze pracę, znalazł je i skopiował.

- U nas?

- Chyba z kopii w Parker.

- Och... No tak, mogli jś skopiować, w zasadzie od dawna jest zimna.

- Serwisant - przypomniała.

- W pani sprawach też się pojawiał? - spytał Weber.

- Nie, zastanawiałam się tylko, czy to do czego prowadzi, ale najwyraniej ...

- Zastanawia się pani, czy to sprawdziłem. - Weber się rozemiał, ale nie zabrzmiało to przyjanie. - Sprawdziłem. Chociaż dostałem sprawę cholerne dwa lata póniej. Operator kablówki nic nie wiedział o żadnej wizycie serwisanta. Rozmawiałem z córką Solisa, wyszło na to, że wydawało jej się, że jej stary co powiedział. Wyszło na to, że nikt nie widział żadnej furgonetki serwisanta w pobliżu domu. W porzřdku?

- W porzřdku - powiedziała Petra. - Przepraszam, jeli...

- Nic nie mogłem z tym zrobić - przerwał Weber. - Sprawa trafiła do zamrażarki.

Nie było żadnej umówionej wizyty serwisanta. Czy to oznaczało, że Geraldo Solis spodziewał się gościa po fałszywym telefonie? Jeli tak, można to było jako powiśzać z telefonem z budki, który wywabił Martę Doebbler z teatru.

Wizyta serwisanta o północy?

Petra przypomniała sobie zdarzenie, które sama przeżyła i które jś przestraszyło. Dwa lata temu, w samym rodku tygodniowego urlopu, o jedenastej wieczorem z łóżka wyrwał jś dzwonek do drzwi. Jaki dowcipni twierdził, że jest kurierem UPS. Petra kazała mu sobie ić, on się upierał, mówił, że potrzebuje pokwitowania przesyłki. Petra wzięła pistolet, zarzuciła szlafrok i uchylila drzwi. Zobaczyła za nimi wymiętego zombie w brązowym uniformie. Rzeczywicie był to posłaniec UPS z paczkš. W paczce były ciasteczka od jednej z przyrodnich sióstr Petry.

- Spóniłem się - tłumaczył się. Przepiępował z nogi na nogę, niecierpliwie tupał. Nie zauważył nawet dziewięciomilimetrówki, którą Petra trzymała przy prawym boku.

Wiedziała, że firmy kurierskie sš wymagajšce wobec swoich kierowców, ale ten facet wyglšdał, jakby miał za chwilę eksplodować.

A więc co takiego jest możliwe. Morderca dzwoni do Geralda Solisa, podaje się za serwisanta kablówki, przyjeżdża w nocy, Solis otwiera drzwi. To, że w okolicy nie było furgonetki, o niczym nie wiadczy. O tej porze, w cichym sšsiedztwie, kto by jš zauważył?

Adres i telefon córki Geralda Solisa były sumiennie wpisane do ksižki morderstwa. Maria Solis Murphy, lat trzydzieci dziewięć, Covina. Według danych wydziału komunikacji cišgle mieszkała w mieście. W samym Hollywood, na Russell Street przy Los Feliz.

Numer telefonu do jej pracy należał do działu aprowizacji Kaiser Per-manente Hospital. Też w Hollywood, niedaleko Russell.

Była w pracy, podeszła do telefonu, umówiła się z Petrš przed szpitalem za dwadziecia minut. Kiedy Petra dotarła na miejsce, ona już tam była.

Wysportowana, ładna, o krótkich ciemnych włosach z rozjanionymi końcówkami; ubrana w jasnoniebieskš sukienkę, białe skarpetki i tenisówki. W jednym uchu trzy kolczyki z metalowych kótek, w drugim mały, złoty kolczyk z brylantem. Na lewej kostce wytatuowana róża. Wyglšdało to doć prowokacyjnie jak na kobietę pod czterdziestkę - kobietę ze złotš małżeńskš obršczkš na palcu - ale Maria Murphy miała gładkš twarz i sprężysty krok kogo, kto regularnie uprawia aerobik. Ubrana w odpowiednie ciuchy mogłaby uchodzić za dwudziestopięciolatkę.

Na identyfikatorze miała napisane: MAGISTER M. MURPHY, ZAREJESTROWANY DIETETYK. Bardzo smukłe ciało. Chłopięce biodra. Efekt witamin?

- Pani detektyw? - powiedziała lekko ochrypłym głosem.

- Pani Murphy.

- Jeli nie ma pani nic przeciwko temu, przydałby mi się mały spacer. Muszę rozprostować koci.

Poszły na zachód Sunset, minęły szpital, kilka fast foodów, sklepy z protezami, gabinety rehabilitacji i butiki dostawców materiałów lnianych, którzy zawsze trzymajš się blisko szpitali. Western Peds, w którym leczono chorš na białaczkę Sandrę Leon, znajdował się kilka przecznic na wschód. Co z tym doktorem Katzmanem?

- Jestem bardzo wdzięczna, że otwieracie państwo na nowo sprawę mojego taty.

- To nie do końca tak, pani Murphy. Jestem detektywem z Hollywood i trafiła mi się sprawa, która być może ma co wspólnego z morderstwem pani ojca. Ale podobieństwa nie sš uderzajšce, mówimy tu o drobnych szczegółach.

102

- Na przykład jakich?

- Nie wolno mi tego ujawniać, proszę pani. Przykro mi.

- Rozumiem - odparła Maria Murphy. - To ja znalazłam ciało taty. Nigdy tego nie zapomnę.

O tym też napisano w aktach. Geraldo Solis został znaleziony z twarzš w talerzu około pierwszej w nocy. Petra spytała Marię, po co wpadła do niego tak póno.

- Nie wpadłam. Mieszkałam tam. Chwilowo.

- Chwilowo?

- Byłam wtedy zamężna i mielimy z mężem problemy. Od czasu do czasu przemieszkiwałam u taty. Petra zerknęła na złotš obršczkę Murphy.

- To od mojej partnerki. Ma na imię Bella. - Maria się umiechnęła. Petra wyczuła, że Murphy przyglšda jej się badawczo, ocenia jej

poziom tolerancji.

- A więc pani i pani mąż macie problemy małżeńskie?

- Zmieniłam zasady w połowie drogi - wyjaniła Murphy. - Dave, mój mąż, był porządny facetem. To ja dałam sygnał do rozstania. Miałam wtedy sporą hutawkę nastrojów.

- Jak on na to zareagował?

- Nie był najszcześliwszy - przyznała Murphy.

- Rozgniewał się?

Nie wypadając z rytmu marszu, Maria gwałtownie odwróciła się do Petry.

- To nie było tak, niech pani tak nawet nie myli. Dave i tata wietnie się dogadywali. Jeli chce pani znać prawdę, tata i Dave mieli ze sobą więcej wspólnego niż ze mną. Za każdym razem, kiedy się kłóciliśmy, tata brał stronę Dave'a. Nie mógł uwierzyć, że ja co takiego robię, nie rozumiał dlaczego. Cała rodzina nie chciała tego przyjść do wiadomości.

- Ma pani dużą rodzinę? - spytała Petra.

- Dwóch braci, dwie siostry. Mama zmarła już dość dawno. Kiedy jeszcze żyła, hamowałam się. Nie chciałam jej zranić. Kiedy się ujawniłam, wszyscy sprzysięgli się przeciwko mnie, chcieli, żebym poszła do psychologa. A ja chodziłam już od dwóch lat, o czym oni nie wiedzieli.

- Nie chciała pani zranić matki, ale ojciec...

- Widzę, że zmierza pani prosto do celu - powiedziała Murphy. - Nigdy nie byłam z tatą blisko. Zawsze pracował, zawsze był zajęty. Nie miałam mu tego za złe, robił, co musiał, po prostu nie byliśmy blisko. Nawet kiedy zaczęłam z nim mieszkać, mieliśmy sobie bardzo mało do powiedzenia.

103

Wzdrygnęła się, odetchnęła przez zacinięte zęby, przyspieszyła kroku.

- Jak długo pani z nim mieszkała?

- Różnie, od czasu do czasu - odparła wymijająco. - Może miesiść. Większość rzeczy trzymałam u siebie w domu, do taty przywoziłam tylko trochę ubrań, żebym miała w co się przebrać. Powiedziałam mu, że pracuję na drugą zmianę i nie chcę wracać, zmęczona, samochodem do domu. Tata mieszkał o wiele bliżej szpitala.

Z Coviny do Hollywood jechało się co najmniej godzinę, dłużej z powodu korków. Droga z domu Solisa na Ogden przy Olympic była w porównaniu z tym spacerem, więc taka wymówka brzmiała prawdopodobnie.

- Kiedy powiedziała pani ojcu prawdę? - spytała Petra.

- Nie powiedziałam. Zrobiło to rodzeństwo. Kilka dni przed morderstwem.

- ADave?

- Dave już wiedział. Nie był zły, był smutny. Przybity. Niech pani o to nie pyta. Naprawdę.

Petra postanowiła porozmawiać z Dave'em Murphym, i to jak najszybciej. Pokiwała głową, starając się sprawiać wrażenie wyrozumiałej.

- Czy odkąd rozmawiała pani z tamtymi detektywami, przyszło pani do głowy co, co dotyczyłoby morderstwa pani ojca?

- Rozmawiałam tylko z jednym detektywem - powiedziała Murphy. -Z takim potężnym, przyciężkim Skandynawem.

- Z detektywem Hustaadem.

- Tak, właśnie z nim. Wydawał się miły. Paskudnie kaszłał. Póniej zadzwonił do mnie i powiedział, że ma raka, że idzie na leczenie. Obiecał dopilnować, by sprawę taty przekazano komu innemu. Było mi go strasznie żal. Ten kaszel nie wróżył dobrze.

- Sprawę przejął detektyw Weber. Nigdy z paniś nie rozmawiał?

- Kto do mnie dzwonił. Raz. Ale długo po... Kilka lat po tym, jak Hustaad zachorował. Telefonowałam kilka razy na posterunek; szczerze mówiąc, niezbyt często, miałam własne sprawy na głowie. Kiedy nikt do mnie nie oddzwonił, dałam sobie spokój...

- Co powiedział pani detektyw Weber?

- Powiedział, że przejmuje sprawę taty, ale potem już się nie odezwał. Chyba powinnam była go przycisnąć. Doszłam do wniosku, że skoro od razu nie pojawiły się żadne tropy, trudno będzie to rozwiśzać. Nieznajomy i tak dalej.

- Nieznajomy?

- Włamywacz - wyjanała Murphy. - Do tego doszedł Hustaad.

- Czy detektyw Weber o co paniś pytał?

104

- Właćwie nie... Zaraz, tak, pytał, czy tata czekał na serwisanta kablówki. Już to mówiłam detektywowi Hustaadowi. To była jedyna rzecz, jakś powiedziałam detektywowi Hustaadowi, która według mnie miała jakie znaczenie. Nie byłam w najlepszej formie. To znaczy wtedy... Kiedy znalazłam tatę.

Teraz nie było w niej ladu hysterii. Spokojna, rozmowna kobieta. Pogodziona z faktem, że morderstwo jej ojca prawdopodobnie nie zostanie nigdy rozwiśzane.

Petra szła dalej, czekała, aż Maria powie co jeszcze.

- Detektyw Hustaad nie wyglśdał na zaangażowanego - powiedziała Murphy pół przecznicy dalej.

- Zastanawia się pani, czy włożył w rozwiśzywanie tej sprawy tyle energii, ile powinien.

- Nie wiem. Może. Jestem chyba doć rzeczowś osobś.

- To znaczy?

- Umiem akceptować fakty, nawet kiedy to trudne. Jeli to włamywacz zabił tatę, mogliby go złapać tylko wtedy, gdyby zrobił to jeszcze raz, prawda? Co takiego zasugerował detektyw Hustaad. - Odwróciła się do Petry. - Czy w pani sprawie też chodzi o włamywacza, kogo, kto podaje się za serwisanta?

- Na razie jeszcze nic nie wiadomo na pewno, proszę pani.

- Czyli nie powinnam robić sobie nadziei.

- To długi proces.

- Jeli to był włamywacz, to na pewno oryginalny - powiedziała Murphy. - Zabrał tylko jedzenie. wieśś główkę sałaty, trochę białego chleba i dwa kartony cytrynowego jogurtu. To dziwne jak na włamywacza, prawda? Ale detektyw Hustaad powiedział, że czasami tak robiś, wyjadajś jedzenie, żeby oznaczyć swój teren. Uznał, że tamtego co spłoszyło, zanim zdśżył co ukrać. - Wzruszyła ramionami. - Może zabrał gotówkę, nie wiem. Nie sśdzę, bo kiedy tylko tata dostawał jakie pieniśdze, na przykład swójś wojskowś emeryturę, od razu wpłacał je na konto.

Maria zwolniła kroku i Petra dostosowała się do jej tempa. Na Sunset z rykiem pędziły samochody; obie musiały wyminść robotników, którzy wybili w chodniku wielkę dziurę i rozstawili dookoła niej czerwono-bia-łe koźły.

Murphy popatrzyła na mężczyzn w kaskach.

- Tata się tym zajmował. Pracował na budowie po tym, jak odszedł z marines. Potem założył własną firmę. Sklep z oponami w Culver City. Kiedy splajtował, miał sześćdziesiąt pięć lat; powiedział, że ma dość. Od tamtej pory głównie oglądał telewizję.

105

- Dobrze pani zapamiętała, co zabrano z lodówki - zauważyła Petra.

- Bo to było moje jedzenie. Kupiłam je poprzedniego dnia. Tata wolał coś takiego jak chorizo ze smażonymi ziemniakami. miał się z tego, co jem. Nazywał to karmś dla królików.

Ból w jej oczach wiadczył, że konflikt między ojcem a córką dotyczył czego więcej niż tylko jedzenia.

- A więc zabrano pani jedzenie - stwierdziła Petra.

- To chyba nie mogło nic znaczyć. Mogło?

- Czy był ktoś, kto mógłby się zemścić na pani przez pani ojca?

- Nie - powiedziała Murphy. - Nikogo takiego nie było. Od rozwodu wszystko szło gładko. Dave i ja zostaliśmy przyjaciółmi, czasem rozmawiamy.

- Dzieci? Pokręciła głowę.

- Proszę mi opowiedzieć o telefonie od serwisanta - powiedziała Petra. - Dlaczego uważa pani, że mógł być fałszywy.

- Tamtego dnia rano, kiedy wychodziłam do pracy, tata powiedział, że operator wyle kogo, żeby coś zrobić z odbiornikiem.

- O której?

- Pónoym popołudniem, wczesnym wieczorem, wie pani, jacy oni są. Tata czasami wtedy drzemał; prosił, żebym obudziła go o siódmej.

- Mielicie państwo problemy z odbiorem?

- Nie, właśnie w tym sęk. Podobno chodziło o linie sąsiadów.

- Chciał, żeby go pani obudziła - powtórzyła Petra. - A więc pónoym popołudniem była pani w domu.

- Nie. Zadzwoiłam o trzeciej, powiedziałam tacie, że się spónię. Poprosił, żebym zadzwoniła jeszcze raz.

- O siódmej.

- Tak.

- Zadzwoiła pani?

- Tak, i nie spał.

- Jak mówił?

- W porządku. Normalnie.

- A potem wróciła pani do pracy? Murphy dotknęła palcem szczęki.

- Nie, wyszłam z pracy wcześniej. To było ciężkie popołudnie, jedziłam od Dave'a do Belli. Kiedy rozmawiałam z tatą, byłam w samochodzie. Potem pojechałam na spotkanie z Bellą. Zjadłyśmy kolację, poszłyśmy do klubu, trochę wypiliśmy. Żadna z nas nie była w nastroju do tańca. Bella chciała, żebym pojechała do niej, ale nie byłam na to gota-106



wa, więc odwiozłam jś do domu i wróciłam do taty. Weszłam do domu i poczułam zapach jajecznicy na boczku. To było dziwne, tata nigdy nie jadał tak późno. Wypijał piwo albo dwa, może przegryzał coś lekkiego przed telewizorem, ale nigdy nie jadł gorzkich posiłków o tej porze. Jeli zjadł za późno coś ciężkiego, dostawał niestrawności. - Maria Murphy stanęła. Miała wilgotne oczy. - To trudniejsze niż myślałam.

- Przepraszam, że to wszystko pani przypominam.

- Już od dość dawna nie myślałam o tacie. A chyba powinnam. - Wyjęła z kieszeni sukienki chusteczkę, otarła oczy, wydmuchała nos.

- A więc kto to usmażył - stwierdziła Petra, kiedy znów ruszyły.

- Usmażył niadanie - powiedziała Murphy. - To też było dziwne. Tata był bardzo zdyscyplinowanym człowiekiem, służył w marines, znał dryl. niadanie je się rano, kanapki w południe, główny posiłek wieczorem.

- Uważa pani, że to nie on usmażył...

- Jajka? - dopowiedziała Maria Murphy. - Tata nie lubił jajecznicy, wołał jajka na miękko.

Zalała się łzami, przyspieszyła, prawie zaczęła biec. Petra jś dogoniła. Murphy załamała ręce i zazgrzytała zębami.

- Proszę pani...

- Jego mózg - wyrzuciła z siebie Murphy - był na talerzu. Razem z jajecznicą. Na jajecznicy. Jakby ktoś połał jś roztopionym serem. Szarym serem. Różowym... Czy możemy już zawrócić? Muszę być w pracy.

Petra zaczęła, aż wróci do Kaiser, zanim zapytała, czy Murphy przypominała sobie coś jeszcze.

- Nie - odparła Maria.

Odwróciła się. Petra dotknęła jej ramienia. Twardego i żyłastego. Maria Murphy zeszywniała. Mięnie miała jak kamienie. Patrzyła na dłoń Petry na swoim rękawie.

Petra się cofnęła.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, proszę pani. Data zamordowania pani ojca, dwudziesty ósmy czerwca. Czy ma dla pani jakie znaczenie albo dla kogo z pani rodziny?

- Dlaczego pani o to pyta?

- Na wszelki wypadek.

- Dwudziesty ósmy czerwca - powtórzyła cicho Maria Murphy. - Ta data oznacza tylko to, że wtedy ktoś zamordował moją tatę. - Okłapała. - Zbliża się, prawda? Rocznicę. Chyba pójdę na cmentarz. Rzadko to robię. Naprawdę, a powinnam częściej.

\*\*M!k,IIIHHL

Interesująca kobieta. Przechodziła poważny kryzys życiowy, kiedy zamordowano jej ojca. Żadnego współczucia, wręcz przeciwnie. Szarpana na wszystkie strony, musiała wrócić do rodzinnego domu. Do ojca, który nigdy nie był jej bliski. Do byłego mariny, któremu wlane się naraziła.

To musiała być stresująca sytuacja.

Sędziąc po dotyku jej żelaznej ręki, Murphy była silniejszą kobietą. Na tyle silniejszą, żeby solidnym kawałem rury rozbić czaszkę starszego pana.

Zniknęło jej jedzenie. Zdrowa żywność, którą ojciec wymiewał.

Może upokorzył ją o jeden raz za dużo. Wyrzucił wiktuały córki lesbijki na jej oczach, a to popchnęło ją za krawędź.

Petra widywała ludzi, którzy zabijali mniej sprowokowani.

Zatrzymała się na parkingu przed posterunkiem, nie wysiadła z samochodu. Jej wyobrażenia pracowała.

Murphy wraca do domu po, jak sama to opisała, ciężkim dniu: kursowała między mężem i kochanką. Dzwoni do taty, niby żeby go obudzić z drzemki, ale on ją spławia. Idzie na kolację i do klubu, pije za dużo. Wraca do domu, ma ochotę coś zjeść, ojciec nie pi, czeka na nią. Klóć się. O jej alternatywny styl życia.

O jej karmę dla królików.

Tata zgarnia jej odżywcze zapasy, mówi jej, co o nich sędzi.

Murphy była dietetyczką. Taki gest miałby dla niej podwójne znaczenie.

Wybuch awantura.

On wrzeszczy, ona wrzeszczy. Ona co łapie - może zapasów rurę, kto wie. Rozwala staremu głowę, sadza go przy stole. Smaży tłuste wiństwo, które on nazywał jedzeniem.

Wpycha w niego jego twarz. Nażryj się!

Potem wymyśla historię o serwisancie, żeby odwrócić podejrzenia Jacka Hustaada, który nie ma już siły na podejrzliwość.

Prawdziwy melodramat. I żadnych dowodów.

A jeśli Maria Murphy zamordowała swojego ojca, jak to się przekłada na Martę Doebbler i pozostałe pięć morderstw dwudziestego ósmego czerwca?

Petra zamierzała pójść dalej w sprawie Solisa, porozmawiać z byłym mężem Murphy, nieszczęsnym Dave'em. Ale co jej mówiło, że to strata czasu.

Kurt Doebbler... swoją żonę, Maria Murphy... swojego ojca.

Czyli żadnego związku.

Nie, to nie tak. Jeśli Isaac miał rację, a Petra coraz bardziej skłaniała się ku temu, by mu wierzyć, tu chodziło o coś zupełnie innego niż rodzinne wanie.

Stał za tym jaki zdolny do manipulacji umysł. Wyrachowany. Wypaczony.

18

wróciła do pokoju detektywów, pomieszczenie rozbrzmiewało warem rozmów telefonicznych i stukotem klawiatur. Isaac siedział przy swoim biurku w rogu, jedną ręką co pisał, drugą podpierał głowę.

Pomachał Petrze i zagłębił się w pracy.

Nie przeszkadzaj?

Może stek i wino poprzedniego wieczoru to było dla niego za dużo. Petra zaproponowała, że zawiezie go do domu, ale on się uparł, żeby wysadzić go kilka przecznic wczepień.

Petra doszła do wniosku, że on wstydzi się tego, gdzie mieszka. Nie nalegała i kiedy Isaac poszedł sobie z teczką w dłoni, pomyślała, że wygląda jak zmęczony, stary człowiek.

Postanowiła dać mu spokój, jej też by się przydał. Nalała sobie kawy i przerzuciła plik wiadomości. Same wydziałowe biuletyny. Sześć nowych e-maili w skrzynce: cztery wydziałowe zawiadomienia, co od Small-Dot@il.netvision, co uznała za spam, i list od Maca Dilbecka, który informował, że jeśli nic się nie wydarzy, specjalna grupa dochodzeniowa przejmie sprawę Paradiso we wtorek.

Miała właśnie skasować mieci, kiedy zadzwonił jej telefon.

W uchu zaszczebiotała jej nagrana wiadomość od policyjnej drużyny futbolowej:

- Już w przyszłym miesińcu mecz z szeryfami hrabstwa LA, wszyscy sprawni fizycznie, usportowieni funkcjonariusze sš proszeni o...

Jej palec sam powędrował do przycisku enter” i otworzyła spam.

Droga Petro,

List idzie naokoło z przyczyn bezpieczeństwa, nie można na niego odpowiedzieć. Wszystko w porządku. Mam nadzieję, że tam też. Tęsknię. K, Eric.

Umiechnęła się. Ja też cię K.

Zapisała wiadomość, wylogowała się. Zaczęła szukać Davida Murphy’ego.

109

Pospolite nazwisko, ale łatwe do znalezienia. Adres w Covinie sprzed pięciu lat zawężił krąg podejrzanych do Davida Colvina Murphy’ego, teraz czterdziestodwulatka. Przeprowadził się do Mar Yista, po zachodniej stronie. Trzy lata temu zarejestrował dodge’a neona, dwadzieścia miesięcy później chevy suburbana.

Listów gończych i nakazów aresztowania brak, nawet jednego mandatu za parkowanie.

Znalazła jego numer w księżce telefonicznej. Odebrała kobieta.

- Proszę z Dayidem Murphym.

- Jest w pracy. Kto mówi? Petra wyrecytowała swój stopień.

- Policja? - spytała kobieta. - O co chodzi?

- O starszą sprawę. Czy mówi co pani nazwisko Geraldo Solis, proszę pani?

- To były teć Davida. Został... Jestem żoną Dave’a.

- Gdzie pracuje pani mąż, pani Murphy?

- W HealthRite Pharmacy. Jest aptekarzem. - Powiedziała to z pewną dumą.

- W którym oddziale, proszę pani?

- W Santa Monica. Na Wilshire przy Dwudziestej Piątej. Ale nie wiem, co mógłby pani powiedzieć, to było całe lata temu.

Proszę nie rozdrapywać starych ran.

Petra podziękowała jej i odłożyła słuchawkę. Znalazła numer apteki, zerkając na Isaaca. Chłopak wciąż trzymał się nad swoimi papierami, ale ręka podpierająca głowę opadła i Petra zobaczyła siniaka, czerwono-purpurowego, wysoko na lewym policzku, między zaokrąglonym końcem kciuka policzkowej a uchem.

Jakby nagle zdał sobie z tego sprawę, szybko zakrył go dłonią.

Co się wydarzyło między wczorajszym wieczorem a dzisiaj rano.

Niebezpieczna okolica. Szedł sam.

Albo jeszcze gorzej - co w domu?

Petra uświadomiła sobie, jak mało wie o prywatnym życiu Isaaca, zastanowiła się, czy nie podejść i nie obejrzeć siniaka. Ale chłopak wyglądał tak, jakby ostatniś rzecz, jakiej pragnął, było czyje towarzystwo.

Zadzwoniła do apteki HealthRite, do oddziału Santa Monica.

David Murphy miał przyjemny, telefoniczny głos. Nie był zaskoczony jej telefonem. Żona go uprzedziła.

- Gerry był porządnym facetem - powiedział. - Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto chciałby go skrzywdzić.

110

Według Marii jej ojciec brał stronę Murphy'ego podczas rozwodu.

- A jednak kto z całą pewnością chciał.

- To okropne. Co mogę dla pani zrobić?

- Czy przypomina pan sobie co z dnia, kiedy pan Solis został zamordowany? Może co, co nie przyszło panu do głowy podczas pierwszego dochodzenia?

- Przykro mi, nie - odparł Murphy.

- Co pan pamięta?

- To był straszny dzień. Maria i ja właśnie się rozstawaliśmy, ona jedziła w tę i z powrotem od naszego domu... ode mnie do niej... do Belli Kandinsky. Teraz to jej partnerka.

- Dzień pełen wrażeń - oceniła Petra.

- Żeby pani wiedziała. Wracała do mnie, rozmawialiśmy, denerwowała się, uciekała do Belli. Potem znów do mnie. Na pewno czuła się jak przeciążona lina. Ja byłem w szoku.

- W szoku?

- Moje małżeństwo nagle się skończyło. Przez inną kobietę. - Murphy się zamyślił. - To było dawno temu. Wszyscy jako przez to przebrnęliśmy.

- Kiedy dokonano morderstwa, Maria mieszkała w domu ojca.
  - Z przerwami.
  - Z powodu problemów małżeńskich.
  - Kłóciliśmy się. Wtedy nie rozumiałem dlaczego.
  - Był pan kiedy w domu pana Solisa?
  - Bywałem tam bardzo często. Zanim zaczęło się psuć w naszym małżeństwie. Geny i ja polubiliśmy się. Marii było przez to trochę ciężko.
  - Dlaczego?
  - Gerry brał moją stronę. Był bardzo konserwatywny. Ciężko mu było przełknąć decyzję Marii.
  - To musiało spowodować między nimi konflikt.
  - Oczywiście.
  - Poważny konflikt? Murphy znów się zamięł.
  - Pani chyba żartuje. Nie, nie, to zupełnie bez sensu. Niech pani nawet o tym nie myli. Takich samych słów użyła Maria.
  - Nie myli o czym? - spytała Petra.
  - O tym, co pani sugeruje. Proszę posłuchać, jestem trochę zajęty...
  - Nie sugerowałam, tylko pytałam - poprawiła Petra. - Ale skoro już o tym mowa, jak poważny był konflikt między Marią a jej ojcem?
- 111
- To absurd - powiedział David Murphy. - Maria jest wspaniałą kobietą. Między nią i Gerrym panowały zupełnie normalne stosunki rodzic-dziecko. Ja miałem to samo ze swoimi rodzicami, każdy tak ma. Nie mogła go skrzywdzić, to naprawdę wspaniała kobieta. Nie ma mowy.
  - Ona broni jego, on jej. I się rozwodzi. Smutne.
  - Niech mi pani wierzy, pani detektyw, nie mylę się.
  - Pani Murphy, w aktach jest notatka o zapowiedzianym przyjeździe serwisanta kablówki. Czy Maria wspominała panu o tym?
  - Nie, ale Gerry wspominał. Tamten człowiek właśnie był u niego, kiedy dzwoniłem.
  - Dzwonił pan do pana Solisa.
  - Pewnie. Chciałem się dowiedzieć, gdzie jest Maria. Wyszła z domu bardzo zdenerwowana i założyłem, że pojechała do niego. Chciałem ją ułagodzić. Odebrał Gerry, był w złym humorze. Bo serwisant przyszedł późno,
  - Która to była godzina?
  - Zaraz - zastanowił się Murphy. - To było ile, pięć lat temu? Pamiętam, że było już ciemno. A ja zostałem wtedy do późna w pracy... Powiedziałbym ósma, dziewięć. Może nawet wpół do dziesiątej. Gerry mówił, że tamten facet miał przyjść o szóstej, potem zadzwonił i przełożył na siódma, potem i tak się spóźnił. Gerry był zły. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że było między wpół do dziewiątej a dziesiątą.
  - Pan Solis był zdenerwowany.

- Bo musiał czekać. Kiedy poprosiłem do telefonu Marię, powiedział, że jej nie ma i że nie wie, gdzie jest... Był trochę obcesowy. Ogólnie nie grzeszył uprzejmociś.

Czyli Geraldo Solis, już rozdrażniony opónieniami, mógł tego wieczoru mieć poważnš chandrę. Rozgrzał się do konfrontacji.

- Czy pan Solis bywał wybuchowy? - spytała.

- Nie, raczej nie - odparł Murphy. - Bardziej... gderliwy. Był zdyscyplinowany, w końcu służył w marines, oczekiwał, że cały wiat będzie postępował według regulaminu. Irytował się, kiedy co szło nie tak.

- Na przykład kiedy kto się spóniał. - Albo córka była lesbijkš.

- Włanie... O, nie, nie sugeruje pani...

- Ja tylko pytam, panie Murphy.

- Serwisant? - powiedział Murphy. - Rany... Ale policja powiedziała, że Gerry został zabity około północy... Pewnie mógł tam leżeć kilka godzin... rany.

Serwisant kablówki, który pojawia się po zmroku. Którego firma nie ma w bazie danych żadnej wzmianki o wyjedzie do klienta. Co parę lat

112

po fakcie mogło nic nie znaczyć. Pomyłki w dokumentach zdarzają się bez przerwy, a operatorzy kablówek w LA słyńš z niekompetencji. Mimo to...

- Czy powiedział panu, po co przyszedł ten serwisant? - spytała.

- To była jeszcze jedna rzecz, która drażniła Gerry'ego. Na nic nie narzekał. To firma twierdziła, że kto musi do niego przyjć. Serwis ogólny, co takiego. Mój Boże... Naprawdę pani myli...

- Panie Murphy, czy powiedział pan cokolwiek z tego pierwszemu detektywowi?

- Hustaadowi? Nie pytał o takie rzeczy, a mnie nie przyszły do głowy. Chciał wiedzieć, jak wyglšdały moje stosunki z Gerrym. Jak układało się między nim i Mariš. Miałem wrażenie, że mnie sprawdza. Psychologicznie. Pytał też, gdzie byłem około północy. Dlatego pomylałem, że to wszystko stało się o północy. Normalnie o tej porze pię, ale wtedy byłem zdenerwowany i wyszedłem na miasto z kumplem, kolegš z pracy. Poszliśmy się napić, a ja płakałem do piwa... że tak powiem.

- Czy przypomina pan sobie co jeszcze, co pan Solis powiedział o wizycie serwisanta?

- Nie... Chyba powiedział tylko, że go to wkurzyło.

- I na pewno powiedział panu, że serwisant jest u niego w domu.

- Tak. Tak myślę... Ale możliwe, że tak tylko założyłem. Mówił cicho, więc założyłem, że kto tam jest. Nie powiedziałbym tego pod przysięgš. W sšdzie czy gdzie.

Sšd. Z twoich ust wprost do ucha Boga.

Petra przycisnęła go jeszcze trochę, ale niczego się nie dowiedziała. Podziękowała mu.

- Nie ma za co - odparł. - Powodzenia. Gerry naprawdę był porzšdnym facetem.

Serwisant kablówki, możliwe, że fałszywy, pojawia się po zmroku. Majstruje w domu, bada rozkład pomieszczeń. Być może otwiera sobie tylne drzwi albo okno, by móc wrócić.

Albo załatwia Solisa na miejscu i ma doć przytomności umysłu, żeby usmażyć jajecznicę i wepchnšć w niš twarz zabitego.

Zabiera co do zjedzenia na drogę.

Zdrowś żywność: morderca dba o siebie.

Jak to się ma do Marty i Kurta Doebblerów?

Isaac miał rację: zabicie najpierw własnej żony, a potem przerwienie się na obcych było czym rzadko spotykanym, Petra nigdy o takim przypadku nie słyszała.

8 - Pokrętny umysł 113

A jeli Kurt zabił Martę z przyczyn osobistych, a potem odkrył, że to lubi?

Za bardzo pokrętne. Petra wiedziała, że przyszło jej to do głowy, ponieważ Doebbler był człowiekiem, którego w żaden sposób nie dało się lubić.

Ale mimo wszystko rozwalenie głów szeciu osobom tego samego dnia miesišca, o tej samej godzinie było bardzo dziwne.

Po drugiej stronie pokoju Isaac zgłębiał swoje liczby. Z rękš na twarzy, chowajšc siniaka.

Skomplikował jej życie. Dlaczego nie mógł pisać swojej pracy w biurze szeryfa?

Zrobiła sobie przerwę na siusiu, zaryzykowała następnš kawę, wróciła do akt dwudziestego ósmego czerwca. Odłożyła sprawę Solisa na bok, zajęła się drugš, spoza Hollywood.

Marynarz, Darren Ares Hochenbrenner. Na przepustce. Według dwóch innych marynarzy zaczęli w Hollywood, ale Darren się od nich oddzielił, kiedy poszli do kina w Egyptian.

Ciało znaleziono w ródmieciu, na Czwartej ulicy, z opróznionymi kieszeniami.

Daleko od pozostałych, jedyna czarna ofiara, a puste kieszenie sugerowały, że był to zwykły rozbój, który le się skończył. Petra jeszcze raz sprawdziła wielkość rany. Idealnie, taka sama jak u Marty Doebbler, co do milimetra.

Iedczym w tym przypadku był detektyw drugiej klasy Ralph Seacrest. Wcišz pracował w Central, miał zmęczony głos.

- Tamten - powiedział. - Tak, pamiętam. Chłopak zaczął na waszym terenie, skończył na moim.

- Domyła się pan, jak do was trafił? - spytała Petra.

- Moim zdaniem kto go poderwał.

- Jaki kocha?

- Możliwe.

- Hochenbrenner był gejem?

- Nikt tego głono nie powiedział - odparł Seacrest. - Ale marynarze na przepustce? A może zabił. Chłopak był ze rodkowego Zachodu, chyba z Indiany. Pierwszy raz w mieście.

- Stacjonował w Port Hueneme.

- To nie miasto. Dlaczego pani o niego pyta? Petra sprzedała mu tę samš historię, co innym.

- Jeszcze jedna rozwalona głowa? - spytał Seacrest. - Pani ofiarę też obrabowali?

114

- Nie.

- Moją obrabowali. To był młody chłopak, zgubił się, trafił do paskudnej okolicy. Poza tym był nawalony.

- Czym?

- Marihuanę, trochę wódki. Nie dam głowy, to było dość dawno, ale tyle pamiętam. Ogólnie rzecz biorąc: imprezował. Pewnie za ostro, dał się poderwać, reszta to historia.

Petra odłożyła słuchawkę, sprawdziła toksykologię Darrena Hochen-brennera, znalazła dane o zawartości alkoholu we krwi: 0,02 promila. Przy jego masie ciała oznaczało to prawdopodobnie jedno piwo. Znalaziono ślady THC, ale minimalne, możliwe, że sprzed kilku dni, według koronera.

Trudno było to nazwać nawaleniem”. Petra zastanawiała się, na ile poważnie detektyw Ralph Seacrest podszedł do tej sprawy.

Na papierze padł cień. Podniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć Isaaca.

Ale chłopaka nie było przy jego biurku. Zniknęła teczką. Wyszedł bez słowa.

Cywilna recepcjonistka z dołu, lalkowata blondynka Kirsten Krebs, dopiero przyjechała i od samego początku wrogo nastawiona, podała Petrze kartkę z wiadomości.

Doktor Robert Katzman odpowiedział na jej telefon. Pół godziny temu.

Krebs poszła w stronę schodów.

- Dlaczego go pani nie połączyła? - spytała Petra.

Krebs się zatrzymała. Odwróciła. Popatrzyła wilkiem. Wzięła się pod boki. Miała na sobie obcisły szary top i obcisłe, czarne bawełniane spodnie. Dekolt w serek odsłaniał opalony, piegowany rowek między piersiami. Stanik push-up. Długie jasne włosy. Chociaż miała zbyt ostre rysy, żeby być ładna, kilku detektywów odwróciło się i łakomie wpatrzyło w jej jędrne, młode poładki. Molestowanie seksualne wisiało w powietrzu.

- Było u pani zajęte - powiedziała skamłścym tonem.

Petra rozemiała się jej prosto w zadarty nos. Krebs prychnęła i odwróciła się na pięcie. Wychodząc, spojrzała na biurko Isaaca.

Nie była od niego wiele starsza. IQ niższe o połowę, ale w swoim arsenale miała inną broń. Mogła zjeść chłopaka żywcem.

Tylko mnie posłuchajcie, matka zastępcza.

Zadzwoń do doktora Katzmana. Usłyszała jego nagrany, łagodny głos i zostawiła wiadomość.

Zupełnie nie łagodny.

115

19

Dowcip: Richard Jaramillo był gruby, więc nazywali go Flaco, Chudy. To było jeszcze w czwartej klasie. Potem Jaramillo urósł, wychudł, i przezwisko zaczęło do niego pasować.

Mało co w jego przypadku ułożyło się tak pomylnie.

Isaac poznał go w podstawówce: Flaco był nerwowym, wystraszonego chłopcem; nosił niemodne, stare ubrania, siedział z tyłu klasy i nie mógł nauczyć się czytać. Nauczyciel, mając do czynienia z pięćdziesiętkami dziećmi, z których połowa nie mówiła po angielsku, kazał Isaacowi zająć się nauką Flaca.

Flaco się tym nie przejął. Isaac niemal natychmiast doszedł do wniosku, że największym problemem jego kolegi jest brak skupienia. Niedługo potem uwiadomił sobie, że Flaco ma poważne problemy z koncentracją.



Flaco nienawidził szkoły, więc Isaac uznał, że musi zastosować jaki system nagród. Ponieważ Flaco był gruby, spróbował jedzenia. Mama ucieszyła się, kiedy poprosił, żeby pakowała mu dodatkowe słodkie tamales. Jej Isaac wreszcie zaczął porządnie jeść.

Isaac częstował Flaca tamales i chłopiec nauczył się czytać na poziomie pierwszej klasy. Nigdy nie posunął się dalej. Mimo tamales.

- Zresztą co z tego - powiedział Isaacowi. - Przechodzę do piśtej klasy tak samo jak ty.

Potem ojciec Flaca Jaramillo trafił do więzienia za nieumyślne zabicie człowieka i chłopiec przestał przychodzić do szkoły. Isaac odkrył, że tęskni za rolą nauczyciela, poza tym musiał wymyślić, co zrobić z dodatkowymi tamales. Chciał zadzwonić do Flaca, ale mama powiedziała mu, że Jaramillowie wyjechali z miasta okryci hańbą.

Co okazało się kłamstwem; pani Gomez nigdy nie mogła się pogodzić z faktem, że Isaac zadaje się z chłopcem z takiej rodziny, z takiej wstrętnej hałastry. W rzeczywistości Jaramillowie zostali wyeksmitowani ze swojego mieszkania w Union District i przeniesieni do zakaraluzzonego bloku zastępczego przy Skid Rów.

Dziesięć lat później chłopcy przypadkiem na siebie wpadli.

Zdarzyło się to w upalny, mierzdzący spalinami piśtek, niedaleko przystanku autobusowego.

W Burton wczesniej skończyły się lekcje, ponieważ nauczyciele mieli akurat jakie szkolenia. Isaac spędził popołudnie w Muzeum Nauki i Prze—

116

mysłu, sam. Wracał właśnie do domu, szedł od przystanku, kiedy zobaczył dwa czarno-białe radiowozy, zaparkowane niedbale przy krawężniku, z błyskającymi kogutami. Na chodniku kilka metrów dalej czterech muskularnych policjantów przeszukiwało małego, chudego chłopaka w lunei koszulce, obwisłych spodniach i drogich sportowych butach.

Ustawili go pod cianś: nogi szeroko, ręce w górze, dłonie oparte o ceglany mur.

Isaac nie podszedł, ale zatrzymał się, żeby popatrzeć. Policjanci przepytali chłopaka, odwrócili go, nawrzeszczeli mu w twarz.

Chłopak nie dał się zastraszyć.

Wtedy Isaac go poznał. Dziecięcy tłuszczycz zniknął, ale rysy pozostały te same; Isaac otworzył szeroko oczy, a w głowie usłyszał niewypowiedziane: Co?

Odszedł dalej, spodziewając się, że policja aresztuje Flaca Jaramillo. Ale nic takiego się nie stało; policjanci pogrozili mu tylko palcami, po-krzyczeli i trochę go potarmosili. Potem, jakby wezwani przez bezgłony alarm, wszyscy czterej wsiedli do samochodów i odjechali.

Flaco zszedł z chodnika i pokazał im rodkowy palec. Zauważył Isaaca i jemu też pokazał to samo. Isaac odwrócił się, chciał sobie pójć.

- Na co się, kurwa, gapisz, chuju? - krzyknął Flaco.

Głos też mu się zmienił. Mały chłopiec z niskim barytonem.

Isaac zaczął ić.

- Ty tam, kurwa, do ciebie mówię!

Isaac się zatrzymał. Chudy chłopak szedł za nim. Twarz miał pociemniałś, ciśgnięłś gniewem. Tłumiona złość i upokorzenie w każdej chwili mogły wybuchnąć. Był gotów na kim się wyładować.

- To ja, Flaco - powiedział Isaac.

Flaco zatrzymał się tuż przed nim. mierzdział trawkś.

- Kto, kurwa?

- Isaac Gomez.

Flaco zmrużył oczy w wściekłość jak żyłki szparki. Miał chudszy, szczurzy twarz z tym samym dużym nosem, cofniętym podbródkiem i wielkimi, odstającymi uszami, które Isaac zapamiętał. Teraz uszy wydawały się jeszcze większe, bezlitośnie wyeksponowane przez ogoloną na tyso czaszkę. Flaco był niski, ale barczysty. Na czole wyszły mu żyły, wyglądało to jak płaskorzeba. Widać było wyrwanie, że jest gotów się bić.

Na kłykciach i po lewej stronie szyi miał tatuaże. Na szyi węża z otwartą paszczą i obnażonymi zębami, wyglądającego, jakby chciał wbić mu je w szczękę. Na prawej dłoni liczbę 187. Policyjny kod zabójstwa. Niektórzy członkowie gangów nie kłamali, kiedy chwalili się czym takim.

117

- Kto?

- Isaac. Czwarta klasa...

- Gomez. Mój jebany nauczyciel. Gociu. - Flaco pokręcił głową. - I co...

- I co u ciebie? - spytał Isaac.

- Wporzo. - Flaco się umiechnął. Miał zepsute zęby, na górze kilku brakowało. Jego ubranie przesiąkło ziołowym zapachem marihuany. To zwróciło na niego uwagę policji. Ale nic przy nim nie znaleli. Wyrzucił towar na czas.

- Jebany nauczyciel - powtórzył. - A z tobą co, dlaczego ubierasz się jak pedał?

- Prywatna szkoła.

- Prywatna szkoła. Co to, kurde, znaczy?

- Taka tam buda.

- Po co tam chodzisz? Isaac wzruszył ramionami.

- Każę wam się ubierać jak pedałom?

- Nie jestem pedałem.

Flaco przyjrzał mu się uważnie. Wyszczrzył się w umiechu.

- Dałem plamę jako nauczyciel. Gównem się nauczyłem. Isaac znów wzruszył ramionami, bardzo się starał robić wrażenie wyluzowanego.

- Miałem dziewięć lat. Uważałem cię za całkiem bystrego. Umiech Flaca zbladł.

- Widać, ile się znasz.

Rozlunił pięć z tatuażem 187. Wyciągnął rękę. Klepnął Isaaca w plecy, nadstawił dłoń do braterskiego ucisku. Skórę miał szorstką i suchą jak słabo wyszlifowane drewno. Zamiał się. Cuchnęło mu z ust.

- Dobrze cię widzieć, stary - powiedział Isaac. - Będę spływał.

- Spływał? Co to za tekst, z jakiego filmu czy jak? - Flaco pomyślał przez chwilę. Poweselał. - Chod, zajaramy zioło, stary. Mam je tam, gdzie te skurwiele nie znajdą.

- Nie, dzięki.

- Nie, dzięki?

- Nie palę.

- Stary - powiedział Flaco. - Dajesz dupy. Cofnął się, obejrzał Isaaca jeszcze raz.

- Zresztą, co tam.

- Ale dzięki za propozycję. Flaco machnął lekceważąco ręką.

118

- Id już, gociu. Id. Isaac się odwrócił.

Próbowałam mnie uczyć, pamiętam - rzucił za nim Flaco. - Dawaliśmy tamales czy jakie inne gówno.

- Słodkie tamales.

- Wszystko jedno. I myślałam, że jestem bystry, co?

- Tak.

Flaco pokazał swoje zepsute zęby.

- Widzisz, nie znasz się. Wiesz co, zrobimy tak: spłyniemy razem, ja zajaram, ty popatrzysz i sobie... pogadamy, stary. Poopowiadamy, co się działo przez te lata.

Isaac przemyślał propozycję, nie zastanawiał się długo.

- No pewnie - powiedział.

Skończyło się na tym, że dla towarzystwa pociągnął kilka buchołów.

Spotykali się raz albo dwa razy w roku, zazwyczaj właśnie tak, przypadkowo na ulicy. Czasami Flaco nie miał czasu rozmawiać, a czasami wydawał się rozpaczliwie potrzebować towarzystwa. Kiedy gdzie razem szli, Flaco zawsze palił i mówił, a Isaac słuchał. Raz, gdy mieli szesnacie lat, Isaac, z jakiego powodu w złym humorze, zaciągnął się kilka razy głęboko trawką. Nie pasował mu dym, palący płuca, lekkość w głowie, to, że za dużo się miał, że stracił nad sobą kontrolę. Poszedł do domu, zamroczony, następnego dnia wstał dopiero na obiad. Dużo zjadł. Mama przyglądała mu się z aprobatą.

Kiedy mieli siedemnacie lat, Flaco poprosił Isaaca, żeby przeczytał mu jakie dokumenty sądowe, ponieważ jego umiejętność czytania wciąż pozostawała na poziomie pierwszej klasy.

- Mój kurator to głupi chuj, ale chcę to załatwić jak trzeba, stary, stawiać się na wezwanie i mieć to gówno za sobą.

Według papierów Flaco ukradł papierosy z automatu i dostał rok kurateli. Paragraf 466 punkt 3. Czego takiego nie tatuowało się na dłoni.

Następnego roku Flaco pokazał Isaacowi swoje pistolety. Duży, czarny, który obciśgał mu kieszeń workowatych spodni, i mniejszy, chromowany szeciostrażówkę, przymocowany na kostce.

Na kostce? Pewnie zobaczył to na jakim filmie.

- Fajne - powiedział Isaac. Zdążył już dobrze poznać temperament Flaca: gwałtowny, niezrównoważony, nieulekły. Ta ostatnia cecha sprawiała, że Flaco był bardziej niebezpieczny niż jadowity wąż.

Flaco zaczął opowiadać o pistoletach, o tym, co mogły zrobić, jak się czyci, jak okazjnie je kupić.

119

Isaac słuchał. Kiedy słuchasz ludzi, sš spokojni i uważają cię za kogo mšdrego, interesującego.

- Ależ ty masz życie - lubił mówić Flaco. - Będziesz bogaty.

- Wštpię.

- W dupę sobie wsad swoje wštpienie. Będziesz bogatym lekarzem i będziesz miał pod rękš tony prochów. - Mrugnięcie okiem. - I cišgle będziemy kumplami.

Isaac się rozemiał.

- Zabawne - mruknšł Flaco. - Bardzo, kurwa, zabawne. Ale on też się rozemiał.

Isaac wysiadł z autobusu w ródmiociu i znalazł bar na Pištej przy Los Angeles Street. Niedaleko, jak sobie uwiadomił, od zaułka, w którym marynarz Hochenbrenner, jedna z ofiar dwudziestego ósmego czerwca, wydał ostatnie tchnienie.

Paskudna okolica, chociaż władze miasta starały się odnowić ródmiocie.

W cišgu dnia Flaco przesiadywał w Cantina Nueva, zajmujšc się swoimi sprawami. Isaac o nic go nie pytał, ale Flaco lubił się przechwalać. Niektórych jego opowieci Isaac słuchał. Inne jednym uchem wpuszczał, drugim wypuszczał.

Czasami Flaco robił się cichy, nie mówił o niczym. Obaj byli już młodymi mężczyznami. Wiedzieli, że w interesie ich obu leży nieporuszanie pewnych spraw.

Isaac odwiedził bar w tym roku dwa razy, w obu przypadkach na próbę Flaca. Raz chodziło o odczytanie jakich papierów: aktu własności domu przy Południowej Sto Siedemdziesiątej Drugiej. Agent nieruchomości zapewniał Flaca, że wszystko jest w porzšdku, ale kole był podejrzanym chujkiem. Flaco wiedział, komu może ufać.

W wieku dwudziestu trzech lat miał zostać karnienicznikiem. Isaac groszem nie mierdził i nie umknęła mu ironia tego faktu.

Za drugim razem Flaco twierdził, że chce tylko pogadać, ale kiedy Isaac przyjechał, Flaco został przy swoim stoliku w głębi sali i był to jeden z tych dni, kiedy niewiele mówił. Zamawiał piwo z wódkš dla nich obu; Isaac starał się pić jak najwolniej. Ale i tak się upił, zmęczył, siedział odrętwiały, a jacy ludzie wchodzili i wychodzili z knajpy, podchodzili do Flaca. Wymieniali z nim spojrzenia. I gotówkę. Lnišce, chromowane przedmioty w papierowych torbach. Proszki w foliowych woreczkach.

Teraz brakuje tu tylko nalotu policji. Do widzenia, szkoło.

120

Flaco posadził Isaaca w boksie, przodem do stołu bilardowego, tyłem do plenijszej ciany. Potem sam usiadł obok. Odcišł Isaacowi drogš wyjcia. Chciał, żeby Isaac wszystko widział. Żeby się dowiedział.

- Mój stary nie żyje - powiedział po kilku piwach z wódkš. - Zadgali go pod prysznicem w Chino.

- Rany, stary, przykro mi - odparł Isaac.

Flaco się zamięł.

Tego popołudnia w barze było duszno i ciemno, cuchnęło potem; klientów prawie nie było, nie licząc trzech starszych facetów przy kontuarze i trzech młodych wyglšdajšcych, jakby dopiero co przeszli przez granicę, grajšcych w bilard przy samotnym pokrzywionym stole. Stuk, stuk, stuk, kije uderzały w plastikowe bile, a te wpadały do luz i toczyły się metalowš pochylniš z nieprzyjemnym łoskotem. Lattimore'owie mieli stół bilardowy u siebie w domu, mieli cały, wyłożony boazeriš pokój przeznaczony tylko do gry. Tam nic nie hałasowało, bile bezgłonie wpadały do skórzanych siatek.

Brzdęk. Przekleństwa po hiszpańsku. Z szafy grajšcej ryczał kiepski mariachi rock.

Flaco siedział oklapnięty w boksie, ubrany w czarnš džinsowš kurtkę i czarnš koszulkę. Przed nim stały puste szklanki po piwie i pięćdziesiątki po wódcie. Zapucił włosy, ale dziwacznie je strzygł - na górze na tyso, z dwoma czarnymi paskami na skroniach i

krótkim, mocno zaplecionym warkoczykiem zwisającym z tyłu jak ogon jaszczurki. W kącikach ust rzadki włos. Jakby nie mógł porządnie urosnąć.

Wyglądał, uznał Isaac, jak hollywoodzkie wyobrażenie chińskiego gangstera.

Kiedy Isaac podszedł, podniósł wzrok. Nieprzytomny.

Isaac stał, dopóki Flaco gestem nie zaprosił go, by usiadł.

Krótki, braterski ucisk dłoni.

- Bracie.

- Hej. - Isaac usiadł naprzeciwko Flaca.

Wcześniej wpadł do apteki, kupił tubkę pasty do makijażu, postarał się ukryć siniak. Nie wyszło mu najlepiej, lecz jeli się nie wiedziało, czego szukać, można było to przeoczyć.

Na opuchliznę nie mógł nic poradzić, ale Flaco nie umiał się skoncentrować, w barze było ciemno, więc Isaac miał nadzieję, że nie będzie musiał się tłumaczyć.

- Jak jesss? - Flaco bełkotał. Długie rękawy miał zapięte na nadgarstkach. Zazwyczaj podwijał je do łokci. Ukrywał lady po igłach? Zawsze twierdził, że nie daje w żyłę, podkreślał, że woli się zaciśnąć, ale kto wie?

121

Z natury niespokojny, nie umiał trzymać się z dala od kłopotów.

- Jak zwykle - odparł Isaac.

- Jak zwykle, ale, kurwa, po co przyjechała. Isaac wzruszył ramionami.

- Zawsze tak robisz - stwierdził Flaco. - Ramionami. Zawsze kiedy chcesz co ukryć, stary. Isaac się rozemiał.

- Jasne, miej się, dupku. - Głowa Flaca opadła.

- Potrzebny mi pistolet - powiedział Isaac. Flaco podniósł wzrok. Powoli.

- Że co? Isaac powtórzył.

- Pistolet. - Flaco parsknął miechem. - Co, będziesz zestrzeliwał samoloty, chcesz być terrorystą? - Wydł policzki, próbując naladować odgłos wystrzałów. Nie wyszło mu. Zakaszłał. Na pewno co brał.

- Dla bezpieczeństwa - wyjanił Isaac. - Okolica.

- Kto się do ciebie przypierała? Powiedz kto, zajebię gnojka.

- Nie, wszystko gra - powiedział Isaac. - Ale wiesz, jak to jest. Raz lepiej, raz gorzej. Teraz akurat gorzej.

- Masz kłopoty, stary?

- Wszystko gra. I chcę, żeby tak zostało.

- Pistolet... twoja mama... te tamales. - Flaco oblizał usta. - Niezłe były. Załatwisz mi trochę?

- Jasne.

- Tak?

- Nie ma sprawy.
- Kiedy?
- Kiedy chcesz.
- Zapukam do waszych drzwi, a ty mnie zaprosisz do rodka, przedstawiś mamie, poczęstujesz słodkimi tamales?
- Oczywiście - zapewnił Isaac, wiedząc, że nigdy do tego nie dojdzie. Flaco też o tym wiedział.
- Pistolet - powiedział, nagle refleksyjnym tonem. - To jakby... wiesz... odpowiedzialność.
- Dam sobie radę.
- Umiesz strzelać?
- Jasne - skłamał Isaac.
- Gówno prawda, chujku.
- Dam sobie radę.

122

- Odstrzelisz sobie dupę, odstrzelisz sobie własne cojones\*, gociu, a ja nie będę za tobś płakał.
- Dam sobie radę.
- Bang bang. Nie wydaje mi się, stary. Po co ci jebany pistolet?
- Zdobędę go - owiadczył Isaac. - Tak czy inaczej.
- Głupi jeste, gociu. - Flaco uwiadomił sobie, co powiedział, i szeroko się umiechnął. Isaac zaczął wstawać. Flaco złapał go za nadgarstek.
- Napij się, bracie.
- Nie, dzięki.
- Odmawiasz mi?

Isaac odwrócił się gwałtownie twarż do niego.

- A mnie się wydaje, że to ty mi odmawiasz.

Flaco spoważniał. Jego ręka pozostała zacinięta na nadgarstku Isaaca. Jeszcze jeden tatuaż 187. Na drugiej dłoni. Większy, wieższy. Czarny tusz. W górnym kółku ósemki szczyrzyła zęby małeńka czaszka.

- Ze mnś się nie napijesz?
- Jednego - uległ Isaac. - A potem idę. Mam sprawy do załatwienia.

Flaco wysunął się z boksu, podszedł chwiejnie do baru, wrócił z dwoma piwami z wódkś. Kiedy pili, wyjšł z kieszeni czarnej kurtki biaś foliowś torbę na zakupy i podał jś Isaacowi pod stołem.

Isaac zerknął w dół. Zobaczył logo wiata Diamentów z marketu Je-welry Mart.

- Wszystkiego najlepszego, chujku.

Isaac wził torbę od Flaca. Ciężka. W rodku było co owiniętego w papier toaletowy. Nie wyjmując tego spod stołu, Isaac odwinął kawalek.

Błyszczący, mały przedmiot. Pękaty, z krótką lufą, absolutnie mierzony.

20

Piątek, 14 czerwca, 16.34, pokój detektywów, wydział Hollywood

trę zostawiła jeszcze dwie wiadomości doktorowi Robertowi Katzmanowi, ostatnią wyrażając pełną irytację.

\* Cojones (hiszp.) - wulg. jaja (przyp. red.).

123

Potem tego pożałowała. Nawet gdyby w końcu udało jej się skontaktować z onkologiem, co z tego. Leczył Sandrę Leon na białaczkę, co więcej mógłby powiedzieć?

Z drugiej strony była pewna, że kobieta z onkologii zachowywała się podejrzanie nerwowo, opowiadając o Sandrze. Ale niby dlaczego miałyby to mieć jakiś związek z dziewczyną w różowych adidasach czy sprawą Paradiso w ogóle?

Zeszła na dół, znalazła Kirsten Krebs kręcącą się bez celu przy automacie z wodą, ubraną w dżinsy i top na ramiączkach. Powiedziała jej, żeby połączyła z nią Katmana, kiedy tylko zadzwoni.

Krebs wbiła wzrok w podłogę.

- Dobrze, jasne. - Kiedy myślała, że Petra jest już poza zasięgiem głosu, dodała: - Jeszcze czego.

Petra wróciła za biurko, mając poczucie daremności swoich wysiłków. I spała, przynajmniej już brzemień nicnierobienia. Do dwudziestego ósmego czerwca zostały tylko dwa tygodnie. Od kilku dni Isaac się nie pojawiał. Czyżby stracił swój młodzieńczy entuzjazm wobec złowieszczej intrygi? A może chodziło o ten siniak?

Zresztą, czy to ważne?

Niestety, dla niej ważne. Zajął się kopiami akt, raz jeszcze przejrzała dwie sprawy, które znała najlepiej - Doeblers i Solisa - mając nadzieję na jakieś nowe spostrzeżenia. Nic z tego.

Go drgnęło, dopiero kiedy zajęła się raportem koronera z autopsji Coral Langdon, kobiety, która poszła na spacer z psem. Petra znalazła co, czego nie zauważyła za pierwszym razem. Uwagę wciągnęła w sam rodek wypisanej drobnym drukiem listy włosów i włókien, przypiętej do wyników badań.

Na ubraniu Langdon znaleziono dwa rodzaje psich włosów. Koroner nie wspominał o tym w swoim podsumowaniu. Patolog uznał za nieistotne. Może faktycznie takie było.

Obecność sierci cockapoo była oczywista. Mała Brandy została zatłuczona razem ze swoją panią.

Głupia krowa. Cały wiat to mój kibel.

Ale wśród jasnych, kręconych włosów wyczesanych z bordowego swetra Coral Langdon, kaszmirowego, rozmiar M, z metką Robinsons-May, i jej czarnych spodni Annę Klein, rozmiar 8, mieszanka bawełny i tworzywa, znajdowało się trochę włosów prostych i szorstkich.

Krótkich, ciemnobrązowych i białych. Psich. Nie przeprowadzono analizy DNA, żeby ustalić rasę.

Nie było powodu aż tak się wygłupiać. Rozsądnych wyjaśnień było mnóstwo, choćby takie, że Coral Langdon mogła mieć dwa psy. Tyle tyl—

124

ko, że według akt nie miała. Detektyw Shirley Lenois mogła przeoczyć aspekt dwudziestego ósmego czerwca, ale sama była psiarś, miała trzy charty afgańskie, na pewno zwróciła by uwagę na drugie zwierzę.

Może mała Brandy bawiła się z jakim psim kolegą i przeniosła jego sierć na Coral.

Albo bezdomny pies natknął się na oba trupy i obwąchał je.

A może Coral Langdon, spacerująca samotnie w nocy po wzgórzach Hollywood Hills w towarzystwie małego pieska, który nie zapewniał żadnej ochrony, spotkała innego spacerowicza.

Oboje stanęli, żeby porozmawiać o swoich ulubieńcach. Miłośnicy psów tak mają, miłość do pupila sprawia, że potrafi się natychmiast porozumieć.

Dlatego właśnie psy są wietnym kamuflażem dla przestępców. Petra przypominała sobie przypadek, którym zajmowała się jeszcze za czasów pracy w wydziale kradzieży samochodów. Sympatyczny z wyglądu złodziej o aparycji studenta - jak on się nazywał? - zawsze zabierał ze sobą niezgrabnego trzydziestokilowego buldoga... Monroe. Przypominała sobie imię psa, ale nie faceta. O czym to wiadczy?

Studenciak działał w ten sposób, że przypadkiem spotykał kobiety, które zatrzymywały swoje nowe, luksusowe auta na parkingach centrów handlowych. Kiedy wysiadały, przechodził obok, ciśniejąc za sobą Monroe. Wystarczyło, że ofiara spojrzała na pomarszczony, żabi pysk psa i od razu miękła. Zaczynała się rozmowa, studenciak - Lewis Jaki-tam - wietnie odgrywał prawdziwego miłośnika psów, chociaż Monroe należał właściwie do jego siostry. Kobiety zaczynały cmokać i głaskać stoicko spokojne, dyszące zwierzę, a potem zadowolone szły do sklepu. Pięćdziesiąt procent z nich zapomniało zamknąć samochód i włączyć alarm.

Tak, psie towarzystwo budzi w nieznajomych zaufanie.

Petra wyobraziła sobie, jak to mogło być z Langdon. Facet z psem - biały, wyglądający jak typowy przedstawiciel klasy redniej, kto, kto nie wyróżniałby się w Hollywood Hills, gdzie mieszkała Coral - pokazuje się na spokojnej cieżce na zboczu wzgórza.

Coral i jej puchata przyjaciółka, facet z większym psem. Sympatycznym, nic strasznego, jak na przykład pitbull. Małym, o ciemno-brązowym i białym futrze. To mógł być pointer, mieszaniec, wszystko jedno.

Jaki łagodny i niegromy pies.

Petra dociekała dalej, wyobraziła sobie, jak Coral i mężczyzna zatrzymują się i zaczynają rozmowę. Może mijają się, kiedy ich pupile nawzajem się obwąchują.

125

Wymieniają krótkie uwagi z rodzaju psy są prawie jak ludzie, prawda?"

Coral - samotna, wysportowana i młodo wyglądająca jak na swój wiek - mogła cieszyć się z męskiego zainteresowania. Wywyżuje się niewinny flirt, może nawet dochodzi do wymiany numerów telefonów. Przy Coral nie znaleziono kartki z numerem, ale to nic nie znaczyło. Człowiek z psem mógł ją zabrać, kiedy zrobił swoje.

Swoje.

Ocenia szansę, kiedy uprzejmie życzy sobie nawzajem dobrej nocy.

Coral i Brandy odwracają się i ruszają w swoją stronę.

Łup.

Uderzenie z tyłu. Jak w przypadku innych ofiar. Tchórz. Wyrachowany tchórz, który boi się stanąć ze swoimi ofiarami twarzą w twarz.

Kreatywny, jak określiliby go Milo Sturgis. To był jego ulubiony eufemizm, kiedy w jakim punkcie sprawa stawała w miejscu.



Petra zastanawiała się, co on by o tym wszystkim pomyślał. Delaware też.

Rozważała, czy nie zadzwonić do którego z nich, kiedy do jej biurka podeszła Kirsten Krebs i wyciśniętą ręką podetknęła jej pod nos wiadomość.

- Rozłączył się? - spytała Petra.

- To nie był ten, którego miałam połączyć - powiedziała Krebs. - Ale skoro nie odbiera pani wiadomości, przyniosłam tę osobie.

Petra wyrwała jej kartkę. Trzy minuty temu dzwonił Eric. Nie podał numeru zwrotnego.

Wiadomość na kartce, zapisana ciasnym pismem Krebs, brzmiała: Nie wierz we wszystko, co widzisz w serwisach informacyjnych.

- Cokolwiek to ma znaczyć - powiedziała Krebs. - Mówił trochę dziwnie.

- To detektyw od nas.

Na Krebs nie zrobiło to wrażenia.

- Powiedziała mu pani, że mnie nie ma? - spytała Petra.

- To nie był ten, którego miałam połączyć - powtórzyła z naciskiem recepcjonistka.

- Cholera jasna. - Petra jeszcze raz przeczytała wiadomość. - Dobra. Do widzenia. Krebs wzięła się pod boki, wysunęła biodro i wciśnęła policzki.

- Jeli ma pani zamiar być taka wybredna, musi mi pani dawać szczegółowe polecenia. I odmaszerowała.

126

Nie wierz we wszystko, co widzisz w serwisach informacyjnych”.

Petra poszła do szatni, gdzie na parapecie stał telewizor.

Zenith, z niewyranym odbiorem, bez kablówki. Petra włączyła go, przełączała kanały, aż trafiła na lokalny dziennik.

Wiadomości regionalne, nic nawet odległe powiśzanego z Bliskim Wschodem.

Czy Eric w ogóle jeszcze tam był?

Nie wierz...”, w porządku, ale chyba nic mu się nie stało, skoro zadzwonił, nie ma się czym martwić.

Dlaczego nie nalegał, żeby z nią porozmawiać?

Bo nie chciał. Zła sytuacja? Co, o czym nie mógł mówić?

Serce waliło jej jak młotem, rozboleł ją żołądek. Szybko wróciła do pokoju detektywów. Barney Fleischer siedział przy swoim biurku z narzuconą na ramiona sportową marynarkę. Nucił co i układał papiery w równe kupki.

- Kto tu odbiera CNN? - spytała Petra.

- Wolę Fox News - powiedział Barney. - Są bardziej bezstronne i tak dalej.

- Wszystko jedno.

- Najbliżej będzie w Shannons.

Petra nigdy nie była w tym irlandzkim pubie, ale wiedziała, gdzie go szukać. Na Wilcox, na południe od Boulevard, niedaleko.

- Majś tam telewizor z płaskim ekranem - dodał Barney. - Czasami, kiedy nie ma meczu, włączajś wiadomoci.

Petra prawie biegiem wpadła do Shannons, usiadła przy barze, zamówiła colę. Telewizor był pięćdziesięciodwucalowym plazmowym potworem, który niczym okno zajmował pół ciany nad półkami butelek. Nastawiono go na MSNBC.

Ani słowa o Bliskim Wschodzie przez całe wydanie, wiadomoci, a pasek z informacjami na dole ekranu był wyłączony. Petra spytała barmana, czy może go włączyć.

- Specjalnie go wyłączamy - odparł - bo wypala linie na ekranie.

- W kilka minut? A może co będzie na innym kanale.

Zmarszczył brwi, patrząc wymownie na jej colę. Zamówiła zdecydowanie za mało, żeby zasługiwać na specjalne traktowanie. Ale interes się nie kręcił, bar poza nimi dwójgim wiecił pustkami, więc znalazł pilot, nacisnął odpowiedni przycisk i pasek z informacjami się pojawił.

Petra przetrwała wiadomoci ekonomiczne, skrót z finałów koszykówki, potem wiadomoci ze wiata: trzęsienie ziemi w Algierii, Bliski Wschód... ale nic, o czym Eric mógłby chcieć jej powiedzieć.

127

Dlaczego nie może po prostu...

Głos spikerki podniósł się o pół tonu i Petra nadstawiła uszu.

- ...doniesienia, że amerykański personel wojskowy może być przynajmniej częściowo odpowiedzialny za zmniejszenie liczby ofiar samobójczego zamachu bombowego w Tel Awiwie...

Kawiarnia przy promenadzie, równoległej do brzegu Morza ródziemnego. Restauracje jedna przy drugiej. Ludzie próbujś się dobrze bawić w upalny, słoneczny dzień. Izraelczycy, kilku niemieckich turystów, kilku imigrantów z Tajlandii. Bezimienni amerykańscy oficerowie służb specjalnych".

Bydlę owinięte ładunkiem wybuchowym pod płaszczem przechodzi przez ulicę.

Czarny płaszcz w tak upalny dzień powinien zaalarmować każdego, kto ma choć ladowy zmysł obserwacji.

I zaalarmował. Drań został powalony na ziemię, ogłuszony, zanim zdźżył szarpnąć za linkę detonatora ładunku plastiku, kulek od łożysk i gwodzi.

Punkt dla dobrych.

Kilka chwil póniej Drań numer Dwa podchodzi spacerowym krokiem na odległość siedmiu metrów i szarpie za swojs linkę. Zamienia się w dzi-hadburgera. Zabiera ze sobś dwójkę Izraelczyków - matkę oraz jej nastoletniś córkę.

I:

- Doniesienia mówiś o dziesiętkach rannych... Dwóch podłych zasrańców. Ale gdyby nie czyj bystry wzrok, mogło być gorzej. Czyj.

Dziesiętki rannych mogły oznaczać bardzo dużo. Eric był w doć dobrym stanie, by zadzwonić. Dlaczego nie nalegał, żeby z niś porozmawiać, do cholery?

- Wystarczy? - spytał barman. - Mogę wyłączyć? Petra rzuciła mu dziesiętaka i wyszła z baru.

21

W

róciła na posterunek, wbiegła po schodach do szatni, włączyła starego zenitha, złapała wiadomości o czwartej na KCBS. Zamach w  
Tel

128

Awiiwie był na trzecim miejscu, po problemach z wiarygodności legislatury i kolejnej aferze z defraudacją pieniędzy banku w Lynwood.

Te same nagie fakty, prawie identyczne słowa. Czego się spodziewała?

Weszła do pokoju detektywów, prawie zderzyła się z Kirsten Krebs.

- Tu pani jest. Zadzwoił, czeka. Petra podbiegła do biurka i odebrała.

- Connor.

- Nerwowa pani detektyw - powiedział łagodny głos. Doktor Bob.

- Przepraszam za to, doktorze Katzman. Miałam ciężki tydzień.

- Pewnie ma ich pani dużo. Pan też, lecząc raka.

- Dzięki, że pan oddzwonił. Jak wspominałam, Sandra Leon była wiadkiem morderstwa i mamy problem ze znalezieniem jej.

- Niestety w tym nie mogę pani pomóc - powiedział Katzman. - Nie jest już mój pacjent. Nie wiem, gdzie jej szukać.

- Gdzie przechodzi chemioterapię?

- Mam nadzieję, że nigdzie, pani detektyw. Sandra nie ma białaczki. Chociaż chciała nam wmówić, że ma.

- Kłamała o swojej chorobie?

- Okłamywanie jest chyba jedną z jej podstawowych umiejętności. Chyba le się wyraziłem, mówiąc, że nie jest już mój pacjent. Ona w ogóle nigdy nie była pod moją opieką. Dlatego mogę bez przeszkód z panią rozmawiać.

- Zamieniam się w słuch, doktorze.

- Pojawiła się u nas w zeszłym roku z listem od lekarza w Oakland; stwierdzono u niej AML, ostrą białaczkę szpikową, która weszła w fazę remisji, dlatego trzeba ją leczyć. W liście lekarz napisał też, że Sandra jest samodzielnie nieletnią, która mieszka z krewnymi i będzie potrzebować finansowego wsparcia. Nasz pracownik socjalny odesłał ją do wszystkich właściwych agencji i zapisał na wizytę u mnie. Sandra pojawiła się we wszystkich tych agencjach, ale w klinice onkologii nikt jej nie widział.

- O jakie agencje chodzi?

- Jest kilka programów, w skali hrabstwa i stanu, mających pomagać dzieciom z rakiem. Zapewniają im leki, transport i mieszkanie, peruki, kiedy pacjenci tracą włosy. Dopłacają do leczenia.

- Aha - mruknęła Petra.

- Włanie. A kiedy dziecko się zarejestruje, jego rodzina zaczyna dostawać zasiłek. Bony żywieniowe i tym podobne.

- A więc Sandra dostała dużo prezentów, ale na wizytę nie przyszła.

9 - Pokrętny umysł 129

- Zasadniczo żadna agencja nie widziała w tym problemu. Wymagają tylko zdiagnozowania pacjenta, a nie aktywnej terapii. Później dowiedziałem się, że na niektórych formularzach zgłoszeniowych Sandra figurowała jako aktywny pacjent.

- Na formularzach, które sama wypełniła.

- Już pani wie, o co chodzi.

- Widział pan jś kiedykolwiek?

- Kilka miesięcy po rozmowie z pracownikiem socjalnym. Za pierwszym razem, kiedy się nie pojawiła, zadzwoniliśmy pod numer, który podała na formularzu zgłoszeniowym. Był odłóżony. To mnie zmartwiło, ale doszedłem do wniosku, że się wyprowadziła. Albo zmieniła zdanie i poszła do innego lekarza. Potem jednak przyszły do mnie jakie jej papiery do podpisu, więc sprawdziłem to i zacząłem się zastanawiać, co się dzieje. Posłałem pracownika socjalnego do niej do domu. Adres, który nam podała, okazał się adresem agencji pocztowej.

- Gdzie?

- Nie wiem. Może Loretta, nasz pracownik socjalny, wie.

- Nazwisko, proszę.

- Loretta Brainerd. A więc Sandra była wiadkiem morderstwa?

- Morderstw - odparła Petra. - Strzelanina pod Paradiso.

- Słyszałem o tym.

- W Baltimore?

- Wyjechałem dzień przed tym, jak do tego doszło.

- W końcu się pan z nią spotkał - powiedziała Petra. - Jak jś pan znalazł?

- Poleciałem Funduszowi Dzieci z Rakiem wysłać jej list, że straci wszystkie przywileje, jeli nie stawi się na badanie kontrolne. Przyszła następnego dnia, punktualnie o umówionej godzinie. Cała we łzach, przeproszała. Bez przerwy mówiła co o jakim rodzinnym kryzysie, o tym, że nagle musiała wyjechać.

- Dokąd?

- Jeli powiedziała, ja tego nie pamiętam. Prawdę mówiąc, nie słuchałem. Byłem zły, bo miałem wrażenie, że mnie robi w konia. Ale kiedy się tak zalewała łzami, już sam nie wiedziałem. To dobra aktorka. Co najważniejsze, chciałem jś zbadać, bo nie podobało mi się to, co zobaczyłem. Miała żółtawš cerę, zwłaszcza oczy. Żółtaczka bywa objawem nawrotu, choroba może zaatakować wštrobę. Zaleciłem pełne badanie krwi. W zależności od tego, co by wykazało, byłem gotów na pobranie szpiku i nakłucie łądwiove, bardziej inwazyjne badania, nawet wyjškowo ulegli pacjenci ich nie lubiř. Ale kiedy wspomniałem o tym Sandrze, nie zde-130

nerwowała się. Zaczęłem się zastanawiać, czy w ogóle kiedy je miała. Wysłałem próbki do analizy i kazałem jej przyjć o pištej tego samego dnia. Powiedziała, że jest głodna, więc dałem jej pieniřdze na hamburgera w stołówce. Dla niej i jej kuzynki.

- Kuzynki?

- Innej dziewczyny, mniej więcej w tym samym wieku. Przyjechały z mężczyznř około czterdziestki. Wysadził je pod klinikř i pojechał; kuzynka została. Otrzymałem wyniki analizy krwi, białaczki nie wykazały, wykazały natomiast zapalenie wštroby typu A, wirusowe. Nie tak grone jak typ C, ale też wymagajřce leczenia. Byłem gotów przyjřć Sandrę na obserwację. Ale ona nie przyszła. A to niespodzianka, prawda? Wtedy zadzwoniłem do tego lekarza z Oakland. Nigdy o niej nie słyřał. Nie był nawet onkologiem, tylko lekarzem rodzinnym, pracujřcym w jakiej klinice Medi-Cal. Sandra musiała dorwać skřd jego papiery i sfalszowała list.

- Czy to zapalenie wštroby czym jej grozi?

- Nie, dopóki nie spadnie jej odpornoć i nie złapie czego innego. Zapalenie typu A jest z reguły samoograniczajřce. To w slangu lekarskim oznacza, że przechodzi samo z siebie.

- Oczy wciř ma żółte - zauważyła Petra.

- Przyszła tu... chyba cztery miesiřce temu. Po szeciu pacjentom z reguły się poprawia.

- Jak się to łapie?

- Z braku higieny. - Katzman przerwał. - prostytutki i inne osoby prowadzące bogate życie seksualne są w grupie ryzyka, jeśli uprawiają seks analny.

- Uważa pan, że Sandra prowadzi bogate życie seksualne?

- Flirtowała ze mną, ale to wszystko, co mogę powiedzieć.

- Przez cały czas, kiedy była w systemie opieki - spytała Petra - ile udało jej się wydoić?

- Nie mam pojęcia.

- A ta kuzynka. Jaka była? Co pan pamięta?

- Cicha dziewczyna. Sandra była bardziej bezporednia, ładna, mimo żółtaczk. Kuzynka tylko siedziała i nic nie mówiła.

- Czy była w wieku Sandry?

- Może trochę młodszą.

- Niższa? Puciołowata? Kręcone, rudawe włosy? Milczenie.

- To brzmi znajomo.

- Czy nosiła przypadkiem różowe adidas?

- Tak. Jasnoróżowe. To akurat pamiętam. - Mówił, jakby jego samego zaskoczył ten nawrót pamięci.
- Co jeszcze może mi pan powiedzieć o ich wzajemnych relacjach? - spytała Petra.
- Nie zwracałem na to uwagi. Skupiałem się na żółtacze Sandry. Petra zeszywniała; czy tamtej nocy, na parkingu, dotykała dziewczyny?
- Uznałby pan tę chorobę za zaraliwś, doktorze?
- Nie poszedłbym na wymianę płynów ustrojowych z kim, kto ma zapalenie wśtroby typu A, ale nie złapie się tego przez ucisk dłoni.
- Co może mi pan powiedzieć o tym dorosłym mężczyźnie, który przyjechał z dziewczynami?
- Pamiętam tylko, że zostawił je w poczekalni i wyszedł. Zwróciłem na to uwagę, bo wyszedłem z gabinetu, odprowadzając pacjenta. Kiedy chciałem z nim porozmawiać, wiadomo, odpowiedzialny dorosły człowiek, jego już nie było.
- Jak wyglądał? - spytała Petra.
- Widziałem tylko j ego plecy.
- Zauważył pan, w jakim był wieku. Koło czterdziestki.
- Niech będzie w rednim wieku. Sśdzśc po sposobie, w jaki się nosił. Między trzydziestkś a pięćdziesiśtkś.
- Jak był ubrany?
- Przykro mi. Wkraczałbym w krainę fantazji. Co często się to ostatnio zdarza.
- Czy Loretta Brainerd może wiedzieć na ten temat więcej? - spytała Petra.
- Nie sśdzę, ale proszę bardzo, niech jś pani zapyta.
- Dziękuję, doktorze.
- Jeszcze jedno. Sandra podała, że ma piętnacie lat, ale według mnie jest starsza. Bliżej osiemnastu czy dziewiętnastu. Nie mogę tego podeprzeć żadnymi badaniami; po prostu pomylałem o tym, kiedy sobie uwiadomiłem, że zostałem nabrany. Była po prostu... nie powiedziałbym: wyrafinowana... po prostu pewna siebie. - Zamiał się. - Pewna siebie, udajśc pewnś siebie.

Petra zadzwoniła do Brainerd. Pracownica socjalna pamiętała Sandrę Leon jak przez mgłę.

Odkładając słuchawkę, Petra wróciła myślami do przesłuchania na parkingu. Po dziewczynie, która właśnie była wiadkiem brutalnej mierci swojej kuzynki”, nie widać było żadnego wstrzśsu, żalu, żadnych emo—

cji, których można by się spodziewać u nastolatki w obliczu tragedii. Wręcz przeciwnie nie uroniła ani jednej łzy. Tupiała tylko nogś... zniecierpliwiona. Jakby Petra zabierała jej cenny czas.

Jedynś rzeczś, jaka wywołała w oczach dziewczyny niepokój, był wstępny kontakt wzrokowy.

Nie przejmowała się zabójstwem, ale bała się policji.

Twierdziła, że ma piętnacie lat, kiedy podawała fałszywe dane w szpitalu, ale tamtej nocy powiedziała, że ma szesnacie.

Jej makijaż i ubranie pasowały do teorii Katzmana, że była starsza.

Odstawiła się szykowniej niż dziewczyna w różowych adidasach. Wystroiła jak na imprezę, włącznie ze sztucznym pieprzykiem. Co wietowała?

Obu dziewczynom towarzyszył dorosły mężczyzna. Sandra wspominała o skazanym bracie, złodzieju samochodów. Petra przejrzała notes, znalazła swój š pospiesznie nagryzmlonš notatkę.

Brat. Wóz. Lompoc.

Zadzwoiła do więzienia stanowego, połšczyła się z jednym z zastępców dyrektora i dowiedziała się, że przebywa tam dwóch Leonów: Robert Leroy, lat szećdziesišt trzy, wyłudzenie i kradziež, oraz Rudolfo Sabino, lat czterdzieci pięć, nieumylnie spowodowanie mierci i okaleczenie. Zastępcą był na tyle uprzejmy, że sprawdził listy goci obu więniów. Rudolfo Leona nikt nie odwiedził od ponad trzech lat. Smutna sprawa, facet miał HIV i demencję. Starszy mężczyzna, Robert Leroy Leon, miał sporo goci, ale żadnej Sandry, nikogo, kto kojarzyłby się z niš wiekiem czy wyglšdem.

Następne kłamstwo?

Sandra Leon oficjalnie zmieniała status ze wiadka na podejrzanego.

Petra zadzwoniła do Maca Dilbecka i opowiedziała mu o oszustwie.

- Znała ofiarę, ale się nie zdenerwowała - stwierdził. - A więc może wiedziała, że do tego dojdzie.

- Tež tak myślę.

- Dobra robota, Petra. Masz co jeszcze o tym dorosłym mężczyźnie?

- Jeszcze nie. Zastanawia mnie co innego. Leon wyrecytowała mi swoje prawa, a ja jš zapytałam, czy ma jakie dowiadczenia z wymiarem sprawiedliwoci. Opowiedziała mi historyjkę o bracie, który siedzi w Lompoc. Okazuje się, że to tež gówno prawda, ale po co z własnej woli mówiłaby co, co wišzałoby jš z przestępcš? Dlaczego nie nabrała wody w usta?

- Može twoje pytanie zbiło jš z tropu - powiedział Mac. - To kłamczucha, ale cały czas jeszcze się uczy. No i wypsnęła się jej półprawda, ale zamaskowała jš zmylaniem.

133

- Krewny w więzieniu - stwierdziła Petra - ale nie brat. A może brat, ale nie w Lompoc. Ten przekręt z rakiem był cwany, na pierwszy raz by tego nie próbowała. Dziewczyna ma dowiadczenie, zastanawiam się, czy nie uczestniczy w jakim rodzinnym przestępczym interesie.

- Jaka cyganeria? Može. Jak Druciarze. Albo ci Somalijczycy, których przymknęlimy w zeszłym roku. Właciwie, czemu nie? Gdyby się okazało, że gdzie u nas siedzi za przekręty jaki Leon, zrobiłoby się naprawdę interesujšco.

- Robert Leon siedzi za wyłudzenie i kradziež, ale jest za stary na jej brata.

- Ciekawe.

- Može morderstwo ma zwišzek z jakš aferš, a dziewczyna w różowych adidasach była celem - zastanawiała się Petra. - Załatwili to tak, żeby wyglšdało na porachunki gangów. Sandra nie przestraszyła się, bo o wszystkim wiedziała.

- Okrutna - stwierdził Mac. - Bardzo okrutna. Dobra, trzeba sprawdzić więzienia stanowe i federalne, nawet areszty hrabstw.

- Kto to zrobi?

- Može ty?

- Mam się tym zająć sama?

- Cóż - powiedział Mac. - Montoya dostał już nowš sprawę, a ja nie mam dzisiaj czasu, jadę na spotkanie z cwaniakami w



ródmieciu. Będę tam siedział i słuchał ich tłumaczenia, dlaczego sš o tyle mšdrzejsi od nas. Oczywiście, jeli chcesz się zamienić...

- Nie, dziękuję. Idę po swój š czarodziejskš różdkę.

Sprawiła wszystkich Leonów w Krajowym Centrum Informacji Kryminalnej i w pozostałych bazach danych, dostała za długš listę. Pora na odrobinę logiki. Sandra Leon przyniosła Katzmanowi list z kliniki w Oakland, co znaczy, że ona sama albo kto, kogo zna, przez jaki czas tam mieszkał.

Petra skoncentrowała się na Leonach z Bay Area, co zawęziło listę kandydatów do dwunastu.

Dwóch więniów - John B., lat dwadziecia pięć, Charles C., dwadziecia cztery - pasowało do domniemanego wieku brata. Obaj pochodzili z Oakland, a kiedy wycišnęła ich dane osobowe, od razu się zorientowała, że pieniądze podatników nie idš na jej pensję na marne.

John miał na drugie Barrymore, a Charles - Chaplin.

Co powiedział Katzman o Sandrze? To dobra aktorka”.

Petra dowiedziła się jeszcze, że mężczyźni sš braćmi, i pozwoliła sobie na umiech zadowolenia.

134

- Co ci tak wesoło? - spytał przechodźcy detektyw.

- Raz na jaki czas może być - odparła.

John Barrymore Leon odsiadywał pięcioletni wyrok w Norco za wyłudzenia pocztowe, a Charlie Chaplin Leon zarobił dwa lata w Chino za kradzież - włamania do automatów sprzedających kawę i słodycze w centrum handlowym w Oakland.

Dyrekcja w Norco była zajęta, a szef straży nowy. Ale jego odpowiednik w Chino okazał się prawdziwym ródłem informacji. Leonowie byli członkami pochodzącej z Oakland grupy przestępczej o nazwie Gracze, kilku ich kuzynów już swoje odsiedziało. Liczbę członków grupy oceniał na pięćdziesięciu do szećdziesięciu; głównie powiższanych więzami krwi, ale część dostała się do organizacji przez małżeństwo albo adopcję. Byli to przeważnie Latynosi - pochodzący z Gwatemali - ale też dużo białych, czarnych i przynajmniej dwoje Azjatów.

- Zróźnicowanie etniczne w miejscu pracy - stwierdziła Petra. Straźnik się rozemiał.

- Czy używajš przemocy? - zapytała.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Koncentruj się na przekrętach, wyłudzajš zasiłki. Widzš w sobie aktorów, bo ich szef kiedy próbował zostać aktorem.

Szefem grupy był niedoszły aktor z czterdziestoletniš historiš wyłudzeń i kradzieży. Robert Leroy Leon, lat szećdziesišt trzy, znany jako Reżyser. Obecnie w Lompoc. Dużo gości, ale żadnej Sandry.

Mac trafił w sedno: dziewczyna spanikowała, wysnęła jej się częściowa prawda.

Petra wycisnęła ze strażnika z Chino wszystko, co wiedział o Graczach. Podał jej nazwiska kilku możliwych członków, ale niewiele więcej. Zrobiła dużo notatek i włšczyła komputer.

Zalogowała się do Google, wpisała Gracze” - dostała milion szećset czterdzieci tysięcy odpowiedzi. Na hasło Gracze przekręty” - dokładnie jednš stronę, protest przeciwko nadużyciom wielkich korporacji.

Dochodziła siódma wieczorem. Petra nagle poczuła się zmęczona i przybita. Patrzyła na ekran i zastanawiała się, co dalej, kiedy od tych wszystkich zer jej uwagę odcisgnł głos Isaaca.

- Czeć - powiedział.

Jej spojrzenie pomknęło do siniaka na jego policzku. Zbladł - nie, został zamaskowany. Isaac próbował zakryć go makijażem. Efektem była łuszczyca się, nieładna plama.

- Cześć - odparła Petra. - Mam nadzieję, że ten drugi wygląda gorzej.

135

22

Isaac zaczerwienił się pod makijażem. - To nic takiego - powiedział, zbyt swobodnie. - Kiedy wróciłem do domu, na korytarzu było ciemno i wpadłem na cianę.

- Aha.

Kilka płatków makijażu wylądowało na ramieniu jego niebieskiej koszuli. Isaac zobaczył, że Petra na niego patrzy, i strzepnął je.

- Zastanawiałem się, czy mógłbym co dla ciebie zrobić. Była siódma trzydzieci dwie.

- Zostajesz dłużej? - spytała.

- Cały dzień byłem zajęty na uczelni, pomyślałem, że przyjadę i zobaczę, czy mnie nie potrzebujesz. Milion sześćset czterdzieci tysięcy trafień. Umiechnęła się.

- Właciwie...

Opowiedziała mu o Sandrze Leon i Graczach, a potem odprowadziła wzrokiem, kiedy pobiegł do swojego laptopa. Zachwycony, że ma jakie zajęcie. Petra była wykończona i głodna.

Wróciła do Shannons, siadła na tym samym stołku przy barze, zamówiła budweisera i kanapkę z peklowanś wołowinś. Telewizor był nastawiony na kanał z telezakupami. Żaden z pijaków przy kontuarze nie był zainteresowany kupnem mistycznych bransoletek z cyrkoniami.

Za barem nastąpiła zmiana, teraz stała tam kobieta, która nie marudziła, kiedy Petra poprosiła ją o włączenie Fox News i paska z informacjami.

- Tak, to wkurzające - powiedziała barmanka. - Człowiek chce co przeczytać, a tu wszystko przecięte na pół.

Trzej pijacy przytaknęli. Starsi mężczyźni, siwi, w pomiętych roboczych ubraniach. Cały bar cuchnął ich potem. Kolor ich twarzy mówił, że Dzień świętego Patryka zaczął się trochę wczyniej.

Jeden z nich spojrzał na Petrę z umiechem. Nie było to lubieżne spojrzenie, raczej ojcowskie. Petra, nie wiadomo czemu, pomyślała o swoim tacie, o tym, jak wstrząsające szybko zgasił go Alzheimer.

Wgryzła się w kanapkę, napiła piwa, zamówiła jeszcze jedno, wbiła wzrok w ekran, kiedy usłyszała Tel Awiw”.

136 ‘

dWypalone i pogięte stoliki i krzesła, wycie syren karettek, chasydzkie postacie uprzstające części ciała. miertelne żniwo wzrosło do czterech osób - jeden z rannych zmarł od obrażeń odniesionych w wybuchu”. Liczba rannych była już dokładnie znana - dwadziecioro szecioro.

Autorstwo zamachu przypisywały sobie Hamas i jedna z grup Arafata.

Przypisywały sobie.

Pieprzyć ich.

Kanapka spuchła Petrze w ustach. Nozdrza wypełnił zapach zalewy solnej, żołądek podjechał jej do gardła. Rzuciła pieniądze na bar

i podeszła do drzwi.

- Wszystko w porządku, złociutka? - zawołała za nią barmanka. Kiedy zatrzymała się w nich, usłyszała jeszcze:

- Może chociaż zapakować kanapkę na wynos?

Petra jedziła po mieście bez celu, nie myśląc. Słuchała ryku klaksonu, kiedy zajęła komu drogę, i miała to gdzie.

Nieobecna myślami, przepychała się wśród samochodów, jakby jej hon-da jechała po torze. Nie patrzyła na ludzi, jak to zazwyczaj robiła. Nie była na służbie - służbie, która tak naprawdę nigdy się nie kończyła.

Ale dziś było inaczej. Dziś Petra nie chciała mieć nic wspólnego z kryminalistami, łachudrami, złodziejami i oszustami. Nie miała cierpliwości wypatrywać ukradkowych spojrzeń, podejrzanych ruchów, nagłych wybuchów przemocy, które zmieniały wszystko.

Dwudziestu szcioro rannych.

Eric do niej zadzwonił, więc nic mu nie było.

Ale Eric stoicko znosił ból. Po ranie zadanej nożem, kiedy się ocknął, odmówił rodków przeciwbólowych. Przedziurawiony niemal na wylot twierdził, że nic nie czuje. Lekarze nie mogli uwierzyć, że mógł to znieść.

Siedział w szpitalnym łóżku, taki blady...

Jego rodzice, Petra i blondyna czekali w milczeniu.

Pa, pa, blondi. Ja wygrałam.

Jakś nagrodę?

Dojechała do domu bez wypadku i przez cztery godziny z rzędu malowała jak opętana, aż zaczęło się jej dwoić w oczach. Chwilę po północy, nie oglądając nawet tego, co namalowała, wyłączyła światło, powlokła się do łóżka i rozebrała, już leżąc. Zasnęła, zanim policzyła do trzech.

O, czwartej czternacie nad ranem poderwał ją telefon.

- To ja - powiedział.

- Och - odparła głupio. Potrzebowała głowki. - Jak się czujesz?

137

- Dobrze.

- Nic ci nie jest? Dzięki Bogu...

- To drobne...

- O, Boże...

- Mały odłamek w łydce. Skaleczenie.

- O, Boże, Eric...

- Przeszedł na wylot, naprawdę to nic poważnego. Usiadła z walącym sercem, ręce miała jak z lodu.

- Odłamek w nodze to nic poważnego!

- Miałem szczęście - powiedział. - Pierwszy gnojek napchał kamizelkę nakrętkami, gwóźdźmi i kawałkami blachy. Drugi kulkami od łożysk, a one przeszły na wylot.

- One? Więcej niż jedna?
- Parę małych ranek, nic mi nie jest, Petra.
- Parę, czyli dwie? Cisza.
- Eric?
- Trzy.
- Trzy kulki od łożysk w nodze.
- Żadna, nie uszkodziła koci ani ścięgna, tylko mięsień. Czuję się, jakbym miał zakwasy.
- Skąd dzwonicz?
- Ze szpitala.
- Którego? Gdzie? W Tel Awiwie? Cisza.
- Niech cię szlag - zakleła Petra. - Mylisz, że co, zadzwonię do OWP i zdradzę tajemnicę państwową?
- W Tel Awiwie - mruknął. - Nie mogę długo rozmawiać. ledztwo jest w toku.
- Jakby nie wiedzieli, kto to zrobił. Cisza.
- To ty zauważyłeś tego pierwszego, prawda? Nie odpowiedział.
- Prawda? - powtórzyła.
- To było oczywiste, Petra. Trzydzieci stopni w cieniu, a on ma na sobie płaszcz i wygląda, jakby miał się porzygać.
- Dzieciak? Używajś do tego dzieciaków, prawda?
- Dwadzieścia parę lat. Gówniarz. Gnojek.
- Byli z tobś wojskowi i gliniarze. Kto jeszcze go zobaczył? Cisza.

138

d-Odpowiadaj, Eric.

- Byli zajęci czym innym.
- A więc zostało bohaterem.
- To złe słowo.
- Trudno - powiedziała. - Jeste bohaterem. A masz być moim bohaterem.

Nie odpowiedział.

Zamknij się, kobieto. Powinna dodawać mu otuchy, a nie zgrywać bezradną diwę.

- Przepraszam. Po prostu... Nie wiedziałam... Martwiłam się.
- Mogę być twoim bohaterem - odpowiedział. - To inni mnie wkurzająś.

Poniedziałek, 17 czerwca, 10.34, pokój detektywów, wydział Hollywood

Kiedy Petra przyjechała, Isaac na nią czekał. Minęła go i poszła do damskiej toalety.

Musiała się pozbierać. Była wyczerpana, mimo weekendu.

A raczej z powodu weekendu. Stresu, z którym musiała poradzić sobie w samotności.

Z mocnym postanowieniem niemylenia o zamachu i pracy zajęła się porządkami w domu. Pochłonęły ją też maniackalne ataki na sztalugi, a ich efekt przyprawił ją o monumentalną depresję. Jej reprodukcja O'Keefe okazała się ponurym kleksem. Tamta kobieta była geniuszem, Petra wiedziała, że nigdy jej nie dorówna.

Ale zwykle skopiowanie nie powinno być takie trudne.

Pod wpływem impulsu zachlapała całe płótno czarną farbą, potem tego pożałowała i rozpłakała się.

Nie płakała od dawna. Odkąd uratowała Billy'ego i podarowała mu nowe życie. Co się z nią dzieje, do cholery?

Zamalowała czernią bielą, potem nałożyła warstwę magenty, bo słyszała, że ktoś -jakiś sławny artysta - używał tego koloru jako podkładu.

Smród terpentyny szczywał ją w nos. Oplukała pędzle i wzięła długą gorącą kąpiel, z której wyszła czerwona, z napiętą skórą.

Może pomogłaby jej przebieżka. Albo spacer. Nie, do diabła z tym. Nałożyła sobie lodów.

139

Niedzielę zakończyła zakupami i telefonami do swoich pięciu braci. I ich żon, i dzieci. Pięć szczęśliwych rodzin, prowadzących pełne, zabiegane, domowe życie.

Krótką rozmowa z Erikiem wieczorem sprawiła, że zarumieniły się jej policzki, ale kiedy odłożył słuchawkę, nie mówiąc, że za nią tęskni, poczuła się opuszczona.

Zostawał w Izraelu dłużej, niż zamierzał, miał zaplanowane jakieś spotkania na wysokim szczybie. Potem może wyjazd do Maroka i Tunezji. W porównaniu z Bliskim Wschodem było tam spokojnie, ale chodziły różne plotki, tyle tylko mógł powiedzieć.

Pod jego nieobecność Petra próbowała jako pośrednio się do niego zbliżyć - oglądała wiadomości i czytała gazety. O zamachu już nie pisano.

Geopolityka miała się jak zwykle.

W końcu w którym momencie wszyscy stajemy się liczbami w tabeli, prawda?

Stała przed lustrem w toalecie. Wydmuchała nos, poprawiła włosy.

Mam trzydzieci lat, a skóra twarzy już zaczyna mi obwisać.

Wygięła się w łuk, by wyeksponować biust, który uznał za stosowne dać jej los, zatrzepotała rękami, zmierzwiła fryzurę, stanęła w wyzywającej pozycji.

Cześć, żeglarzu.

Potem przypomniał się jej zabity marynarz, Darren Hochenbrenner, któremu ktoś rozwalił głowę i zostawił w zaułku w paskudnej okolicy.

Przypomniały jej się pozostałe czerwcowe morderstwa.

Do dwudziestego ósmego czerwca zostało jeden dzień, a ona nie zrobiła żadnych postępów, odkąd Isaac wręczył jej swój mały prezent.

Teraz czekał na nią z niecierpliwością.

Wyprostowała się, przybrała rzeczowy wyraz twarzy, zatarła wszelkie lady femme fatale -jakby w ogóle jakie były.

Siedział przy swoim biurku, dopóki go nie zawołała.

- No i co?

- Z tego, co się dowiedziałem, wymiar sprawiedliwości niewiele wie o Graczach. W tej chwili pięcioro domniemyanych członków grupy siedzi w więzieniach. Domniemyanych, bo wszyscy się wypierają przynależności do niej.

Petra wyjęła notes.

- Zapisalem to - powiedział Isaac - mogę ci wydrukować.

140

Odłożyła notes.

- Kto siedzi w więzieniu?

- Dwóch, których znalazła, John i Charles, to wnuki Roberta Leona. Niespokrewniony z nimi Anson Cruft został skazany za posiadanie fałszywych dokumentów tożsamości, a kobieta, Susan Bianca, która prowadziła legalny burdel w Nevadzie i próbowała tego samego w San Louis Obispo, siedzi za stręczycielstwo. To młodsza siostra drugiej żony Roberta Leona, Katherine Leon. Robert to dość interesujący przypadek. Czterdzieci lat temu był modelem, potem zagrał kilka drobnych ról w serialach, tutaj, w Hollywood. A później już nic. Gdzieś po drodze zahaczył o wiatek przestępczy. Nie jest jasne, jak to się zaczęło. To Gwate-malczyk, ale większość życia przeżył tutaj. Jego pierwsza żona była Meksykanką, córką gangstera z Nuestra Familia. Umarła na raka, a Leon chyba nie miał nic wspólnego z Familią. A przynajmniej tak mówił ludźmi z więzienia. Prowadził w San Francisco kino porno, klub ze stripti-zem i księgarnie dla dorosłych. Tam poznał Katherine, była tancerką. Przypuszczam, że w takim rodowisku łatwo mógł się zetknąć z innymi przestępcami, ale może to sprawa gangów. - Wzruszył ramionami. - Tyle wiem.

- Tylko tyle?

- Chyba najlepiej będzie, jeśli porozmawiasz z lokalną policją.

- Żartowałam, Isaac. wietnie ci poszło, to więcej niż sama bym znalazła.

Komplement wydawał się nie robić na nim żadnego wrażenia. Isaac pozostał miertelnie poważny.

Petra odwróciła się do własnego komputera, wywołała akta Roberta Leona z KCIK, Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej. Najnowsze zdjęcie przedstawiało smukłego, siwowłosego mężczyznę o pociągłej twarzy, pociętej siatką zmarszczek. Gęste, faliste włosy miał zaczesane gładko do tyłu, włosy smolicie czarne.

Nie wyglądał na sześćdziesiąt trzy lata. Był dobrze zbudowany, Petra dostrzegła w nim lady młodego modela. W serialach na pewno był obsadzany w rolach latynoskiego kochanka.

Leon umiechał się do fotografującego go policjanta. Mimo że umiech ten był trochę zbyt pewny siebie, pozostawał w jakiś sposób ujmujący.

A nad umiechniętymi ustami twarde oczy zatwardziałego kryminalisty.

- Znalazła jakie rodzeństwo dwóch braci? - spytała Isaaca.

- Nikogo konkretnego - odparł - ale trafiłem na artykuł w darmowym tygodniku z San Francisco, z którego wynika, że Robert Leon miał dużo dzieci. Trochę jak cygański król, ale etnicznie to nie są Cyganie.

141

- Było tam jeszcze co interesującego?

- Właćwie nie. Nie był za dobrze napisany. Taka hipisowska proza w stylu lat szećdziesiśtych. Też go wydrukujś.

Petra, urodzona w 1973, hipisów uważała za zamierzchł historyę. Jak mógł ich widzieć Isaac?

- Dobra, dziekuję - powiedziała. - Dała mi co, nad czym mogę popracować.

- Jeden dwudziesty ósmy czerwca, nie znalazłem nic nowego. - Zawahał się.

- Co jest?

- Może robię z igły widły.

- Nie. Na pewno nie. Sprawdzę to, co znalazłe na temat Leona i jego gangu, a potem spotkamy się, powiedzmy o czwartej czy piśtej, i zastanowimy nad tym dwudziestym ósmym. Jeli jeste wolny.

- Jestem. Zdecydowanie. Mam kilka spraw do załatwienia na uczelni, ale na piśtś będę. - Umiechnł się od ucha do ucha.

Petra zadzwoniła do Lompoc po raz drugi i zaznajomiła się ze szczegółami listy goci Roberta Leona. Zainteresowały jśtrzy nazwiska. Osiemnastoletnia Marcella Douśuette z adresem przy Brooks w Yenice i dwaj mężczyźni około czterdziestki, którzy podali adresy w Hollywood: Albert Martin Leon, lat czterdzieci pięć, Whitley Avenue, i Lyle Mario Leon, lat czterdzieci jeden, Sycamore Drive.

Petra zadzwoniła pod wszystkie trzy numery. Odłśczone.

Z powrotem do KCIK. Albert i Lyle siedzieli za przestępstwa bez użycia przemocy, Albert w Nevadzie, a Lyle w San Diego. Zdjęcia ukazywały wyrane podobieństwo do Roberta Leona - taka sama smukłość, takie same faliste włosy. Albert był już siwy, włosy do ramion cesał z przedziałkiem porodka. Nie był zbyt przystojny; nos miał rozplaszczony i krzywy, a oczy wtłoczone w zniekształconś chrzśstkę. Według danych cały był pokryty bliznami. Specjalizował się w czekach bez pokrycia.

Włosy Lyle'a Leona były wciśz ciemne. Przycięte krótko z boku, nastroszone i wystrzyżone na płasko u góry - o wiele za stary na takś fryzurę. Kolczyk i bródka pod dolnś wargś wiadczyły, że goć uważa się za luzaka. Przymknięto go za sprzedawanie do niczego nieprzydatnych rodków czyszczścych starszym ludziom, odsiedział niecały rok w San Diego.

Drobny naciśgacz, próbujścy udawać fajnego kolesia?

Nie było żadnej wzmianki o jakimkolwiek pokrewieństwie obu mężczyźni i Roberta Leona. Biorśc pod uwagę różnicę wieku, patriarcha rodu

142

mógł spłodzieć swoich synów doć wzenie. A może Albert i Lyle byli jego kuzynami. Nieważne.

Marcella Douśuette nie była notowana. Miała na to jeszcze czas.

Może to wszystko nic nie znaczy, ale przyszła pora ruszyć tyłek.

Adresy Lyle'a i Alberta były fałszywe. Tak samo jak w przypadku San-dry: wielomieszkaniowe bloki, nikt taki nigdy tam nie mieszkał. Żaden z nich nie był na zwolnieniu warunkowym, żaden nie zarejestrował na siebie pojazdu, nie było więc sposobu, by ich wytropić.

Petra pojechała do Yenice. Dom przy Brooks Avenue był jednym z trzech pokrytych sidingiem budynków, stojścych na wypalanej słońcem działce w samym rodku terytorium wojny gangów. Mała chałupka, nachylona na betonowej podmurówce. Dach pokryty papś, siding popękany. Działka otoczona była siatkś i zawałona mieciami: opony, stara pralka, rolki folii, butelki, puszki, połamane, drewniane palety.

Była pierwsza po południu i ogolone głowy spały. Petra czuła zapach oceanu - przyjemny, słonawy, delikatnie tylko zalatujścy

zgniliznš. Chałupa była ruderš, ale leżała tuż przy plaży. Yenice Beach - tu dewiacja jest normš, a oszuci co niedziela obrabiaj š turystów.

Idealne miejsce dla Graczy i im podobnych. Petra poczuła szarpnięcie w piersi. Może wreszcie do czego dotarła.

Wysiadła z samochodu, rozejrzała się po ulicy, opuciła dłoń na biodro, tam, gdzie nosiła pistolet. Ocean ginš pod okrywš zupowatej, szarej mgły -jak to w czerwcu - a cała okolica przybrała barwy zdjęcia z gazety.

Może dlatego włanie morderca wybrał sobie czerwiec. Przybiła go paskudna pogoda.

Petra odczekała jeszcze chwilę, z daleka przyjrzała się miejscu zamieszkania Marcelli Doušette i upewniła się, że w okolicy nie jeżdż żadne lowridery. Furtka w ogrodzeniu z siatki była zamknięta na klucz, ale niska, sięgała zaledwie do pasa.

Petra podeszła bliżej, czekajšc na obowišzkowego pitbulla. Nic. Jeszcze raz rozejrzała się po ulicy, wsunęła stopę w oczko siatki i przeskoczyła na drugš stronę.

Nie było dzwonka, na zdecydowane pukanie nikt nie odpowiedział. Kiedy miała już obejć dom dookoła, drzwi sšsiedniego się otworzyły i wyszedł z nich mężczyzna, mružšc oczy.

Latynos, dwadziecia kilka lat, nagi od pasa w górę, rzadkie, ostrzyżone po wojskowemu włosy. Do tego równie rzadkie wšsy. Jak ten stary aktor... Cantinflas.

143

Miał na sobie lune, niebieskie spodenki kšpielowe i nic poza tym. Miękka, bezwłosa pier - i cała reszta - w kolorze kawowych lodów. Zaokršglony brzusek. Duży, wystajšcy pepek, przypominajšcy patisona - połoźnika należałoby podać do sšdu.

Petra nie zauważyła żadnych tatuaży ani blizn. Nie poruszał się teź kołyszšcym krokiem jak macho. Zwykły, zaspany, tustawy młody człowiek, który wstał o trzeciej po południu.

Pozdrowiła go krótkim skinieniem głowy.

Odpowiedział tym samym, wcišgnšł powietrze nosem. Ziewnšł.

Petra do niego podeszła.

- Mieszka tu pan już jaki czas?

Odpowiedział tak cicho, że musiała podejć bliżej.

- Słucham?

- Tylko w lecie.

- Kiedy się pan tu wprowadził?

Popatrzył na niš. Pokazała mu odznakę. Znów ziewnšł. Za drzwiami, w głębi domku zobaczyła pokój: szara wykładzina, niebieska kanapa i workowaty puf w kolorze dyni. Na kanapie duża, czarna skórzana walizka. Zasłony zacišgnięte. Zapach pleni z wykładziny wypłynšł na zewnštrz, na nieruchome, czerwcowe powietrze.

- Pierwszego maja - odparł mężczyzna. - A o co chodzi?

- Dlaczego w maju?

- Wtedy skończyła się szkoła.

- College?

- Cal State Northridge. - Podcišgnšł spodenki. Zsunęły się z powrotem. - Co jest grane? Petra wykręciła się od odpowiedzi



umiechem.

- Co pan studiuje?

- Fotografię. Fotoreportaż. Mieszkam w Yalley, pomylałem, że Yenice to dobre miejsce, żeby zrobić trochę zdjęć do mojego portfolio. - Zmarszczył brwi. - O co chodzi?

Petra spojrzała na niebo.

- Mgła nie przeszkadza panu w zdjęciach?

- Z odpowiednimi filtrami można zrobić fajne rzeczy. - Zmarszczył brwi. - Jakie problemy? Nie zdawałem sobie sprawy, jak niebezpieczna jest ta okolica, dopóki tu nie zamieszkałem.

- Ma pan jakie kłopoty?

- Nie zostawiłbym sprzętu w domu.

- I sąsiedzi?

- Cała okolica. Wieczorami staram się nie wychodzić. Pewnie wyprowadzę się pod koniec miesiąca.

144

- A czynsz?

- Płacę na bieżąco, co miesiąc.

- Kto jest właścicielem?

- Jaka firma. Znalazłem ją przez ogłoszenie na uniwerku.

- Tanio? - spytała Petra.

- Bardzo.

- Próbuję znaleźć młodszą kobietę, Marcellę Doušuette - powiedziała Petra.

- To ona mieszka obok?

- Obok mieszka jaka dziewczyna?

- Mieszkała. Od jakiego czasu jej już nie widuję.

- Od jakiego? Podrapał się w brodę.

- Ze dwa tygodnie.

Akurat wtedy była strzelanina pod Paradiso.

- Może mi pan podać swoje imię i nazwisko?

- Moje imię i nazwisko?

- Tak.

- Ovid Arnaz.

- Panie Arnaz, mam tu zdjęcie. Nie takie, jakie pan by zrobił. Z biura koronera. Zechce pan na nie spojrzeć?

- Byłem w biurze koronera. Na zajęciach. To było spotkanie z policyjnymi fotografami.

- Mocne.

Arnaz się przeciśgnął,

- Było ciekawie. - Zerknął na sśsiadni budynek. - Co z niś, nie żyje? Petra pokazała mu najmniej wstrzśsajsze zdjęcie zabitej dziewczyny w różowych adidasach. Ovid Arnaz przyjrzał się mu bez ladu emocji.

- Aha - powiedział. - To ona.

Petra zadzwoniła do Pacific Division, wyjaniła sytuację przyjanie nastawionemu sierżantowi i w ciśgu pięciu minut na miejsce przyjechały trzy radiowozy. Furgonetce technicznej dojazd zabrał dodatkowe dwadziecia minut; mundurowi stali i czekali, a Petra zadała jeszcze kilka pytań Owidowi Arnazowi.

Był małowmny, ale okazał się wspaniałym ródłem informacji. Miał fotograficznś pamięć i oko do szczegółów.

Zapamiętał różowe adidas Marcelli Douśuette - zawsze je nosiła -i dokładnie opisał jej twarz i sylwetkę. Co więcej, powiedział, że mieszkała

10 - Pokrętny umyst

145

z dwojgiem ludzi. Z dziewczynś, szczupłś blondynkś - to pewnie była Sandra. I starszym facetem z dziwnś, kudłatś fryzurś i bródkś.

Lyle Luzak” Leon.

Petra dla pewności pokazała Arnazowi jego zdjęcie.

- To on. Ubierał się jak pirat.

- Czyli?

- Jedwabne koszule z szerokimi rękawami. Piraci takie nosili.

Nie był już tak pomocny, kiedy przyszło do opisanía zachowań i emocji. Nie, nigdy nie był wiadkiem żadnego konfliktu między tamtś trójkś. Nie, nie miał pojęcia, jak się między nimi układało ani jak spędzali wolny czas.

Żadne z nich za wiele z nim nie rozmawiało. Oni zajmowali się swoimi sprawami, on swoimi.

- W dzień z reguły mnie nie ma, robię zdjęcia. Kiedy wychodzę wieczorem, to do Yalley, bo tam mieszkajś moi znajomi. Czasami zostaję tam na noc.

- U znajomych.

Arnaz uciekł spojrzeniem.

- Tak albo u starych.

Bojśc się okolicy, wraca na noc do mamy i taty.

- Nie podoba im się, że tu mieszkam - powiedział. - A ja im powtarzam, że jest fajnie.

- To ma sens - stwierdziła Petra. - Nie musi się pan męczyć z drogś powrotnś, mieszka pan u siebie.

- Włanie - powiedział Arnaz. -I wiem, że mój sprzęt jest bezpieczny.

Mac Dilbeck spojrział na zdjęcie Marcelli Doušuette. - Nasza ofiara.

- Może nasza główna ofiara - powiedziała Petra. - Nie była notowana, ale mieszkała z członkiem znanej grupy przestępczej. Niewykluczone że pozostałe dzieciaki po prostu przypadkiem znalazły się na parkingu w niewłaściwej chwili.

Siedzieli przy kawie w Musso and Franks, w głównej sali, w jednym z boksów. W lokalu kręcili się podstarzali hollywoodzcy amanci i typy

146

retro w wieku Petry. Petra jadła szarlotkę, a Mac placek rabarbarowy z lodami waniliowymi. Luc Montoya, zajęty nową sprawą, zabójstwem na Selma Avenue, został odsunięty od Paradiso na stałe.

Mac oddzielił widelcem trójkątny kawałek placka i zręcznie wsunął go do ust. Była siedemnasta, Mac był na nogach półtorej doby, ale jego szary garnitur wyglądał nieskazitelnie, a biała koszula - jak wieżo wyprasowana. Petra zostawiła Isaacowi wiadomość na uczelni, odwołując spotkanie. Zidentyfikowanie Doušuette napełniło ją radośnym podnieceniem, ale ogrom pytań bez odpowiedzi przytłaczał.

Jeden dzień do dwudziestego ósmego czerwca, ale to było ważniejsze, to się działo teraz.

- Odwaliła kawał dobrej roboty - pochwalił ją Mac. Wytarł już i tak czyste usta lnianą serwetką. - Zidentyfikowała ją chyba czarami.

- Abrakadabra - machnęła ręką, jakby trzymała w niej różdżkę. Mac się umięknął.

- A więc mylisz, że chodzi nam o tego Lyle'a?

- On i Sandra Leon mieszkali z Marcellą w Yenice. Gospodarz powiedział, że Leon zapłacił za pół roku z góry gotówką. Przedstawił się jako Lewis Tiger

- Leon po hiszpańsku znaczy lew", prawda? - spytał Mac. - Lew, Tiger, czyli tygrys. Niele.

- Jeli to on zrobił, to jest cholernie cwany - stwierdziła Petra. - Gracze raczej nie używaj się przemocy, ale może wewnątrz grupy jest inaczej. Może Robert Leon rzuca żelazną ręką ze swojej celi w Lompoc. Sandra nigdy go nie odwiedziła, ale Marcella tak, w zeszłym roku. I wiesz co? Była jedyną kobietą, która to zrobiła. Miała szesnacie lat, była jeszcze nieletnia, musiała wypełnić specjalny formularz.

- Mylisz, że naraziła się szefowi.

- Koroner powiedział, że niedawno przeszła aborcję. Może złamała tym jakąś zasadę.

- Zachodząc w ciężę czy usuwając ją?

- Jedno albo drugie. Może ojciec był kim spoza układu. Albo to Lyle. Mieszkał z dwiema dziewczynami w bardzo małym domu, wszystko jest możliwe. Równie dobrze zajcie w ciężę to obowišzek, bo rolę kobiety w grupie jest rozmnażanie, a poddając się aborcji, złamała jakiś poważny zakaz.

- Dopływ wieżej, młodej krwi dla klanu - zastanowił się Mac. - To brzmi jak jaka sekta. Co z Sandra?

- Sandra jest chora. Ma zapalenie wątroby typu A. Przez to nie zaszła w ciężę; może Lyle wiedział o chorobie i trzymał się od niej z dala. A może

147

to on ją zaraził. - Petra powtórzyła to, co Katzman powiedział jej o niehigienicznym seksie. Mac odkroił i zjadł mały kawałek placka.

- To ironia losu, że próbowała udawać chorą na raka i złapała coś innego.

- Może grupa wiedziała, że jest chora, i wykorzystywała ją do różnych medycznych przekrętów.

- Niebezpieczna gra, nie? Wirusowe zapalenie wštroby to chyba co powaŹnego.
- Typ A przechodzi sam z siebie, zazwyczaj po pól roku. Mac odłóżył widelec i przesunšł palcem po brzegu pomiernego zdjęcia Marcelli.
- Zakładajšc, Źe Marcella została zabita przez Lyle'a albo innego gracza, mylisz, Źe Sandra o tym wiedziała?
- Kiedy j š przesłuchiwałam, nie była wstrzšnięta. Była spokojna, dlatego zwróciłam na niš uwagę. MoŹe nauczyła się kryć uczucia.
- Gracze - powiedział Mac. - Nigdy o nich nie słyŹałem.
- Działajš głównie na pólnocy stanu i w Nevadzie.
- Isaac ci to wszystko znalazł? Petra kiwnęła głowš.
- Pan Geniusz. - Mac odsunšł talerzyk z resztkš placka. - To juŹ co, ale nie wiem, czy wystarczy, Źeby chłopcy ze ródmięcia się nie wmieszali.
- Podamy im na tacy identyfikację i prawdopodobny powód, a oni rzucš się w pocig?
- Wiesz, jak to jest, Petra. MoŹe tak będzie najlepiej. Ich kapitanem jest D'Ambrosio. Chce pięciu ludzi, dostaje pięciu. Chce dziesięciu, dostaje dziesięciu. MoŹe do tej sprawy włanie tego trzeba.
- W porzšdku - powiedziała Petra.
- Wcale nie, ale... - Mac złóżył serwetkę w prostokšt. - Zrobię, co się da, Źeby dostała, co ci się należy za znalezienie tropu.
- Nie martw się o to.
- Sprawiedliwoci musi stać się zadoć.
- Na jakiej planecie?
- Przykro mi. Źałuję, Źe nie ma innego wyjcia,
- Rozumiem - powiedziała. Ale myła: MoŹe jakie jest.

148

25

Pistolet nie był aŹ taki cięŹki, ale Isaac czuł różnicę w wadze teczki. Owinšł dwudziestkędwójkę w taniš, niebieskš bandanę kupionš w sklepie Wszystko za Dziewięćdziesięt Dziewięć Centów kilka przecznic od Cantina Nueva i wepchnšł zawiništko na dno teczki, pod laptopa.

Narzędzia pracy.

Z baru na uniwersytet było niedaleko i Isaac zdšżył na umówione spotkanie z doktorem Leibowitzem.

Dobroduszny doktor Leibowitz. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Isaac pomyłał: to zbyt dobre, Źeby było prawdziwe. Póniej przekonał się, Źe doktor Leibowitz pomaga wszystkim swoim studentom. Był spokojnym człowiekiem, do emerytury brakowało mu roku.

Spotkanie przebiegło pomylnie jak zwykle, Leibowitz umiechał się i bawił pustš fajkš. Nie palił od lat, ale zatrzymał swoje fajki i kolekcję wszystkiego, co potrzebne do palenia.

- Jak panu idzie z tymi wielozmiennymi?

- Niektóre z moich wstępnych hipotez wydajš się rozszerzać. ChociaŹ sam proces robi wrażenie nieskończonego. KaŹde nowe

odkrycie rodzi nowš hipotez.

W rzeczywistoci nie zajrzał do swoich obliczeń od ponad tygodnia. Zaprzštał go dwudziesty ósmy czerwca. Rytm pracy pokoju detektywów, cały ten hałas, złoć i frustracja.

Petra.

Leibowitz ze zrozumieniem pokiwał głowš.

- Taka włanie jest nauka.

Pokrzepiony mocnš herbatš doktora, Isaac poszedł prosto do rzadko używanej męskiej toalety na końcu korytarza. Oparł się plecami o drzwi, postawił teczkę na podłodze, wyjšł pistolet i odwinšł go. Zważył w ręk.

Wycelował do lustra i zmrużył oczy.

Twardziel.

miechu warte.

Na odgłos kroków na korytarzu wpadł w panikę. Wrzucił pistolet i bandanę do teczki. Broń spadła na dno z łoskotem.

Kroki minęły drzwi; Isaac wyjšł pistolet i znów go zawinšł. Dodał jeszcze jednš warstwę kamuflażu - bršzowš papierowš torebkę, w którš mama dzisiaj zapakowała mu drugie niadanie.

Gdyby kto zajrzał do teczki, zobaczyłby poplamionš tłuszczem paczuszkę przesišknietš zapachem chili i kukurydzianych racuszków.

149

Matczyna miłóć.

Wniesienie broni na posterunek nie było problemem. Od jedenastego wrzenia ochrona frontowego wejcia na Wilcox była ciła, ale niekonsekwentna. Przeważnie ograniczała się do zwykłej obserwacji wchodzšcych i wychodzšcych. Kiedy poziom zagrożenia wzrastał, przytaczano bramkę z wykrywaczem metalu, a wszyscy policjanci wchodzili tylnym wejciem, od południowej strony budynku.

Dzięki swoim politycznym koneksjom Isaac dostał oficjalnie wyglšdajšcy, przypinany identyfikator i klucz do tylnych drzwi. Rzadko musiał go używać. Posterunek był stary, klimatyzacja kiepsko działała i drzwi często zostawiano otwarte, żeby w rodku się wietrzyło.

Wszedł po schodach, ciesząc się na spotkanie z Petrš.

Zastał czterech detektywów, ale jej nie.

Godzinę póniej pogodził się z faktem, że jej nie zobaczy. Spakował się, zszedł na dół, do tylnych drzwi. Teraz były zamknięte. Otworzył je i wyszedł na jasno oświetlony asfaltowy parking. Czarno-białe radiowozy i nieoznakowane sedany.

Ciepła noc. Zastanawiał się, dlaczego go wystawiła. Wydawało mu się, że dwudziesty ósmy czerwca traktowała poważnie.

Nie wystawiła cię, głupku. To detektyw, ma swoje zajęcia, co jej wypadło.

Postanowił pojechać do domu, zdšżyć na obiad, sprawić przyjemnoć mamie. Następnego ranka jechać prosto na uczelnię. Schować się w swoim kšcie na trzecim poziomie podziemi biblioteki. Biblioteka Doheny'ego - żółte ciany, czerwone podłogi i on wród zakurzonych stosów ksižek do botaniki.

Będzie siedział i myłał.

Musi co znaleźć.

Co, co mógłby pokazać Petrze.

26

\*fieć

Vdz:

Wtorek, 18 czerwca, 14.02, gabinet kapitana Schoelkopfa

iedy drań wezwał Petrę do siebie, była przygotowana. Dobrze wie-iała, co zrobiła, i była gotowa ponieć tego konsekwencje.

150

dGdyby chciała regulaminowš drogš załatwić to, co zamierzała załatwić, musiałyby: powiadomić porucznika zmiany, otrzymać od niego pozwolenie na rozmowę, z kapitanem, uzyskać z kolei jego pozwolenie na skontaktowanie się z biurem prasowym departamentu, wykonać telefon do owego biura i żmudnie wypełnić wniosek, zdradzający zbyt wiele faktów, a potem czekać na zgodę.

Zamiast tego ona zadzwoniła do pięciu znanych sobie reporterów, u których miała chody za zdradzanie im anonimowych” informacji.

Patricia Glass w Timesie” i czterech terenowych korespondentów telewizyjnych. Nikt z radia, bo w tym przypadku nie byli jej potrzebni.

Cała pištka była zainteresowana. Petra przefaksowała im naj wyraniejsze zdjęcie Marcelli Doušuette, jakie miała, i fotkę Lyle’a Leona. Dodała sugestie o istnieniu tajemniczej zbrodniczej sekty” i próbę, by nie ujawniać zbyt wiele”.

- Sekta, co? Taka jak Mansona? - spytała Leticia Gomez z Kanału Pištego.

Burt Knutsen z On The Spot News” skomentował to niemal tymi samymi słowami.

Petra się wykręcała, nie zaprzeczała. W tej sytuacji na jej korzyć działało wszystko, co ułatwiało jej puszczenie zdjęć w wiat.

Wszystkie cztery lokalne stacje wyemitowały je o jedenastej wieczorem, powtórzyły następnego dnia rano. W Timesie” nic, ale tam panowała potężna biurokracja, więc może jutro.

O czternastej Schoelkopf wezwał Petrę do siebie.

Spodziewała się piekła, dostała tylko czyciec bez przekonania. Schoelkopf, rozparty za swoim biurkiem, wyrzucił z siebie należycie jadowite słowa. Ale bez swojej zwykłej zajadłoci, trochę jakby karcił jš z musu. Recytował, jakby to tak naprawdę nie miało znaczenia.

Petrze brakowało jego zwykłej furii. Czy na pewno wszystko z nim w porzšdku?

- Dobrze się pan czuje? - spytała, kiedy przerwał, żeby zaczerpnšć tchu.

Rzucił się do przodu, zmierzył jš wciekłym spojrzeniem, przyglądził czarne, ułożone na żel włosy.

- Dlaczego miałbym czuć się le?

- Wyglšda pan na... wyczerpanego.

- Trenuję do maratonu, nigdy nie czułem się lepiej. Nie chrzań, Con-nor, nie zmieniaj tematu. Prawda jest taka, że dała plamę, załatwiając to wszystko po swojemu, zmarnowała ludziom czas i najpewniej spieprzyła sprawę.

151

- Przyznaję, że trochę się pospieszyłam, ale co do marnowania...

- Zmarnowała - powtórzył. - Sprawę przejmuje HOMSPEC.

- Pierwsze słyszę - skłamała. - Czy...

Przerwał jej machnięciem ręki. Jego paznokcie, zazwyczaj przycięte i wypolerowane, były za długie. Beżowy garnitur podróbka wymięty, a kołnierzyk koszuli - zbyt szeroki. Kapitan stracił na wadze przez treningi do maratonu?

Zdecydowanie wyglądał na zmęczonego.

Wtedy Petra zauważyła jeszcze jedną rzecz. Oprawne w ramkę zdjęcie Schoelkopfa i jego trzeciej żony na wakacjach w Mazat zniknęło z jego biurka. Miejsce po nim wieciło pustkš.

Problemy w domu?

- Przepraszam, proszę pana... Kolejne machnięcie.

- Nie daj plamy jeszcze raz, bo będš reperkusje. Sš granice tego, na co pozwala ci twój status.

- Mój status?

Schoelkopf umiechnš się pod nosem.

- Skoro mowa o specjalnym traktowaniu, co robi twój pupilek geniusz?

- Prowadzi swoje badania.

- Czyli?

- Pracuje nad swojš dysertacjš i trzyma się z dala od kłopotów. Schoelkopf zmrzył oczy.

- Źadnych problemów?

- Źadnych, proszę pana. Czemu?

- Nie czemuj mi tu, Connor.

- Oczywiście.

- Pilnujesz Alberta Einsteina?

- Nie wiedziałam, że mam...

- Masz etat niańki, Connor. Jasne? Nie spieprz tego. - Schoelkopf usiadł wygodniej w fotelu. - Co dała ta twoja zadyma w mediach?

- Dzwoniš telefony...

- Nie pieprz.

- Na razie nic, proszę pana, ale ludzie cały czas... Ku zdumieniu Petry Schoelkopf kiwnš głowš.

- Cholera wie, może co z tej porażki wyniknie. A jak nie, to będziesz miała po prostu przejebane.

O czwartej Petra odebrała już trzydzieci pięć wiadomości, wszystkie nic niewarte. O czwartej trzydzieci dwa zadzwoniła Patricia Glass z Ti-mesa”.

- Najwyraniej już nie jesteśmy wam potrzebni - powiedziała.
- Potrzebna nam każda pomoc - odparła Petra.
- W takim razie trzeba było poczekać - warknęła Glass. - Miałam napisany artykuł, gotowy do druku. A potem mój redaktor zobaczył to na Czwórcie i skasował go. Nie powtarzamy starych informacji.
- Czy ty w ogóle czytasz swoją gazetę? - pomyślała Petra.
- Nie jest stara, Patricia - powiedziała - sprawa jest cały czas w toku.
- Skoro dostała już telewizja, jest stara. Następnym razem powiedz mi, że do nich też idziesz. Nie marnuj mi czasu.
- Przepraszam, jeśli miała przeze mnie kłopoty, ale...
- Miałam - burknęła Glass i rzuciła słuchawkę.
- Do piątej trzydziestu zadzwoniło jeszcze dwadzieścia osób: pięcioro jasnowidzów, troje oczywistych wariatów, reszta - praworzędni obywatele, którzy nie mieli nic do powiedzenia.
- Petra narobiła zamieszania i nic to nie dało.
- Przez chwilę czuła się podle. Potem pomyślała: Wielkie rzeczy! Na wiecie fanatyczni idioci wysadzają się w powietrze.
- Chybiona racjonalizacja. Chciała właśnie dać sobie spokój i jechać do domu, kiedy zadzwonił telefon.
- Jestem na Kennedy - powiedział Eric - o ósmej mam lot do LA. Jeśli się nie spóni, będę o jedenastej.
- Wracasz na dobre? - spytała Petra. - Czy wpadasz tylko po drodze?
- Nie mam żadnych planów.
- Co z Marokiem i Tunezją?
- Odwołane.
- Dobrze się czujesz?
- Tak.
- Możesz podróżować? Z twoją nogą?
- Rozwahałem, czyjej nie zostawić, ale postanowiłem zabrać ze sobą.
- Bardzo mieszne - powiedziała. Potem uwiadomiła sobie, że takie właśnie było. Poza tym to był pierwszy raz, kiedy Eric próbował z nią żartować. A ona wszystko zepsuła. Boże...
- Przyjadę po ciebie - powiedziała. - Jaki to lot?
- Wezmę taksówkę.
- Nie. Przyjadę po ciebie. Jaki lot? Eric się zawahał.
- Mam krzyżać po lotnisku?
- American.



Odłożyła słuchawkę z bijącym sercem - co z tym sercem? - wypełniła papiery, które musiała wypełnić, wyłączyła komputer, zebrała swoje rzeczy i wyszła z pokoju detektywów.

Pora zrobić coś dla siebie przed wyjazdem na lotnisko. Lekka kolacja w jakim spokojnym miejscu - w tej mongolskiej restauracji na La Brea; prowadząca ją rodzina zawsze traktowała Petrę po królewsku. Potem pławienie się w wannie, z tym dziewczęcym olejkiem kšpielowym, który przysłał jej na urodziny brat i którego nigdy nie użyła. I ostrożny makijaż - nawet tusz do rzęs, którego nie znosiła, bo nigdy nie umiała go nałożyć tak, żeby nie wpadło jej trochę do oka. Trochę różu - policzki miała wciąż ładne. Zawsze uważała je za swój atut.

Nick zawsze dużo mówił o jej policzkach przez pierwsze lata małżeństwa, kiedy jeszcze zwracał uwagę na takie rzeczy.

Eric nigdy nic o nich nie powiedział ani o żadnych innych zaletach jej urody. Właściwie nigdy nie powiedział jej żadnego komplementu, nie licząc chwil, kiedy się kochali, a wtedy różne słowa wylatywały z jego ust jak małe ptaszki.

Później, zrani potem i dyszący, razem milczeli...

Ona też nigdy nie mówiła mu miłych rzeczy.

Czy zauważy delikatny makijaż? Nieważne, ona poczuje różnicę.

Tusz do rzęs, róż na policzki, do tego co kobiecego i - przejdzie jej przez gardło? - sexy?

Czy po takim dniu stać ją na bycie sexy?

Zaraz się okaże.

Zeszła schodami do tylnego wyjścia, prawie wpadła na Isaaca. Włanie otworzył drzwi i szedł na górę.

Nie jedzi samochodem. Dlaczego wchodzi od strony parkingu? Pewnie dlatego że tamtędy go prowadziła, kiedy wychodzili.

- Cześć - powiedział, otrząsając się z zaskoczenia. Stał wyprostowany, umiechał się do niej... z brawurą?

- Cześć - odparła.

- Miałem nadzieję, że cię złapię - powiedział. - Wczoraj pracowałaś do późna. Wczoraj? Ich spotkanie. O, cholera.

- Przepraszam. Co mi wypadło.

- W sprawie strzelaniny pod Paradiso?

- Aha - skłamała.

Zaczekał na wyjaśnienie. Kiedy nie nastąpiło, zaczął machać teczką przy nodze. Rozczarowany mały chłopiec. Brawura zniknęła.

154

- A teraz muszę wyjść - powiedziała,

- Jasne. Porozmawiamy, jak będziesz miała czas. Wypadałoby wrócić z nim na górę i pogadać. Nie miała siły.

- Bibliotekarka z Doheny'ego, biblioteki uniwersyteckiej, sprawdza dla mnie historyczne odniesienia.

- Jakie odniesienia?

- Stare powieści kryminalne, książki, które wyszły z druku, gazety. Wszystko, co ma związek z dwudziestym ósmym czerwca.

- Mylisz, że kto studiuje historię i przeżywa ją na nowo?

- Tylko tyle przyszło mi do głowy - w jego głosie słychać było wszystko, tylko nie pewność siebie.

Petra się nad tym zastanowiła. Isaac musiał wziąć to za sceptycyzm, bo się zaczerwienił.

- Nie powiedziałem jej, dlaczego tego szukam, poprosiłem tylko, żeby skupiła się na dacie. Ma dostęp do działu rzadkich egzemplarzy, więc jeśli co nie trafiło do Internetu, ona to znajdzie.

- Myślałam, że Internet zbiera wszystko - powiedziała Petra.

- To właśnie robi, zbiera. To wielki cyberodkurzacz, który wciąga wszystko, co napotka. Ale nie sięga do kątów. Można znaleźć sporo rzeczy, które nigdy nie trafiły na żadną stronę. Miałem raz sytuację, na zajęciach z antropologii, kiedy badaliśmy plemienne rytuały małżeńskie, można by pomyśleć, że absolutnie wszystko zostało już opisane w przeróżnych ródłach, ale... - Przerwał. Kopnął się jedną stopą w drugą. - Przejrzałem też najważniejsze gazety LA na mikrofilmach, ale udało mi się przebrnąć tylko przez ostatnie trzydzieci lat. Jeśli będę miał więcej czasu, posiedzę nad tym dłużej. Oczywiście, będzie problem, jeśli ródło nie będzie stąd.

- Doceniam, ile w to wkładasz pracy - powiedziała Petra.

- Pewnie i tak nic z tego nie będzie.

- Zaczynasz mówić jak ja. Umiechnął się słabo.

- W każdym razie dobrej nocy. - Przeszedł obok niej.

- Zostajesz? - spytała.

- Skoro mam swoje biurko, mogę przy nim popracować. - Przygryzł wargę. - Oczywiście, jeśli masz czas na kolację albo co takiego...

- Chciałabym, Isaac. Niestety naprawdę muszę uciekać. Zobaczymy się jutro?

- Pewnie tak - odparł. Ze ciniętym gardłem. - Nie wiem, o której uda mi się przyjechać. Mam kilka spotkań, a potem chciałbym przejrzeć jeszcze trochę mikrofilmów.

155

- Nie przemęczaj się - powiedziała Petra. Matczynym tonem.

- Nie przemęczam - odparł Isaac. Tonem dorastającego nastolatka.

Umiechnęła się do niego, ale znów odwrócił wzrok. Bez słowa pchnęła drzwi i pośpiesznie wyszła na parking.

Noc była ciepła i duszna. Dwóch detektywów, których nie rozpoznała, kręciło się na drugim końcu, mieli się i rozmawiali. Jeden spojrzał w jej stronę, potem odwrócił się z powrotem do swojego partnera.

Podbiegła do samochodu, zapominając o Isaacu i jego rozczarowaniu.

Pora się skupić: ja, ja, ja. Mongolska kuchnia. Tam mnie dobrze traktuj, zasługuję na to, żeby mnie dobrze traktować.

Może kupi sobie jakie pismo i poczyta przy jedzeniu. Co lekkiego.

Pobawi się pałeczkami. Poudaje, że jest zadowolona.

A potem pojedzie po Erica.

27

D

ureń!

'Isaac zgarbił się przy biurku, wpatrzył w brudną cianę. Było mu gorąco, szczypały go oczy, siedział speszony w pokoju detektywów, sam, nie licząc tego starszego faceta, Barneya Fleischera, który zawsze się tu kręcił, ale chyba nigdy nic konkretnego nie robił.

Fleischer miał włączone radio i słuchał cichej muzyki, spokojnej, instrumentalnej, nie podniósł nawet wzroku, kiedy Isaac wszedł. Już nikt nie zwracał na to uwagi. Dla wszystkich detektywów Isaac stał się trwałym elementem wyposażenia.

Właśnie z Petrš.

Zaprosił jš na kolację, kiedy wybiegała prowadzić dochodzenie! Co on sobie wyobrażał?

W przeciwieństwie do Fleischera Petra ciężko pracowała. Praca była dla niej ważna. Mimo frustracji podążała za tropami, które nie chciały się materializować.

Taka kobieta musi rozsądnie gospodarować czasem. Dlaczego miałaaby w ogóle rozważać wyjście na kolację?

Z nim?

Dla niej jest tylko zadaniem do wykonania, niczym więcej.

I tak powięcała mu dużo czasu. Pozwalała ze sobą jeździć, wtajemniczała w szczegóły spraw.

156

Ta skóra, te oczy. I jej czarne włosy układające się płynnie przy każdym ruchu głowy.

Przestań, durniu.

Znów zaczął się zastanawiać nad morderstwami dwudziestego ósmego czerwca. Czyjego hipoteza wynika z bezmyślnego zadurzenia?

A był taki pewny. Podniecenie, które poczuł, kiedy odkrył tę prawidłowość, prawie zdmuchnęło go z krzesła.

Eureka.

Mylał, że się pilnował, by nie wycisgać pochopnych wniosków bez uprzednich dokładnych obliczeń, bez poddania swojej hipotezy wielokrotnym sprawdzianom. Wszystko wydawało mu się oczywiste. To było co.

A co, jeli wmówił sam sobie, że ten matematyczny kaprys losu ma jakie znaczenie, bo zalepiła go własna głupota?

Bo chciał się wykazać przed Petrš?

Czyżby wszystko to sprowadzało się do stroszenia piórek, niedorzecznych rytuałów godowych małego ptaszka?

Boże, oby nie.

Nie, to musi być prawda. Petra jest ekspertem i mu uwierzyła.

Na odczepnego?

Przez całe życie - akademickie życie - powtarzano mu, że jego przeznaczeniem jest sukces. Że kombinacja uporu i rozumu nie może zawieść.

Ale upór może być patologiczny, prawda?

Miał w sobie co takiego: lepš pracowitoć, irracjonalň nieustępliwoć.

Barney Fleischer obejrzał się przez ramię i popatrzył na niego.

- Czeć - powiedział.

- Dobry wieczór, detektywie Fleischer.

- Nie możesz spać?

- Jest jeszcze wczenie.

- Nie ma jej, wyszła. Kilka minut temu.

- Wiem.

Fleischer przyjrzał mu się uważnie i chłopak dostrzegł w jego oczach zimnš, twardš ocenę. Zawsze detektyw...

- Mogę co dla ciebie zrobić, synu?

- Nie, dziękuję - odparł Isaac. - Chyba trochę popracuję. Nad swoimi badaniami.

- Aha. - Fleischer podkreślił głoniej muzykę i wrócił do swoich zajęć. Isaac wyjśł laptop, włączył go, otworzył stronę z liczbami i zaczął udawać, że się skupia. Zamiast tego wrócił myśl do męki zwštpienia. Spójrż na to z dystansu, bšd obiektywny.

157

Szeć ofiar, między nimi nic wspólnego oprócz daty. Obliczenia wykazywały, że to musi mieć jakie znaczenie, ale czy w tym stanie może sobie zaufać?

Nie, nie, jakkolwiek głupie byłyby jego motywy, obliczenia nie kłamiš. Sprawdził je zbyt wiele razy.

Dwudziesty ósmy czerwca. Dzisiaj był osiemnasty.

Jeli miał rację, kto, jaka niczego niepodejrzewajšca, niewinna, przypadkowa osoba wyjdzie wieczorem, pełna nadziei i oczekiwań, tylko po to, by poczuć miazdžšcy ból rozwalanego ciemienia.

A potem nic.

Nagle zapragnšł nie mieć racji. Nigdy wczeniej nic takiego się nie zdarzyło.

28

roda, 19 czerwca, 01.20, terminal 4, lotnisko Lax

Przylot samolotu opónił się o dwie godziny i poczekalnia cuchnęła niepewnościš.

Wszyscy zmęczeni ukochani siedzieli, chodzili w tę i z powrotem, zerkali na tablicę przylotów, kręcili głowami, czasami przeklinali, kiedy opónienie się zwiększało.

Petra zabijała czas czytaniem po raz który pisma People”.

Kšpiel, którš wzięta trzy godziny temu, była przyjemna, ale Petra była za bardzo podniecona, żeby się niš nacieszyć.

Wyskoczyła z wody, wytarła się, długo się malowała i przerzucała ubrania, w końcu wybrała obcisły czarny top i szare lniane spodnie. Gładki, czarny stanik Wonderbra nadał jej piersiom jędrnoć, której poskšpiła natura.

Pojechała szybko na lotnisko, po dwóch kólkach znalazła miejsce do parkowania, ale i tak była za wczenie.

A potem czekała.

Kiedy zapowiedziano wreszcie czas przylotu - za godzinę - wyszła z terminalu, żeby się przejść po tonących w półmroku pustych korytarzach dolnego poziomu lotniska.

158

Samotna kobieta. Pistolet miała w torebce. W pobliżu stanowiska odbioru bagażu nie było żadnych wykrywaczy metalu. Tego wieczoru była zadowolona z tego niedopatrzienia.

Kiedy wróciła, w poczekalni kłębił się tłum pasażerów samolotu z Me-xico City. Gdy w końcu sobie poszli, na tablicy przylotów przy locie Eri-ca migał napis WYLLDOWAŁ i Petra ustawiła się przy bramce rampy, zaglądając przez szybę.

Mało pasażerów, wśki sznurek zombich potykających się na schodkach. Eric pojawił się jako jeden z ostatnich i Petra zauważyła go na długo, zanim doszedł do drzwi.

Granatowa bluza, sprane dżinsy, adidas, oliwkowozielony wspinaczkowy plecak zarzucony na jedno ramię.

W lewej ręce drewniana laska.

Utykał.

Kiedy jś zobaczył, wyprostował się i pomachał jej laską, jakby nosił jś dla ozdoby.

Przeszedł przez drzwi. Petra do niego podbiegła, objęła, poczuła koci, ciągną i napięcie. Laska stuknęła jś w nogę.

- Przepraszam! - Zirytowany damski głos.

Blokowali wyjście. Odsuwając się, Petra podchwyciła mordercze spojrzenie ubranej na czarno wiedmy, która próbowała wciśnąć ją dłuższy wzrokowy pojedynek. Petra umięknęła się i znów przytuliła do Erica.

- Jedna walizka - powiedział.

Podeszli do tamy. Petra sięgnęła po jego plecak.

Przytrzymał go.

- Nie trzeba. - Podał jej laskę, żeby to udowodnić. Stali w milczeniu, a bagaże z łomotem sunęły po tamie. Rany, ależ to romantyczne.

Petra wcisnęła się między jeżdżące w kółko torby i Erica i mocno go pocałowała.

- Dzięki, że po mnie przyjechała - powiedział, kiedy jechali do domu.

- To była trudna decyzja. Dotknął jej kolana, cofnął dłoń.

- Dobrze cię widzieć - powiedziała.

- Ciebie też.

- Jak nogi? Ale poważnie.

- W porządku. Poważnie.

- Jak długo musisz używać laski?

159

- Mógłbym jś pewnie wyrzucić nawet teraz.

Pojechała Century do Czterysta Piętej Północnej. Na autostradzie było pusto. Odpowiednia pora, żeby trochę przekroczyć prędkość.

- Do ciebie? - spytała. Tak naprawdę nie miała ochoty jechać do Studio City.

- Moglibyśmy pojechać do ciebie.

- Moglibyśmy.

Kiedy przyjechali, Eric stwierdził, że czuje się lepki, i poszedł wziąć prysznic. Petra nastawiła wodę i zrobiła mu kawę. Gdy zdjął bluzę, zobaczyła białe ciało i koci, cienką warstwę mięni, która ratowała go przed zupełnym wychudzeniem. Bandaż na ramieniu.

Zauważył, że na niego patrzy.

- Drasnł mnie odłamek. To nic takiego. - Zdjął dzinsy i skarpety. Lewą łydkę miał grubo owiniętą opatrunkiem.

- Możesz to moczyć? - spytała Petra.

- Jest zaczerwienienie, ale nie ma zakażenia. Za kilka dni znajdę sobie lekarza, żeby zmienił bandaże.

Poszedł do łazienki, Petra za nim. Stała w drzwiach, kiedy wkutykał pod prysznic. Odkręcił mocno wodę. Szklana kabina pokryła się kroplami.

Petra popatrzyła na jego rozmazane odbicie.

A co tam.

Rozebrała się i dołączyła do niego.

Była okrutna i pozbawiona współczucia, zmuszając go do takich pozycji. Przecież to ranny człowiek. Krzyknął z wdzięczności, a kiedy skończyli i leżeli nadzy i mokrzy w jej łóżku, powiedział:

- Stęskniłem się za tobą.

Dotknął jej piersi. Sutek momentalnie zeszywniał.

- Ja za tobą też.

Pocałowali się, a on znów stwardniał. Naprawdę zależało mu na niej? Czy chodziło mu tylko o to? Co za różnica. Wyzwolila się z długiego objęcia.

- Jesteś głodny? Zastanowił się.

- Mógłbym splądrować ci lodówkę. Położyła dłoń na jego płaskiej, ciepłej piersi.

- Nie ruszaj się, co ci przyniosę.

160

Pochłonął kanapkę z indykiem, chipsy i pospiesznie przyrządzoną surówkę, którą dla niego przygotowała. Jadł po swojemu: w milczeniu, rozważnie. Wolno przeżuwał, z kulturalnie zamkniętymi ustami. Nie spadł mu ani jeden okruszek, nic nie zostało na wargach.

Petra przyglądała się ruchom jego nadgarstków. Były wężkie jak na mężczyznę. Miał długie, delikatne palce. Powinien grać na instrumencie. Uwiadomiła sobie, że nigdy nie słyszała, żeby nucił, piewał czy wykazywał jakiegokolwiek zainteresowanie muzyką.

Pod prysznicem poluzował mu się opatrunek na ramieniu. Eric posmarował sobie ranę macią z plecaka, a potem połknął antybiotyk. Petra pomyślała, że omiocentymetrowa zieżsca rana to co więcej niż dranięcie. Poszarpana i spuchnięta, dookoła zaczerwieniona, nabrzmiła skóra. Okropność. Jak musi wyglądać jego noga?

- Dlaczego skróciła wyjazd? - spytała.

- Żeby cię zobaczyć.

- Chciałabym.

- To prawda.

- Może po części. Mów cała prawdę.

Było tak: Eric, izraelski oficer służb bezpieczeństwa i trzech innych zagranicznych gliniarzy - Anglik, Australijczyk i Belg - siedzieli w kawiarni na ulicy Hayarkon przy mrożonej kawie i bezalkoholowych drinkach. Tylko Anglik wypił trochę piwa. Trzydzieci stopni, do tego odpowiednia wilgotność powietrza. Człowiek brał prysznic, wysychał i chwilę później znów był mokry.

Cały dzień byli na szkoleniach, oglądali zdjęcia, przeglądali dane Interpolu i częściowo utajnione dokumenty. Koledzy Erica byli nieszczęśliwi, nie podobał im się Tel Awiw.

Eric lubił to miasto. Był tu już dwukrotnie kilka lat wcześniej, załatwiając sprawy dla amerykańskiej ambasady. Woził przesyłki z Rijadu do Izraela przez Amman w Jordanii. Ciasno opakowane, małe paczuszki, nie miał pojęcia, co było w środku, ale wszędzie przechodził przez odprawę celną bez żadnych wyjanień. Później spacerował po tej właśnie ulicy, oglądał tanie hotele przy plaży, bary, kluby i restauracje, tajskie i rumuńskie dziwki.

W pobliżu było dużo ambasad. prostytutki i dyplomaci, każdy znajdzie coś dla siebie.

Kiedy Izraelczyk poszedł po coś do picia, pozostali natychmiast zaczęli narzekać: nienawidzą całego tego zaszranego kraju, za głono, za wilgotno, jedzenie za ostre, Izraelczycy nieuprzejmi.

11 - Pokrętny umysł

161

- Za bardzo, wiecie... - powiedział Belg. Wredny z natury, antysemita z wyboru, był gotów przejawiać swoje uprzedzenia za każdym razem, kiedy tylko Izraelczyk się odwrócił. Umieszki, grymasy, gesty przy nosie. Wygłaszane cicho uwagi o tym, że Arabowie i Żydzi to taka sama pustynna zaraza, najlepiej pozwolić, żeby się nawzajem powyrzynali.

Takiego typu Bruksela wysłała do budowania międzynarodowej współpracy w sferze bezpieczeństwa. W domu był policyjnym biurokratą, przedtem wojskowym.

Belgijski wojskowy; kiedy ostatnio belgijska armia z kim walczyła? Pewnie w latach pięćdziesiątych, wtedy wyrzynała Kongijczyków.

Poprzedniego dnia, kiedy Belg i Eric byli sami, sikając w męskiej toalecie w kwaterze głównej policji na Francuskim Wzgórzu w Jerozolimie, Belg wyszedł swojego małego z pisuaru i zaczął lać na podłogę. miał się.

- Leję na nich wszystkich.

Kiedy pojawił się pierwszy zamachowiec, izraelski oficer stał wciśnięty przy barze, Eric był gotów przysiąc, że poczuł dupka, zanim go jeszcze zobaczył. Poczł jego strach, drgnął w nim jakiś pierwotny nerw.

Jakikolwiek był powód, on pierwszy zrozumiał, co się dzieje.

Odwrócił się i patrzył, jak tamten przeciska się między stolikami. Młody, puciołowaty, z włosami postawionymi na żel i rozżanionymi końcówkami, żeby wyglądać jak izraelski plażowy luzak.

Ale nie wyglądał. Długi, czarny płaszcz przy trzydziestu stopniach. Pot na twarzy, szaleńczo rozbiegane oczy.

- Mamy kłopoty - powiedział Eric. Przekrzywił głowę i przygotował się do skoku.

- Ten cały pieprzony kraj to kłopot... - odparł Belg.

Eric wstał. Powoli, spokojnie. Wziął do ręki pustą szklankę, jakby szedł po dolewkę.

Gnojek w płaszczu był coraz bliżej.

Australijczyk i Belg nic nie zauważyli, ale Anglik podsztywnił wzrokiem za spojrzeniem Erica i od razu zrozumiał. Zaczł wstawać, dając do zrozumienia: zajdziemy go z dwóch stron, razem obezwładnimy.

Zamroczony alkoholem zaczepił nogę o krzesło, poleciał do przodu.

Belg się zamyślił, powiedział co po francusku.

Eric odwrócił się spokojnie, uważając, by nie nawiązać kontaktu wzrokowego z zamachowcem.

Trzy metry między nimi, dwa. Eric wiedział, co ten drań robił: ustawiał się w rodku tłumu, chciał, żeby rze była jak największa.

Teraz byli już obok siebie. Teraz Eric naprawdę czuł smród tamtego, kwany pot oczekiwania.

162

Rozszalałe oczy. Usta poruszające się w bezgłonej modlitwie.

Pryszcze na czole i brodzie, smugi brudu na szyi. Młody, najwyżej dwadzieścia lat.

Belg powiedział co jeszcze. Głonieć. Eric znał francuski na tyle, żeby go zrozumieć.

- Goręco jak diabli, a ci idioci ubierają się jak polscy uchodcy.

Chłopak w płaszczu mógł usłyszeć pogardę w tych słowach, bo się zatrzymał. Spojrzał na Belga. Sięgnął pod płaszcz.



Belg zaczął rozumieć. Zbladł. Zamrugał oczami i zmoczył spodnie.

Eric skoczył, uderzył Czarny Płaszcz mocno w gardło prawś dłońś, lewś wykręcił mu rękę. W górę i do tyłu. Daleko do tyłu, mocno. Usłyszał trzask koci. Chłopak wybałuszył oczy i wrzasnął.

Upadł.

Poły płaszcz się rozchyliły. Pod nimi wielka, gruba, czarna kamizelka. Na dole drut detonatora.

Próbował go dosięgnść. Eric wyrwał dupkowi rękę ze stawu, nadepnł na jego wolnś dłoń i zmiażdżył jś. Kopnął chłopaka w pier, usłyszał trzask żeber.

Oczy zamachowca uciekły pod czaszkę.

Kto krzyknł:

- Co tu się dzieje?

Pytanie utonęło we wrzasku.

Zamieszanie, krzesła i stoliki wywracane do góry nogami. Brzęk szkła. Talerze z jedzeniem spadają na ziemię, ludzie uciekają w panice.

Zamachowiec się nie rusza.

Dzięki Bogu, już po wszystkim.

Wtedy Anglik powiedział: cholera”, i tym razem to Eric podsztył za jego spojrzeniem.

Na obrzeżu uciekającego tłumu następna postać w długim płaszczu, mniej więcej w tym samym wieku, drobniejsza, szczuplejsza, ciemnowłosa. Oliwkowozielony płaszcz z izraelskiego demobilu.

Za dużo ludzi między nimi, żeby cokolwiek zrobić.

Numer dwa krzyknł i sięgnł pod płaszcz.

Eric rzucił się na ziemię.

Rozpętało się piekło.

163

29

Eric opowiedział wszystko szybko, beznamiętnym głosem, który Petra kiedy uważała za dziwny.

Wstał z łózka, poszedł do kuchni, wrócił z dwiema szklankami wody, podał jej jednś. A jś wciśz przejmowała groza.

- Przepraszam, jeli cię naciskałam...

- Departament myli, że jestem w drodze do Maroka. Cała ta międzynarodowa współpraca to pić na wodę. Europejczycy to błazny, to było po prostu ćwiczenie z public relations. Po zamachu wszystkich nas wezwano do amerykańskiej ambasady. A tam gromada konsulów, z każdego z naszych krajów, w drogich garniturach i z kretyńskimi umieszkami, uraczyła nas przemowami. Amerykanin, pajac z Ligi Bluszczowej, poinformował nas, że pojmanie zamachowca będzie przedstawione jako efekt współpracy. Międzynarodowego zespołu specjalistów działającego jak dobrze naoliwiona maszyna.

- Z Belgiem włącznie - dodała Petra.

- Belg już przypisał medal, który dostał od swojego konsula. W aksamiennym pudełeczku i w ogóle. Muszje trzymać w magazynie. - Obrócił się do Petry. - Wybyłem, zanim doszli do mnie. Spakowałem się, znalazłem lot i jestem.

- Kiedy powiesz o wszystkim szefostwu?

- Nie wiem, czy muszę. Popatrzyła na niego.

- Od jakiego czasu myślę, żeby odejść - powiedział. - Nic mi się tam nie podoba oprócz ciebie. Bardzo długo uważałem, że nie mogę być szczęśliwy, ale teraz myślę, że chyba jest jaka szansa.

Leciutko pocałował ją w usta.

Zarzuciła mu rękę na ramiona, przycisnęła jego głowę do swoich piersi.

- To co więcej niż tylko szansa - powiedziała.

- Nie miałyby nic przeciwko temu, żebym odszedł? - spytał.

- Dlaczego miałabym mieć? Kto lepiej niż ja może wiedzieć, co znaczy dla ciebie praca? Zastanowił się nad tym.

- Wiesz, co chciałbyś robić? - spytała.

- Może co na własną rękę.

- Ochrona?

164

- Nie wiem - odparł. - Może zostałbym zwykłym prywatnym detektywem. Mam dość polityki.

- Nie dziwię się.

- Mylisz, że zwariowałem?

- Oczywiście, że nie - powiedziała, ale wciśz kręciło jej się w głowie. Od tego, co to oznacza. Koniec partnerstwa. Koniec z widywaniami się codziennie na posterunku.

Czyjego frustracja wynikała z czego więcej niż z pracy?

- Gdybym zaczął z tego żyć - powiedział - mógłbym kupić dom.

- Byłoby fajnie - zgodziła się.

- Przydałoby się więcej miejsca.

- Przydałoby się.

- Pewnie stać by mnie było najwyżej na Yalley. Ale może znalazłbym miejsce z dobrym naturalnym oświetleniem. Mógłbym ci urządzić pracownię. Do malowania.

- Byłoby wietnie.

- Masz wielki talent, już ci to mówiłem? Nie mówił.

- Wiele razy, kochanie - powiedziała.

Przycisnęła go łagodnie do siebie, a on oparł głowę między jej twarzą a obojczykiem. Budzik wskazywał trzeciś osiemnacie. Rano będzie niezływa.

- Może to głupie - mruknął.

- Rób to, co cię uszczęliwi, Eric.

- Tak chcę.

- Dobranoc, skarbie. On już spał.

Kiedy zadzwonił telefon, poderwała się i zaskoczona zobaczyła w swoim łóżku Erica. Ach, tak, lotnisko, przywiozła go tutaj, koszmarne opowieść o...

Cholerny telefon dalej ryczał. Eric otworzył oczy i podniósł się na łokciach.

Zupełnie rozbudzony; tak go wyszkolono. A ona wciąż była zaspana.

Pięta piętnacie.

Złapała słuchawkę.

- Co?

- O rany, obudziłem cię, przepraszam. Tu Gil, Petra. Gilberto Morales, jeden z detektywów z nocnej zmiany. Lubiała go. Teraz już nie.

165

- Myślałem, że włoczy się sekretarka. Odburknęła.

- Głupio mi, Petra. W innych okolicznościach nie zostawiałbym ci nawet wiadomości, ale dyżurny strasznie się podniecił. Przybiegł tu na górę, myślał, że cię znajdzie... Cały czas jeste na nocnej zmianie, prawda?

- Ta sprawa z Paradiso trzyma mnie w pogotowiu, raz noc, raz dzień.

- A ja ci spieprzyłem biorytm. Przepraszam, pij dalej. Już się obudziła.

- Czym dyżurny tak się przejął?

- Sprawś Paradiso.

Kiedy powiedział jej, o co chodzi, podziękowała mu. Naprawdę była wdzięczna.

Lyle Mario Leon, naciągacz starszych pań, ostatni znany współlokator Marcelli Doušette i Sandry Leon oraz główny podejrzany o wielokrotne morderstwo, dzwonił do niej trzy razy.

Co godzina o pełnej godzinie między drugś a czwartś. Twierdził, że koniecznie musi porozmawiać z Petrś. Nie chciał powiedzieć dyżurnemu, o co chodzi, ale upierał się, że to niezwykle ważne.

W końcu, kiedy zadzwonił o pištej, wspomnił o klubie Paradiso. Dyżurny telefonował wewnątrzni liniś do Petry, nie dodzwonił się, poszedł jej szukać do pokoju detektywów. Powiedział Gilowi, żeby zadzwonił do niej do domu.

- Co jest? - spytał Eric.

Zbyt zmęczona, żeby odpowiedzieć, patrzyła na numer komórki, który zostawił Leon. Pewnie nie do wyledzenia. Wystukała ten numer, usłyszała nagrany wiadomość:

- Tu serwis aukcyjny A-I. Nasze biuro jest w tej chwili nieczynne, ale...

Rzeczywiście, pilna sprawa. Cholera! Pewnie to jakiś dowcipni, obejrzał zdjęcia w wiadomościach...

A może dodzwoniła się pod zły numer.

Spróbowała jeszcze raz, usłyszała tę samą wiadomość, zaczekała, aż nagranie się skończy.

- Mówi detektyw Connor...

- Jak dobrze, to pani - odezwał się męski głos. - Dzięki Bogu. Dzięki, że pani oddzwoniła.

Głos był łagodny, ale nie taki jak doktora Katzmana. Ten mężczyzna mówił tak, jakby kto nauczył go łagodności, jakby chodził na lekcje wymowy. Wydawał się też młody. Lyle Leon miał czterdzieci jeden lat.

166

Petra zeszywniała, nieufna.

- Kto mówi?

- Lyle Leon. Pokazalicie moje zdjęcie w telewizji, więc musimy się spotkać, pani detektyw.

- Teraz?

- Prawie mnie zabilicie.

- Jak dla mnie, mówi pan zupełnie jak żywy.

- Nie żartuję - powiedział Leon. - Pani nie rozumie.

- Niech mnie pan owieci.

- Wiem, kto zabił Marcellę. Kto zabił ich wszystkich.

Nie chciał podać szczegółów, naciskał, by spotkali się w cztery oczy, a im dłużej trwała rozmowa, tym bardziej się denerwował. Petra powiedziała mu, żeby za godzinę był na posterunku.

- Nie ma mowy, za dużo ludzi. Nie mogę ryzykować.

- Co?

- Że będę następny ofiarą.

- Czyjś?

- To skomplikowana sprawa. Teraz, kiedy wiesz, kim jestem, stałem się celem. Boję się jak cholera, nie wstydę się do tego przyznać. Robiłem w życiu różne rzeczy, ale to... to zupełnie inna liga. Spotkajmy się gdzie na uboczu. Żeby było dużo otwartej przestrzeni, może w parku?

- Tak, jasne - zgodziła się Petra. - Pojadę o wskazanej porze do jakiego parku, bo pan twierdzi, że ma jakie informacje.

- Mam co więcej niż informacje, pani detektyw. Mam wszystkie odpowiedzi.

- Niech pan co zdradzi.

- Nie mogę ryzykować. Muszę wiedzieć, że mnie obronicie.

- Przed kim?

Długa chwila milczenia.

- Pani detektyw, mogę rozwiślać pani sprawę, ale musimy to załatwić po mojemu. Co pani powie na Rancho Park? To stosunkowo

duża przestrzeń, niedaleko Motor...

- Nie da rady, proszę pana.

- No dobrze - powiedział Leon. - W takim razie gdzie indziej. Niech pani co zaproponuje. Może pani przyprowadzić ze sobą innych detektywów, mnie to nie obchodzi. Nie chcę tylko być widziany na posterunku Wilcox, bo możliwe, że oni go obserwują.

- Kim są ci "oni", proszę pana? Cisza.

167

- Koledzy gracze? - spytała. milczenie.

- Chciałbym. Z nimi bym sobie poradził.

- A więc kto?

- Dobrze, nie w parku. Ale też nie w Hollywood ani w Wenecji.

- Dlaczego nie w Wenecji?

- Może być Valley? - Leon zignorował jej pytanie.

- Jest całodobowa restauracja przy Yentura i Lankershim.

- Za bardzo na widoku... Może Encino?

- Gdyby powiedział mi pan, czego się boi, mogłabym...

- Była tam pani. Na parkingu po strzelaninie. Tyle trupów. I zadaje mi pani takie pytania?

- Niech pan poda nazwisko. Dopilnuję, żeby...

- To moja ostateczna propozycja: w Encino, na Yentura przy Sepulveda jest salon jaguara i land-rovera. A niedaleko turecki bar. Teraz zamknięty, ale ławki zostawiają na zewnątrz, przykute łańcuchami do chodnika. Na parkingu palą się latarnie i niektóre ławki są oświetlone. Będę czekał na ciemnej. Kiedy zobaczę, że pani idzie, wyjdę z podniesionymi rękami, żeby pani wiedziała, że to nie zasadzka.

- Brzmi to dość teatralnie - powiedziała Petra.

- Życie to teatr, pani detektyw. Może być za godzinę?

Petra знала to miejsce, jadała tam. Nie można tam podejść od tyłu, od zaułka, nawet mając wsparcie, musiałaby zaryzykować.

Kawiarnia przy ulicy. Podobieństwo do Tel Awiwu upiorne. Ale nie można przepuścić takiej okazji. Co się wymyli.

- Niech będzie za godzinę.

30

Oczywiście, że to może być zasadzka - powiedział Eric. - Jak o tej godzinie wezwę wsparcie, zrobi się dom wariatów.

- Może tak trzeba.

Eric patrzył, jak Petra się ubiera, nie odezwał się, dopóki nie zapytała go, co sądzi o tym telefonie. Teraz wstał, pokutykał do krzesła i sięgnął po własne ubranie.

- Co robisz?

- Jadę z tobą.

168

- Kiedy ostatni raz spałeś?

- Jak już wstałem, to wstałem. - Obrzucił ją spojrzeniem swoich ciemnych oczu.

- Przecież nie musisz - powiedziała. - Mac Dilbeck prowadzi sprawę. Zadzwoń, niech on zadecyduje.

- To ciebie spodziewa się ten facet.

- Tylko dlatego że moje nazwisko podały media. - Które miały co podawać tylko dzięki niej.

- Gdzie twój drugi pistolet? - spytał Eric, już ubrany.

- Zostań tu i odpoczywaj. Załatwię sobie wsparcie.

- Na przykład kogo?

- Na przykład Belga.

Zamiał się. Podeszedł do szafy. Wiedział, gdzie jest zapasowy pistolet.

- Naprawdę dzwonię do Maca - naciskała. Sięgnęła po telefon, żeby to udowodnić.

- Mac to porządny facet. - Znalazł broń na górnej półce, w twardym futerale między dwoma czarnymi swetrami. Znalazł czarną nylonową kabinę, ulubiony model Petry, poprawił paski, założył.

- Naprawdę nie musisz tego robić - Petra nie dawała za wygraną.

- Nie muszę, ale lubię. Wykręciła numer Maca.

Yentura Boulevard o piątej czterdziestu trzy rano to ciemne i nieprzyjemne miejsce; ruch uliczny minimalny. Jaguary i terenówki za siatką parkingu wyglądały jak szare kopce. Do wschodu słońca pozostało trochę czasu, ale nie aż tak dużo. To dobrze albo le, zależnie od tego, co się miało stać.

Mac Dilbeck przyjechał swoim starym cadillakiem deville, zaparkował dwie przecznice na zachód, tak jak się umówili, niedaleko upionej lecznicy. Miał na sobie granatową bluzę, czarne spodnie, ciemne buty. Petra pierwszy raz widziała go bez krawata i garnituru. Mac był uczesany, ale brodę porastała mu biała szczecina. Luc Montoya przyjechał firmowym wozem, nieoznakowanym sedanem, którego parkował przed swoim domem. Nie prowadził już tej sprawy, ale tego ranka do niej wrócił. Był spięty, ale się umiechał; to było o wiele zabawniejsze niż morderstwo popełnione przez jakiego idiotę.

Na widok Erica obaj unieśli brwi, ale nic nie powiedzieli.

Regulamin nakazywał wezwać mundurowych, ale nikogo poza nimi tam nie było. Czworo detektywów, kwartet, który rzadko używał broni, zajmował się głównie rozmowami przez telefon i wypełnianiem papierów.

169

Pod Paradiso strzelał ktoś zdecydowany na wszystko. Jeli to była poważna zasadzka, mogło być bardzo niewesoło.

Ale Petra, przejechawszy dwa razy obok budki z felafelami od północnej strony ulicy, była spokojna. Ani ona, ani Eric nie zauważyli nikogo w rodoku ani w pobliżu. A Eric umiał wypatrywać.

Jeli mężczyzna, który podawał się za Lyle'a Leona, nie kłamał i naprawdę się bał, mógł się schować tylko w jednym miejscu: za budką. Nie było stamtąd łatwej drogi ucieczki: od południa wznosił się wysoki na przynajmniej cztery metry mur z pustaków. Za nim rozciągało się dwa tysiące metrów kwadratowych parkingu pełnego brytyjskich wozów.

W pobliżu nie stał żaden samochód, jeli więc Leon na nich czekał, nie miał prostego planu ucieczki.

Mac przedstawił strategię działania. Krótka, zwięzła, swoim tonem sierżanta musztry. Petra miała przejść na drugą stronę Yentura, podejść do budki od północy, z wyciśniętym pistoletem, ale trzymany tuż przy ciele, żeby nie zwracać uwagi kierowców przejeżdżających samochodów. Miała przywrzeć do otynkowanego na biało muru, a potem głośno się odezwać. Ten, kto krył się za budką, musiałby zza niej wyjść, pokazać się chociaż częściowo. Trzech pozostałych detektywów, podchodzących jednocześnie ze wschodu i zachodu, miało być przygotowanych na wszelkie kłopoty.

Nie ustalili hasła wzywającego pomoc. Petra nie miałaby czasu krzyknąć.

Największym znakiem zapytania była możliwość ostrzału z samochodu, który by tamtędy przejeżdżał. Eric wiedział o tym i Petra widziała, że go to martwi. Milczał. Poczła się lepiej na myśl, że to on będzie miał oko na ulicę.

- Wszystko gra? - spytał Mac.

- Do roboty.

Spokojna i pewna siebie Petra szybko ruszyła w stronę budki. Zanim tam doszła, wyszedł zza niej mężczyzna, z rękami w górze, przebierając palcami. Rozstawił szeroko nogi i oparł się o stół przed drzwiami.

Mac i Montoya dopadli go i obezwładnili, a Eric wstępnie przeszukał.

- Komitet powitalny - powiedział mężczyzna tym samym przyjemnym, telefonicznym głosem. - Jak to miło być docenianym. Kiedy już został skuty, Eric przeszukał go jeszcze raz. Taki już był Eric.

Pociśgła twarz o ostrych rysach, ta ze zdjęcia.

- To on - powiedziała Petra.

170

Lyle Leon miał na sobie bordową, żakardową, jedwabną koszulę, wpuszczoną w luno czarne bojówki, i wysokie buty na grubym obcasie. Takie, jakie nosili piraci...

Zamiast ekscentrycznej fryzury - zwykła, krótka szczecina. Krótka bródka zniknęła, a w płatku prawego ucha czerniała mała dziurka, przedtem błyskał tam kolczyk.

Koszula była dziełem sztuki. Petra sprawdziła metkę. Stefano Ricci. Widziała taką w butik przy Melrose. Pięćset dolarów za używaną.

Leon się do niej umiechnął. Był dobrze zbudowany i schludny. Nie licząc kosmetycznej pretensjonalności, całkiem przystojny.

Eric podał Petrze gruby portfel, który znalazł w kieszeni spodni Leona. W środku było kalifornijskie prawo jazdy, wyglądające na prawdziwe, i tysiąc pięćset dolarów w pięćdziesiątkach i dwudziestkach. Na prawie jazdy widniał adres na Hollywood Boulevard; Petra wiedziała, że to agencja pocztowa.

- Czy teraz możemy porozmawiać? - spytał Leon.

31

Cała piątka zapakowała się do cadillaca Maca i przejechała za róg do bocznej, osiedlowej uliczki. Stały tu ładne, zadbane domy; pierwsza zapowiedź witu nadała wszystkiemu kolor liła szary, całkiem ładny.

Petra wyobraziła sobie, że jakiś obywatel zauważa stary samochód, zgłasza go na policję, hollywoodzcy detektywi muszą się tłumaczyć zdenerwowanemu mundurowemu z Yalley.

Lyle Leon siedział cinięty z tyłu, między nią a Lukiem. Pachniał dobrą wodą po goleniu - subtelną, z delikatną domieszką cynamonu. Próbował się umiechać, ale nie wychodziło mu to najlepiej.

Zdecydowanie się bał.

Miał motywację. Petrze się to podobało.

- Niech nam pan opowie swoją historię, panie Leon.

- Marcella była moją bratanicą. Sandra to moja trzecia kuzynka. Miałem się nimi obiema opiekować, ale wszystko wymknęło mi się spod kontroli.

- Gdzie są ich rodzice? - spytała Petra.

- Ojciec Marcelli umarł wiele lat temu, a jej matka odeszła.

- Odeszła z Graczy?

171

- Możemy ich w to nie mieszać?

- To zależy, jak się rozwinie pana opowieść.

- W tę stronę się nie rozwinie - powiedział. - Jesteśmy złodziejami, ale nie robimy nikomu krzywdy.

- Dlaczego matka Marcelli odeszła? - spytała Petra.

- Powiedziała, że potrzebuje przestrzeni, skończyła jako dziwka w Ve-gas. Marcella była najmłodsza z czwórki dzieci. Jedną z moich kuzynek przysparzała mi wszystkie. Potem okazało się, że to już przerasta, i Marcella trafiła do mnie.

- A jak było z Sandrą?

- Ojciec Sandry jest w więzieniu w Utah, posiedzi tam jeszcze kilka lat, a jej matka ma poważne problemy z głową. Jaka to różnica? Ja miałem się nimi zająć i sprawy wymknęły mi się spod kontroli. Problemem było Yenice. Pojechalimy tam w zeszłym roku, w tym też. Umowa była taka, że kilka godzin dziennie będziemy pracować na promenadzie Ocean Front, a potem chodzić na plażę. Dziewczyny to uwielbiały.

- Jak to pracować?”

- Sprzedawać różne rzeczy. Okulary przeciwsłoneczne, kapelusze, czapki, różne drobiazgi dla turystów.

- Pan sprzedawał tandetę, a one kradły portfele? - spytał Mac z przedniego fotela.

Petra poczuła, że Leon zeszywniał. Mac był weteranem, ale to nie było dobre podejście. Nie należało faceta atakować. Był oszustem, może kim gorszym, ale niech mówi.

- A więc przeprowadziliście się do Yenice zeszłego lata? - spytała. Leon wciąż był spięty.

- Obrabianie kieszeni to prymitywne, proszę pana. My postępowaliśmy zgodnie z odwieczną amerykańską tradycją. Tanie kupowaliśmy, drogo sprzedawaliśmy.

Został zwinięty za sprzedawanie bezużytecznych produktów gospodarstwa domowego starszym ludziom. Petra wyobraziła sobie fałszywe złote łańcuszki, które rozpadały się w pył, i przeciwsłoneczne okulary, topiące się od słońca.

- Dziewczyny uwielbiały Yenice - powtórzyła - ale okazało się, że to był problem.

- Marcella kogo poznała. - Chwilę później: - Zaszła w ciążę.

- I miała aborcję - powiedziała Petra.

- Wiecie o tym.



- Wykazała to autopsja.

172

- Nie wiedziałem, że autopsja może to wykazać... No dobrze, w takim razie wiecie, że mówię prawdę.

- O tym, że Marcella zaszła w ciążę? Jasne.

- Od aborcji zaczęły się wszystkie kłopoty - powiedział Leon. - Podobno. Za pierwszym razem facet nic takiego nie mówił. Wręcz przeciwnie, był wciekły, że się nie zabezpieczyła. Musiałem go spłacić, wydawało się, że mu to wystarczy. Potem znów się pojawił, tego lata, chciał wiedzieć, gdzie jest dziecko. Powiedziałem mu, że dziecka nie ma, a on dostał szału.

- O kim mówimy?

- O Omarze Seldenie. Bardzo złym człowieku. Członku gangu, chociaż na takiego nie wygląda. Pół biały, pół Meksykanin, co w tym rodzaju. Będziecie go mieli w swoich danych, siedział za napad. Ale nigdy za to, co naprawdę robił.

- A co robił?

- Zabijał ludzi. Wielu, według tego, co mówił Marcelli. Nawet jeli to tylko w połowie prawda, facet jest potworem.

- Chwalił się Marcelli zabijaniem?

- To jej imponowało. Była głupia.

- Kogo zabił ten Selden?

- Twierdził, że jest głównym cynglem swojego gangu, VVO. Mówił też, że działał na zlecenie w więzieniu. Zabijał za sto dolarów. Powiedziałem Marcelli, że to bzdury, bo tak wtedy myślałem. Myliłem się.

VVO to Yenice Yatos Oakwood. Mała banda ulicznych psychopatów, podobno nieaktywnych aż do zeszłego roku, kiedy to znów zaczęli strzelać do ludzi w biały dzień.

Petra przypomniała sobie jedną sprawę, którą zajmował się Milo Sturgis. Ojciec dzieciom, sprzedawca w sklepie Good Guys, wzięty omyłkowo za dezertera z VVO i zastrzelony na spacerze z dwuletnim dzieckiem przy Ocean Park. Dziecko ochlapane krwią, z wytrzeszczonymi oczami, nieme. Strzelającym był czternastolatek, jak się okazało upoledzony w nauce. Krótkowidz, nigdy nie poszedł na cholerne badanie wzroku.

- Kiedy go spłaciłem - powiedział Lyle Leon - myślałem, że się od niego uwolnilimy. Nie słyszałem o nim przez cały rok, więc uznałem, że możemy spokojnie wrócić do Yenice; dziewczynom naprawdę podobało się tam latem. A potem głupia Marcella zauważyła Seldena na ulicy. Wystarczyło, że się na chwilę odwróciłem, a ona już do niego mruga. On też do niej mruga i zaraz potem lśdujś razem na plaży i rozmawiajś. Kilka dni później... kilka nocy później... wpadł do nas. - Leon pokręcił głową. - Widzieliście Marcellę. Gruba, przysadzista, z tymi głupimi

173

butami, przy których się upierała. Sandra ma niezłą figurę, założyć jej bikini, rolki, a wszyscy się za nią oglądajś. No i na kogo ma ochotę Sel-den? Na Marcellę. A Marcella na to idzie.

Nastolatki, pomyślała Petra. Nawet mistrzowie oszustwa nie umiejś nad nimi zapanować.

Potem błysnę przed nią lubieżnym opisem Sandry i zaczęła się zastanawiać, o czym Leon myślał. Zapalenie wśtroby A. Niezdrowe praktyki seksualne.

Atmosfera w samochodzie zrobiła się napięta. Mac i inni też się zastanawiali.

- Sandra ma niezłą figurę - powtórzyła Petra.

- Spokojnie - zaprotestował Leon. - Jestem tylko obiektywny. Sandra umiałaby zainteresować kogoś, gdyby chciała.

Gdyby on chciał, żeby zainteresowała. Używał dziewczyny do odwrócenia uwagi, a sam z Marcella robił w tym czasie jakie przekręty. Ale Marcella poderwała sobie niechcianego adoratora.

- Sandra ma zapalenie włośnicy - powiedziała Petra. Leon milczał.

- Wiedział pan o tym, panie Leon. Był pan z nią w klinice. Czy zapewnił jej pan kiedykolwiek odpowiednią pomoc lekarską?

- To samoograniczająca się choroba. Czyli, mówiąc po ludzku, sama przechodzi.

- Widzę, że jest pan lekarzem - mruknęła Petra.

- Proszę posłuchać. Dobrze się nimi zajmowałem. Przez dziesięć lat mieszkali ze mną, dobrze się odżywiający, nauczyły czytać, a ja ich nigdy nie tknąłem. Ani razu.

Petra przypomniała sobie ciasną budę na Brooks Avenue. Dorosły mężczyzna i dwie dziewczyny roznoszone przez szalejące hormony.

Niebieską kokardkę dla najlepszego ojca dostaje...

- A więc Omar Selden i Marcella odnowili swój romans - powiedziała.

- To nie był romans - odparł Leon. - Pierwszego lata Marcella uciekła, żeby z nim być, a on już bez problemu bzyknął. Idiota nie użył prezerwatywy, a potem się zdziwił, kiedy dziewczyna zaszła. Całkiem możliwe, że częstował ją swoich kumpli, może to nawet nie on był ojcem. Jedno dał do zrozumienia bardzo wyraźnie: nie miał zamiaru z nią być. Groził mi, dopóki go nie spłaciłem i nie obiecałem zapłacić za aborcję. Tysiąc dolarów, z własnej kieszeni. Rok później Marcella tylko do niego mrugnęła, a on wrócił. Tydzień przed morderstwem siedziałem sam w domu, bo dziewczyny poszły na koncert jakiego nowego zespołu w Troubadour. Zawiozłem je tam na dziesiątą, miałem odebrać o drugiej w nocy.

174

O jedenastej byłem z powrotem w Yenice. O wpół do dwunastej drzwi wyleciały z zawiasów i stanął nade mną Selden. Otworzył sobie kopem. Stoi nade mną i pyta: Gdzie jest mój syn?" Idiota założył, że to był syn, taki z niego macho. Powiedziałem mu, że dziecka nie było, że zrobiłem dokładnie tak, jak chciał. A on na to: O nie, gociu, ja nic takiego nie mówiłem". Próbowałem się z nim dogadać. - Wcisnął powietrze przez zęby. Zadrżał mu policzek. - Z początku wydawało mi się, że słucha, a potem nagle się nadął, przysięgam, było widać, jak się pompuje, jakby się podłuszczył do rowerowej pompki. Zrobił się czerwony na twarzy, wyszły mu żyły i zaczął wrzeszczeć, że jestem mordercą. - Kolejny dreszcz, dłuższy, przepełził po twarzy Leona od czoła do podbródka. Zadrżały mu wargi. - Wtedy zdałem sobie sprawę, że to czubek. W zeszłym roku wciekał się, bo zaszła w ciżbę, nie mógł się doczekać, kiedy ją już usunie. A teraz wrzeszczał, że chce swojego dziecka. Próbowałem go uspokoić, a on złapał mnie za włosy, odchylił mi głowę, nie wiadomo skąd wyjął splotę i zaczął wciskać mi ją w gardło. Bolało jak cholera. I zaczął mówić takim wariackim szeptem, że odstrzeli mi język za takie kłamstwa. W końcu udało mi się go uspokoić.

- Jak się pan z nim dogadał? - spytała Petra. Leon nie odpowiedział.

- Jestem pewna, że przekonujący z pana facet, panie Leon, ale samym wdziękiem osobistym nie uspokoiłby pan kogoś takiego jak Selden. Leon patrzył prosto przed siebie.

- Zrobił pan coś, czego się pan wstydzi - powiedział Mac. - Jako to wszyscy przełknijemy, jeśli ta smutna historia do czego prowadzi. Leon znów zesztywniał.

- Umowa była taka, że pozwolę mu spróbować jeszcze raz z Marcellą. Żeby mógł zrobić jej dziecko. I mieć swojego pieprzonego bachora.

Nikt się nie odzywał. W cadillacu zrobiło się nagle duszno i ciasno. Cynamonowa woda po goleniu Leona skwaniała, zepsuta smrodem strachu.

- Nie miałem zamiaru na to iść - powiedział Leon. - Umówiliśmy się na następny wieczór i ten idiota sobie poszedł, zadowolony z siebie. Kiedy tylko się upewniłem, że naprawdę go już nie ma, spakowałem wszystkie nasze rzeczy, zabrałem dziewczyny z Troubador i wyjechałem.

- Dokąd? - spytała Petra.

- Gdzie.

- Gdzie?

- Mamy kilka takich miejsc.

175

- Jakich miejsc?

- Domów, mieszkań, wynajętych na krótko.

- Proszę nam podać adres, panie Leon, albo postawimy panu zarzut utrudniania ledztwa. Leon odwrócił się do Petry.

- To ja do was dzwonię, a teraz utrudniam?

- Dzwoni pan do nas i opowiada pan nam, jaki to z pana bohater.

- Opowiadam, jak schrzałem sprawę, i jestem bohaterem?

- Niech pan tak wszystkiego nie powtarza.

- Psycholodzy tak robią i u nich to działa - stwierdził Leon. Petra nachyliła się do niego.

- Pannie jest psychologiem! Adres, ale już!

- Dobrze, dobrze... Zabrałem je do Hollywood. - Podał adres przy Północnej McCadden. - Jeli tam pojedziecie, mieszkanie będzie puste. Boję się jak cholera, mieszkam w samochodzie.

Próbował wzbudzić w nich współczucie.

- W takim razie niech pan za daleko nie jedzi - powiedziała Petra.

- Proszę posłuchać... - Dotknął jej ręki. A kiedy spojrzała na niego nieprzyjanie, cofnął dłoń. - Selden nie odpuci. Widzieliście, co zrobił z Marcella. Z tamtymi dziećmi. Jakby tego było mało, nie wiem, gdzie jest Sandy. Zniknęła dzień po tym, jak zginęła Marcella. Miała tylko siedzieć w mieszkaniu przez jeden dzień, to wszystko, ale kiedy wróciłem, już jej nie było.

- Wrócił pan skąd?

- Musiałem załatwić kilka spraw.

- Jakich spraw?

- Zdobyć trochę gotówki, jaka to różnica? Plan był taki, że Sandy na mnie czeka, a potem wyjeżdżamy z LA, Tymczasem ona przysnęła na własną rękę. - Leon zamknął oczy. - Boję się, że wypatrzył ją Selden albo który z jego ludzi.

- Selden jest wszędzie?

- Jest jak wciekły pies na tropie. Najbardziej boję się tego, że nie wiem, co Marcella mu powiedziała. O tym, gdzie mieszkamy, co robimy.

- Może Sandra doszła do wniosku, że mójdrzej jest trzymać się od pana z daleka.

- Nie -powiedział Leon. - To niemożliwe. Niczego ze sobą nie zabrała. Ani ubrań, ani swojej żaby... Ma pluszowś żabę, zawsze z nią pi. Kupiłem jś dla niej, kiedy była mała, powiedziałem, że to od jej matki. Na pewno by bez niej nie wyjechała.

- Miała jakie pieniądze?

176

- Zawsze miała trochę przy sobie. Ale nie za dużo. Sto dolarów, może sto pięćdziesiąt. Akurat na bilet autobusowy.

- Boję się, że wyszła na chwilę... i została porwana.

- Wyszła po co? Leon się zawahał.

- Sandra w co się wpakowała.

- W narkotyki?

Pokiwał głowś. Przybity, w każdym calu zawiedziony rodzic. I nagle Petra sobie przypomniała: Gracze uważajś się za aktorów.

- Jakie narkotyki?

- Trawka, pigułki.

- A więc myli pan, że poszła gdzie po prochy i zauważył jś Selden?

- Tak musiało być. Całkiem możliwe, że jej dostawca znał Seldena i dał mu znać.

- Mówi pan, jakby Selden był jakim ojcem chrzestnym.

- Musiało tak być - upierał się Leon. - Nie ma innego wyjanienia.

- Chyba że to pan zabił Marcellę. I Sandrę też. Leon nie obruszył się na to oskarżenie.

- Dlaczego - powiedział cicho - miałbym to zrobić?

- Może między panem a dziewczętami było co więcej, niż pan nam powiedział.

- Zapytajcie, kogo chcecie. Kogo, kto wie.

- Mam zapytać Roberta Leona?

- Może pani spróbować.

- Czyli nie będzie chciał ze mnś rozmawiać.

- Będzie chciał, ale nic pani nie powie.

- Odwiedził go pan szeć tygodni temu - stwierdziła Petra. - Zdał mu pan raport ze stanu interesów? Z tego, jak dobrze się pan opiekuje dziewczętami?

- Jestemy rodzinś. Rodzinę się odwiedza.

- Co Robert myli o zamordowaniu Marcelli?

- Nie jest zadowolony - odparł Leon. - Nikt nie jest.

- To dla pana dodatkowe niebezpieczeństwo? Leon pokręcił głowś.

- Fizycznie nie. Powiedziałem, nie stosujemy przemocy.

- Fizycznie nie, ale...

Leon spojrział na lampkę pod sufitem cadiljaca.

- Finansowo. Mam przechlapane. Będę musiał odejść.

- Z Graczy.

12 - Pokrętny umysł

177

- Narobiłem zbyt dużego zamieszania, żeby móc zostać. Dlatego mieszkam w samochodzie. Nie mogę już być w żadnym z ich mieszkań. I bardzo dobrze, czas na zmianę. Nie chcę nawet zostać w Kalifornii. Za dużo tu ludzi.

- Lepiej niech się pan przyzwyczaja - powiedział Mac. - Zostanie pan w Kalifornii, tu, w LA, przyjacielu. Jako wiadek. Leon pokiwał głową, spuścił wzrok.

- Wiedziałem, że do tego może dojść, ale musiałem się zgłosić.

- Żeby sprawiedliwoci stało się zadość - dodała Petra.

- Żeby dopaść potwora, który zamordował mój brataniec i prawdopodobnie też kuzynkę. Zanim on dopadnie ciebie.

- Jeli go złapiecie i będziecie potrzebować żywego wiadka, nie zamykajcie mnie.

- Niech pan przestanie dramatyzować - odparła Petra. - Umieciemy pana w jakim bezpiecznym miejscu. Zmyliła to, zagrała jak w filmie. Nie miała takich uprawnień.

- Jasne - powiedział Leon. - Jasne, od razu czuję się bezpieczniejszy.

- Do rzeczy - przerwał Mac. - Gdzie możemy znaleźć Seldena?

- Marcella powiedziała mi, że mieszka w Yalley. W Panorama City. Jedził stamtąd do Yenice i z powrotem. Jeli wasi spece od gangów nie mają odczuć w dupie, powinni mieć go w aktach.

Trasa z Yalley do Yenice i co jeszcze, co Leon powiedział wcześniej... - w wiadomości Petry drgnęła jaka struna.

- Selden nie wygląda jak członek gangu. To znaczy?

- Nie ma tatuaży i jest gruby. Mówił Marcelli, że przez co najmniej rok studiował w ramach jakiego programu resocjalizacji za państwowe pieniądze. Może i tak było. Kiedy się go spotyka po raz pierwszy, nie robi wrażenia głupiego.

- Interesuje się fotografią? - spytała Petra.

Leon zeszywniał jeszcze bardziej. Próbował spojrzeć jej w oczy.

- Macie go?

- Niech mi pan odpowie. Leon oblizwał wargi.

- To on. Nosi ze sobą aparat, twierdzi, że robi zdjęcia. Tak poderwał Marcellę. Powiedział jej, że jest piękna, że chce, żeby została jego modelką. Gdyby dziewczyna miała trochę oleju w głowie, wiedziałaby, że wciska jej kit. Gdyby wybrał Sandy, to by była inna historia. Sandy ma wspaniałe ciało. A na czarno-białym zdjęciu nie byłoby widać, że ma żółte oczy.

178

Zawieli Leona na posterunek, wsadzili do celi i znaleli album ze zdjęciami twarzy.

Wystarczyło jedno spojrzenie,

Omar Arthur Selden vel Omar Ancho vel Oliver Arturo Rudolph. Ksywy: Szybki, Grubas, Cykacz. Od dawna członek VVO.

Petra знаła jedno vel”, którego w aktach nie było.

Ovid Arnaz.

Cichy, młody mężczyzna, którego spotkała na Brooks. Na zdjęciu sprzed czterech lat, zrobionym przy okazji notowania za napad, wyglądał zupełnie zwyczajnie. Przyznał się do winy, kwalifikację czynu zmieniono na kradzież i odsiedział trzy lata.

Rok po wyjściu na wolność poznał Marcellę Doušuette - na promenadzie Ocean Front.

Petrę rozboleła szczęka od zaciskania zębów, kiedy przypomniała sobie, jak gładko przełknęła opowieść o wynajętej na wakacje chatce i robieniu zdjęć. O tym, że Arnaz boi się chodzić nocami po niepewnej” okolicy.

Znała nazwisko właściciela domu. Sprawdziła Leona i dziewczyny, ale

nie Arnaza/Seldena.

Co oznaczało, że może w ogóle tam nie mieszkał.

Co oznaczało, że obserwował ją, kiedy przyjechała. Z sąsiedniego domku - pustego, plenijszego - obserwował chatkę Marcelli. Z nadzieją, że wyledzi Lyle’a Leona, by dokończyć dzieła.

Miała drania na widelcu.

Przypomniała sobie reakcję Seldena na pomierne zdjęcie Marcelli. Żadnych uczuć.

Twierdził, że widział już coś takiego. Że był w biurze koronera w ramach zajęć z fotografii.

Przełknęła to, ledwie rzuciła okiem na jego dowód tożsamości, na adres w Yalley, który jej podał: numer pustego lokalu po sklepie, niedaleko odremontowanej artystycznej dzielnicy w północnym Hollywood. Było tam dużo galerii, więc może naprawdę Selden interesował się fotografią. Ta ewentualność ani trochę nie poprawiła Petrze nastroju.

- Skąd miała wiedzieć - pocieszył ją Mac.

Ale weselsze twarze widywała na pogrzebach.

179

32

Czwartek, 20 czerwca, 15.00, trzeci podziemie, biblioteka Doheny’ego

Byłoby mi łatwiej - powiedziała Klara Distenfield - gdyby trochę konkretniej określił, czego szukasz i po co. Isaac, który siedział przy biurku, umiechnął się do niej.

- Przykro mi, to wszystko, co mogę powiedzieć.

- A to ci dopiero tajemnicza intryga.

Klara, czterdziestej ednoletnia bibliotekarka, była wesoła, pewna siebie, miała grube łydki, miękkie, ciężkie piersi, faliste, ognicie rude włosy, które upinała po bokach spinkami, i brzoskwiniową cerę.

Miała też słabość do studentów. Znała opinię o Isaacu. Rozwiedziona matka dwojga zdolnych dzieci starała się służyć mu pomocą za każdym razem, kiedy miał jakie pytania z zakresu bibliografii.

Isaac marzył o niej, odkąd tylko ją poznał.

Ostatnio miejsce Klary zajęła Petra. Mimo to, kiedy j Ź zobaczył w jednej z jej sukienek w kwiaty...

Dzisiejsza była jasnozielona w białe peonie i Źółte motyle; materiał przylegał do ciała, to nie był jedwab, ale co jakby jedwab...

- Ziemia do Isaaca - powiedziała Klara i błysnęła w umiechu białymi zębami.

- Przepraszam - odparł. - Wiem, że to brzmi tajemniczo, ale naprawdę nie mogę powiedzieć nic więcej.

- Oficjalne sprawy policji, co? Czy ona włanie do mnie mrugnęła?

- Nic ekscytującego.

- Dobrze cię tam traktujŹ?

- Bardzo dobrze.

- Mimo to musi tam być zupełnie inaczej niŹ tu - stwierdziła. Miękkim ramieniem zatoczyła łuk, wskazujŹc rzędy półek z ksiŹżkami.

- Jest inaczej - przytaknął Isaac.

Klara oparła się o biurko i przygryzła gumkę ołówek. Jej piersi zakoły-sały się, obfite, ledwie skrępowane sukienkŹ.

Starsze kobiety, po prostu uwielbiał to, jak one... co się z nim dzieje?

Dzieje się to, że jest seksualnie opóniony. Nie licŹc kilku niefortunnych spotkań z dziwkami, zaaranŹowanych przez Flaca Jaramillo, jest cholernym prawiczkim.

180

- Wszystko w porzŹdku, Isaac? - spytała Klara. - WyglŹdasz na zmęczonego.

- Wszystko w porzŹdku.

- Skoro tak twierdzisz. - Przetoczyła ołówek dłoniŹ po biodrze. - Jak na razie to wszystko, co udało mi się znaleźć.

Spojrzała swoimi złotozielonymi oczami na komputerowy wydruk, który położyła mu na biurku. Setki historycznych wydarzeń powiŹszanych z dwudziestego ósmego czerwca. Nic, czego juŹ by nie miał.

Być może gdzie tam krył się jaki ład, ale jeli tak było, Isaac go nie dostrzegał.

- Naprawdę bardzo dziękuję, pani Klaro.

- Cała przyjemnoŹ po mojej stronie. - Przysunęła się bliŹej i nozdrza Isaaca wypełnił słodki zapach wody i mydła. Troska rozszerzyła oczy Klary i wygładziła wesołe zmarszczki na jej twarzy. - Naprawdę wyglŹdasz na zmęczonego. Zwłaza tu. - Błada dłoń wskazała skórę pod oczami. Opuszek palca dotknął jego prawego policzka i po udach chłopaka przebiegł prŹd. Założył nogę na nogę, majŹc nadzieję, że Klara nie zauwaŹyła erekcji.

Umiechnęła się. Naprawdę?

- Jestem w szczytowej formie - powiedział. - Jeli chodzi o energie.

- No to dobrze. Miło slyszec, że masz troche wiary w siebie. Wy, studenci, dzielcie się na dwie grupy: zupełnych Leserów i niewolników. Ty naleŹysz do tej drugiej, Isaac. Siedzisz tu bez przerwy. Sam.

Wybrał sobie miejsce w najbardziej odległym kŹcie piwnicy, wród starych ksiŹg o botanice. OdkŹd otwarto LeaVey Library, wszyscy studenci uczyli się tam. Biblioteka Doheny'ego - olbrzymia, wspaniała, pięknie odnowiona - słuŹyła studentom i wykładowcom, ale wszyscy prowadzili swoje badania w Internecie.

Co pewien czas czas który trafiał tutaj, szukajŹc jakiego mała znanego tekstu. NajczęciŹ Isaac miał cały poziom dla siebie. Zupełnie

inaczej niż w domu, gdzie dzielił mały jak cela pokój z braćmi, wciśz słyszał hałas ulicy...

- Lubię samotność - powiedział.

- Wiem, że lubisz. - Klara odgarnęła z twarzy falę miedzianorudych włosów. Nie miała pięknej twarzy, w żadnym razie. Raczej... przyjemną. Czystą. - Moja córka, Amy, chce być lekarką. Ni mniej, ni więcej, tylko chirurgiem. Jest bystra, ale powtarzam jej: Masz dwadzieścia lat, jeszcze zdążysz podjąć decyzję". Dostaje same piśtki, więc może...

- Musi pani być z niej dumna.

181

- Jestem. Z jej brata też. - Nowy rodzaj umiechu. Otwarty, matczyń. Isaac wyobrażał sobie, jak pieci te kołyszszce się... i wtedy je zobaczył, tuż przed sobą, kiedy Klara się pochyliła.

Nadstawiając mu usta.

Zrobił pierwszy krok jak za krawędź urwiska. Jej język smakował cytrynowo, słodką cytryną landrynek. Zaplanowała to? Ta myśl podnieciła go jeszcze bardziej i miał wrażenie, że zaraz pęknie mu spodnie.

Siadła mu na kolanach, miękka, ciężka, oplatając go ramionami. Jego dłonie odszukały jej plecy, piersi, sięgnęły pod sukienkę, dotknęły miękkiego ciała. Gładkie uda, ciepłe i wilgotne od potu uniosły się... pozwalała się pieścić, nie zatrzymywała.

Potem złapała go za rękę, przycisnęła ją do jedwabistego materiału. Motyle podskoczyły.

- Och, Isaac, przepraszam - powiedziała, popychając go w dół. - Nie możemy.

Próbował się wyrwać, ale mocno przytrzymała jego rękę. Drugą wcisnęła sobie między nogi. Spojrzała mu prosto w oczy.

- To się więcej nie powtórzy.

Niezgrabnym poruszeniem bioder, ze wzrokiem wbitym w sufit, ciśnęła majtki.

33

Piątek, 21 czerwca, 15.49, pokój detektywów, wydział Hollywood

trze nie było dane cieszyć się z końca tygodnia. Siedziała za biurkiem i zastanawiała się, dlaczego Isaac nie przyszedł wczoraj ani dziś. Spytała Barneya Fleischera, czy widział chłopaka.

- W rodę - powiedział. - Wczorajem. Wyszedł około ósmej.

- Był sam?

- Ja tu byłem. Słyszała o Schoelkopfie?

- Nie, co takiego?

- Rozszedł się z żoną, trzeciś. - Barney umiechnął się łagodnie.

- To jest Los Angeles - powiedziała Petra.

- To zawsze było Los Angeles.

Usiadła z powrotem. Wyczerpało ją spotkanie.

182

Prowadzenie dochodzenia to wielka frajda.



Po zidentyfikowaniu Omara Seldena jako głównego podejrzanego w sprawie Paradiso następnym logicznym krokiem powinno być natychmiastowe rozpoczęcie poszukiwań masowego mordercy. Zamiast tego Petrze kazano nadrobić dokumentację, wyjanić, skąd wzięła Leona jako wiadka, a potem siedzieć cicho i czekać na polecenia specjalnego oddziału wydziału zabójstw.

Wezwanie przyszło w czwartek. Ważne spotkanie jutro o drugiej.

Skończyło się godzinę temu, o trzeciej. Ona, Mac Dilbeck i trzech złotych chłopaków ze ródmięcia spotkali się o drugiej trzydziści. Temat zebrania był wypisany na tablicy: Międzywydziałowe sfery oddziaływania.

Trzech detektywów z oddziału specjalnego okazało się wyluzowanymi facetami, nie mogli się nachwalić, jak Hollywood znalazło Seldena. Pe-tra uważała ich pochwały za gówno warte, ale ładnie się umiechała. Skończyło się na tym, że Petra i Mac wyjawili wszystkie fakty, a bystrzaki z oddziału specjalnego wyrecytowały wszystko, co wiedziały o VVO i innych gangach z Westside i Yalley. Przywieli ze sobą pomoce naukowe - stojak, wykresy, słupki. Ostatniś planszś na stojaku było pokryte wielkimi jak kratery porami powiększenie miękkiej, złowrogiej twarzy Omara Seldena.

Widząc go takim, nie można było myśleć o nim inaczej niż jako o Bardzo Złym Facecie. Petra uwiadomiła sobie, że niemal otarła się o to zło, i z trudem powstrzymała dreszcze.

O drugiej pięćdziesiąt osiem szef facetów ze ródmięcia przedstawił plan, najwyraniej przygotowany już wczeniej: nowy Oddział Zwalczenia Gangów z San Fernando Yalley miał się zająć poszukiwaniami Omara Seldena, bo nawet jeli to tylko Selden strzelał, towarzyszyli mu inni członkowie gangu i pojmanie ich wymagało udziału specjalistów. Oddział Specjalny Wydziału Zabójstw brał na siebie formalnś współpracę” z tamtymi, a potem miał odezwać się do Maca w sprawie następnego spotkania całej ekipy ledczej”.

Nie dzwońcie do nas, my zadzwonimy do was.

Petra chciała porozmawiać o zaginionej Sandrze Leon.

- Nie sđdzi pani, że ona prawdopodobnie nie żyje? - powiedział szef ródmięcia. - Jeli wemiemy Seldena żywcem, może dowiemy się szczegółów. Dlatego takie ważne jest, żeby to zrobić jak należy.

Petra wyszła z sali konferencyjnej bardziej zmęczona, niż gdyby cały dzień jedziła po mieście, szukając Omara.

Teraz siedziała przy swoim biurku i myślała o czerwcowych morderstwach, w sprawie Paradiso nie było już się nad czym zastanawiać. Feralna

183

data nieuchronnie się zbliżała, zostało już tylko siedem dni, a ona nie usiadła nad tym z Isaacem nawet na chwilę.

Dała sobie spokój, Paradiso było pilniejsze, można było jej wybaczyć.

Siedem dni; Boże, dopomóż następnej ofierze. Chyba że Isaac się myli.

Jak mógłby się mylić? Rany były niemal identyczne.

Petra poczuła pod obojczykiem znajomy ból. Wyjęła akta dwudziestego ósmego czerwca, przejrzała je jeszcze raz.

Skoncentrowała się na Marcie Doebbler, wywabionej z teatru. Dlatego że poznała Kurta Doebblera, a on był dziwny.

Potem: stary Solis i fałszywy serwisant. Coral Langdon, zabity pies. Im dłużej Petra myślała o swoim scenariuszu z innym psim spacerowiczem, zabójcś, tym lepiej pasował.

Ofiary nie miały ze sobą nic wspólnego oprócz tego, że sposób, w jaki zginęły, sugerował kogo wyrachowanego, psychopatę. Ten kto był wyjśtkowo sprytny, przebiegły, zmieniał podejcie... jak kameleon.

Ofiary obu płci. Czyli nie było podtekstu seksualnego? A może morderca był biseksualny.

A może chodziło o wyzwanie? Satysfakcję z polowania?

Nawet w takim przypadku musi być co, co wiśże ze sobś szeciuro zabitych ludzi.

Petra wysilała się, żeby znaleźć ten wiśższy czynnik.

Pół godziny póniej wynik tych przemyleń: morderca szeć, detektyw zero.

Jeszcze siedem dni. Czy ten drań wybierał swoje ofiary? Według jakich kryteriów? Co takiego je wyróżniało?

Dlaczego rozwalał im głowy? To o wiele bardziej ryzykowne niż zastrzelenie czy zadganie. Musi co oznaczać.

Alex Delaware opowiadał Petrze o kanibalach pożerajścych mózgi ofiar, żeby posiść ich dusze. Czy ona ma teraz do czynienia z jakim nowoczesnym kanibalem?

A może morderca się chełpił: jestem inteligentniejszy.

Samorodny geniusz? Wielu psychopatów ma przerost samooceny. Temu wszystko uchodziło na sucho przez lata, może naprawdę jest cwany.

Jeli tak, najlepsz bronisz Petry był mózgowiec po jej stronie. I już takiego miała. Ale gdzie on się podziewał?

Cały ten młodzieńczy zapał, to, że Isaac chodził za niś jak szczenię... dlaczego teraz trzymał się na dystans? Bo go obraziła? A może to miało co wspólnego z tym sińcem na twarzy? Nie kupiła jego historyjki o wpadaniu na cianę.

Kiepska ze mnie niańka.

184

Isaac ma kłopoty? Wyobrazila sobie mnóstwo czarnych scenariuszy, nagłówki w gazetach, artykuły, własne nazwisko, a obok zaniedbanie policjanta”.

Radnego Reyesa żsdajścego jej odznaki.

Żośdek zamienił jej się. w chlupiścy worek kwasu.

Przezań, nic mu nie jest. Pracuje nad swojs dysertacjs, którego dnia będzie podwójnym doktorem. Po co miałby się tu kręcić? Nie dała mu powodu.

A może Isaac się nie pokazywał, bo nie umiał nic wymylić w sprawie dwudziestego ósmego czerwca? Skoro geniusz nie potrafił rozwiklać tej intrygi, jak ona mogła mieć nadzieję, że jej się powiedzie?

Schowała szeć teczek z powrotem do szuflady. Próbowala poprawić samopoczucie, przypominajśc samej sobie, że to ona znalazła Omara Seldena.

Starym sposobem. W przypadku dwudziestego ósmego czerwca to na nic...

Pomylała o Ericu.

Nie widziala go od rody rano, kiedy wyszedł - wykutykał - z posterunku podczas spisywania Lyle'a Leona. Wyciśgnśł Petrę na schody, pocałował js szybko i zniknśł.

Od tamtej pory raz zadzwonił. Kiedy przysła dzi rano do pracy, na biurku powitala j ś kartka z wiadomociś.

Niedługo się odezwę, E.

Zajmował się swoimi sprawami, jakiegokolwiek one były. Czy to zapowied zniknięcia na dłużej w tym jego wiecie mrocznego milczenia?

Spróbowała przywołać smak jego ust. Nie udało jej się. Satysfakcja z Seldena zaczęła znikać. Bo zakucie go w kajdanki nie przywróci życia Marcelli Douśuette i innym ofiarom spod Paradiso.

Zadzwoiła na Wydział Biostatystyki i dowiedziała się, że Isaac rzadko się tam pokazuje, ale może zostawić dla niego wiadomość.

Do cholery z tym, następną godzinę postanowiła zabić, jeżdżąc po ulicach i udając, że obserwuje swoje terytorium. Nie, lepiej się przejść, spalić energię nerwów.

Zabrała torebkę i wyszła z posterunku. Na parkingu zobaczyła dwóch facetów kręcących się przy jej samochodzie.

Nie poznała ich. Ciemne garnitury, odznaki przypięte do kieszeni na piersiach. Potem uwiadomiła sobie, że już ich widziała. To oni mieli się i rozmawiali na parkingu wieczorem kilka dni temu.

Wtedy już zignorowali.

Teraz na nich czekali.

185

Podeszła prosto do nich. Dwaj wścisci mężczyźni, jeden o jasnej cerze, drugi smagły. Niebieski krawat, niebieski krawat.

- Detektyw Connor? - powiedział ten bielszy. - Lew Rodman, gangi.

Konkret, zero umiechu. Wścis nad jego bezkrwistymi ustami miał kolor letniego zielska. U jego partnera w tym miejscu czarna kreska, tak cienka, że wyglądała jak narysowana flamastrem.

Gocie od gangów chcieli porozmawiać z nią o Seldenie bezporednio, nie kontaktując się przez Metro? No, przecież to ona go zidentyfikowała. Fajnie, że kto już docenił.

- Miło was widzieć, panowie - umiechnęła się. - No i co robimy z Omarem? Rodman i Flamaster wymienili spojrzenia.

- Kto to jest Omar? - spytał Flamaster. W ich oczach nie było cienia poważania.

- O co tu chodzi? - zaniepokoiła się Petra.

- Możemy porozmawiać na osobności? - powiedział Rodman.

- Jeli powiecie mi, o co chodzi. Rodman spojrzał na Flamastra.

- Chodzi o stażystę, którym się pani opiekuje, o Isaaca Gomeza - wyjanił ciemnoskóry.

- Isaaca? Nic mu się nie stało?

- To właśnie - powiedział Flamaster - próbujemy ustalić.

Ich brązowy ford crown victoria stał na drugim końcu parkingu. Silnik był wyłączony, czyli musieli tu przyjechać już jakiś czas temu. Petra wsiała z tyłu, a Rodman i Flamaster, który przedstawił się jako detektyw drugiej klasy Bobby Lucido, z przodu; uchylili okna. Petra nie mogła otworzyć swojego okna, a oni nie zadali sobie trudu, żeby zapewnić jej wieże powietrze.

- Strasznie tu duszno, otwórzcie okno - powiedziała.

Rodman wyciągnął rękę. Pstryknięcie... i Petra mogła zaczerpnąć wieżego powietrza.

Lucido obejrzał się nad oparciem swojego fotela. Rzednńce włosy przylizal żelem, pasma przewitującej skóry przeplatały się z gęstymi, czarnymi kosmykami.

- Co może nam pani powiedzieć o Gomezie?

- Nic - odparła Petra - dopóki nie powiecie, dlaczego was to interesuje.

Lucido spojrzał na nią z niechęcią i pokazał jej tył głowy. Słyszała, jak oddycha. Znów na nią popatrzył.

- Jest pani jego niańkš.

Nie odpowiedziała.

Lucido umiechnł się do niej jak wšsaty gekon.

- Oto jak wyglšda sytuacja: Gomez był widziany w towarzystwie znanego handlarza narkotyków i ogólnie złego faceta. Siniak na twarzy. Chłopak naprawdę wpadł w tarapaty.

- Nie wydaje się pani zaskoczona - stwierdził Lucido.

- Oczywiście, że jestem zaskoczona. Pan żartuje.

- Tak, para z nas komediantów - zadrwił Rodman. - Wieczorem dajemy show w Fabryce miechu, a jutro w Lodowni.

- Kim jest ten handlarz? - spytała Petra.

- Nie wie pani?

Poczuła, że robi się czerwona.

- Jestem jego niańkš, jeli chodzi o oficjalne sprawy policyjne. To znaczy, że kręci się u nas, jedzi ze mnš, bawi się komputerem przy swoim biurku. Ale wiem, że to geniusz przyjęty do szkoły medycznej, w wieku dwudziestu dwóch lat będzie miał doktorat, a robi go dla przyjemności. Chcecie mi powiedzieć, co się dzieje, proszę bardzo. Wolicie odstawić dramat, idcie na lekcje aktorstwa.

Czarna kreska na twarzy Lucido opadła, potem się uniosła.

- Doktorat dla przyjemności.

- No proszę - zawtórował mu Rodman. Petra patrzyła na nich bez słowa.

- No - powiedział Lucido - może co innego też sprawia mu przyjemność.

Znów się od niej odwrócił; usłyszała szelest papieru. Podał jej co nad fotelem.

Czarno-białe, błyszczšce zdjęcie dwadziecia na trzydzieci, przedstawiajšce siedzšcych razem Isaaca i chudego faceta. Bardzo chudego faceta, z zapadłymi policzkami i zapuchniętymi oczami ćpuna. Siedzieli w czym, co wyglšdało na boks w restauracji. Boks był ze sklejki. Na stole przed nimi - żadnego jedzenia. Może to jaki tani bar. Ćpun: ubrany na czarno, żałosny meszek nad górnš wargš. Agresywnie dziwaczna fryzura - łyso na górze, paski po bokach, bardzo długi, wijšcy się warkocz na prawym ramieniu.

Isaac wyglšdał jak Isaac: porzšdny, czysty, koszula zapięta pod szyję. Ale miał inne spojrzenie.

Był bardziej spięty, niż Petra kiedykolwiek widziała. Zły?

On i ćpun siedzieli blisko siebie. Aparat uchwycił ich w samym rodku jakiej poważnej rozmowy.

- Kto to jest, ten chudy? - spytała Petra.

- Flaco Jaramillo - odparł Bobby Lucido. - Po hiszpańsku to znaczy chudy”. Flaco Jaramillo vel Mysz, vel Kung Fu, to od warkocza. Naprawdę nazywa się Ricardo Isador Jaramillo. Znany dealer, podobno zabija też ludzi za pieniądze, chociaż nigdy nie był o to oskarżony.

- Który gang?

- Nie należy - powiedział Rodman. - Ale zadaje się z gangami z East LA i Central.

Omar Selden chwalił się Marcelli, że robił różne rzeczy dla różnych gangów. Może tu być jaki zwiśzek?

Petra przyjrzała się zdjęciu.

- Gdzie je zrobiono?

- Zadaje pani dużo pytań - mruknął Bobby Lucido.

- A jeśli wy chcecie się czego dowiedzieć, le traficie.

- Jak zaczęła pani pracować z Gomezem?

- Został mi przydzielony przez mojego kapitana. Który dostał rozkazy od zastępcy szefa policji Randy'ego Diaza, który z kolei dostał polecenie od radnego Reyesa.

- Tak, tak, czytaliśmy te pierdoły. Chcemy się dowiedzieć, co go wiśze z takim łachudrś jak Flaco Jaramillo.

- W takim razie jego zapytajcie. Znam go tylko jako dobrze wychowanego studenta, detektywie Lucido.

- Mów mi Bobby. To jest Lew. Zrobiliśmy to zdjęcie na Piśtej przy LA Cantina Nueva. Dealerzy, coyotes pogranicza, wolni strzelcy, ogólnie same męty.

Petra pstryknęła paznokciem w krawędź zdjęcia.

- Macie tam swój ś wtykę?

- Powiedzmy, że możemy robić zdjęcia - wyjaśnił Lew Rodman. - A Flaco jest na wielu z nich. Kiedy więc twój chłopak się tam pojawił, taki elegancki, od razu zwrócił na siebie uwagę. Zwłaszcza kiedy dosiadł się do Flaca, najwyraniej to jego znajomek. Zaciekawilo nas to i zaczęliśmy go ledzić, chcieliśmy sprawdzić jego tablice. Okazało się, że nie ma samochodu, jedzi autobusem. Zafundowaliśmy sobie powolny ogon za komunikacjś miejśkś, było wesoło. Poznalimy adres Gomeza, po nim doszlimy do jego ojca, na końcu wczoraj zidentyfikowaliśmy chłopaka, ale nie wiedzieliśmy, co to zajeden. A potem kto z naszej grupy obejrzał zdjęcie, skojarzył nazwisko Gomeza z artykułem w gazecie. Reyes dał mu jakś nagrodę za to, jaki jest mśdry.

- Najwyraniej zna Flaca, ale od tego daleka droga do bycia znajom-kiem" - stwierdziła Petra.

188

- Znajś się, czyli śś znajomkami - upierał się Rodman. - My nie mamy doktoratów, ale umiemy myleć. Twój chłopak koleguje się z Panem Nic Dobrego w barze Cantina Nueva.

- Macie jakie dowody, że Gomez jest zamieszany w działalność przestępczś?

- Rozmawiał z Flakiem - powiedział Bobby Lucido. - Flaco wstał, wszedł za bar, wrócił. Kilka minut póniej Gomez wyszedł z teczkś.

- Zawsze nosi teczkę - owiadczyła Petra.

- Oczywiście.

Petra się zniecierpliwiła.

- Czego ode mnie chcecie?

- Na razie niczego. Rób dalej to, co robiła do tej pory. Ale miej oko na jakie podejrzane rzeczy. Jeśli sytuacja się zmieni, damy ci znać.

- Ni z tego, ni z owego nagle pracuję dla was?

- Pracujesz dla departamentu - powiedział Lucido. - Tak samo jak my. Co ci się nie podoba, złóż skargę.

Petra zapragnęła jak najszybciej stąd uciec, więc nacisnęła klamkę. Drzwi nawet nie drgnęły. Oczywiście, siedziała przecież na miejscu podejrzanego.

Zanim zdążyła co powiedzieć, Lew Rodman rozemiał się i wyłszył blokadę.

- Kto to jest Omar? - zapytał Lucido, kiedy wysiadła. Nachyliła się do jego okna. Lucido się cofnął, a ona wsunęła głowę do rodka.

- Jestecie z Yalley? Pokręcił głową.

- Z Central.

- No to nie musicie wiedzieć.

34

Petra patrzyła, jak crown victoria wyjeżdża z parkingu. Isaac wplisał się w jakąś naprawdę niewesołą historię. Zrezygnowała ze spaceru, postanowiła zabrać swoje rzeczy i iść na wagary. Kiedy doszła do tylnych drzwi posterunku, kto zawołał ją po imieniu. Odwróciła się.

189

Pan Podwójne Życie machał do niej ręką, bez teczki. Był chyba ubrany w to samo, co miał na sobie w Cantina Nueva.

Obserwował ją, kiedy rozmawiała z tamtymi dwoma detektywami? Czy to możliwe, żeby był aż tak cwany?

Podbiegł do niej. Siniak zbladł, ale opuchlizna nie ustąpiła, więc wciśz ukrywał ją pod makijażem.

- Cześć - powitała go Petra. - Dawno cię nie było.

- Przepraszam, miałem sporo na głowie. Jasne, że miałe.

- Doktorat?

- Przede wszystkim. Zająłem się też trochę dwudziestym ósmym czerwca. Niestety, nie mam czym się wykazać. Bibliotekarka cięgle szuka. -Zmarszczył brwi. - Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy się nie pomyliłem. Może za bardzo się przejąłem czym, co tak naprawdę jest tylko statystycznym kaprysem.

- Nie mylił się - zaprzeczyła Petra. Ukradkiem przyjrzała się sińcowi. Isaac dotknął go ręką, opucił ją.

- Jeste przekonana, że to prawda.

- Na to wygląda. - Pokazała mu zegarek. Małe, czarne cyferki w okienku kalendarza pokazywały dwudziesty pierwszy.

- Wiem - powiedział. Przełożył teczkę do lewej ręki, zgarbił się.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Autobusy się spóniały, więc wybrałem inną trasę, musiałem przejść kilka przecznic więcej. Doprawdy?

- Bez samochodu musi ci być ciężko.

- Można się przyzwyczaić. Słyszałem, że w telewizji był jeden z Leonów. Mama widziała w wiadomościach. Wspominałem rodzicom, że pracujesz nad tą sprawą. Mam nadzieję, że to nie była niedyskrecja.

- Nie. W telewizji wymieniali moje nazwisko.

- A więc to Leon strzelał?

Potrząsnęła głową, nie wiedząc, ile może mu teraz powiedzieć.

Hałas silnika sprawił, że spojrzała nad jego ramieniem. Czarna terenówka wjechała na parking i gwałtownie skręciła na pierwsze wolne miejsce. Za kierownicę-jeden z bystrzaków ze ródmięcia. Barczysty i pewny siebie jak gliniarz z filmów. Jego kumpel też siedział z przodu, wyglądał podobnie. Obaj mieli lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Silnik zaryczał i zgasł.

- Pogadamy później - powiedziała Petra i otworzyła Isaacowi drzwi.

190

Odwrócona rycerskość, pomyślał, wchodząc od rodka. Jestem dla niej tylko dzieckiem.

- Cześć - powiedział Bystrzak I. - Gotowa na zebranie?

- Jakie zebranie?

- O piściej. Dzwoniliśmy.

- Kiedy?

- Piętnacie minut temu.

Kiedy siedziała w samochodzie Rodmana i Lucida. Dali jej mało czasu, jakby była ich podręczną.

- Co jest? - spytała.

- Chodmy na zebranie, to się dowiemy - powiedział Bystrzak II.

Isaac postawił komputer w rogu na swoim biurku. W pokoju było dwóch detektywów, Barney Fleischer i jakiś gruby mężczyzna, którego nie znał; krzyżując się na jego plecach skórzana uprząż z kaburzą wrzynała mu się w obcisłą zieloną koszulkę polo.

Isaac podłszył się do sieci, załogował do bazy danych Biblioteki Do-heny'ego i zaczął udawać, że jest zajęty.

Udawać też, że między nim a Klarą do niczego nie doszło.

Ale doszło: pokpił sprawę osobiście i zawodowo.

Wykorzystał słabszą kobietę, co samo w sobie było wstępné. Co gorsza, mieszał pracę z... przyjemnością i ryzykował powodzenie ledztwa w sprawie dwudziestego ósmego czerwca.

Próbował usprawiedliwiać się przed samym sobą, że to Klara wykorzystała jego, łatwowiernego studenta, któremu zależało tylko na ciszy, spokoju i zakurzonych księżkach, a nie klaskaniu ud, jękach...

Było wietnie. Za drugim razem, nie pierwszym. Pierwszy skończył się, zanim do Isaaca dotarło, że w głowie huczy mu zaskoczenie i orgazm. Klara nie przestała się poruszać, a on nie zmięknął.

- Tak, ruszaj się, ruszaj - szeptała, ujmując jego twarz w dłonie.

Co, oczywiście, naładowało go tylko jeszcze bardziej.

Drugi raz był fantastyczny. Dla Klary też, jeżeli wicie się, pomruki i tłumienie własnych krzyków dłońmi o czym wiadczy. Kiedy było już po wszystkim, nie wstała, dalej siedziała mu okrakiem na kolanach, ciskając jego miększy członek. Całowała go w szyję, drapała po plecach, luno kosmyki jej włosów łaskotały go w twarz, aż w końcu nie mógł już tego wytrzymać i odwrócił głowę. A ona uznała, że jest zmęczony.

- Biedaku - powiedziała. - Przygniatam cię, jestem taka gruba. Umiechała się, ale wyglądała, jakby miała się rozplakać.

191

- Wcale nie - pocałował ją i złapał za miękkie biodra przez sukienkę w motyle.

- Boże, jeszcze mnie trzęsie - wyznała. I wtedy popłynęły łzy. - Tak mi przykro, Isaacu. Po co ci gruba, stara histeryczka?

On z kolei zaczął ją pocieszać i przytulać. Całować, chociaż emocje skurczyły mu się razem z penisem i kontakt fizyczny był ostatniś rzeczś, na jakiej mu zależało.

Faktycznie, była ciężka.

- Jesteś słodka - szepnęła. - Ale to naprawdę nie może się powtórzyć. Tak?

- Tak.

- Szybko się zgodziła.

- Chcę tylko tego, czego pani chce - powiedział zmieszany.

- Naprawdę? No, gdyby to zależało ode mnie, pieprzylibymy się jeszcze sto razy. Ale rozsżdek musi zwyciężyć. - Pocałowała go w brodę. - Szkoda, prawda? Jakie życie jest skomplikowane. Mogłabym być twojś matkś.

Zmarszczyła brwi, kiedy to powiedziała. Isaac poczuł ukłucie wstydu. Wstyd. Odpędził go, skupił się na motylach i kwiatach. Poruszył się, dając do zrozumienia, że mu niewygodnie.

- Ale... - powiedziała Klara, w końcu wstając; wysoko podniosła nogi, jakby nie chciała go dotknść. Unikała też jego wzroku, kiedy podciśgała majtki, wkładała buty i straszyla palcami ognicie rude włosy.

Isaac poprawił spodnie, zapiśł rozporek i znieruchomiał, czekając na dalsz część zdania. Ale ona tylko się słabo umiechnęła. Usta jej drżały.

- Ale co? - spytał.

- Ale co?

- Powiedziała pani ale”, a potem nic.

- Och - opuciła rękę i przesunęła paznokciami po jego kroczu. - Ale mimo wszystko było fantastycznie. Mimo że mogłabym być twojś matkś. Możemy zostać przyjaciółmi, prawda?

- Oczywiście - zapewnił Isaac, nie do końca pewien, na co się godzi. Umiechnęła się krzywo, niewyranie.

- A więc możemy ić na kawę? Jak przyjaciele.

- Jasne.

- Teraz?

- Teraz?

- Włanie teraz.

192

Wyszli razem z biblioteki i poszli do kawiarni na Figueroa, vis-a-vis wschodniej granicy kampusu. Mijali studentów i wykładowców, idących z rówienikami.

Klara kołysała biodrami i od czasu do czasu dotykała Isaaca. Isaac próbował zachowywać dystans - doć duży, by rozwiać wrażenie jakiegokolwiek bliskoci, ale nie za duży, żeby Klara się nie zorientowała. Cały czas szturchała go w bok.

W kawiarni zaprowadziła go do stolika i zamówiła miętowś herbatę i sałatkę, do tego sos Tysiśca Wysp. Isaac, nagle spragniony, poprosił o colę.



- Zawsze jestem głodna - zwierzyła mu się, kiedy kelnerka odeszła od stolika. Poczerwieniała. - Potem.

Przez następną godzinę opowiadała mu o szkole, swoim dzieciństwie, o tym, jak młodo wyszła za mąż - jak myślała, na wieki - o dwojce zdolnych dzieci, o swojej cudownej matce, która czasem próbowała ją kontrolować, ale w jak najlepszej intencji, o swoim ojcu adwokacie, który przeszedł na emeryturę zaledwie rok przed śmiercią na raka prostaty.

- Wspaniale słuchasz - powiedziała na koniec. - Mój były zupełnie nie umiał. Myślała kiedy, czy nie zostać psychiatrą? Isaac pokręcił głową.

- Dlaczego?

- Nie zastanawiałem się jeszcze nad specjalizacjami. To zbyt odległa przyszłość. Klara nachyliła się i dotknęła czubków jego palców.

- Jeste pięknym chłopcem, Isaacu Gomezie. Którego dnia staniesz się sławny. Mam nadzieję, że będziesz o mnie wtedy pamiętał. Rozemiał się.

- Nie żartowałam - powiedziała.

Odprowadził ją powrotem do jej biurka w dziale bibliografii i odwrócił się, kiedy zaczęła rozmawiać ze swoją asystentką Mary Zoltan, kobietą o twarzy kreta, dziesięć lat młodszą od niej, ale w jaki niewytłumaczalny sposób sprawiając wrażenie starszej. Kiedy Klara zobaczyła, że Isaac wychodzi, pobiegła za nim, dogoniła go w drzwiach, dotknęła jego ramienia i żarliwie wyszeptała, że naprawdę jest piękny, że było wspaniale, szkoda, że to się więcej nie powtórzy.

Mary Zoltan się na nich gapiła. W jej krecich oczach nie było ciepła.

Klara cisnęła Isaaca za ramię.

- Dobrze?

- Dobrze. - Wsunął się z jej ucisku i wyszedł z biblioteki.

13 - Pokrętny umysł 193

Był za bardzo nakręcony, żeby skupić się na swoim doktoranckim badaniu dwudziestego ósmego czerwca czy na czymkolwiek innym. Kiedy wyszedł na wieże powietrze, co zapulsowało mu między nogami, a zapach Klary przyłgnął do jego skóry, gardła, wnętrza nosa. Skorzystał z męskiej toalety w sąsiednim budynku i umył twarz. Bez skutku: mierział nasieniem i Klarą.

Nie mógł tak stanąć przed Petrą.

I tak nie miał z czym do niej iść.

Dlaczego czuł się jak zdrajca?

Poszedł z powrotem do Figueroa, złapał autobus Metro 81 do Hill i Ord, przesiadł się w dwójkę na rogu Cesar Chavez-Broadway i minął przystanek Sunset/Wilcox, na którym wysiadał w drodze na posterunek. Pojechał dalej, do La Brea, wysiadł i na piechotę przeszedł do Pico Boulevard. Tam wsiadł w Niebieską Linie Santa Monica 7, kierunek: plaża.

Kiedy dojechał na nabrzeże, dochodziła szósta. Kupił sobie gumowatego hot doga, twarde frytki i jeszcze jedną colę, chwilę pospacerował, popatrzył na kilku starych Japończyków, łowiących ryby na drugim końcu nabrzeża. Potem po prostu usiadł. Jego studenckie ubranie i teczka przyciągały spojrzenia turystów, nastolatków o bezwzględnych twarzach i ulicznych sprzedawców.

A może widzieli kogo innego?

Człowieka, który nigdy się nie dopasował i nigdy nie miał się dopasować.

Gdyby tylko wiedzieli, co ma na dnie teczeki.

Zbiegł z nabrzeża na plażę, nasypało mu się piasku do skarpet. Nie przejął się tym, pomknął na sam brzeg wody, podwinął spodnie,

zdjął buty i wszedł w zimne fale.

Stał tam, aż zdrętwiały mu stopy; nie myślał o niczym.

Było mu wspaniale.

Potem pomyślał o dwudziestym ósmym czerwca.

Petra uważa, że mam rację, ale mimo wszystko mogę się mylić. Dobrze byłoby się raz na jakiś czas pomylić.

Wyszedł z powrotem na piasek, włożył skarpety i buty, nie susząc stóp, bo niby po co.

Kiedy wrócił do domu, dochodziła dziesiąta, a jego matka była zła, bo spócił się na kolację, którą przygotowała. Zupa albondigas z pulpetami i ziołami, tamales z mięsem, duży garnek czarnej fasoli z soloną wieprzowiną. Mama stała nad nim i liczyła każdy widelec, a Isaac zjadł tyle, ile mógł w sobie zmieścić. Kiedy miał wrażenie, że za chwilę pęknie, otarł

194

usta, pochwalił mamę za pyszne jedzenie, pocałował ją policzek i poszedł do swojego pokoju.

Isaiah już spał na górnym łóżku - leżał na plecach i rytmicznie chrapał, lewą ręką zakrywając oczy. Przez ostatni rok starszy brat Isaaca, przyuczający się do fachu dekarza, skakał od jednej budowy do drugiej, pracując za niemal minimalne stawki; przesiadł prawie nieusuwalnym smrodem smoły. Isaac zdążył do tego przywyknąć, ale tego wieczoru małeńki pokój cuchnął jak wieżo wyasfaltowana autostrada.

Isaiah parsknął przez sen, przewrócił się na bok, potem znów na plecy. Musiał wstawać o piątej rano, żeby zdążyć na miejsce zbiórki, skąd szef zmiany zabierał swoich pracowników ciężarówek.

Isaac zdjął buty i cicho postawił je na podłodze. Wysuwana połówka jego młodszego brata Joela była pusta, tak jak ją posłał rano. Joel, wieczorowy student miejskiego college'u i sprzedawca w hiszpańskim markecie Solario na Alvarado, nabrał nawyku wracania do domu późno w nocy bez wyjanienia. Takie postępowanie w przypadku któregoś ze starszych braci Gomezów wywołałoby rodzicielską burzę, ale Joelowi - przystojnemu, o umięchu Toma Cruise'a - wszystko uchodziło na sucho.

Isaiah znów parsknął, głoniej. Wymamrotał coś przez sen. Ucichł. Isaac rozebrał się, przewiesił ubranie przez oparcie krzesła i położył na dolnym łóżku.

Z góry dobiegło go niewyrane "Hm", rama łóżka zaskrzypiała.

- To ty, braciszku?

- Ja.

- Gdzie byłeś? Mama się wkurzyła.

- Pracowałem. Isaiah się zamięł.

- Co w tym mieszane? - spytał Isaac.

- Czuć aż tu, na górze,

- O czym ty mówisz?

- Czuć od ciebie porządnym rżnięciem, stary. Bardzo dobrze, braciszku. Tak trzymaj.

Następnego dnia Isaac poszedł do biblioteki z mocnym postanowieniem rozmowy z Klarą w cztery oczy. Wszyscy tu jesteśmy dorośli. Nie było jej za biurkiem.

- Jest chora - poinformowała go Mary Zoltan.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Kiedy dzwoniła dzisiaj rano, nie brzmiało to najlepiej.

195

- Przeziębienie? - spytał Isaac.

- Nie, raczej... - Mary popatrzyła na niego i Isaac poczuł, że twarz staje mu w ogniu. Długo się szorował, ale skoro Isaiah, na wpół piścy, i tak wyczuł...

- Nieważne - powiedziała Mary. - Mogę ci w czym pomóc?

- Nie, dziękuję. Umiechnęła się pod nosem.

Chora. Co gorszego niż przeziębienie.

Kobieta była na krawędzi, a on jś popchnął.

Jakby tego było mało, zbliżał się dwudziesty ósmy czerwca.

Kiedy schodził na dół, do trzeciej podpiwnicy, koszmarne sceny przepływały w jego głowie jak wypłata wygranej na jednorękim bandycie.

Klara, wmówiwszy sobie, że została seksualnie wykorzystana - przez młodego, ambitnego mężczyznę - popadła w głęboką, czarną depresję.

Wzięła leki.

Przedawkowała.

Albo utopiła smutki w pigułkach i alkoholu - pigułkach i białym winie.

Tak, to by pasowało: rodki nasenne i chardonnay. Oszołomiona, niepewnym krokiem idzie do swojego minivana. Inny samochód jedzie w jej stronę, ale jest już za późno.

Dwoje zdolnych dzieci zostaje osierocone.

Zaczyna się policyjne dochodzenie: co u bibliotekarki w rednim wieku spowodowało tak gwałtowną reakcję?

Kim jest ostatnia osoba, z którą jś widziano?

Mary wie. Widać po jej spojrzeniu, że ona wie.

Isaac zatrzymał się w połowie schodów. A jeli nie byli tak dyskretni, jak im się wydawało, i kto, jaki botanik, jaki cholerny chlorofil, zwabiony do cichego, ciemnego kąta Isaaca przez jaki zetlały, stary tekst o pleniakach, nagietkach czy Bóg wie czym, wszystko widział?

Koniec z karierą.

Pa, pa, Szkoło Medyczna.

Pa, pa, doktoracie, skoro już o tym mowa. Będę wstawał razem z Isaia-hem o piastej trzydziści i jedził pokrywać dachy papś.

Jaki wstyd. Przed rodzicami... przed Lattimore'ami. Przed całą Akademią Burtona. Na uniwersytecie.

Przed radnym Gilbertem Reyesem.

Kiedy dotarł do swojego kąta, wyobraził sobie bardzo żywo Reyesa zwołującego konferencję prasową, by zdystansować się od

swojego marnotrawnego podopiecznego.

196

Rozejrzał się. W dziale botaniki nikogo nie było. Jak zwykle. Ale o czym to wiadczy? Przez cały czas - przez całe cholerne orgiastyczne piętnacie minut czy ile to tam trwało - miał zamknięte oczy.

Teraz też je zamknął, jakby chciał przywołać tamtą chwilę. Otworzył i zobaczył wysokie, biblioteczne regały. Ciemne, puste korytarze.

Ale wszystko było nie tak; nawet powietrze pachniało naganą.

Odwrócił się i pobiegł z powrotem do schodów. Potknął się, omal nie upadł, ale udało mu się utrzymać równowagę.

Albo co, co miało za niś uchodzić.

Nie może tu dzisiaj siedzieć. Z powrotem na plażę, na plaży jest dobrze. Wróci, napcha się byle czym, pogra w gry wideo jak pierwszy lepszy przygłup, ochłodzi stopy i wszystko inne, co wymaga ochłodzenia, w wielkim, nieustępliwym Pacyfiku.

Tak zrobił. Ale około południa zatęsknił za posterunkiem.

35

Drugie zebranie było dla Petry gorsze. Pięć minut po jego rozpoczęciu przyszedł przedstawiciel jednostki zwalczania gangów z Yalley, mundurowy z trzema paskami, olbrzymi facet z ogoloną na tyso głową, lodowatym spojrzeniem i wdziękiem wirusa. Kiedy Bystrzak I wygłaszał mowę na temat zachowania gangów, nowo przybyły badał stan swoich paznokci.

Do poszukiwań Omara Seldena i jego współników przydzielono oficjalną grupę.

Schoelkopf postanowił posłuchać tego, co mówi.

Nie odzywał się. Siedział właściwie bez ruchu, jakby zaspany i skurczony, i Petrze, która wiedziała o jego trzeciej żonie, zrobiło się go żal. Bystrzak brzęczał, kapitanowi zaczęła opadać głowa. W końcu facet skończył, zamknął notes i gestem kazał kumplowi złożyć stojak.

- W ten sposób - powiedział, poprawiając krawat - wszyscy jesteśmy na bieżąco. Petra spojrzała na wielkiego sierżanta od gangów.

- Może was zainteresować jedna rzecz - powiedziała. - Nasz Omar chodził na uniwersyteckie kursy fotografii, a kiedy go widziałam w Yencie, miał przy sobie sprzęt fotograficzny. Podał fałszywy adres w północnym Hollywood, więc może ma tam jakie powiększenia.

197

-i l

- To był fałszywy adres - przerwał jej Schoelkopf. - Po to właśnie się kłamię, detektyw Connor. Żeby skierować na fałszywy trop.

Kompletna bzdura. Kryminalicy nie mieli wyobrani, bez przerwy popełniali grupie błędy. Gdyby nie to, praca policjanta byłaby zupełnie bezcelowa.

Nikt jej nie poparł.

- Mimo to, proszę pana... - powiedziała.

Sierżant od gangów wstał i wyprostował się na całość wysokość swoich stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów.

- Nigdy nie widziałem żadnych gangów w północnym Hollywood poza maruderami na festynach. Do przyszłego miesiąca nie ma żadnych festynów.

Wyszedł z sali.

- Do roboty - powiedział szef ródmięcia.

Kiedy Petra wróciła do pokoju detektywów, czekał tam na nią Isaac. Musiała się przejąć i powiedziała mu to. Wyszli z posterunku i ruszyli na południe Wilcox. Isaac czuł, że nie powinien się odzywać, a Petra niemal biegła bez słowa w stronę Santa Monica. W końcu się uspokoiła i zauważyła, że chłopak trzyma się od niej na dystans. Pewnie się przestraszył. Pora zmusić się do umiechu.

- No dobrze - powiedziała. - Dwudziesty ósmy czerwca. Ta data musi co oznaczać: urodziny, rocznicę, co osobistego dla mordercy. Albo jakie wydarzenie historyczne, które go nakręca. Sprawdziłam w wydziale komunikacji dane wszystkich osób z akt. Żadna ofiara nie urodziła się tego dnia. Więc może nasz koleżka faktycznie ma wira na punkcie historii.

Zaczekała na komentarz Isaaca. Nie skomentował.

- Co ci przyszło do głowy?

- Wszystko, co mówisz, brzmi rozsądnie.

Tracił zainteresowanie? Pochłaniało go jego drugie życie?

- Cały czas myślę - powiedziała - że morderca jest wyjątkowo podstępny. Że to kto subtelny, bardzo ostrożny i dokładny w planowaniu. Marta Doebbler została wywabiona z teatru, Geraldo Solis prawdopodobnie dał się nabrać na wizytę fałszywego serwisanta. Jeli ten serwisant to nasz podejrzany, to był na tyle sprytny, że obejrzał sobie dom i wrócił później. Może też wykorzystał psa jako przynętę.

Opowiedziała mu o dwóch rodzajach psich włosów na ubraniu Coral Langdon, streściła swój scenariusz spotkania drugiego spacerowicza z psem.

198

- Planowanie morderstwa - powiedziała - może być dla niego równie ważne jak samo zabijanie.

- Choreograf-dodał Isaac.

- Dobrze to ujęte. No więc, co o tym sądzisz?

- Masz rację co do subtelności.

- Jest subtelny, dopóki nie rzuca się na ofiarę od tyłu i nie rozwala jej głowy. To w żadnym razie nie jest subtelne, Isaac. Dla mnie to: (a) tchórzostwo: boi się spojrzeć jej w oczy, więc unika normalnego dla seksualnych psychopatów duszenia, i (b) rozsądza go

wciekłość, którą w codziennym życiu kontroluj e. Bardziej niż kontroluj e. Funkcjonuje zupełnie normalnie, dopóki co go nie pobudzi. Wiemy, że takim bodcem jest data, ale musi też co być w samych ofiarach.

Szli przez chwilę w milczeniu.

- Jeli chcesz co dodać, proszę bardzo - zachęciła Petra. Isaac pokręcił głową.

- Wszystko gra?

Drgnął. Wyrwała go z zamylenia.

- Jasne.

- Wydajesz się odrobinę nieprzytomny.

- Przepraszam.

- Nie musisz przeproszać. Chciałam się tylko upewnić, że wszystko gra. - Umiechnęła się. - Jako twoja mentorka, chociaż za dużo nie mentorzyłam. Jest taki czasownik?

Isaac odpowiedział umiechem.

- Nie.

- Możesz spekulować na temat tego, co powiedziałam.

- Wszystko, co mówisz, brzmi logicznie. Chciałbym mieć co do dodania, ale nie mam. Przeszli pół przecznicy.

- Jedna rzecz wpadła mi do głowy. Jest pewna różnica między Martš Doebbler a pozostałymi ofiarami. Jeli morderca potrafił podać się za serwisanta kablówki, żeby wejść do domu pana Solisa, pan Solis nie musiał go znać. Jeli teoria z psem jest słuszna, to samo dotyczy Coral Langdon. Spotkała mężczyznę na spacerze z psem w swojej okolicy, porozmawiała z nim, odwróciła się, dostała w głowę. Morderca mógł to przećwiczyć wcześniej, spacerując tamtędy z psem, żeby poznać okolicę. Ale wciśz mieszkańcy mogli go nie znać. W przypadku Marty Doebbler jest inaczej. Nie wyszłaby z teatru w rodku przedstawienia, gdyby nie знаła tego, kto do niej dzwoni. Poza tym nieznajomy nie wiedziałby, że Marta wybiera się do teatru.

199

- Czyli to kto, komu ufała - stwierdziła Petra. - Wracamy do męża. - Dziwaka Kurta. - Między Martš a innymi jest jeszcze jedna różnica. Tamtych morderca powalił na ziemię i tak zostawił. Ona zginęła na ulicy, ale znaleziono ją w samochodzie. Można to uznać za oznakę większego szacunku. Co również pasuje do teorii, że morderca dobrze ją znał.

Isaac się skrzywił.

- Powinienem być o tym pomyleć.

Nie mogę się skupić. Przez Klarę. Zwłstpienie w siebie. Pistolet Fla-ca... mój pistolet... czy naprawdę bym go użył?

- Dlatego dobrze jest urzędzać burze mózgow - stwierdziła Petra. Doszli do Santa Monica Boulevard. Samochody, hałas, piesi, na rogach męskie dziwki. - Doebbler wyróżnia jeszcze jedno - powiedziała Petra. -Była pierwsza. Po tym, jak detektyw Ballou powiedział mi, że według niego reakcja Kurta była dziwaczna, i po tym, jak sama poznałam Kurta, zaczęłam się zastanawiać: A jeli zabójca nie zamierzał popełnić serii morderstw? Jeli zabił Martę z powodów osobistych i odkrył, że mu się to podoba? Znalazł sobie hobby. I tak wracamy do Kurta.

- Hobby uprawiane raz w roku. - Isaac się zamylił.

- Rocznicą. A jeli dwudziesty ósmy czerwca jest dla Kurta ważny, bo tego dnia zabił Martę? Teraz przeżywa to co roku na nowo. Isaac popatrzył na Petrę.

- Jeste genialna.

Młodzieńczy entuzjazm wrócił. Co dziwne, entuzjazm Petry oklapł.

- W żadnym wypadku - zaprzeczyła. - To tylko teoria. Ale przynajmniej zaczynamy się skupiać.

- Na Marcie Doebbler?

- Z braku kogo lepszego.

- Może - powiedział Isaac, w zamyleniu dotykając siniaka - powinniśmy dowiedzieć się, kto jeszcze był wtedy w teatrze. Poszła z przyjaciółkami, prawda?

Ta jego gładka, nad wiek młoda, niewinna twarz. Petra miała ochotę ją pocałować.

Wrócili na posterunek i Petra wyjęła akta Doebbler. Marta wyszła z trzema przyjaciółkami, a detektyw Ballou sumiennie zapisał ich nazwiska oraz zanotował, że skontaktował się z dwiema, Melanie Jaeger i Sarah Casagrande, telefonicznie. Trzeciej, Emily Pastern, nie było w mieście.

Według notatek Ballou, ani Jaeger, ani Casagrande nie wiedziały na pewno, kto zadzwonił do Marty i wywabił ją z teatru.

200

wiadek Casagrande twierdzi, że ofiara Doebbler wydawała się poruszona telefonem i że zareagowała gwałtownie na to, co usłyszała, Źerwała się z miejsca i po prostu wyszła. Jakby to był jakiś nagły wypadek, nie przeprosiła nawet, że miała włączony telefon. To było do niej niepodobne, zawsze liczyła się z innymi. To samo twierdzi wiadek Jaeger, przesłuchana niezależnie.

Mąż ofiary, Kurt Doebbler, twierdzi, że nie dzwonił do niej ani razu tego wieczoru, twierdzi też, że nie ma telefonu komórkowego. K. Doebbler zgodził się na natychmiastową kontrolę billingu telefonu domowego, którego dokonano dziś rano o 11.14 w Pacific Bell, potwierdzając jego słowa”.

Następna notka Ballou stwierdzała, że dzwoniło z budki za rogiem teatru.

Isaac czytał Petrze przez ramię.

- Doebbler mógł przyjechać z Valley do Hollywood - powiedział - zadzwonić do Marty z budki i poczekać przy jej samochodzie. A jeśli zgodził się na kontrolę billingu, bo wiedział, że to mu niczym nie grozi?

- Zastanawiam się - odparła Petra - czy pan Doebbler miał kiedy psa.

Zadzwoniła do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Valley. Nikt z Doebblerów nie rejestrował psa, ale dużo ludzi tego nie robiło.

Potem zadzwoniła pod numery podane przez Ballou jako należące do przyjaciółek Marty, Melanie Jaeger i Sarah Casagrande. Przarejestrowała na kogo innego.

Tymczasowość LA.

W danych wydziału komunikacji w całej Kalifornii nie było żadnej Jaeger, ale jaka Sarah Rebecca Casagrande mieszkała na J Street w Sacramento. Petra zdobyła jej numer w tamtejszej centrali i zadzwoniła.

Odebrała recepcjonistka kliniki medycyny rodzinnej: doktor Casagrande przyjmuje właśnie pacjenta.

- Jakim jest lekarzem?

- Psychologiem. Dokładniej rzecz biorąc, asystentką psychologa.

- To co jak pielęgniarka?

- Nie, doktor Casagrande niedawno obroniła doktorat. Promotorami sš doktor Ellis i doktor Goldstein. Jeli chce się pani umówić...

- Mówi detektyw Connor z policji Los Angeles. Czy byłaby pani tak uprzejma i powtórzyła jej, żeby do mnie oddzwoniła?

- Policja?

- Nie ma powodu do niepokoju - zapewniła Petra. - To stara sprawa.

201

Potem spróbowała dodzwonić się do Emily Pastern, jedynej z przyjaciółek, z którą Ballou się nie skontaktował.

Po piątym dzwonku odezwała się sekretarka i nagrany, energiczny damski głos powiedział:

- Tu dom Daisy Emily i Gary'ego. W tej chwili nas nie ma, ale jeli zostawisz...

Petra przesłuchiwała całe nagranie. Nie skoncentrowała się na słowach, bo jej uwagę przykuł hałas w tle.

Psi komentarz towarzyszący wesołemu szczebiotaniu Emily Pastern.

Szczekanie.

Kiedy odłożyła słuchawkę, obok jej biurka przeszedł Mac Dilbeck. Rzucił jej długie, ponure spojrzenie i poszedł dalej, do męskiej toalety. Petra poszła za nim, zaczekała na korytarzu. Nie był zbyt zaskoczony jej widokiem.

- Co jest, Mac?

- Żeby było jasne - powiedział - uważam, że twoja uwaga o fotografii była niezła.

- Dzięki.

- To przynajmniej co, Petra. Czyli więcej niż miały do zaoferowania tamte cwaniaki. - Błysk w oku. - Włanie dostałem telefon od matki jednej z ofiar. Dalkina, tego piegowatego chłopca, co chciał wyglądać na punka. Biedaczka łkała. Błagała, żebym powiedział, że zrobiliśmy jakie postępy. Co miałem zrobić?

Mocno klasnął w dłonie. Petra prawie podskoczyła - dźwięk był ostry jak huk wystrzału.

- Wiesz, co się dzieje, prawda, Petra? Podajemy im głównego podejrzanego na srebrnej tacy, oni go przejmują, ale nie mają doć oleju w głowie, żeby ruszyć swoje żalodne tyłki i go znaleźć. - Rozejrzał się, jakby szukał miejsca, w które mógłby splunąć. - Też mi grupa operacyjna. Będą tylko dalej zwoływać zebrania, stojaki, wykresy. Jakby to był mecz. Pewnie nadali sobie jakiś miś nazwę. Operacja Aligator" albo co w tym rodzaju. - Pokręcił głową. Lniące od brylantyny włosy ani drgnęły, ale powieki zatrzepotały jak chorągiewki z krepiny. - Nie spieszą się - cięgnął - aż do Seldena dotrze plotka, że kto się na niego szykuje. Jeli już nie dotarła.

Wyglądał jak stary, zmęczony i nieszczęśliwy człowiek. Petra go nie pocieszyła. Kto taki jak Mac nie przyjsłby dobrze pocieszenia.

- Kiepsko - mruknęła.

202

- Bardzo kiepsko. Po prostu cage aufollies, obłąd. - Jego umiech był nerwowy, ulotny. Napięły mu się cęgna szyi, a pod uszami wybrzuszyły mięśnie. - To był żart. Tak przy okazji.

Petra się umiechnęła.

- Jak palnę co takiego w domu - powiedział Mac - to wszyscy mi mówią, że zachowuję się niestosownie. Możesz mi nie wierzyć, ale kiedy byłem zabawnym facetem. Za czasów wojska robiliśmy takś maś rewię, mieliśmy swój scenę w Guam. Pełna prowizorka, ale było wesoło.



- Rewię muzyczną? - spytała Petra.

- Mielimy ukululele, wszystko, co udało się nam zdobyć. - Jego twarz nabrała kolorów. - Nikt nie przebrał się za kobietę, nic takiego, nie o to chodzi. Po prostu umiałem opowiedzieć dowcip. A teraz? Teraz jestem nudnym, starym przykiem. Niestosownym!

Jego rozgoryczenie sprawiło, że Petra poczuła się nieswojo. Zamiała się, bardziej dla siebie niż dla niego.

- Wpadaj i żartuj, kiedy chcesz, Mac.

- Jasne - powiedział już przy drzwiach. - Nazywamy to pracś w policji, zgadza się?

Patrzyła, jak Mac znika za zakrętem korytarza. Ludzie. Zawsze potrafiś zaskoczyć.

Wracając do swojego biurka, zobaczyła Isaaca zgarbionego nad laptopem.

Znów akta Doeblers - studiowała je jak Biblię.

Do siedemnastej trzydziestu w piątek ani doktor Sarah Casagrande, ani Emily Pastern nie oddzwoniły. Petra spróbowała jeszcze raz, bez skutku. Weekendowe wyjazdy.

Nagle cała energia, powstała podczas burzy mózgow z Isaakiem, wyparowała. Petra podeszła do jego biurka. Przestał pisać, oczyścił ekran. Pojawił się wygaszacz z Albertem Einsteinem. Geniusz w miesznej muszce. Rozczochrane włosy. Ale oczy starego Alberta...

Isaac zamknął laptop. Nie chciał, żeby co zobaczyła?

- Idziesz co zjeść? - spytała.

- Dzięki, ale nie mogę. - Spucił wzrok na linoleum i Petra przygotowała się na kłamstwo. - Obiecałem mamie, że posiedzę trochę w domu.

- To miłe.

- Gotuje potworne ilości jedzenia i bardzo jś boli, jeli obok nie ma nikogo, kto mógłby je zjeść. Mój ojciec je, ile może, ale to za mało, mamy jeć wszyscy. Młodszy brat wraca późno, starszy czasem je w pracy, przychodzi do domu i od razu kładzie się spać.

203

- Zostajesz tylko ty - stwierdziła Petra.

- Jest weekend - wzruszył ramionami.

- Naprawdę uważam, że to bardzo miłe, Isaac. Matki tak wiele dla nas znaczą. - A ty niby skąd to wiesz? Isaac zmarszczył brwi. Klara, jej dzieci...

- Wszystko w porządku? - spytała Petra.

- Jestem zmęczony.

- Za młody na to jeste.

- Czasami wcale nie czuję się młody.

Petra popatrzyła za nim, kiedy odchodził, taszczył laptop i teczkę. Zdecydowanie co go trapiło. Czyżby ten ćpun, Jaramillo, co na niego miał? Może powinna z nim o tym porozmawiać, wbrew temu co mówili faceci ze ródmięcia.

Nie, to bardzo zły pomysł.

Postawili jś w niezręcznej sytuacji. Wcisnęli jej niewdzięczne zadanie obserwowania chłopaka, nie dając możliwości manewru.

Została niańkę, od samego początku była tylko niańkę.

Czy może pozwolić Isaacowi pójść na dno, nie ostrzec go? Czy może pozwolić sobie na bezczynność?

Na razie postanowiła wykorzystać go w sprawie morderstw dwudziestego ósmego czerwca.

Czyli tego, co właśnie on ciśnie jej na głowę.

A głowa już rozboleła. Czas na obiad. Kolejna samotna noc. Może Eric zadzwoni w weekend.

Zadzwonił, kiedy sprzątała biurko, jakby go przyzywała.

- Jeste wolna?

- Już za moment. Co tam?

- Załatwiam sprawy. Chciałbym ci o tym opowiedzieć.

- A ja chciałabym o nich usłyszeć.

Spotkali się kilka minut po szóstej w tajskiej kawiarni na Melrose przy Gardner, ulubionym lokalu modnie przygnębionej lanserki i niedoszłych aktorów. Ale jedzenie, które tam podawano, było wystarczająco dobre, by nie zważać na krępującą atmosferę.

Petra doszła do wniosku, że będzie tam pasować, przynajmniej powierzchownie. Eric miał na sobie biały T-shirt z dekoltem w serek, czarne bojówki, wiszące luno na jego chudych biodrach i czarne buty na słoninie, które tak lubił wkładać na akcje. Wielki wojskowy zegarek na jego rękę wyświetlał kilka stref czasowych.

204

Eric i lanserka - przepać. Ale jego ubranie, krótko przycięte włosy, blada cera, zapadnięte w pozbawionej emocji twarzy oczy - wszystko to razem sprawiało, że wyglądał w każdym calu jak nierozumiany artysta.

Petra, w czarnym kostiumie Donny Karan i czarnych mokasynach, doszła do wniosku, że można już wziąć za stylową kobietę sukcesu. Może kogo z branży rozrywkowej.

Ha!

Kawiarnia zaczynała się zapełniać, ale natychmiast znaleziono dla nich stolik i szybko obsłużono. Oboje pałaszowali sałatki z papai i curry pa-nang.

- No, dobrze - powiedziała Petra. - Co porabiałe? Eric odłożył widelec.

- Poważnie rozejrzałem się za pracę na własny rachunek. Wymogi do uzyskania licencji nie wydają się zbyt wysokie.

- Tak myślałam.

Brał udział w wojskowych operacjach specjalnych, zaliczył służbę jako detektyw w żandarmerii wojskowej, zanim wstąpił do policji. Wszystko to nauczyło go nieskończonej cierpliwości w prowadzeniu śledztwa. W pracy na własną rękę trudno o lepsze kwalifikacje.

- Pytanie - powiedział - jest inne: czy mam działać na własną rękę, czy podczepić się pod jakiego dowiadzonego detektywa.

- A więc już się zdecydowałam.

- Nie wiem.

- Rób, jak uważasz. Eric obrócił widelec.

System ostrzegawczy Petry, i tak już wyostrzony przez nadmiar frustracji w pracy, zawył: full alert.

- Co jeszcze chodzi ci po głowie?

Mróz w jej głosie sprawił, że Eric na nią spojrzał.

- Właciwie nie.

- Właciwie nie?

- Jeste zła? - spytał.

- Na co?

- Na mnie. Że odchodzę. Zamiąta się.

- Co ty. Może do ciebie dołączę.

- Zły dzień?

Zaczęło ją szczytać jedno oko. Potarła je.

- Paradiso? - spytał Eric.

- Paradiso i inne sprawy.

205

Czekał.

Nie była w nastroju do rozmowy. A potem nagle wszystko z siebie wyrzuciła: to, jak odsunięto ją od Paradiso, jak Schoelkopf poniżył ją przy innych. Żadnych postępów w sprawie dwudziestego ósmego czerwca, a zostało już tylko siedem dni...

- Kto zginie, Eric, a ja nie mogę nic zrobić. Pokiwał głową.

- Masz jakiś pomysł? - spytała.

- Nie w tej sprawie. Co do Seldena, masz rację... fotograf.

- Tak mylisz?

- Oczywiście.

- Poszedłby tym tropem?

- Gdyby to była moja sprawa.

- No tak - mruknęła. - Powiedz to geniuszom na górze.

- Geniusze rzadko są na górze. - Zmrużył oczy i dziobnął sałatkę. Pe-tra zastanawiała się, czy on myli o Arabii Saudyjskiej. Albo o kafejce w Tel Awiwie.

Na jego twarzy pojawił się niepokój.

- Co się stało? - spytała. Popatrzył na nią obojętnie.

- Co przede mną ukrywasz, Eric.

Znow obrócił widelec, a Petra przygotowała się, że nadal będzie ją zbywał.

- Jeli zacznę działać na własny rachunek - powiedział - zarobię mniej pieniędzy. Dopóki nie zbiorę klientów. Nie byłem w policji doć

długo, żeby dostać emeryturę, mam tylko tę wojskową.

- To spore pieniądze. ‘

- Starczy na pokrycie rachunków, ale domu za to nie kupię. - Zaczł znów jeć, żuł wolno, strasznie wolno, jak zawsze. Petra, która jadła szybko - nauczyła się tego przy stole dzielonym z pięcioma wiecznie głodnymi braćmi - najczęściej tylko patrzyła, jak kończył. Zazwyczaj jś to bawiło. Albo tłumaczyła sobie, że powinna zacząć go naladować. Teraz miała ochotę przełszyć go na wysokie obroty, wycisnąć z niego jakie emocje.

- Miło byłoby mieć dom - powiedziała - ale to nie jest konieczne. Eric odłożył widelec. Odsunł talerz. Otarł usta.

- Masz małe mieszkanie. Ja też. Pomyślałem... Gdybyśmy mieli razem... - wzruszył ramionami. Petra poczuła w piersi ciepło. Dotknęła jego dłoni.

- Chcesz, żebyśmy razem zamieszkali?

- Nie. Jeszcze nie pora.

206

- Dlaczego nie?

- Nie wiem - odparł; wyglśdał, jakby miał dwanacie lat.

Petra pomyślała o tym, jak wielkś poniósł stratę. O tym, ile go kosztowało, żeby wyrazić swoje uczucia nawet w taki sposób. I usłyszała siebie:

- Ja też nie wiem.

36

Pišteł, 21 czerwca, 20.23, mieszkanie państwa Gomezów, Union District

W kuchni było gorśco; unosił się wspaniały zapach. Przez smakowicie pachnącą parę nie przebijał się nawet asfalt Isaiaha. Matka zmywała talerze, odwróciła się, żeby nadstawić policzek do cmoknięcia.

- Wczenie wróciłe. - Nieprawda; zabrzmiało to jak oskarżenie. -Skończyłe pracę?

- Jest weekend, mamó.

- Nie jeste za bardzo zajęty, żeby z nami zjeć?

- Twoje jedzenie wywśchałem już kilometr stśd.

- To? To nic takiego, tylko tamales i zupa.

- I tak pachnie fantastycznie.

- Nowy rodzaj fasoli, czarna, ale większa. Zobaczyłam jś na targu, Koreańczyk powiedział, że będzie dobra. - Wzruszyła ramionami. - Może i tak.

- Jak dla mnie brzmi to doć wymylnie.

- Kiedy który się ożeni, zrobię naprawdę co dobrego. - Zaczęła się krzśtać przy kuchence. - Do tego ryż z cebulś i trochę kurczaka. Tym razem dodałam więcej wywaru i marchewki. Robię tak dla doktor Marilyn i wychodzi smaczne. Ugotowałam całego wieżego kurczaka, żeby mieć rosół, a mięsem nafaszerowałam tamales. Wszystko, co zostało, jest w lodówce. Sama skóra, ale możesz zjeć teraz, jeli jeste bardzo głodny.

- Zaczekam. Gdzie tata?

- Jedzie do domu. Toyota znów nawaliła, musiał j ść zabrać do Montalvo. Miejmy nadzieję, że go tam nie naciśgnę.

207

- Co poważnego?

- Montalvo twierdzi, że to jakiś filtr, nie znam się na tym. - Podbiegła do lodówki, nalała Isaacowi lemoniady. - Proszę, wypij. Isaac upił łyk chłodnego, przesłodzonego napoju.

- Nalej sobie jeszcze. Nalał.

- Joel nie wraca do domu - powiedziała matka. - Wieczorne zajęcia. W piątek. Wyobrażasz sobie?

Isaac pomyślał, że Joel kłamie. Jak tak dalej pójdzie, może trzeba będzie z nim porozmawiać. Dopił drugą szklanekę lemoniady i poszedł do swojego pokoju.

- Isaiah pi, nie hałasuj.

- Już jadł?

- Zjadł trochę, ale jeszcze przyjdzie po więcej. - Lekki umiech. - Uwielbia moje tarnałe. Zwłaszcza z rodzynkami.

- Ja też, mamó.

Zatrzymała się, obejrzała. Usta miała zacięte i Isaac przygotował się na serię wyrzutów.

- Dobrze, że jeste w domu, mój doktorze - odwróciła się do kuchenki. - Dla odmiany.

Isaac zdjął buty i cicho uchylił drzwi do sypialni. Isaiah siedział na górnym łóżku.

- Stary... - Pocierał czoło, jakby próbował się skupić. - To ty.

- Przepraszam - powiedział Isaac. - pij.

Isaiah oparł się na łokciach, zerknął na starą zasłonę, wiszącą w jedynym oknie. Z zewnątrz wpadało do rodka światło latarni. Goła żarówka, żółtoszara. Zapach asfaltu był tu mocny.

- Jeste, braciszku - mruknął Isaiah.

- Wczynie wyszedłem - odparł Isaac.

Isaiah zamięł się wilgotnym miechem. Zakaszłał, otarł usta wierzchem dłoni. Isaac zastanawiał się, jak musz wyglądać jego płuca, pęcherzyki zatkane tym całym...

- Wczynie wyszedłem? - powtórzył Isaiah. - Jakby skrócili ci wyrok czy co.

Isaac wsunął swoją teczkę głęboko pod łóżko, zdjął koszulkę i włożył wieży podkoszulek. Podniósł zasłonę i spojrział w dół, za okno. Kilka pięter niżej na betonie leżały rozrzucone mieci.

Isaiah osłonił oczy.

- Opuć zaslonę, stary.

208

Isaac opuścił zasłonę.

- Strasznie cuchnę. Czujesz?

- Nie.
- Kłamiesz, braciszku. Id spać.
- Kto do ciebie dzwonił - zawołał za nim brat, kiedy Isaac doszedł do drzwi. - Jaka kobitka.
- Detektyw Connor?
- Powiedziałem: kobitka.
- Detektyw Connor jest kobietą.
- Tak? Fajna?
- Kto dzwonił?
- To nie była żadna detektyw. - Isaiah wyszczerzył się w umiechu.
- Kto?
- Podniecasz się?
- Niby dlaczego?
- Bo ona mówiła, jakby była podniecona, braciszku.
- Kto? - powtórzył Isaac. Wiedział. Bał się tego.
- Zgadniesz?

Isaac zamarł w bezruchu.

Isaiah uniósł brwi.

- Jaka Klara.

Nie podał jej swojego numeru domowego. Pewnie zdobyła go w sekretariacie wydziału. A teraz się zaczyna... Zmusił się, żeby mówić spokojnym głosem.

- Czego chciała?

- Rozmawiać z tobą, braciszku. - Isaiah parsknął miechem. - Wsadziłem ci jej numer pod poduszkę. Osiemset jedenacie, zadajesz się z dziewczyną z Yalley?

Isaac wyjść kartkę, znów ruszył do drzwi.

- Fajna jest? Biała? Mówiła jak biała.

- Dzięki, że zapisała numer.

- Dziękuj, dziękuj. Była niele napalona. - Isaiah znów usiadł. Tym razem spojrzenie miał zupełnie przytomne. - To już wtedy tak załatwiła, co? Głos miała taki, że chyba jest niezła. Dobrze robi łaskę?

- Nie bądź głupi - powiedział Isaac.

Isaiahowi opadła szczęka, a jego twarz nagle zrobiła się stara. Opadł ciężko na plecy ze wzrokiem wbitym w sufit. Jedną rękę zwiesił za krawędź łóżka. Dłoń miał poczerniała od smoły, paznokcie popękane i brudne, nie do domycia.

- Tak, jestem głupi.

- Przepraszam, stary. Jestem po prostu zmęczony - tłumaczył się Isaac. Isaiah przewrócił się na bok. Twarz do ciany.

37

Sobota, 22 czerwca, 14.00,

Lankershim Boulevard, galeria Flash Image,

dzielnica artystyczna North Hollywood (NoHo)

Nie było więcej mowy o zamieszkaniu razem. W piątek wieczorem, po obiedzie, Petra i Eric pojechali do Jazz Bakery w Yenice. Każde swoim samochodem.

Gwiazdę wieczoru był nastrojowy kwartet - zaspani faceci, przeciśgający stare standardy ze skłonnością do wpadania w atonalność. O jedenastej Petra miała już dość. Razem wrócili do jej mieszkania - jej małego mieszkania - i zasnęli wtuleni w siebie.

W sobotę rano obudzili się wypoczęci i spragnieni siebie.

Kilka cudownych godzin. A teraz sprawdzali galerie North Hollywood, szukając jakiego dojścia do Omara Seldena.

To był pomysł Erica.

- Jeste pewien? - spytała Petra.

- Dlaczego nie?

Włanie, dlaczego nie? Zajmowanie się dochodzeniem - nawet nieautoryzowanym, przypuszczalnie daremnym dochodzeniem - było lepsze niż rozmylanie o... innych rzeczach.

Niecały kilometr kwadratowy otaczający Lankershim, troszkę na południe od Magnolia, od lat był wylęgarnią pustostanów i drobnej przestępczości. Zamieniony przez zapaleńców i deweloperów w dzielnicę artystyczną, teren stał się amalgamatem piękna i brzydoty. Petra była tu kilka razy na festynach i w galeriach. Festyny? wietne, etniczne jedzenie i nic niewarte błyskotki dla turystów. W galeriach? Interesująca mieszanka talentu i złudzeń, że się go ma.

W niedzielę, kiedy nie odbywał się festyn, NoHo było spokojne i szare, miejscami ożywione kolorowymi neonami klubów, kawiarni i wystaw. Pieszyc nie za wielu; przeważnie zadowoleni z życia.

210

Petra i Eric przyjechali samochodem Petry, zaparkowali w bocznej uliczce i ruszyli na łowy. Osiem galerii wystawiało fotografie, pięć było zamkniętych. Z pozostałych trzech jedna prezentowała trzaskane polaro-idealne krajobrazy - straszne - dzieła łotewskiego imigranta. W drugiej można było obejrzeć fotokolaże Azjatek z obrazami olejnymi.

Flash Image, witryna obok zamkniętej szkoły aktorskiej: tylko czarno—białe fotografie. Jasno owietlone, wąskie pomieszczenie, powypacza-na, drewniana podłoga. Na podwieszanym suficie brązowe plamy zacieków. Bardzo dobre owietlenie i ręcznie robione podpisy wiadczyły o tym, że dużo wysiłku włożono w odnowienie czego, co najwyraźniej było zapuszczoną norą. Ale nadal w powietrzu unosił się zapach pleni.

Aktualna wystawa: I-MAGE: MIEJSCOWI ARTYCY POKAZUJĄ LA.

Na cianie działowej od frontu wisi alfabetyczna lista pół tuzina artystów.

Pierwszy na liście: OVID ARNAZ.

Wielokrotny morderca umiał posługiwać się aparatem.

Jego wkład w wystawę: pół tuzina ujęć ulicy, bez ram, powieszonych na cianie. Budynki, chodniki, niebo i łysa drzewa, żadnych ludzi. Ssádzsć po chłodnym wietle i kanciastych cieniach, prawdopodobnie zima. Nigdzie żywego ducha? Więc to pewnie wczesny poranek.

Nocny marek krżżsćy po pustych ulicach miasta z nikonem?

Dobre wykorzystanie budynków, Omar. Niezła kompozycja.

Fotografie były opatrzone datami i podpisane OA” w formie graffiti. Data sprzed pół roku; Petra nie myliła się co do zimy. Przyklejone ceny wahały się od stu pięćdziesięciu do trzystu dolarów. Dwa najlepsze zdjęcia - długie ujęcie Sepulveda Basin i rybnie oko w górę Carnation Buil-ding na Wilshire - miały czerwone kropki: sprzedane.

Żeby zachować się naturalnie, Petra i Eric podeszli do innych wystawionych fotografii - bezwartościowych i pretensjonalnych - a potem wrócili do prac Seldena.

Czarne włosy Petry były schowane pod niemal biały blond perukę, którą nosiła, kiedy musiała się przebierać, pracując w wydziale kradzieży samochodów. Podejrzana dziewczyna, być może dziwka, szuka taniego mercedesa. Peruka była z prawdziwych włosów, dobrej jakości, kupił ją departament policji Los Angeles. Znalazła ją wcinieję w kąt szafy, pod stertę zimowych ciuchów; musiała wytrzeć ją z kurzu i rozczesać splątane włosy.

Miała na sobie czarny dżersejowy top z długimi rękawami, czarną dżinsową kurtkę, obcisłe czarne dżinsy, mokasyny i duże ray-bany w grubych

211

oprawkach. Okulary zostały jej z małżeństwa -jedna z dwudziestu par Nicka. Podarła ubrania, które zostawił, i zawsze się zastanawiała, czemu nie rozdeptała okularów.

Karma; wszystko ma swój cel.

Eric był w lustrzanych okularach narciarskich, czarnych bojówkach i miękkich butach. Biały koszulkę zamienił na czarną, z dekoltem w serek i narzucił na siebie czarną, nylonową, baseballową kurtkę z doszytą kieszenią na pistolet.

Nie kulał już tak bardzo, ale poruszał się wciąż trochę niepewnie. Twierdził, że nie potrzebuje laski. Tylko jeszcze kilku dni antybiotyków.

Różowowłosa dziewczyna, która pracowała w galerii, umięchnęła się do niego więcej niż raz z za podrapanego metalowego biurka - jej stanowiska pracy. Petra wzięła Erica pod ramię; oboje patrzyli na to samo zdjęcie.

Parking pod Paradiso.

Asfaltowy plac, bez samochodów, otoczony słupkami i łańcuchami.

Inne oświetlenie. Dłuższe cienie niż na pozostałych zdjęciach.

Data: tydzień przed morderstwem.

Tytuł: Klub.

Cena: jedyne dwieście dolarów.

Różowa Fryzura podeszła do nich. Miała na sobie krótką zieloną sukienkę, ale nawet ona nie harmonizowała z kolorem włosów - zresztą, co może pasować do gumy do żucia? Widać było, że to peruka, tańsza niż blond treska Petry, prawdopodobnie Darnel. Nie wiedzieć czemu Petra poczuła się przez to lepsza.

- Ovid jest bardzo wrażliwy, prawda? - zagadnęła.



- Doskonałe ujęcie - odparła Petra. - Skąd jest?

- Ovid? Stąd.

- ZŁA?

- Stąd, z Yalley.

- Jak go znaleźcie?

- Studiował na Northridge - wyjawiła Różowa. - Ale tylko j ego wzięliśmy. Był lepszy niż inni. Eric nachylił się nad zdjęciem, przyjrzał się szczegółom.

- Jesteście zainteresowani? - spytała Różowa.

- Jestemy, skarbie? - chciała wiedzieć Petra.

- Hm - mruknął Eric.

- Najbardziej podoba mi się - powiedziała Różowa - ta czystość linii i cienia, bez zakłócających kadr ludzi.

- Po co komu ludzie? - zastanowiła się Petra.

212

- Włanie. - Dziewczyna się umiechnęła.

Eric podszedł do następnego zdjęcia. Przedstawiało kino na Broadwayu. Jedno ze starych, z ozdobami. Przeczytał napis na markizie: BIŻUTERIA! ZŁOTO! WYPRZEDAŻ!

Selden ma oko.

Petra zerknęła na zdjęcie z Paradiso.

- Podoba mi się tamto, kochanie.

Eric wzruszył ramionami. Cofnął się i ustawił porodku, między obiema pracami.

- Wszystko w dobrej cenie - zachęciła Różowa.

- Musimy mieć podpisy - powiedziała Petra. Gładkie, małe czoło Różowej zmarszczyło się lekko.

- Słucham?

- Tutaj sš tylko inicjały. Chcemy, żeby zdjęcie zostało podpisane dla nas osobicie - wyjawiła Petra. - Po tym, jak już poznamy artystę. Zawsze tak postępujemy. - Obdarzyła dziewczynę chłodnym uśmiechem. -Sztuka to co więcej niż kupowanie i kolekcjonerstwo. Tu chodzi o chemię.

- Jasne...

- Nie wiem, czy to nie podoba mi się bardziej - Eric wskazał kino.

- Mnie się podoba to drugie, kochanie.

- Możecie kupić oba - zaproponowała Różowa. Cisza.

- Mogłabym chyba poprosić Ovida, żeby je dla was podpisał. Zwłaszcza jeżeli kupicie oba.

- Zaczynamy każdš kolekcję od jednego dzieła - powiedziała Petra. -Sprawdzamy, jak się nam z nim mieszka. Potem... - Zmierzyła

Różowś wzrokiem od stóp do głów.

- Oczywiście, rozumiem... - przytaknęła Różowa. - A więc które...

- Zakładam, że jesteście elastyczni co do ceny - przerwała Petra.

- No... możemy dać wam dziesięć procent zniżki.

- Zawsze dostajemy dwadziecia. Tutaj mielimy raczej namyli dwadziecia pięć.

- Nie jestem właścicielką galerii - owiadczyła Różowa. - Dwadziecia pięć to by było...

- Sto pięćdziesišt - policzył Eric; wciřz stał tyłem do nich.

- Chodziło mi o to, że to by było duzo - dokończyła Różowa. - Więcej niż dajemy zazwyczaj.

- Trudno. - Petra zaczęła ić w stronę drzwi.

- Chyba mogłabym zadzwonić do właściciela - stwierdziła Różowa.

213

- Jeli pani chce. - Petra nawet się nie zatrzymała. - Zajrzymy do kilku innych galerii, może wrócimy, jeżeli nie...

- Zaczekajcie... To znaczy, właścicielem jest mój chłopak, na pewno nie będzie miał nic przeciwko. - Szeroki umiech. Nad jednym uchem dziewczyny sterczał kosmyk sztucznych włosów, w owietleniu galerii wyglđdał jak otoczony aureolś. - Wyglđdacie na poważnych kolekcjonerów, jako się dogadamy.

Eric obrócił się na pięcie. Wbił w dziewczynę swoje oczy robota. Petra pomyłła, że Różowa zemdleje.

- Sto pięćdziesišt - powiedział.

- Jasne, wietnie.

- Kiedy możemy poznać artystę? - spytała Petra.

- Eee, w tym włanie rzecz, nie wiem... spróbuje was umówić. Jeli zostawicie zaliczkę...

- Zostawimy pięćdziesišt. - Eric wyciřgnł dwie dwudziestki i dziesištke. Różowa wzięła pieniřdze.

- Super. Zostawcie numer telefonu, dam wam znać... Jestem Ksenia? Zadała pytanie, jakby nie była pewna własnej tożsamoci.

- Vera - przedstawiła się Petra, unosząc brew i zapisując numer swojej komórki. - To jest AL

- Vera i Al, wspaniale - powiedziała Różowa. - Nie pożałujecie. Moim zdaniem którego dnia Ovid będzie sławny.

Wrócili na Lankershim, poszli spacerowym krokiem na południe, unoszeni przez sobotni tłumek.

- Al i Vera - powiedział Eric.

- Bo jesteśmy głady jak jedwab. Umiechnł się.

- Jeste bardzo dobry.

- W czym?

- W graniu.

- W takim razie mógłbym dostać pracę jako kelner. - Uderzenie serca. - Żebyśmy mieli jakie pieniřdze. cisnęła go mocniej za ramię.

- Masz wojskowš emeryturę, a kiedy rozkręcisz własną firmę, będziesz pewnie zarabiał dwa razy tyle.

- Jeli jš rozkręcę.

- A dlaczego nie? Cisza.

214

- Eric?

- Prywatni klienci oznaczają włażenie w tyłek. Wdzięczenie się.

- Umiesz być ujmujący.

Patrzył prosto przed siebie, nie zwalniał kroku.

- Kiedy chcesz - dodała Petra.

Nagle wyszedł ze strumienia pieszych i poprowadził ją stronę sklepu z antykami. Położył jej dłonie na ramionach. W jego oczach pojawiło się coś nowego.

- Czasami mam wrażenie, że gonię w piętę - wyznał. - Ty sprawiasz, że czuję się bardziej... spełniony.

- Kochanie - objęła go w pasie.

Przytulił policzek do jej policzka, pogładził ją po karku.

- Ty też jesteś dla mnie dobry.

Stali tak, a ludzie przechodzili obok nich; przyciśnęli kilka spojrzeń, kilka umięchów, ale królowała apatia. Stuknęły okulary przeciwsłoneczne. Potem broń, kiedy otarły się o siebie ich pistolety.

Na ten dźwięk oderwali się od siebie.

Petra wygładziła żakiet, poprawiła perukę.

- Jeli Różowa faktycznie zadzwoni do nas, żebyśmy poznali Omara, będę musiała zawiadomić grupę operacyjną. Co wywoła mnóstwo komplikacji.

- Grupa operacyjna powinna być wdzięczna - powiedział Eric.

- A ja powinnam być bogata i sławna. - Petra zmarszczyła brwi. - To bez sensu. Znajduję im podejrzanego, podaję wszystko na tacy, a oni kręcą się w kółko. Twierdzą, że muszę działać rozważnie, żeby dostać współników Sełdena, ale mając Omara pod kluczem, mielibyśmy większą szansę to zrobić.

- Co prawda, to prawda.

- Sandra pewnie nie żyje, co?

- Na to bym stawiał.

- Głupia gówniara - złociła się Petra. - Głupia sprawa. Z głębin torebki zapiszczał jej telefon.

- Vera? Mówi Ksenia, z galerii. Wiesz co? Udało mi się znaleźć Ovi-da, jest niedaleko. Może przyjść za pół godziny, poznać się z wami i podpisać zdjęcie.

- wietnie - ucieszyła się Petra; w głowie gonitwa myśli.

- Mylisz, że moglibyście wziąć dwa? Alowi bardzo podobało się kino, prawda? To moje ulubione. Mój... właściciel mówi, że

moglibyście je kupić za taką samą cenę jak Klub.

- Niezła propozycja.

215

- Fantastyczna.

- Zapytam Ala. Zadzwoń i powiem, kiedy przyjdziemy.

- Dobrze - zgodziła się. Ksenia. - Ale na waszym miejscu naprawdę zastanowiłabym się nad obojgoma. Ovid to bardzo utalentowany artysta.

38

Z bijącym sercem, starając się nie wyglądać na spanikowaną, Petra rozejrzała się po Lankershim; znalazła meksykańską kawiarnię po drugiej stronie ulicy, z której dobrze było widać wejście do galerii. Mieli szczęście, udało im się dostać stolik przy oknie, zamówili jedzenie, którego nie zamierzali nawet tknąć, i kawę, którą tknęli.

Petra przeszukała swoją torebkę, znalazła numer szefa bystrzaków ze ródmięcia i spróbowała się do niego dodzwonić. Pod stacjonarnym włączyła się sekretarka, komórka nie odpowiadała. Petra wysłuchała sekretarki, po czym wolno i wyranie powiedziała, o co chodzi, starając się nie dopuścić, by w jej głos wkraść się strach. Telefon do Parker Center również nic nie dał, nawet kiedy Petra przekonała już dyżurnego, kim jest. Szef wyszedł, nie ma przekierowania.

Tak samo jego ludzie; wszyscy trzej wyjechali na weekend.

Wielkiego, sympatycznego sierżanta też nie było. Pod głównym numerem jednostki do walki z gangami w Yalley odzywała się sekretarka.

Wielokrotny morderca w drodze, a wszyscy eksperci mają wolny weekend. Też mi grupa operacyjna. Gdyby tylko płatnicy podatków o tym wiedzieli...

Zadzwoń do domu Maca Dilbecka. Odebrała jego żona Louise.

- Oj, moja droga, zabrał wnuki do Disneylandu, nie wziął telefonu. Co mu przekazać?

- To nic ważnego. Porozmawiam z nim jutro.

Co dalej... Należałoby, zgodnie z procedurą, powiadomić Schoelkopfa, ale to nie miało sensu. Wszystko by zepsuł, zdyscyplinował Petrę za niesubordynację, a Omar by sobie poszedł. Gorzej: gdyby nie pojawiła się w galerii, Omar mógłby nabrać podejrzeń i prysnąć na dobre.

Przyjeżdżając do NoHo, Petra zauważyła trójkę mundurowych: radiowóz przecznicę na wschód, niedaleko ogrodzonego siatkowego parkingu - siedzący w nim policjanci rozmawiali - i samotną kobietę, patrolującą ścieżkę—

216

szkoła okolicy Chandler Boulevard. Miała krótkie włosy, wąskie usta i szorty odsłaniające kolana. Nad ciężkim od ekwipunku pasem koszulka z logo policji. Nie ma to jak nie zwracać na siebie uwagi.

Wezwać kogo z nich? Ryzykowne. Dwadzieścia pięć minut nie wystarczyłoby nawet na wyjanienie najważniejszych rzeczy, a Petra nie mogła ryzykować, że Omar zwietrzy policję i prynie.

Poza tym nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż kiepsko zaplanowana operacja.

Zostawali więc tylko ona i Eric. Siedział naprzeciw niej, chyba spokojny. Nawet bardzo spokojny. Petra wyłączyła telefon i schowała go do kieszeni.

Spróbowała pójść za przykładem Erica i też się uspokoić.

Tak czy owak, miała kłopoty. A więc równie dobrze mogła złapać mordercę.

Zaplanowali to tak: Omar Selden nigdy nie widział Erica, więc to on pójdzie do galerii, sam, udając, że ogląda wystawione zdjęcia, niemal bez komentarza. Petra zostanie w kawiarni i będzie obserwować Flash Image. Gdy tylko zauważy Seldena, zadzwoni do Erica na komórkę, odczeka dwa dzwonki i się rozłączy.

Reszta miała być improwizacją.

Dwadzieścia minut po telefonie Kseni Eric zostawił swoje niadaniowe burrito minus dwa kęsy, dopił kawę i wyszedł.

Petra patrzyła, jak swobodnie przechodzi na drugą stronę Lankershim. Posuwisty krok. Sam wdzięk. W innym życiu byłby wietny w balecie.

Eric w trykotach. Umiechnęła się na tę myśl. Potrzebowała umiechu, bo żołądek jej się przewracał, w skroniach łupało, a dłonie miała zimne jak lód.

Roztarła je. Miała wrażenie, że jej palce są jakie dziwne. Wsunęła prawą rękę do kieszeni z pistoletem, wymacała glocka.

Kelnerka, umiętnięta latynoska matrona, podeszła, zobaczyła nietknięte jedzenie.

- Wszystko gra?

- Tak - odparła Petra, krojąc burrito. - Mój chłopak miał telefon. Zapłacę rachunek,

- W porządku z pani dziewczyna. Mój chłopak.

Kiedy Petra znów została sama, zaczęła przesuwac po talerzu ryż, fasolę i enchiladę z kurczakiem. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

217

Kiedy je otworzyła, zobaczyła przysadzistą sylwetkę Omara Seldena, zbliżającego się do galerii od południa.

Dwadzieścia metrów. Był z dziewczyną. Zasłaniał ją sobą.

Petra zadzwoniła do Erica, odczekała dwa dzwonki. Nie spuszczała oka z Omara. Szedł swobodnie, posuwicie, ot, luzak.

Nowa fryzura - na zero - upodobniła go do gangstera. Na lunei brązowej koszulce, na plecach, miał duży, biały napis XXXXL. Do tego jeszcze laniejsze spodnie khaki do kolan i brązowe adidasy.

Morderca z okiem do kolorów.

Petra widziała nogi dziewczyny, ale nic więcej. Cholera, komplikacja.

Zmrużyła oczy, nie spuszczała z nich wzroku. Potem Omar na moment przyspieszył i Petrze udało się zobaczyć jego towarzyszkę.

Drobna, długie blond włosy, ładna figura. Czarny top ze sznurowanym tyłem, odsłaniający gładką opaloną skórę. Dżinsy opinające szczupłe, ale kształtne biodra i poładki tak jędrne, że po prostu musiały być młode.

Spiczaste klapki na wysokim obcasie. Goręca laska na porannym niedzielnym spacerze.

Chude ramię dziewczyny obejmowało tors Omara; była od niego dużo niższa.

Petra ich obserwowała; doszli prawie do samych drzwi galerii i wtedy dziewczyna się odwróciła.

Odrzuciła włosy i zamiała z czego, co Omar powiedział.

Sandra Leon.

Petra dostała rachunek, rzuciła pieniądze na stół, wsunęła rękę do kieszeni z pistoletem i wyszła z kawiarni.

Kto jś zawołał. Serce podeszło jej do gardła.

W drzwiach kawiarni stała kelnerka, trzymała w ręku białą torbę.

- Prawie nic nie zjedlicie. Zapakowałam wam na wynos! Petra podbiegła do niej i wyrwała jedzenie.

- Dzięki, super.

- Nie ma za co. Życzę bardzo miłego dnia.

Kiedy kelnerka wróciła do kawiarni, Petra postawiła torbę przy krawężniku i ruszyła w stronę galerii. Pomyślała, że byłoby zabawnie, gdyby mundurowa policjantka zatrzymała jś teraz za zamiecanie.

Pora przestać myśleć o wszystkim - poza zadaniem do wykonania.

Omar Selden stał nachylony nad metalowym biurkiem - podpisywał Klub. Obok niego Eric i umięchnięta od ucha do ucha Ksenia. Sandry ani ladu. Pewnie poszła do łazienki. Dobrze, może się uda.

218

dPetra podeszła do nich. Omar podniósł wzrok.

- Postanowiłem kupić obydwu - owiadczył Eric.

Omar się umięchnął. Ledwie zerknął na Petrę. Nie poznał jej.

Niedobrze, kolego. Artysta powinien być bardziej spostrzegawczy.

- wietnie - powiedział. - Podpisane.

Starł się udawać, że to nic takiego, ale popularność mu pochlebiała.

- Super - ekscytowała się Ksenia. - Uwielbiam twój podpis, Omar. Petra była tuż obok nich.

- Hej! - zawołał czyj głos.

Sandra Leon. Wyszła zza cianki działowej. Patrzyła Petrze prosto w twarz.

Jej oczy nie były już tak bardzo żółte, ale jeszcze niezupełnie białe. Za dużo makijażu. Trudno nie zwrócić uwagi... Petra uspokajająco podniosła rękę.

- Gliny, Omar! - wrzasnęła Sandra. - To gliny!

Selden upucił długopis, wyprostował się, przez ułamek sekundy wyglądał na oszołomionego. Potem jego oczy rozjanił złoliwy błysk; sięgnął pod swój łunś brązową koszulkę.

Petra już wydobyła pistolet. Sandra tłukła jś w plecy, wciśz wrzeszczała. Petra odepchnęła jś jedną ręką, starała się pewnie trzymać glocka.

- Spokojnie, Omar.

Selden zaklął. Znowu wrzaski; to Ksenia piszczała. Tani horror!

Omar wyciśgnął rękę spod koszulki. Czarny matowy pistolet - też glock - plastikowy, taki, jakiego nie wykrywają wykrywacze metalu... - wymierzył go Petrze prosto w twarz.

Eric stanął za nim. Z twarzą bez wyrazu.

Petra zauważyła, że drgnął mu bark, ale on sam się nie poruszył.

Nagle jego ręka podskoczyła, niemal niedostrzegalnie.

Twarz wciąż bez wyrazu.

Pop pop pop.

Omar zeszywniał. Jego twarz ciśnieła się z bólu i zaskoczenia, a usta ułożyły w małe, zdziwione O. Potem z nosa i uszu pociekła mu krew. Połała się z ust, kiedy upadł.

Twarz na biurko. Przygniatajśc swoje prace.

Zdjęcia nabrały koloru.

Ksenia cofnęła się pod cianę. Ręki zakrywała usta, ale wydobywał się spod nich wciąż ten sam przejmujący pisk. Wokół jej stóp rozlała się złota kałuża moczu. Dziewczyna osunęła się w nią.

Sandra Leon zerwała się z podłogi i rzuciła na Petrę. Długie ostre paznokcie, czarne jak smoła, wbiły się w rękaw marynarki.

219

Kiedy Sandra spróbowała uderzyć ją głową, Petra mocno plasnęła ją otwartą dłoń w twarz. Cios oszołomił dziewczynę, a wtedy Petra obróciła ją, wykręciła jej rękę i kopnęła pod kolano. Poszło łatwo, Sandra była lekka. Petra przycisnęła ją do podłogi, wbiła kolano w opalone, zasznurowane plecy i skuła dziewczynę kajdankami. Unikała zębów Sandry -jej liny pełnej wirusów...

- Ty mordercza kurwo! - wrzeszczała Sandra. - Ty pizdo, ty morderco! Ksenia, kiedy trochę się pozbierała, krzyknęła:

- Wzywam policję!

39

Z rykiem syren nadjechały radiowozy. Potem technicy, koronerzy. Jak zwykle, ale tym razem Petrze wszystko wydawało się inne. To było jej własne dzieło.

Jej i Erica. Nawet nie mrugnął, kiedy strzelał, ani potem. Można na nim polegać. Mimo to Petra trochę się go bała.

Najpierw dowodził porucznik z Valley, niedługo później zastąpił go kapitan. Obaj z początku traktowali Petrę i Erica jak kryminalistów, ale ostatecznie odpucili.

Wreszcie pojawił się zespół do spraw użycia broni palnej przez funkcjonariuszy. Dwóch detektywów z wydziału wewnętrznego o emocjonalnym rezonansie posągów. Przesłuchali Erica i Petrę osobno, Erica pierwszego.

Petra patrzyła na nich z odległości trzech metrów; wiedziała, co Eric opowiada - oboje uzgodnili wersję. To on chciał szukać Seldena i musiał przełamywać wstpliwoci Petry. Kiedy już umówili spotkanie, Petra kilkakrotnie próbowała wezwać wsparcie, w końcu uznała, że nie pozostaje im nic innego, jak działać.

To, że strzelał tylko Eric, potwierdzało tę wersję.

Stan zagrożenia, bronił koleżanki.

W najlepszym razie groziło mu płatne zawieszenie - na czas trwania formalności. Gdyby o wszystkim dowiedziały się media -jaki debil z Ti-mesa” albo którego z nic niewartych tygodników, próbujący sfabryko—

220

wać artykuł o rasizmie albo o brutalności policji - sytuacja mogła się skomplikować, a ledztwo przedłużyć. Wtedy wkroczyliby

prawnicy, zwiszek zawodowy policjantów, może doszłoby do zawieszenia bezpłatnego. Petra próbowała przekonać Erica, żeby nie robił z siebie kozła ofiarnego.

- Tak to opowiem - upierał się. - Poprzyj mnie.

cisnł mocno jej ramię i poszedł stawić czoło burzy.

Petra stała obok, kiedy ledczy od strzelanin wzięli go w dwa ognie. Patrzyła, jak szturmujś jego stoicyzm i zaczynajś wymieniać się spojrzeniami.

Wiedziała, co myłś. Co tu nie gra.

Gliniarze, nawet twardzi weterani, reagowali zazwyczaj na odstrzelenie komu potylicy choćby odrobinś emocji. Sđdzśc po uczuciach okazywanych przez Erica, można by pomyłeć, że włanie skończył obcinać sobie paznokcie.

Nie miał wyboru. Chronił Petrę. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kto jś chronił.

O trzeciej czterdzieli, kiedy miejsce mierci Omara Seldena było wciśż otoczone policyjnś tamś, a wokół uwijali się gliniarze, pojawił się szef bystrzaków ze ródmięcia w wiežo wyprasowanym garniturze i krawacie. Czyli siedział sobie nad basenem albo grał w golfa, w końcu kto go powiadomił, więc popędził do domu stosownie się ubrać.

Zanim wszedł między policjantów, rozejrzał się. Popatrzył na furgonetki reporterów, stojśce za żóltś tamś.

Miał nadzieję, że kto go zauważy. Kiedy tak się nie stało, zmarszczył czoło, dostrzegł Petrę i podszedł do niej.

Opowiedziała mu, jak było.

- Bałagan - stwierdził i poszedł rozmówić się z technikami.

Sandra Leon była na miejscu zdarzenia już od kilku godzin, niemal przez cały czas zamknięta pod strażś na zapleczu galerii. Petra bardzo chciała j ś przesłuchać, ale wiedziała, że tak się nie stanie.

Teraz dwóch mundurowych zaprowadziło Sandrę do patrolowca i wsadziło na tylny fotel. ródmięcie podszedł, otworzył drzwi, powiedział co i cofnł się oszołomiony, rozżłoszczony. Dziewczyna go obraziła, pewnie najplugawszymi słowami.

Kazał kierowcy ruszać. Radiowóz potoczył się do przodu. Obok Petry. Sandra Leon patrzyła na niś przez boczne okno, odwróciła się tak, żeby utrzymywać kontakt wzrokowy przez szybę.

221 ‘

Petra odpowiedziała takim samym spojrzeniem. Dostała wyranie wyartykułowane pierdol się”, zanim dziewczyna zmalala, zniknęła w oddali.

40

Poniedziałek, 24 czerwca, 10.12, pokój detektywów, wydział Hollywood

W końcu wypuszczona przez gliniarzy Petra przyjechała do pracy i zastała Kirsten Krebs siedzścś na rogu jej biurka. Ten mały tyłeczek akurat na suszce. Zgniecione papiery.

Barney Fleischer rzucił Petrze współczujśce spojrzenie z drugiego końca pokoju. Czy on w ogóle chodzi do domu?

Krebs wygięła się, jakby pozowała do erotycznego zdjęcia. Na palec nawijała lok blond włosów. Co ona tu robi, na piętrze? Kiedy zobaczyła Petrę, umiechnęła się pod nosem. Miała zęby palacza.

- Kapitan Schoelkopf chce paniś widzieć.

- Kiedy?



- Teraz.

Petra usiadła przy swoim biurku. Udo Krebs - tuż obok.

- Dotarło do pani, co powiedziałam?

- Wygodnie ci, Kirsten?

Krebs zeskoczyła z biurka i, wciekła, wyszła. Ale zdążyła się umiechnąć, jakby co wiedziała, jakby co jś rozbawiło.

Dlaczego recepcjonistka osobicie przekazuje wiadomość od Schoelkopfa? Czyżby co jś łączyło z kapitanem?

Czy ona i Schoelkopf... czyżby?

Dlaczego nie? Dwoje mizantropów ma przecież ze sobą wiele wspólnego.

Trzecie małżeństwo Schoelkopfa było kaput. Przez kobietę jeszcze młodszą niż jego trzecia żona?

Kapitan i Krebs, to by dopiero było... Petra zerknęła na Barneya Fleischera. Siedział do niej tyłem. Gumkę ołówka wystukiwał numer na telefonie. Pomylił się, rozłączył, zaczął od nowa.

Petra chrząsknęła. Barney nie zwrócił na nią uwagi.

Czas na zabawę.

222

Schoelkopf siedział wygodnie na swoim miękkim, skóropodobnym tronie za biurkiem. Dwa boczne krzesła - dla gości - zostały odepchnięte w kąt. Pachniało tam sokiem ananasowym, ale samego soku nigdzie nie było widać. Dziwne.

Petra ruszyła po jedno z krzeseł.

- Zostaw - powiedział Schoelkopf. Cofnęła się. Stanęła.

- Spierdoliła sprawę - owiadczył kapitan, kawa na ławę. Błat biurka był pusty. Żadnych zdjęć, żadnych papierów, tylko suszka, długopisy i elektroniczny zegarek, wywielający godzinę i datę.

Schoelkopf wyjął z szuflady owinięte w celofan cygaro i przytrzymał je między palcami wskazującymi obu dłoni.

Na posterunku nie wolno było palić, ale przez chwilę bawił się cygarem. Petra nie wiedziała, że on pali. Kirsten odpalała jednego papierosa od drugiego. Prezent od przyjaciółki w nikotynie?

- Spierdoliła sprawę, Connor.

- Co mogę na to powiedzieć, proszę pana?

- Możesz powiedzieć: Spierdoliłam sprawę”.

- Pora na spowiedź, kapitanie? Schoelkopf obnażył zęby.

- Spowiedź dobrze robi duszy, Connor. Gdyby miała duszę, wiedziałaby o tym. Gniew cisnął ją za gardło.

- Nie masz żadnych zasad, prawda? - zaatakował. Petra zacisnęła dłonie w pięści. Gęba na kłódkę, dziewczyno. Schoelkopf machnął gniewnie ręką, jakby jej opowiadanie nie robiło na nim wrażenia.

- Złamała wybrane rozkazy i Spierdoliła dobrze przygotowany plan działania.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie wyobrażaj sobie, że kto ci podziękuje za Paradiso. Nie spodziewaj się rozgłosu.

- Rozgłosu?

- Wywiadów w telewizji i takich tam pierdoł.

- W porządku.

- Jasne. Oboje wiemy, że po to tylko żyjesz.

- Żeby trafić do telewizji?

- Żeby zwracać na siebie uwagę. Jeste od tego uzależniona, Connor. Nauczyła się tego od Bishopa, pana Farbowana Fryzura ze Stowarzyszenia Aktorów Filmowych. Ty i on, Ken i Barbie. Pokaz mody, co?

223

Szkoda, że spieszyła karierę takiego dobrego detektywa jak Stahl. Przez ciebie siedzi po uszy w gównie.

Stu Bishop był pierwszym partnerem Petry w wydziale zabójstw, błyskotliwym, fotogenicznym detektywem trzeciej klasy, który, zdaniem ogółu, miał zostać zastępcą szefa policji. Dobrze jś wyszkolił. Miał legitymację Stowarzyszenia Aktorów Filmowych, bo czasami grywał drobne rólki, w programach o policjantach.

Wycofał się ze służby, żeby zaopiekować się chorą na raka żoną i gromadką dzieci; przypominanie go teraz zabrzmiało dla Petry jak wiotkradztwo. Twarz paliła jś jak papryka habanero, czuła się, jakby miała piasek w oczach. Ale serce nie biło jej już tak szybko. Szykowała się do ataku, organizm sięgał do rezerw energii.

Była gotowa rzucić się draniowi do gardła, ale zamknęła tę gotowość w płatach przedczołowych mózgu.

Eric miał rację. Nic nie mów, niczego nie okazuj.

Ale nie mogła się powstrzymać.

- Kolor włosów detektywa Bishopa był naturalny, proszę pana.

- Jasne - burknął Schoelkopf. - Jeste pozbawiona zasad i podstępna, Connor. Najpierw po cichu idziesz do mediów ze zdjęciem Leona, zamiast postąpić, jak trzeba. Potem lekceważysz instrukcje grupy operacyjnej i odstawiasz własne przedstawienie. Już po tobie, rozumiesz? Jeste zawieszona. Bez pensji, jeśli to będzie ode mnie zależało. Zostaw broń i odznakę sierżantowi Montoi.

Petra próbowała zgasić go spojrzeniem. Nie podjął wyzwania, wysunął drugą szufladę i zaczął przeglądać leżące w niej papiery.

- To nie w porządku, proszę pana - powiedziała.

- Terę fere. Wynocha.

Kiedy odwróciła się do wyjścia, zauważyła datę na jego biurkowym zegarze: dwudziesty czwarty.

Do dwudziestego ósmego czerwca cztery dni, a ona została odcięta. Od swoich akt, telefonu, dostępu do baz danych.

Od Isaaca.

Trudno, da sobie radę. Zadzwoń do operatora i poleci przełączać urzędowe telefony na numer domowy. Zabierze wszystko, czego będzie potrzebować, i zacznie pracować w domu.

Petra Connor, prywatny detektyw. Absurd. Potem pomyślała o Ericu, który zaczynał działać na własną rękę.

- Do widzenia - pożegnała się z kapitanem. Wesołość w jej głosie kazała mu podnieć wzrok.

- Co cię bawi?

- Nic takiego, proszę pana. Miłego palenia.

Kiedy wróciła do swojego biurka, zobaczyła, że jest uprzętnięte - zniknęła nawet suszka, na której siedziała Krebs. Spróbowała otworzyć szufladę. Zamknięta. Klucz nie pasował. Wtedy zauważyła. Nowy zamek, lnišcy mosišdz.

- Co, do...

- Schoelkopf przysłał tu luszarza, kiedy była w jego gabinecie - powiedział Barney Fleischer.

- Bydlak.

Barney wstał, rozejrzał się, podszedł do niej.

- Spotkajmy się na dole przy tylnym wyjciu. Za parę minut.

Wrócił do biurka. Petra zbiegła z pokoju detektywów na parter. Niecałš minutę póniej rozbrzmiały wolne, ocięźałe kroki i pojawił się Barney ubrany w za duŹš sportowš marynarkę, z przewieszonym przez ramię płaszczem.

Szarym, pogniecionym płaszczem, który zazwyczaj zostawiał w szafce w szatni. Czasami Petra obserwowała, jak przerzuca go przez oparcie swojego krzesła. Nigdy nie widziała, żeby miał go na sobie. A juŹ na pewno nie dzisiaj. Rano przez pokrywę chmur przebiło się pałšce słońce, temperatura podskoczyła do trzydziestu stopni.

Barney wyglšdał, jakby szykował się na nadejcie zimy.

Zatrzymał się trzy stopnie nad podłogš, spojrział w góre, zszedł do końca. Zrzucił płaszcz - i Petra zobaczyła niebieskie segregatory.

Doebbler, Solis, Langdon, Hochenbrenner... wszystkie szeć.

- Pomylałem, że może ci się to przydać.

Wzięła akta. Pocałowała Barneya w wyschnięte usta. Pachniał cebulš.

- Jeste więty.

- Tak o mnie mówiš - odparł. Potem wrócił na góre, pogwizdujšc.

JuŹ w domu Petra schowała sztalugi i farby i przygotowała sobie na stole stanowisko pracy.

Ułóżyła w stosik akta, wyjęła swój notes, nowy zeszyt i długopisy. Eric zostawił jej wiadomoć na blacie w kuchni.

R Spotk. w Parker do 111

Kocham, E. Kocham"... to wzbudziło w niej przeróŹne uczucia.

15 - Pokrętny umysł 225

Czas skupić się na czym, nad czym ma kontrolę. Zaczęła od operatora telefonu, poprosiła o przekierowanie. Jej rozmówca najpierw mówił przyjaznym tonem, ale po chwili usłyszala w jego głosie zupełnie innš nutę.

- Numer, który chce pani przekierować, to numer policyjny. Nie możemy tego zrobić.

- Jestem policyjnym detektywem. - Petra wyrecytowała swój numer odznaki.

- Przykro mi, proszę pani.

- Z kim jeszcze mogę porozmawiać?

- Prześlczę do mojej przełożonej.

W słuchawce odezwała się starsza kobieta o stalowym głosie, tak sztywna, że Petra zaczęła się zastanawiać, czy to nie policyjna wtyka.

To samo: nic z tego.

Petra odłożyła słuchawkę. Zastanawiała się, czy nie narobiła sobie tylko większej szkody.

Może przeznaczenie chce jej co powiedzieć. Mimo to zamierzała rozpracować dwudziesty ósmy czerwca. Zwariowałyby, gdyby postąpiła inaczej.

Przyniosła sobie puszkę coli i, popijając, zaczęła przeglądać notatki. Piśtkowe telefony.

Do przyjaciółek Marty Doebbler. Doktor Sarah Casagrande w Sacramento i Emily Pastern w Yalley.

Emily ze szczekającym psem.

Tym razem odebrała kobieta. W tle - żadnych odgłosów. Emily wciśz była energicznie wesół, dopóki Petra nie powiedziała jej, o co chodzi.

- Marta? Minęły... lata.

- Szeć lat, proszę pani. Zajmujemy się tš sprawš od nowa.

- Jak w tym programie Zimna sprawa co tam.

- Co w tym rodzaju, proszę pani.

- Nikt ze mnš nie rozmawiał, kiedy to się stało - powiedziała Pastern. - Skšd pani zna moje nazwisko?

- Została pani wymieniona w aktach jako jedna z osób, z którymi tamtej nocy pani Doebbler wyszła do teatru.

- Rozumiem... Może pani powtórzyć swoje nazwisko? Petra powtórzyła. Powtórzyła też numer odznaki. Po raz kolejny łamišc regulamin. Podszywanie się pod funkcjonariusza w służbie czynnej...

- Czego więc pani ode mnie chce? - spytała Pastern.

- Chcę porozmawiać o tej sprawie.

- Nie wiem, co mogłabym pani powiedzieć.

226

- Nigdy nic nie wiadomo, proszę pani. Mogłybyśmy spotkać się na kilka minut, kiedy to pani pasuje? - Na siłę natchnęła swój głos energiš. Modliła się, żeby Pastern nie zadzwoniła na posterunek, by jš sprawdzić.

- Chyba tak.

- Bardzo pani dziękuję, pani Pastern.

- Kiedy?

- Im prędzej, tym lepiej.

- Muszę wyjć o trzeciej odebrać dzieci. Może za godzinę?

- Doskonale - ucieszyła się Petra. - Proszę powiedzieć gdzie.

- U mnie - odparła Pastern. - Nie, lepiej u Rity, to taka mała kawiarenka. Yentura Boulevard, południowa strona, dwie przecznice na zachód od Reseda. Majš tam ogródek. Będę czekać.

Chciała odcišgnąć Petrš od swojego domu. Spotkać się gdzie na neutralnym terenie, ale doć blisko, by czuć się swobodnie.

- Do zobaczenia - powiedziała Petra. Nie bšd podejrzliwa, Emily.

Zdjęła czarny kostium, w który ubrała się rano, i przetrzšsnęła szafę, szukajšc czego bardziej... zachęcajšcego.

Na pierwszy ogień poszła jedna z niewielu sukienek, jakie miała, z krótkimi rękawami, szara, jedwabna, z niemal niewidocznym wzorkiem lawendowych zawijasów. Za bardzo obcisła, zdecydowanie zbyt imprezowa. Czarna dżersejowa sukienka Max Mary, bez rękawów i nadal z metkš, była jeszcze mniej odpowiednia.

Wracamy do podstawowych wzorów. Szaroniebieski kostium, bez klap, za to z uroczymi przeszyciami wzdłuż krawędzi. W szwy wplecione maleńkie celuloidowe łszcniki. Kiedy Petra kupowała go dwa lata temu na letniej wyprzedaży Neimana, uważała, że jest o wiele za frywolny. Ale na niej wyglšdał subtelnie, nawet elegancko.

Może zrobi wrażenie na Emily Pastern.

Dojechała do Yalley przed czasem, chwilę pojedziła w kółko, a przed kawiarniš Kawa i Słodkoci u Rity zatrzymała się dokładnie o wyznaczonej godzinie.

Lokal składał się z dwóch uroczych, pošszonych ze sobš, krytych dachówkš bungalowów. Sšsiadował z małymi budynkami w hiszpańskim stylu - porodka mały kwietnik, kilka kroków od chodnika. A na tym kwietniku szemrzšca fontanna. Budynki były stare, pochodziły z lat dwudziestych albo jeszcze wczeniejszych.

Tarzana była wtedy ziemiš uprawnš i Petra zastanawiała się, czy domków nie postawiono dla sezonowych robotników. Teraz zajmowały je maleńkie trendy sklepiki i zakłady.

Salon piękności Giovanna, butik Skóra i Koronki, optyk Aluzje. Nawet witryna Zoe - doradcy w sprawach psychicznych, wyglądała uroczo.

Ogródek znajdował się na prawo od kawiarni, otoczony niskim, drewnianym płotkiem z furtką na zapadkę.. Siedziała tam tylko jedna kobieta, widoczna od pasa w górę.

Ładna ruda blondynka, z luno upiętymi włosami, trzydzieci parę lat, ubrana w powłóczystą, ażurową bluzkę bez rękawów koloru poranka.

Za nią, przez otwarte, oszklone podwójne drzwi Petra wypatrzyła grupę innych kobiet, dobrze ubranych, rozemianych, przy drinku. W zachodniej części Yalley było o pięć stopni cieplej niż w mieście. Skwarno. Ale Emily Pastern zażyczyła sobie spotkania al fresco.

Petra weszła po schodach, a kobieta przyglądała jej się, kiedy otwierała furtkę.

- Pani Pastern?

Pastern kiwnęła głową, pomachała ręką.

Jak na razie wszystko gra.

Kiedy Petra dochodziła do furtki, zauważyła, że Pastern wybrała stolik najdalej od restauracji. Jasnoniebieska bluzka, modne dzinsy i białe drewniaki. Mleczna cera, dużo piegów, oczy barwy mrożonej herbaty czy co tam miała w swojej szklance.

U jej stóp leżał powód, dla którego chciała usiść w ogródku. Dla którego musiała usiść w ogródku.

Największe psisko, jakie Petra kiedykolwiek widziała. Z niebieskawym, podpalanym futrem, potężne, o przyciętych w szpic uszach. Tułów i pysk były masą lunej skóry i grubych koci. Leżący na kamiennej podłodze łeb przypominał kształtem łeb hipopotama.

Wielkości też.

Petra zatrzymała się, kiedy pies na nią zerknął. linił się. Przyglądał się jej maleńkimi łepiami w czerwonych obwódkach. Inteligentnymi. Boże drogi, ależ był olbrzymi. Wydął górny wargę. Kły miał godne rekina.

Emily Pastern nachyliła się i szepnęła co do psa. Bestia zamknęła oczy i zasnęła, czy co tam psy obronne robiś, kiedy leżś.

Petra ani drgnęła.

- Wszystko w porządku - uspokoiła ją Pastern. - Niech pani tylko siądzie z tej strony. - Wskazała miejsce najdalej od psa. - Jest łagodna, jeśli nie próbuje się z nią za szybko zaprzyjaźnić.

Pies uchylił jedno oko.

- Naprawdę. Wszystko w porządku - powtórzyła Pastern. Petra obeszła behemota szerokim łukiem i usiadła.

- Grzeczna dziewczynka - szepnęła Pastern do psa.

228

Petra wyciągnęła dłoń.

- Petra Connor.

- Emily. - Pastern miała długie, chłodne, bezwładne palce. Pies leżał nieruchomo. Upewnij się, że jej stopa nie znajduje się w pobliżu jego paszczy, Petra spróbowała usiść wygodniej.

- Czy to Daisy?

- Nie, Daisy jest w domu. Macie takie dwa?

- Skąd pani wie o Daisy... Ach, sekretarka. Nie, to Sophia, młodsza siostrzyczka Daisy.

- Młodsza siostrzyczka?

- W przenośni. Jeli chodzi o kolejność urodzin - wyjawiła Pastern. -Daisy to dziesięcioletni spaniel cavalier króla Karola. Waży osiem kilo.

- Trochę mniej niż Sophia. Pastern się umiechnęła.

- Sophia lubi jeć.

- Jaka to rasa?

- Mastino. Neapolitański mastyf.

- Aż z Włoch. Pastern kiwnęła głową.

- Sprowadziliśmy ją z Włoch. Jest wietnym obrońcą.

- Czy Daisy na niej jedzi?

- Nie, ale moje dzieci tak.

Pogawędka o psach rozluźniła Emily. Pora przejść do rzeczy.

- Dzięki, że zgodziła się pani ze mną spotkać, Emily.

- Nie ma sprawy. - Pastern spojrzała na przeszklone drzwi. Szczupły, bezpłciowy kelner podszedł do ich stolika, a Petra zamówiła kawę.

- Mieszankę dnia?

- Może być.

Odszedł wyranie zmieszany.

- Nie sę do tego przyzwyczajeni - wyjawiła Pastern. - Tak bez pytań? Większość ludzi, która tu przychodzi, jest bardziej wybredna w wyborze kawy.

- Niskokofeinowa, trzydzieci pięć gramów pianki sojowej, jedna pišta kenijskiej, cztery pište jamajskiej, do tego szczypta zanzibarskiego ziela angielskiego.

Pastern pokazała piękne zęby.

- Włanie.

- Jest mi wszystko jedno, dopóki daje kopa - powiedziała Petra. Kelner przyniósł duży kubek czego ciemnego i goršcego, przez chwilę ustawiał

229

go na stoliku. Nie było to proste: blat zdobila ręcznie układana mozaika. Niebieskie, żółte i zielone odłamki ceramiki ułożone w drobne kwiatowe wzorki i dokładnie wyfugowane. Petra przesunęła palcem po konturach. Ładna robota, ale niepraktyczna.

- Podoba się pani? - spytała Pastern. - Mozaika.

- Bardzo ładna.

- Moje dzieło.
  - Naprawdę? Jest liczna.
  - Nie zajmuję się już sztuką. Trójka dzieci, mąż ortodonta. Pierwszy fakt wydawał się pewne rzeczy wyjaniać, drugi nie.
  - Dużo pracy - stwierdziła Petra.
  - Pewnie... Niech mi pani co powie, pani detektyw: dlaczego nikt ze mną nie rozmawiał sześć lat temu? Moje przyjaciółki, inne kobiety, które były w teatrze, zostały przesłuchane.
  - Bo detektyw, który zajmował się tą sprawą, jest alkoholikiem; dał sobie spokój, kiedy nie udało mu się z panią skontaktować za pierwszym razem.
  - Pani Jaeger i doktor Casagrande? - spytała Petra. Pastern uniosła wyskubane brwi.
  - Sarah jest doktorem?
  - Psychologiem w Sacramento.
  - To ci dopiero. Zawsze mówiła, że zostanie terapeutką, ale nigdy nie sądziłam, że naprawdę to zrobi. Pewnie Sacramento wyszło jej na dobre.
  - Od jak dawna tam mieszka?
  - Przeprowadziła się tam z mężem już jakiś czas temu, niedługo po tym, jak zginęła Marta. Alan jest lobbystą, potrzebowali go na pełny etat w stolicy. Co u Sarah?
  - Jeszcze z nią nie rozmawiałam. Nie udało mi się też skontaktować z Melanie Jaeger.
  - Mel jest we Francji - powiedziała Pastern. - Rozwiodła się i wyjechała parę lat temu. Odnajdywała się na nowo. - Zamieszała herbatę. - Nie ma dzieci, może jeździć.
  - Jak to się odnajdywała? - spytała Petra. Pastern odgarnęła z twarzy miękkie rude włosy.
  - Uważa się za artystkę. Malarkę.
  - Nie ma talentu, co? - Petra pogładziła blat stolika. Próbując jej przekazać: W przeciwieństwie do ciebie, Emily.
  - Nie chcę jej obmawiać, przyjaśnił mi się, ale... Chyba tylko ja zostałam w Valley... A więc dlaczego nikt ze mną nie rozmawiał?
  - Z tego, co wiem, detektyw nie mógł się z panią skontaktować.
- 230
- Zadzwoił, kiedy nie było mnie w domu, zostawił numer - powiedziała Pastern. - Oddzwaniałam. Petra wzruszyła ramionami.
  - Sześć lat - zastanawiała się Emily. — Jest jakiś powód, dla którego znów otwarto tę sprawę?
  - Nie zaszyły żadne dramatyczne okoliczności. Staramy się tylko być skrupulatni. Pastern zmarszczyła brwi.
  - Jest pani stąd?
  - Z Arizony - odparła Petra. Wchodziły na tematy osobiste. Jest samotna? Z wyboru?
  - Ja mam kuzynów w Scottsdale... - Pastern się powstrzymała. - Po co ja to mówię. Chodzi o Martę. Ma pani jakie podejrzenia, kto ją zabił?
  - Jeszcze nie. A pani? - spytała Petra.



- Oczywiście. Zawsze uważałam, że to Kurt. Ale nikt nie pytał mnie o zdanie.

Petra zacisnęła dłoń na kubku. Był goršcy; rozluniła uchwyt szczypišcych palców.

- Dlaczego tak pani myli, Emily?

- Nie twierdę, że wiem to na pewno, po prostu takie mam przeczucie - odparła Pastern. - Małżeństwo Marty i Kurta zawsze było jakie dziwne.

- To znaczy jakie?

- Chłodne. Nawet platoniczne. Jakby nigdy nie przechodzili przez tę wstępnš fazę namiętnoci, od której większość ludzi zaczyna. Wie pani, o co mi chodzi?

- Jasne.

- Wszystko z czasem się uspokaja, ale w przypadku Marty i Kurta było czuć, że w ogóle nigdy między nimi nie iskrzyło. Nie, żeby Marta co mówiła. Była Niemkš, miała ten europejski dystans.

- Chłodne małżeństwo - powtórzyła Petra, przypominajšc sobie bezdusność Kurta Doebblera. Dwoje chłodnych ludzi. Jedno z nich roztlu-czone na miazgę.

- Nigdy nie widziałam, żeby się całowali - powiedziała Pastern. - Albo dotykali, skoro o tym mowa. Kurt nigdy nie okazywał żadnych uczuć. Nawet po mierci Marty. - Nachyliła się do Sophii, potarosiła jš za fałdy skóry na karku. - Cały czas tam mieszka. W tym samym domu. Siedem przecnic ode mnie. Kiedy usłyszeliśmy, co się stało z Martš, przyniosłam mu co do jedzenia, zaofiarowałam pomoc. Kurt wzišł tackę w drzwiach, nie zaprosił mnie do rodka, nie podziękował.

- Uroczy typ.

- Poznała go pani? Petra potaknęła.

- A więc sama pani wie. Nie mogę udowodnić, że to on, po prostu to czuję. Zawsze czułam. Wszystkie czułyśmy, Sarah, Mel i ja. Nie tylko dlatego, że Kurt jest dziwny. Ale też z powodu tego, jak to się stało. Tamtej nocy w teatrze, kiedy telefon Marty zadzwonił, zerwała się tak prędko, że prawie przewróciła się o moje nogi. Potem wybiegła, bez wyjanienia, jakby zależało od tego jej życie. - Pastern krzywo się umiechnęła. - Niefortunnie to zabrzmiało.

- Czy otworzyła telefon i sprawdziła numer dzwoniącego? - spytała Petra. Pastern się zamyliła.

- Chyba nie... nie, na pewno nie. Jej telefon nie miał chyba nawet klapki, sześć lat temu mój nie miał. Nie, wyłszyła go tylko, wstała i wybiegła. Bardzo nas to zaskoczyło. Marta była zazwyczaj bardzo uprzejma i grzeczna. Sarah chciała natychmiast za nią iść, sprawdzić, co się stało, ale Melanie powiedziała, że to może być jaka osobista sprawa rodzinna, że nie powinniśmy się wtrącać. Marta była dość skryta. Nigdy nie wiedziałyśmy, co tak naprawdę myli. Zaczęłyśmy we trzy o tym rozmawiać, ludzie nas uciszali, więc się zamknęłyśmy i czekałyśmy do przerwy.

- Czyli jak długo?

- Może dziesięć minut. Może piętnacie. Kiedy Marta szybko nie wróciła, pamiętam, że nie mogłam się skupić na przedstawieniu. Potem uznałam, że nie chciała robić zamieszania i wracać tak od razu, że pewnie czeka na nas w foyer. Kiedy tylko opadła kurtyna, pobiegłyśmy tam, ale jej nie było. Zadzwoniłyśmy do niej na komórkę, nikt nie odbierał i wtedy zaczęłyśmy się martwić. Postanowiłyśmy się rozdzielić i przeszukać teatr. Nie było łatwo, Pantages jest wielki, do tego tłumy ludzi... - Zmarszczyła czoło. - Przypadły mi damskie toalety. Klękałam i sprawdzałam buty kobiet w kabinach. Marty tam nie było. Nigdzie jej nie było. Zaczęłyśmy się zastanawiać, co robić. Uznałyśmy w końcu, że to pewnie Kurt do niej zadzwonił w jakiej sprawie osobistej. Może chodziło o Katię, to musiało być coś poważnego, skoro nie wróciła, skoro nawet nic nam nie powiedziała. Może musiała mieć wolny telefon, postanowiłyśmy więc do niej nie dzwonić i wróciłyśmy na salę obejrzeć przedstawienie do końca. Nie bawiłyśmy się za dobrze.

- Martwiłyście się o Martę.

232

- Wtedy martwiłam się bardziej o to, co skłoniło ją do tak nagłego wyjścia - powiedziała Pastern. - Ma pani dzieci? Petra pokręciła głową.

- To życie w ciętym strachu, pani detektyw. W każdym razie po przedstawieniu wszystkie trzy poszłyśmy do mojego samochodu. Tylko Marta przyjechała własnym.

- Dlaczego?

- Była umówiona, nie chciała wracać do Yalley, a potem znów jechać do miasta. Przyjechała równo z nami, zaparkowała przy moim samochodzie. Kiedy jej szukałyśmy, jej samochodu już nie było. Nie zaskoczyło nas to, zważywszy na to, do jakich doszłyśmy wniosków.

- Gdzie był parking?

- Po drugiej stronie ulicy.

Samochód Marty znaleziono za rogiem, dwie przecznice od teatru. Bal-lou nie wspominał nic o tym, że przestawiono go z parkingu.

Odjechała z mordercą. Zwabił ją do ciemnego, cichego zaułka. Zatłukł na chodniku, a potem wepchnął za kierownicę jej własnego samochodu.

- Co to było za umówione spotkanie? - spytała Petra.

- Marta nie powiedziała. - Pastern się poruszyła. Spojrzała na mozaikę własnej roboty. - Często jeździła do miasta. Z początku myślałam, że Yalley jś nudzi. Wychowywała się w Hamburgu, to podobno duże miasto, pełne atrakcji. W Niemczech była matematykiem czy inżynierem. Tam poznała Kurta, on z kolei projektuje rakiety czy co takiego... Pracował dla rządu w jednej z wojskowych baz. Tam się pobrali, tam się urodziła Katia, niedługo potem przyjechali do Stanów.

Długa odpowiedź na krótkie pytanie. Pastern zaczęła szybko mieszać herbatę, jakby chciała, żeby napój odparował. Rozmowa o wyprawach Marty do miasta wyranie jś wzburzyła.

- Z początku sądziła pani, że Marta się nudziła - powiedziała Petra. - Jaki jeszcze mógł być powód częstych wypraw do miasta? Odstępy między piegami Pastern poróżwiały.

- Nie chcę mówić czego, czego nie jestem pewna.

- Czego, Emily?

- Jest pani mężatką, pani detektyw?

- Byłam.

- Och. Przepraszam.

- Nie ma sprawy.

- To zabawne - powiedziała Pastern. - Rozmawiamy jak dwie dziewczyny... Cieszę się, że policja przydziela teraz kobietom ważne zadania.

233

3

Sophia poruszyła się pod stolikiem. Pastern zamoczyła palec w szklance i roztarła płyn na nosie i pysku psa.

- le znosi upał, ale jest wytrzymała. We Włoszech mieszkają dworze, pilnuj się domu.

- Doebblerowie mieli psa?

- Nigdy. Marta kiedy chciała psa dla Katii. Powiedziała, że Kurt nie chciał się zgodzić. Moim zdaniem to nieładnie, prawda? Zwierzęta są wietne dla dzieci. Ucz się dawać, dzielić się.

- Oczywiście. A więc Kurt nie lubi zwierząt.

- Powiedział Marcie, że za dużo z nimi kłopotu. - Pastern zaczęła się bawić włosami. - Już mówiłam, moim zdaniem to on to zrobił. On się o tym nie dowie, prawda? Bo to nie jest oskarżenie, tylko przeczcucie. A on mieszka blisko mnie.

- W żadnym wypadku o niczym się nie dowie, Emily.

- Wierzę pani. To chyba tyle.

- Czy możemy porozmawiać jeszcze chwilę o wycieczkach Marty do miasta? - spytała Petra.

- Lubiła robić zakupy; promocje, obniżki - odpowiedziała szybko Pastern. Dobra, dajmy spokój.

- Rozumiem... Czy przychodzi pani do głowy jaki powód, dla którego Kurt mógłby chcieć zamordować Martę?

- A więc go pani podejrzewa?

- W tym momencie wiem za mało, żeby podejrzewać kogokolwiek, Emily. Dlatego to takie ważne, żeby powiedziała mi pani wszystko, co wie.

- Powiedziała. - Pastern umiechnęła się niepewnie, Petra odpowiedziała umiechem. Spróbowała firmowej kawy. Okropna. Postanowiła przycisnąć Pastern jeszcze raz, a gdyby się opierała, zadzwonić do niej jutro. Dzisiaj wieczorem.

Emily Pastern rozpuściła włosy i potrząsnęła głową. Przedtem były spięte w ciasny kok, nadający jej twarzy ascetyczny wyraz.

- Te wyprawy do miasta - powiedziała Petra.

- Dobrze. Mogę właściwie pani o tym powiedzieć, bo po tylu latach zadała, sobie pani trud, a poza tym wygląda mi pani na kogo, komu zależy.

Znow zwilżyła psi nos. Wzięła głęboki oddech.

Typ aktorski; Petra zaczęła się zastanawiać, ile z tego, co Pastern powiedziała, można traktować poważnie.

- Dobrze - powtórzyła Emily. - Jestem pewna, że Marta miała romans.

234

Petra zaczęła, aż Pastern zaczęła normalnie oddychać.

- Z kim?

- Nie wiem, pani detektyw. Ale to było widać. Petra kiwnęła głową, spodziewając się szczegółów.

- Zaczęła się lepiej ubierać - wyjaniała Emily - chodzić bardziej sprężystym krokiem, bardziej seksownie. Dostała kolorów. Wciś zachowywała się z dystansem, ale pod powierzchnią co się działo. Co żarzyło. Jaki ogień. - Poczerwieniała jeszcze bardziej. Ach, przedmiecia.

- Była weselsza niż zwykle - dodała Petra.

- Więcej niż weselsza. Ona odżyła. I niech mi pani wierzy, to nie była zasługa Kurta. Kurt był wciś tym samym starym, nudnym Kurtem.

- Ale Marta się zmieniła.

- Widział to każdy, kto ją znał. Nagle zaczęła znikać. Spieszyła się to tu, to tam. To było zupełnie do niej niepodobne. Przedtem naprawdę była znudzona, Mówiła mi, że życie w Yalley jest dla niej za wolne. Ale reagowała na to... siedzeniem w domu. Została członkiniś komitetu rodzicielskiego, zaczęła zbierać szklane figurki, próbki kosmetyków, małe japońskie filiżanki do herbaty. Często jedziła na pchle targi. Potem nagle to wszystko się skończyło. Spakowała swoje kolekcje do kartonów i zaczęła regularnie jeździć do miasta.

- Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczęła się ubierać i zachowywać bardziej seksownie?

- Dokładnie w tym samym czasie. Jest pani kobietś. Wie pani, że mam rację.

- To bardzo ważne, co pani mówi, Emily.

- Może Kurt się dowiedział. Może dlatego to zrobił. Na pewno nie z jakich własnych romansowych powodów. Nie ożenił się po raz drugi, a jeli co go łczyło z jakś innś kobietś, ja nic o tym nie słyszałam.

- A usłyszała by pani? - spytała Petra. - Skoro był taki zamknięty w sobie i tak dalej?

- Och, oczywiście. Mieszkamy siedem przecznic od siebie, nasze dzieci nadal chodź do tej samej szkoły. West Yalley Prep. To wciś przedmiecia, Petro.

Petra patrzyła, jak Emily delikatnie wyciera usta. Aktorka czy nie, Pastern dała jej co, nad czym można popracować. Petra spytała ją, czy chce powiedzieć co jeszcze, a kiedy Emily pokręciła głową, podziękowała, wyłowila z torebki dziesiętkę i wstała.

Sophia warknęła.

Pastern poklepała ją po łbie i sama sięgnęła do torebki.

- Ja zapłacę.

235

- To wbrew przepisom - umiechnęła się Petra. Panna Wszystko-We-dług-Regulaminu. Ha.

- Na pewno? No dobrze, w takim razie, miło mi było paniś poznać, mam nadzieję, że go pani dopadnie. Petra zaczęła iść w stronę furtki.

- Dlaczego pytała pani, czy Kurt i Marta mieli psa? - zawołała za nią Pastern.

- Z ciekawoci - odparła Petra. - Chciałam lepiej zrozumieć, jacy byli jako ludzie.

- Kurt jest oziębły. Marta była sympatyczna. Powiem pani, kto uwielbiał psy: Katia. Często приходziła bawić się z Daisy. Widziałam, jak bardzo tego potrzebuje. Ale Kurt nie chciał o tym słyszeć.

- Za dużo kłopotu.

- To typ kompulsywny. Wszystko powinno układać się tak, jak on chce. - Pastern zmarszczyła brwi. - W prawdziwym życiu tak się nie da.

- Pewnie, że nie - przytaknęła Petra. - Jakiej maci jest Daisy?

- Pięknej, głębokomahonioworudej. Można ją wystawiać na pokazach.

Nie pasowało to do sierci znalezionej na Coral Langdon. To tyle w złożonym scenariuszu przeniesienia, który ułożyła sobie Petra. Od córki przez tatę do...

- Musi być liczna - powiedziała. - Wie pani, co słyhać u Katii?

- Moja córka jest w tym samym wieku, ale w innej klasie, mówi, że Katia jest bardzo cicha, zamknięta w sobie. Czego się spodziewać? Wychowywała się z kim takim... Poza tym dziewczynce potrzebna jest matka. To podstawy psychologii, prawda?

Petra umiechnęła się sztucznie, co wymamrotała. I uciekła.

41

pojechała Yentura Boulevard na wschód do Laurel Canyon; wybrała krętszą, zieloną trasę do miasta. Uwielbiała Laurel: rudery, wybujała fantazja i królewski rozmach... wietnie byłoby tu mieszkać - mało prawdopodobne, chyba że trafiłyby się jej jakie pieniądze.

Przemknęła obok dawnej posiadłości Houdiniego, a raczej obok czegoś, co po niej pozostało. Akurat teraz trochę czarów by się jej przyda—

236

ło. Co, co pomogłoby jej sprawdzić, czy podejrzenia Emily Pastern są słuszne.

Marta niewierną żoną, Kurt mordercą z zemsty.

Jeli tak, zaplanował to ze szczegółami, wywabił żonę z teatru, może wykorzystując Katię jako przynętę. Potem drugi raz, jako alibi.

Z tego, co widziała sama Petra i co mówiła Pastern, Kurt był zimny jak ryba. Taki techniczny typ, dla którego wszystko da się sprowadzić do równania.

Ty upokarzasz mnie, ja zabijam ciebie.

Nie było powodu, dla którego nie mogłoby się to odbyć właśnie tak. Petra ułożyła sobie w głowie scenariusz: Kurt dzwoni z budki do Marty, potem idzie na parking, tam na nią czeka. Marta przychodzi, razem odjeżdżają - on prowadzi. Zatrzymujesz się za rogiem. Kurt wyjawia prawdziwy powód swojej obecności. Mówi, że wie wszystko o wypadach żony do miasta.

Może już wtedy dochodzi do konfrontacji. A może Marta, zaskoczona, próbuje go uspokoić. Ale Kurta nie da się już uspokoić; zabrał ze sobą broń.

A może podrzucił ją Marcie do bagażnika. Albo użył czego, co już tam było - łomu, łyżki do opon.

Nie, raport koronera stwierdzał, że to było co szerszego, gładszego.

Marta próbuje uciekać, wyskakuje z samochodu. Kurt ją łapie. . Odwraca ją, jest z tyłu, za nią. Tak wysoki facet nie miałby trudności z wymierzeniem morderczego ciosu w ciemność.

Marta pada, Kurt dalej uderza. Robi to na ulicy. Jesteś dziwką, zdechniesz jak dziwka.

Czy zamierzał ją tam tak zostawić, czy może przypomniał sobie, że krwawiący strzęp na chodniku był kiedy jego żona, i złagodniał? Wsadził ją powrotem do samochodu? A może chciał w ten sposób tylko ukryć ciało, żeby mieć więcej czasu na dojazd do domu, skok pod kołdrę i pogrześenie się w morderczych snach?

Martę znaleziono dopiero rano. Kurt, szykujący Katię do szkoły, miałby mnóstwo czasu, żeby przygotować się na zaskoczenie”.

Mijając Canyon Market, Petra pomyślała o trzeciej możliwości. Marta za kierownicą to mogła być wiadomość: Przyjechała do miasta na spotkanie z kochankiem. Teraz sied w tym samym cholernym samochodzie, na fotelu kierowcy, z wypływającym mózgiem.

Niszczył jej człowieczeństwo, jej duszę. Czy ktoś taki jak Kurt Doebbler może wierzyć w istnienie duszy? Czy postrzega raczej ludzi tylko jako sumę ich komórek?

237

Niszcząc twoje szare komórki, obracam cię w nicotę.

Pastern powiedziała, że Kurt lubił, gdy wszystko było tak, jak on chciał. Może pod tą zimną maską niewzruszonoci krył się wulkaniczny gniew.

Załatwia Martę, uchodzi mu to na sucho. Stwierdza, że mu się to podoba.

Postanawia upamiętnić tę datę.

Czym są rocznice, jeśli nie upominkami od czasu? A psychopatyczni mordercy lubią zatrzymywać pamiątki.

Układała sobie w głowie całkiem zgrabny profil. Był tylko jeden problem: dużo do niego nie pasowało. Na przykład psia sierć na Coral Langdon, przecież Kurt nie znosi zwierząt. Na dodatek ten najbardziej pozbawiony uroku osobistego człowiek, jakiego Petra kiedykolwiek spotkała, wydawał się ostatnią osobą, z którą Coral Langdon mogłaby uciąć sobie pogawędkę o psach.

Czyżby miał talent aktorski, o którym nikt nie wie?

Petra uznała, że za dużą wagę przywiązuje do tej sierci. Langdon lubiła psy, spotykała się z innymi właścicielami psów, mogła mieć na sobie sierć.

Jednak co w takim razie z fałszywym serwisantem w domu Geralda Solisa? Jak do tego dopasować Doebblera?

Może pracował w telewizji kablowej, zanim został projektantem rakiet - na przykład dorabiał sobie w ten sposób jako student? Jednak gdyby chciał upamiętnić morderstwo żony, dlaczego nie wybrał ofiary do niej podobnej? A przynajmniej kobiety, zamiast starego, zręczniejszego byłego marine Solisa.

Chyba że Solis był jako powiśzany z Doebblerami... Czy to włanie on był kochankiem Marty? W takim razie po co z zabiciem go zwlekać aż rok?

Solis był złoliwym starym samotnikiem, starszym od Marty o trzydzieci lat. Ludzie dokonujš w życiu rŃżnych wyborŃw, ale ten akurat nie miał sensu.

Petra przejrzała w mylach listę ofiar. Langdon, Hochenbrenner, młody czarny marynarz. Jewell Blank i Curtis Hoffee, dwoje dzieci ulicy.

Jaka tu, u diabła, prawidłowość?!

Kiedy dojechała do Sunset, bolała jš głowa; doszła do wniosku, że przelewa z pustego w próżne.

Na wysokoci Fairfax i Szóstej zadzwonił telefon. Mac Dilbeck z komórki.

- Włanie się dowiedziałem, Petra. Przykro mi.

- Nie mogłam się spodziewać niczego innego, Mac.

238

- Tylko dlatego że mająš głowy tak głęboko w zadkach, że nie widzš wiatła mšdroci.

- Dzięki, Mac.

- To ja powinienem dziękować tobie. Za wyjanienie sprawy. Oszczędziła nam papierkowej roboty, a miastu kosztŃw procesu. Sš tacy, których należy po prostu odstrzeliwać, a on do nich pasował, prawda?

- Prawda.

- Jak wyglšda sytuacja Erica?

- Ma spotkanie w Parker.

- Kiedy kurz opadnie, nic mu nie będzie. Postšpił słusznie.

- Jasne.

- Dzwonię też, żeby powiedzieć ci, co z SandršLeon. Bogowie z Olimpu pozwolili mi wzišć udział w przesłuchaniu. Nie chciała z nimi rozmawiać, choć stawali na głowie, więc w końcu poszli się naradzić. - Mac prychnšł. - A kiedy ich nie było, ja zrobiłem stary numer, zagrałem na dziadka, i zgadnij, co? Zaczęła się otwierać.

- No tak - umiechnęła się Petra.

- Włanie. Sprawdziłem tylko, czy dyktafon działa. Kiedy tamci wrócili z planem, ze swoim złożonym planem grupy operacyjnej, Sandra już mówiła, a oni mieli choć tyle rozumu, żeby trzymać gęby na kłódkę i się nie wtršcać. Okazało się, że Sandra i jej kuzynka Marcella nie żyły ze sobš najlepiej. Wielka zazdroć, już od dawna. Ten drań Lyle dobierał się do nich obu od lat i obie zaczęły współzawodniczyć ze sobš o jego względy. Kiedy Marcella zaczęła chodzić z Omarem Seldenem, Sandra stwierdziła, że tak nie może być, że przecież to ona jest tš. ładnš. Więc zaatakowała terytorium Marcelli. Poza tym, wyobra sobie, miała do niej żal, bo kiedy, kiedy czekała na wizytę u lekarza, wiesz, to jej zapalenie wštroby, Marcella zostawiła jš sama, znalazła salon z automatami do gier i grała na nich przez dwie godziny. Podpadła tym Sandrze na dobre.

- Jak dla mnie to niezły motyw morderstwa.

- Szkoda, że jej nie słyssała, Petra. To ona powiedziała Omarowi, że Marcella usunęła jego dziecko. I że robiła sobie z tego żarty, nazywała dziecko mieciem.

- Boże. Wystawiła Marcelłę.

- Zrobiła co więcej. Powiedziała Omarowi, że idź we dwie do Paradise, dała znać kiedy i którądy Marcella będzie wychodzić.

- Omar sfotografował parking na tydzień przed koncertem. Wszystko to było dobrze zaplanowane.

- O, rany - westchnął Mac.

239

- To dlatego Sandra była taka spokojna po morderstwie. Została na parkingu, żeby się napawać zwycięstwem, zdenerwowała się trochę, kiedy próbowałam ją przesłuchać. Ale nie było w niej żalu, podobało jej się tam. To naprawdę chore dziecko. O co ją oskarżono?

- Prokurator okręgowy jeszcze nie wie. Forsuję zabójstwo z premedytacją, ale jedyny dowód to słowa Sandry nagrane na taśmę, więc może jako to starguj, zrobiś z niej nieletniś. Sandra jest pewna siebie, chyba myli, że wszystko ujdzie jej płazem, bo ma dopiero siedem lat. Całkiem możliwe, że tak będzie. Po południu pojawił się tu jakiś cwany adwokat. Nie chciał mi powiedzieć, kto go wynajmiesz, ale na pewno opłacać go Gracze. Już chce unieważnić zeznanie, bo nie odczytałem Sandrze jej praw, zanim zaczęła mówić. Faceci ze ródmięcia przeczytali jej wszystko na początku, a ja byłem wtedy w sali, więc zastępca prokuratora twierdzi, że należałem do zespołu przesłuchującego”, że pierwsze ostrzeżenie wystarczyło.

- System zaczyna działać - stwierdziła Petra.

- Co ty nie powiesz.

- A co z Lyle'em? Wisi nad nim ciężkie oskarżenie o pedofilię.

- Lyle dał nogę, kiedy tylko wypuciliśmy go z aresztu. Co przysporzyłoby nam problemów, gdyby Omar stanął przed sądem. Dlatego całkiem dobrze się stało, że nie będzie nam potrzebny. Jeszcze raz ci dziękuję.

- Nie ma za co.

- Wszystko w porządku?

- Odpoczywam. A ty?

- Wziłem urlop, gram w minigolfa z wnukiem. Nie daj się zgnoić, mała. Porządna z ciebie dziewczyna.

Dla psychologa godzina ma czterdzieści pięć minut, więc o czwartej czterdzieści pięć. Petra zadzwoniła do kliniki, w której pracowała doktor Sarah Casagrande. Usłyszała nagranie poczty głosowej, zostawiła pilną wiadomość. Nikt nie oddzwonił. Powtórzyła to samo o piątej czterdzieści pięć i tym razem nagranie przerwał kobiecy głos.

- Mówi Sarah. - Cichy, szorstkawy, pełen wahania. - Włanie miałam do pani dzwonić.

- Dziękuję. Jak mówiłam w wiadomości, pani doktor, chodzi o Martę Doebbler.

- Tyle lat - westchnęła Casagrande. - Czy co się zmieniło?

- W sensie...

- Detektyw, z którym rozmawiałam, dał mi do zrozumienia, że sprawa raczej nie rokuje nadziei na rozwiązanie.

240

- Naprawdę?

- Tak. Myślę, że był po prostu szczery, ale wtedy ciężko mi było tego słuchać.

- Pamięta pani, jaki podał powód?

- Powiedział, że nie ma żadnych dowodów rzeczowych. Miał pewne podejrzenia, ale nic ponadto.



- Podejrzenia wobec kogo?

- Kurta. Ja też tak myślałam. Wszystkie trzy tak myślałyśmy.

- Powiedziała mu to pani?

- Oczywiście.

Ballou zapomniał jej to powiedzieć. I zapisać.

- Dlaczego podejrzewała pani Kurta?

- Czułam się przy nim nieswojo.

- Był lubieżny?

- Nie, tego nie można o nim powiedzieć. Nie mogę stwierdzić, żeby mnś się interesował. Wręcz przeciwnie, całkowity brak emocji. Czasami patrzył na mnie, na grillu czy jakim innym spotkaniu towarzyskim, a ja sobie uwiadamałam, że nie patrzył wcale na mnie, tylko przeze mnie. Powiedziałam o tym mężowi, on też to zauważył, wszyscy mieli Kurta za dziwaka, nikt nie zapraszał go na pokera.

- Jest pani psychologiem. Pokusi się pani o diagnozę?

- Jestem asystentką psychologa - sprostowała Casagrande. - Brakuje mi jeszcze roku do egzaminu na licencję.

- Mimo wszystko - nalegała Petra. - Zna się pani na tym lepiej niż przeciętny człowiek z ulicy. Jak sklasyfikowałaby pani Kurta Doebblera?

- Nie znoszę tego robić. Taka analiza na odległość nie jest wiele warta.

- Ale tak nieoficjalnie, pani doktor.

- Nieoficjalnie, gdybym miała się zakładać, powiedziałabym, że Kurt wykazuje skłonności schizoidalne. To nie znaczy, że jest wariatem. Chodzi mi o aspołeczność osobową. Brak emocji, brak zwiśzków z innymi ludmi.

- Czy to może prowadzić do morderstwa?

- Teraz już naprawdę żsda pani, żebym przekroczyła granice mojej...

- Nieoficjalnie i teoretycznie, pani doktor.

- Większość typów aspołecznych nie ma skłonności do przemocy, ale kiedy wybuchajś, kiedy skłonności schizoidalne łączś się z agresywnymi impulsami, może dojć do strasznych rzeczy.

Skrupulatne planowanie, potem szokujśca brutalność...

- Przychodzi mi na myl Unabomber - powiedziała Sarah Casagrande. - Samotnik, który całe życie nienawidził innych ludzi. Wymylił

16 - Pokrętny umyl 241

ekologiczne wytłumaczenie swoich morderstw, ale tak naprawdę chciał tylko niszczyć.

Tamten zamachowiec też miał techniczny umysł. Doktor matematyki, skrupulatny, przewidujścy. A ile lat trwało, zanim go złapano...

- Nie twierdzę, że Kurt jest taki sam jak Unabomber - dodała Casagrande. - Wtedy to były seryjne morderstwa. Tu mówimy o kim, kto zabił własną żonę.

Gdyby tylko pani doktor wiedziała.

- Jeli to Kurt zamordował Martę, jak pani myli, jaki miał motyw? Casagrande zamięła się nerwowo.

- To wszystko spekulacje.

- Detektyw Ballou uważał, że to beznadziejna sprawa, i być może miał rację, pani doktor. Ale ja staram się udowodnić, że tak nie jest, i potrzebna mi każda pomoc, jakś mogę dostać.

- Rozumiem, co pani chce powiedzieć... Motyw. Według mnie chyba zazdroć.

- O kogo?

- Możliwe, a to już zupełna spekulacja, że Marta się z kim spotykała.

- Tak słyszałam.

- Od kogo?

- Od Emily Pastern.

- Emily - powiedziała Casagrande. - Tak, Emily pierwsza zaczęła to podejrzewać, ale ja też tak myślałam. Wszystkie myślałyśmy, bo zachowanie Marty się zmieniło. Wydawała się szczęśliwsza. Bardziej... cielesna. To, jak się nosiła, jak się ubierała...

- Zaczęła nosić ubrania bardziej seksowne? - spytała Petra.

- Nie, Marta była bardzo skromna, nawet po tamtej przemianie daleko jej było do sexy. Ale zaczęła nosić bardziej kobiece ubrania, sukienki, rajstopy, używać perfum. Miała wietnś figurę, ale zawsze ukrywała jś pod lunymi dresami. Umalowana, po drobnych poprawkach, była naprawdę atrakcyjnś kobietś.

- Jak długo przed morderstwem zaczęła się zmieniać?

- Powiedziałabym... kilka miesięcy. Cztery, pięć. Ale mogły być też inne powody tej zmiany.

- Na przykład?

- Próba tchnięcia nowego żaru w ich małżeństwo. Niestety nie zauważyłam żadnej zmiany w stosunkach Marty i Kurta.

- A jakie to były stosunki?

- Platoniczne.

242

Dokładnie tego samego słowa użyła Emily Pastern. A może w rozmowach koleżanki wspólnie tak to okreliły. Z drugiej strony to były mśdre, spostrzegawcze kobiety, które znały Martę Doebbler o wiele lepiej, niż Petra mogła mieć nadzieję jś poznać.

Przycisnęła Casagrande jeszcze trochę, wyciśgnęła z niej jedynie uprzejmś odmowę wdania się w szczegóły. Na pytania o przebieg zajęcia w teatrze odpowiedziała relacjś zgodnś z opowieciś Pastern.

- Dzięki, pani doktor.

- Mam nadzieję, że uda się pani go złapać. Jeli to on... Mylała pani o jego pracy, o tym, jak zarabia na życie?

- Jest projektantem rakiet. Systemów naprowadzających.

- Niech się pani nad tym zastanowi - poradziła Casagrande. - Obmyła nowe sposoby zniszczenia.

42

Wtorek, 25 czerwca, 15.47,

Biblioteka Publiczna Los Angeles, Wydział Centralny,

ulica Zachodnia Pišta 630,

Dział Historii i Genealogii,

poziom czwarty, skrzydło Toma Bradleya

Isaacowi zaczęło się dwoić w oczach przed dwudziestoma minutami, ale nie przerwał pracy, dopóki nie dokończył akt Heralda Examinera”.

Zadanie, które sam sobie na dzisiaj przydzielił: cofnąć się do początków wszystkich gazet LA, jakie zdoła znaleźć, i przeczytać każde wydanie z dwudziestego ósmego czerwca. W przypadku Heralda” sprawdzać archiwum zdjęć za każdym razem, kiedy trafi się coś ciekawego.

Dużo rzeczy powtarzało się w różnych gazetach, ale wszystko to razem składało się na setki wykroczeń, głównie napadów, kradzieży, włamań, rabunków oraz - kiedy miastem zawładnęła motoryzacja - aresztowań za jazdę po pijanemu.

Isaac zajął się tylko tymi morderstwami, które nie były wynikiem barowej sprzeczki, rodzinnej kłótni albo napadu rabunkowego. Część miała wyrane podłoże psychopatyczne: kilka chińskich prostytutek pociętych na przełomie wieków, niewyjanione przypadki utonięć i zastrzeleń, nawet kilka mordów za pomocą tępego narzędzia. Ale nic nie pasowało do szeciu spraw, którymi zajmował się z Petrš.

243

Nie było to dla niego wielkie zaskoczenie; kiedy natknł się na prawidłowość po raz pierwszy - zanim poszedł z tym do Petry, zanim przeprowadził swoje statystyczne testy znaczenia - przejrzał tę tematykę w archiwach LA Timesa”. Mimo to warto było uważać, może coś przeoczył.

Do dwudziestego ósmego zostały trzy dni, a przez blisko siedem godzin żmudnej, przyprawiającej o skurcze mięni i ból oczu pracy nic nie znalazł. Wczorajszy dzień był tak samo bezowocny; spędzony na drugim piętrze budynku Goodmana, w dziale ksiąg rzadkich, gdzie Isaac pojawił się w poczuciu misji tylko po to, by usłyszeć, że musi się najpierw umówić. Całkiem logicznie zreszt, to białe kruki, co on sobie wyobraża?

Pokazał s woj š legitymację studenckš, zmylił, że Wydział Biostatystyki miał go umówić, aż w końcu bibliotekarz, chudy, starszy człowiek z su-miastym siwym wšsem się nad nim ulitował.

- Czego pan szuka?

Kiedy Isaac wyjanil - starał się nie mówić wprost, ale nie mógł uniknąć słowa morderstwo” - bibliotekarz popatrzył na niego inaczej. Ale pomógł i tak: wręczył mu druk podania, a potem zapoznał z zawartością swojego skarbca.

HISTORIA KALIFORNII, MEKSYKAŃSKIE WALKI BYKÓW, ORNITOLOGIA, PODRÓŻE PRZEZ PACYFIK...

- Jak mniemam, interesuje pana pierwsza pozycja, panie Gomez, jako że byki i ptaki nie popełniają morderstw.

- W rzeczy samej, popełniają - odparł Isaac i uraczył bibliotekarza krótkim wykładem o przemocy wśród zwierząt. Niedopasowany członek stada, który okazuje się mieć skłonności aspołeczne. Isaac myślał o tym od czasu do czasu.

- Hm - mruknł bibliotekarz i skierował go do katalogu działu historii. Pięć godzin później Isaac wyszedł stamtąd zmęczony i sfrustrowany. W krwawych dziejach Kalifornii nie brakowało postaci morderczo aspołecznych, ale żadna z nich nie dawała się powiśzać z jego sprawami.

Jego. Jakby przemawiała przez niego duma posiadacza.

Spójrzmy prawdzie w oczy, tak właśnie jest. Podekscytowało cię, że to właśnie ty odkryłeś prawidłowość.

Teraz był gotów natychmiast zrzec się prawa własności... Petra chyba się jednak nie myliła. Data oznacza wydarzenie osobiste, nie historyczne. A więc on nie ma z czym do niej iść.

Nie odzywała się od piśtka. Przyszedł na posterunek w poniedziałek rano, wczesniej niż zwykle, gotów na kolejną burzę mózgów. Petry nie zastał, jej biurko było puste. Zupełnie wyczyszczone.

244

W pokoju było trzech detektywów. Fleischer, Montoya i jakiś mężczyzna przy tablicy ogłoszeń.

- Kto wie, gdzie jest detektyw Connor? - spytał Isaac. Fleischer wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział. Montoya zmarszczył czoło i wyszedł. O co tu chodzi?

- Nie ma jej - odparł mężczyzna przy tablicy ogłoszeń i odwrócił się. Ciemny garnitur, rzadziej czarne włosy, cienki wąsik. Wyglądał trochę jak alfons... Obyczajówka?

- Kiedy wraca? - spytał Isaac; mężczyzna podszedł bliżej. Detektyw drugiej klasy Robert Lucido, Central Division. Dlaczego to właśnie on odpowiedział na pytanie?

- Sam jej szukam. Pan jest...

- Stażysta. Pracuję z detektywem Connor, zbieram materiały.

- Materiały? - Lucido spojrział na identyfikator Isaaca. - No, nie ma jej, Isaac.

Mrugnął okiem, wyszedł.

Zostawiając Fleischera, który siedział ze słuchawką w ręku, ale nie wykreślał numeru. Co on tu robi całymi dniami?

Isaac napisał licik do Petry i zostawił go na jej pustym biurku. Kiedy szedł do swojego, Fleischer odłożył słuchawkę i przywołał go machnięciem ręki.

- Nie marnuj czasu.

- O co panu chodzi?

- Ona nie przyjdzie. Jest zawieszona.

- Zawieszona? Na litość boską, dlaczego?

- Strzelanina, North Hollywood, sobota. - Krzaczaste brwi Fleischera zamieniły się w bramki do krykieta. - Mówili o tym w wiadomościach, synu.

Isaac nie oglądał wiadomości. Był zbyt zajęty.

- Ale nic jej nie jest. Fleischer kiwnął głową.

- Co się stało?

- Petra i jeszcze jeden detektyw ledzili podejrzanego, doszło do konfrontacji i tamten nie zareagował, jak należy.

- Nie żyje? - spytał Isaac.

- Stuprocentowo.

- To podejrzany w sprawie Paradiso?

- Właśnie on.

- I za to jš zawiesili?

- Poszło o procedury, synu.

245

- To znaczy?

- Złamano pewne zasady.

- Ile potrwa zawieszenie?

- Nie wiem.

- Gdzie ona teraz jest?

- Na pewno nie tu.

- Nie mam jej numeru domowego. Fleischer wzruszył ramionami.

- Detektywie Fleischer - powiedział Isaac - to ważne, żebym się z niš skontaktował.

- A ona ma twój numer?

- Tak.

- W takim razie nie widzę problemu, synu.

Nie zadzwoniła, a był już wtorek.

Zajęta własnymi kłopotami, zapomniała pewnie o dwudziestym ósmym czerwca.

Zresztš i tak nic dla niej nie miał.

Tęsknił za... pracš na posterunku.

Nagle kark zakłuł go bólenie i Isaac wstał od komputera w sali katalogów historii i genealogii. Przecišgnšł się.

To, że został na lodzie, nosiło znamiona poetyckiej sprawiedliwoci. W cišgu ostatnich kilku dni zignorował pół tuzina telefonów od Klary. Trzymał się z dala od kampusu i pracował w bibliotece publicznej włanie po to, żeby jej uniknšć.

Decyzję o zerwaniu kontaktu tłumaczył sobie własnym dobrym sercem: zważywszy na delikatny stan uczuć Klary, kontakt zrobiłby pewnie więcej złego niż dobrego. Choć to, co zdarzyło się w podziemiach biblioteki, było aktem godnym pożałowania, nie było jednak przestępstwem. Dwoje dorosłych zrobiło to, co robiš doroli; to jeden z tych dziwnych splotów czasu i miejsca. I hormonów.

Kiedy teraz o tym myłał, nie mógł uwierzyć, że tak postšpił. Co za impulsywnoć...

Klara, bez względu na to jak skomplikowana była uczuciowo, musiała zdać sobie sprawę, że...

- Proszę pana? - odezwał się słaby głos za jego plecami.

Isaac obejrzał się przez ramię, a potem w dół; zobaczył umiechajšcš się do niego starszš czarnš kobietę. W rękę trzymała dužš torbę, a pod pachš wielkie zielone tomiszczce. Malańka i zgarbiona, wyglšdała na dziewięćdziesišć lat. Miała piękšn cerę barwy suszonych liwek. Za ciężki

246

jak na tę porę roku wełniany płaszcz powiększał jej drobnš sylwetkę. Na ułożonych lokówkš włosach koloru wieżego niegu spoczywał zielony filcowy kapelusik.

- Skończył pan? - spytała i Isaac uwiadomił sobie, że pracuje przy jedynym wolnym komputerze w sali. Wszędzie siedzieli nałogowi genealogowie. Ogień w oczach starszej pani wiadczył, że jest prawdopodobnie jednym z nich.

- Oczywiście - powiedział i odsunął się, chociaż miał jeszcze do sprawdzenia kilka roczników Herald'a”.

- Dziękuję, młody latynoski dżentelmenie. - Wymawiała słowa wyranie, z lekkim zapiewem z Island. Przemknęła obok niego, siadła przed komputerem, zamknęła katalogi gazet, kliknęła, znalazła to, czego szukała, i zaczęła przeglądać bazy danych.

Archiwa Urzędu Imigracyjnego Ellis Island, rok 1911.

Musiała wyczuć, że Isaac zagląda jej przez ramię, bo odwróciła się i znów umiechnęła.

- Też pan szuka swoich korzeni? Meksyk?

- Aha - skłamał Isaac, zbyt zmęczony, by wdawać się w szczegóły.

- To wymienita zabawa, nieprawdaż? Przeszłość jest cudowna!

- Wspomniała - powiedział. Martwota jego głosu zabiła wesołość staruszki.

Zamrugnęła oczami, a on wyszedł z sali. Szybko - zanim zepsuje humor jeszcze komu.

43

trę spędziła niemal cały poniedziałek, próbując zlokalizować Melanie Jaeger, czwartą członkinię wyprawy do teatru. Mieszkając gdzieś w południowej Francji.

Zadzwoniła do Emily Pastern, która teraz wydawała się mniej skłonna do rozmowy, ale przycisnęła ją i zmusiła do sprecyzowania chyba gdzieś w okolicy Nicei”. Korzystając z Internetu, zdobyła mapy i obdzwoniła wszystkie wymienione w sieci hotele i pensjonaty w tym rejonie.

Był to powolny, trudny proces. Odcięta od oficjalnych banków danych, możliwości wykorzystania policyjnej księżki adresowej, urzędowej siły przebicia w liniach lotniczych, Petra przypomniała sobie, że jest po prostu jeszcze jednym cywilem.

247

Rozmawiała z wieloma zdziwionymi i znudzonymi francuskimi recepcjonistami, łągała, przymilała się, w końcu trafiła w dziesiątkę: La Mer. Tam concierge mówiący pięknym angielskim połączył ją pokojem ma-dame Jaeger.

Tyle wysiłków, a tu okazuje się, że Jaeger nie ma Petra nic nowego do powiedzenia. Ona też jest przekonana, że to Kurt Doebbler zabił Martę.

Dlaczego?

- Bo to podejrzany typ, który nigdy się nie umiecha. Mam nadzieję, że go pani złapie i obetnie mu jaja.

O jedenastej wieczorem Eric jeszcze się nie odezwał. Petra połknęła parę tabletek benadrylu i zapadła w dziesięciogodzinny, narkotyczny sen. Obudziła się we wtorek, gotowa do pracy.

Z powrotem do komputera. Dowiadczeni prywatni detektywi mieli swoje sposoby, czasami nawet lepsze niż policjanci. Drażniła ją nieznamość tych sposobów. A Eric szybko się uczył. Niedługo pozna wszystkie tajniki.

Jeli naprawdę zrobi to, o czym mówił.

Pozwoliła sobie na chwilę marzeń: on i ona, pracujący razem, partnerzy w dużej firmie detektywistycznej. Piękne biuro na Wilshire, Sun-set albo nawet gdzie blisko plaży. Supermeble w stylu deco, bogaci klienci...

Ty napisz scenariusz, a ja zaniosę go do telewizji.

Eric zadzwonił w południe, kiedy Petra kończyła właśnie szybki lunch - grzanki, zielone jabłko, mocna kawa. Błyskawicznie pogryzła, przelknęła.

- Gdzie jeste?

- W ródmiociu.

- Drugi dzień?

- Może ostatni.

- Jak tam?

- Sš... dokładni.

- Nie możesz mówić.

- Mogę słuchać.

- W porzšdku. Naprawdę mi przykro, Eric.

- Dlaczego?

- Dlatego, że musisz przez to przechodzić przeze...

- Nic się nie stało. Muszę lecieć. - Cichszym głosem: - Skarbie.

248

Google nie znalazła nic na temat Kurta Doebllera - samo w sobie to jakie osiągnięcie, bo wyszukiwarka jest gigantycznym cyberodkurza-czem.

Petra uznała, że brak osobistej strony internetowej pasuje do antyspołecznej osobowości Doebllera. Ale jego nazwisko pojawiło się na stronie Pacific Dynamics. Jako jedno z wielu na liście starszego personelu” firmy.

Kurt był tam wymieniony jako starszy inżynier i projektant techniczny czegoś o nazwie Projekt Advent. Nie podano żadnych szczegółów wyjawiających, co to takiego. Biografia wspominała, że Doebller miał styczoń z 40. Batalionem Inżynieryjnym w bazie Baumholden w Niemczech, a że młodzieńcze lata szkoły redniej spędził pod Hamburgiem i mówił płynnie po niemiecku, był naturalnym kandydatem do tego zadania”.

Wyglądało to dziwnie. Amerykańscy inżynierowie wojskowi mówili przecież po angielsku.

Czyżby Kurt zajmował się sprawami ciele tajne przez poufne”?

Jeszcze jakie komplikacje?

Czytała dalej: inżynier na Cal Tech, magister inżynier na USC - to alma mater Isaaca.

No właśnie, nie rozmawiała z nim od pištku. Nie miała z czym do niego ić, nie było więc sensu zawracać mu głowy. Według biografii Kurt Doebller cieszył się poważaniem jako projektant systemów pracujący w Pacific Dynamics od piętnastu lat. Czyli zaczął tuż po szkole. Biografia nie wspominała o wcześniejszym zatrudnieniu w kablówce. Ale niby dlaczego miałyby wspominać?

Petra wydrukowała informacje, przeczytała je. Aspekt niemiecki pchnął jej rozważania w zupełnie nowym kierunku; przez całe popołudnie wydzwaniała za granicę, aż trafiła na właściwą osobę w departamencie policji Hamburga.

Komisarz Klaus Bandorffer. W Niemczech był wczesny ranek, jeszcze ciemno; Petra zastanawiała się, jaki komisarz pracuje o tej porze. Ale Bandorffer mówił rzekim głosem; rzeczowy, lecz sympatyczny człowiek, którego zaintrygował telefon od amerykańskiej detektyw.

Dodając jeszcze jedno potencjalne złamanie regulaminu do swojej listy przewin, Petra powiedziała mu, że sprawy dwudziestego ósmego czerwca sš oficjalnie i aktywnie prowadzone i że to ona jest detektywem kierującym leđstwem,

- Jeszcze jeden - zauważył Bandorffer.

- Jeszcze jeden kto, panie komisarzu?

249

- Seryjny morderca, pani detektyw... Connor?

- Tak, proszę pana. Dużo macie seryjnych w Hamburgu?

- W tej chwili żadnego działającego, ale co przeżyliśmy, to przeżyliśmy - odparł Bandorffer. - Wy, Amerykanie, i my, Niemcy, mamy po uszy takich socjopatów.

Przerażające.

- Może jesteśmy po prostu dobrzy w wykrywaniu prawidłowoci. Bandorffer parsknął miechem.

- Skuteczność i inteligencja, podoba mi się takie wyjanienie. A więc wierzy pani, że macie podejrzanego, który mógł mieszkać w Hamburgu?

- To możliwe.

- Hm. Kiedy?

Kurt Doebbler ma czterdzieci lat.

Młodzieńcze lata szkoły redniej” to? - dwadziecia dwa do dwudziestu pięciu lat temu. Petra podała Bandorfferowi te dane i szczegóły pierwszego morderstwa.

- Mielimy co takiego w zeszłym roku - powiedział. - Dwóch pijanych w barze, mózg wybity z czaszki. Nasz morderca to niepimienny stolarz, nigdy nie był w Stanach Zjednoczonych... Nazwisko Doebbler, imię Curtis?

- Po prostu Kurt. Przez K. Klik, klik, klik.

- Nie mam nikogo o takim nazwisku w bieżących aktach, ale sprawdzę w dawniejszych. To może potrwać dzień, jako tak.

Petra podała mu swój domowy numer i numer komórki; goršco też podziękowała.

Bandorffer znów parsknął miechem.

- W dzisiejszych czasach my, skuteczni, inteligentni funkcjonariusze policji, musimy ze sobš współpracować.

Petra obdzwoniła wszystkich operatorów kablówki w hrabstwach LA, Orange, Yentura, San Diego i Santa Barbara; użerała się z gryzipiórkami w działach kadr, kłamiśc, kiedy musiała.

Nigdzie ani ladu Kurta Doebblera pracującego jako instalator albo kto inny. Co samo w sobie niewiele znaczyło; nie spodziewała się, że będš przechowywać tak stare dane.

I to by było na tyle.

A miała wciřz tylko Doebblera. Zwłaszcza w przypadku morderstwa jego żony.

250

Jedynie, co mogła w tej sytuacji zrobić, to dwudziestego ósmego zacząć się pod jego domem. Mieć nadzieję na cud i przygotować się na rozczarowanie.



Chyba pora wykorzystać Isaaca. Dała mu kilka dni na rozmyślenia. Może wysokie IQ znalazłoby jakie wyjście z sytuacji, w której jej mały rozumek się poddawał.

Isaac był pewnie wczoraj na posterunku i dowiedział się o jej zawieszeniu. Cokolwiek łączyło go z tym Jaramillo, Petra wiedziała, że taka wiadomość na pewno go wzburzyła. Zaabsorbowana sobą nie wzięła tego pod uwagę. Niezła z niej niańka.

Była osiemnasta piętnacie i wszystkie wydziały uczelni zostały zamknięte. Zadzwoiła do mieszkania Gomezów i odebrał Isaac. Mówił zasnany głosem. Spał o tej porze dnia?

- Isaac, tu...

Zagłuszyło ją głośne, młazczące ziewnięcie. Jak rzenie konia, właściwie dość obrzydliwe. Z tej strony go nie znała.

- To znowu ty?

- Znowu?

- Klara, tak? Słuchaj, mój brat...

- Mówi detektyw Petra Connor. Jeste bratem Isaaca? Cisza.

- Przepraszam, spałem, tak, jestem jego bratem.

- A ja przepraszam, że cię obudziłam. Jest Isaac? Jeszcze jedno ziewnięcie, potem chrzskanie. Brat Isaaca miał do niego bardzo podobny głos, ale niższy, wolniejszy. Jakby Isaac na prochach.

- Nie ma go.

- Jeszcze w szkole?

- Nie wiem.

- Przekaż mu, proszę, że dzwoniłam.

- Jasne.

- Wracaj do łóżka, bracie Isaaca.

- Isaiah... Dobrze, wracam.

O dwudziestej zwalczyła chęć przygotowania sobie kolacji z puszki a la samotna dziewczyna i wybrała się do miasta. Jeli zmuszona okolicznościami miała żyć jak cywil, równie dobrze mogła korzystać z wszystkich tego plusów.

Pojedziła trochę po Fairfax; zjeść w Grove lub w którym z lokali przy Melrose? W końcu pojechała do małej koszernej restauracji rybnej przy Beverly, gdzie jadła od czasu do czasu ze Stu Bishopem. Ojciec właściciela, lekarz, był kolegą taty Bishopa, oftalmologa. Petra przyjechała tu, bo restauracja znajdowała się niedaleko jej mieszkania, miała podłogę

251

wysypaną trocinami i pachniała wieżym, smacznym, tanim jedzeniem odbieranym przy kontuarze, dzięki czemu można było uniknąć pogadu-szek z kelnerami.

Tego wieczoru właściciel zrobił sobie wolne i w restauracji rżdziło dwóch Latynosów w baseballowych czapkach. Dużo ludzi, gwar. Bardzo dobrze.

Zamówiła łososia z grilla z pieczonymi ziemniakami i surówką i zajęła ostatni wolny stolik, obok chasydzkiej rodziny z pięcioma maleńkimi, rozrabiającymi dziećmi. Ubrany w czarny garnitur, brodaty ojciec udawał, że jej nie zauważa, ale kiedy podchwyciła spojrzenie matki, kobieta umiechnęła się niemiało.

- Przepraszam za hałas.

Jakby to jej potomstwo było odpowiedzialne za cały gwar w restauracji. Petra odpowiedziała umiechem.

- Sż słodkie. Szerszy umiech.

- Dziękuję... Przestań, Samuelu Jakowie! Zostaw Izraela Cwiego w spokoju!

O dziewiętej czterdzieci pięć była z powrotem w domu. Jeep Erica stał zaparkowany na Detroit, a kiedy weszła do mieszkania, Eric we własnej osobie wstał z kanapy w jej salonie i jś uciskał. Miał na sobie beżowy garnitur, niebieskś koszulę, żółty krawat. Nigdy nie widziała go w jasnych kolorach; sprawiały, że jego cera nabierała nieco ziemistego odcienia.

- Nie musiały się tak dla mnie stroić, przystojniaku. Umiechnś się i zdjśł marynarkę.

- Jej - mrukneła. Pocałowali się szybko.

- Jadła już? - spytał.

- Przed chwilś. Chciały gdzie ić?

- Tam czy tu, bez znaczenia. - Znów nachylił się do niej. Odwróciła głowę.

- Mam niewieży oddech po rybie.

Przytrzymał jej twarz w dłoniach, lekko dotknśł jej warg, potem wysunśł język i rozwarł jej usta.

- Hm... pstrśg?

- Łoso. Możemy jeszcze gdzie ić. Napiję się kawy i będę patrzeć, j akty jesz.

252

Eric poszedł do kuchni, otworzył lodówkę.

- Znajdę co tutaj.

- Pozwól, że ja ci co przygotuję.

Kiedy do niego podeszła, zdśżył już wyjść jajka i mleko, aż pojemnika na chleb wieży bochenek.

- Grzanki po francusku - powiedziała. - To mi wietnie wychodzi. Rozbiła jajka i pokroiła chleb. Eric nalał sobie mleka.

- Nie słyszała o Schoelkopfie.

- Co z nim?

- Mówili w wiadomościach.

- Nie oglśdałam telewizji od dwóch dni. Co się dzieje?

- Nie żyje. Trzy godziny temu zabiła go żona. Petra wyszła z kuchni i usiadła przy stole.

- Mój Boże... Która żona?

- Obecna. Ile ich miał?

- Ta była trzecia. Niby co, zostawiła go, a potem postanowiła zabić?

- Z tego, co słyszałem, to on j ś zostawił.

Nikommu na posterunku nie przyszło do głowy do niej zadzwonić.

- Jak to się stało?

- Schoelkopf kilka tygodni temu wyprowadził się z domu, wynajmł mieszkanie niedaleko posterunku, w jednym z wieżowców na Hollywood Boulevard, na zachód od La Brea. Był tam ze swoją przyjaciółką, jakąś urzędniczką. Szli na obiad, zjechali do podziemnego parkingu do jego samochodu. Żona wyszła z cienia i zaczęła strzelać. Schoelkopf dostał trzy w ramię i jedną prosto tutaj. - Eric postukał się w radek czoła. - Dziewczyna też została postrzelona, ale żyła, kiedy przyjechała karetka. Potem żona strzeliła do siebie.

- Czy dziewczyna nazywa się Kirsten Krebs? Blondynka, dwadzieścia parę lat, pracowała w recepcji? Eric pokiwał głową.

- Wiedziała o tym?

- Domyślałam się. Krebs zawsze co do mnie miała. Kiedy Schoelkopf wezwał mnie do siebie, to ona była posłańcem. Zostałam już siedząca na moim biurku, jakby było jej własnością. Gdzie jest żona?

- Pod respiratorem, lekarze wątpią, że przeżyje. Krebs też jest w kiepskim stanie.

Petra wstała, włączyła telewizor, znalazła wiadomości na Kanale Piątym. Rozszczebiotana Latynoska w podróbce kostiumu Chanel przekazywała złe wieści:

253

- ...dochodzenie w sprawie dzisiejszego zabójstwa kapitana policji Los Angeles. Edward Schoelkopf, lat czterdzieci siedem, weteran z dwudziestoletnim stażem, został zastrzelony przez żonę, z którą pozostawał w separacji, Meagan Schoelkopf, lat trzydzieci dwa. Kobieta także siebie postrzeliła miertelnie. Prowadzący dochodzenie uważają, że było to morderstwo i samobójstwo wynikłe z miłostnego trójkąta. Ranna została także niezidentyfikowana młoda kobieta...

Tło się zmieniło - zniknął poszarpany biały napis "Zabójstwo" i pojawił się wyrysowany kredą zarys ciała, a potem lubne zdjęcie pary w szczęśliwszych czasach.

- ...tragedia przyprawiła tę spokojną okolice Hollywood o szok i wstrząsnęła kolegami Schoelkopfa w departamencie policji. Przechodzimy teraz do innych lokalnych wiadomości...

Petra wyłączyła telewizor.

- Nie nosiłam go, a on mnie pogardzał, nigdy nie zrozumie dlaczego, ale co takiego...

- Nienawidził kobiet - powiedział Eric.

- Mówisz, jakby wiedział to na pewno.

- Kiedy pierwszy raz ze mną rozmawiał, próbował mnie wybadać. Co myślę o mniejszociach, o kobietach. Głównie o kobietach, było jasne, że ich nie lubi. Myślał, że jest delikatny, chciał sprawdzić, czy się z nim zgadzam.

- Co zrobiła?

- Trzymałam głowę na kłódce. A on stwierdził, że może mówić otwarcie, i opowiedział mi kilka naprawdę paskudnych kawałów o kobietach.

- Nigdy mi o tym nie mówiła.

- Jaki by to miało sens?

- Chyba rzeczywiście żaden. - Petra usiadła. Eric stanął za nią i zaczął masować jej barki.

- Odkryłem - wyznał - że w większości sytuacji im mniej się mówi, tym lepiej. Ale nie we wszystkich, mój drogi.

- Schoelkopf nie żyje... Co to oznacza dla nas, w sensie dla naszego zawieszenia?

- Zanim to się stało, dano mi do zrozumienia, że nikt nie będzie dla żadnego z nas zbyt surowy. Pewnie opóni to ostateczne rozwiązanie sprawy.

- Dla ciebie to bez znaczenia. I tak odchodzisz. Dłoń Erica znieruchomiła.

254

- Może.

Petra się odwróciła, spojrzała na niego.

- Cišgle się zastanawiam - powiedział.

- Oczywiście, to poważna decyzja.

- Jeste zawiedziona?

- Skšdže. To twoje życie.

- I tak moglibyśmy kupić dom. Skoro oboje pracujemy, moglibyśmy kupić sobie przyzwoity dom raczej wczesniej niż póniej.

- Jasne - powiedziała Petra. Zaskoczona chłodem bijšcym z własnego głosu.

- Jaki problem?

- Jestem trochę skołowana. I napięta. A wszystko dlatego że pomogłam pozbyć się jednego parszywego drania. Uwolniła się, wstała, poszła do kuchni.

- Poza tym jest jeszcze ta sprawa z dwudziestym ósmym. Trzy dni, a ja nic nie mam.

- A ten mšž, Doebbler?

- Wszyscy sš pewni, że to on zabił żonę, ale nie ma żadnych dowodów. Niektóre rzeczy się zgadzajš, inne nie.

- Na przykład?

Wtajemniczyła go w szczegóły. Eric słuchał. Zobaczyła jajka, chleb i mleko na kuchennym blacie. Pora się na co przydać. Włożyła trochę masła na patelnię, włšczyła gaz, namoczyła chleb w jajkach i mleku, a kiedy masło zaczęło bulgotać i bršzowieć, wrzuciła na patelnię dwie kromki.

Ładnie zaskwierczały. Bezmylna praca co w sobie ma.

- Mogłaby obserwować Doebblera dwudziestego ósmego - powiedział Eric. - Jak tylko się gdzie ruszy, mamy go.

- A jeli nie, kto zginie. Eric wzruszył ramionami.

- Pan Zblazowany. Nie odpowiedział.

Grzanki były gotowe. Petra przełożyła je na talerz, postawiła przed Erikiem. Nie poruszył się.

- Przepraszam, że tak warknęłam.

- Nie chciałem zgrywać luzaka.

- Nie zrobiłem nic złego.

- Nie potraktowałem cię poważnie. Siedzisz po uszy w bagnie.

Patrzył na nią. Wzrokiem łagodniejszym niż zwykle.

Ujęła w dłonie jego twarz. Podniosła widelec i wsunęła mu go do ręki.

- Jedz. Zanim wystygnie.

255

44

roda, 26 czerwca, 10.00, autobus numer 7, linia Santa Monica, Pico i Overland

Niewiele brakowało, a Isaac wyszedłby z domu bez papierowej torebki.

Całą noc męczony przez bezsenność, spał do ósmej czterdzieli. Rodzice i bracia już wyszli i musiał przyznać, z pewnym wstydem, że wynikła cisza była teraz cudowna.

Mając łazienkę, tylko dla siebie, nie spieszył się z prysznicem i goleniem; pochodził po mieszkaniu nago, wysunął spod łóżka swoją teczkę. Zajrzał pod papiery, żeby sprawdzić, czy z pistoletem wszystko w porządku.

Dlaczego miałyby być nie w porządku?

Wyjął go, wycelował w lustro.

- Bang.

Durny pomysł, ten pistolet. Co on sobie wyobraża? Zawinął go z powrotem, schował na dno teczki, dotknął sińca na policzku. Opuchlizna zesza, trochę jeszcze bolało. To byli głupi gówniarze, a on przesadził.

Może odda pistolet Placowi.

Przesunął rękami po całym ciele; uniósł skraj zasłony i dojrzał strzęp niebieskiego nieba. Błękit z pasmem bieli.

Włożył wieże spodnie i żółtą koszulę z krótkimi rękawami. Upał w mieszkaniu, już o tej porze, oznaczał, że to dzień krótkich rękawów.

Nawet na plaży, gdzie z reguły było chłodniej.

Uzależniał się od piasku i morza?

Mogło być gorzej.

Zeszłej nocy, nie mogąc spać, pozwolił sobie na fantazjowanie: jak by to było którego dnia tam mieszkać. Bogaty doktor, jego piękna żona i zdolne dzieci urządzają jeden z tych wielkich domów w Palisades.

Albo, gdyby los naprawdę mu sprzyjał, wprost na piasku.

Przybój, mewy, pelikany, delfiny. Co dzień rano szum morza w charakterze budzika... Mniej więcej tak samo prawdopodobne jak to, że którego dnia obudzi się naturalnym blondynem.

Ale mógł podarować sobie jeszcze jeden dzień na nabrzeżu.

Ciężko pracował, zasłużył sobie.

Rozpuszczony bachor. To, czy zasłużył, czy nie, nie miało tu nic do rzeczy.

256

Kluczem do sukcesu nie jest cnota, lecz wiedza, wiedza to potęga.

W głowie rozbrzmiała mu stara, znajoma mantra: skup się na celu, zdobądź wykształcenie. Tytuł lekarski, potem doktora medycyny. Zrób specjalizację, obejmij stanowisko akademickie, publikuj jak szatan, zdobądź reputację, którą można będzie później przeliczyć na intratne konsultacje...

Może nawet dodatkowa magisterka z zarządzania, stanowisko w jakiej firmie farmaceutycznej...

Którego dnia zostanie doktorem Gomezem. Na razie wpakował się w kłopoty z Klarš.

Wcišz wydzwaniła. Długo to jeszcze potrwa?

Musiał co z tym zrobić, im szybciej, tym lepiej. Ale dzisiaj... plaža.

Poszedł do kuchni, położył teczkę na blacie i nalał sobie szklankę mleka. Zmienił zdanie. Wróci do biblioteki, użyje narzędzi, w które uwierzył: dokładnego gromadzenia danych, rozumowania dedukcyjnego i indukcyjnego, ciężkiej pracy. Problemy dajš się rozwiązać; musi istnieć jaka odpowiedź.

Dopił mleko jednym haustem i ruszył do drzwi. Zobaczył torebkę na małym stoliku przy samych drzwiach.

Bršzowy papier, równo zawinięty - znak firmowy jego matki. Jego imię wypisane czerwoniš wiecówkš. Litery nierówne, bo mama nigdy nie doszła do wprawy w pisanie.

Dokładnie tak samo podpisywała jego drugie wiadanie, kiedy uczył się w Burton. Wszystkie inne dzieci jadały w szkolnym bufecie - cudownym miejscu; te podgrzewane lady, kobiety w siatkach na włosach, zielone jak szmaragdy i żółte jak słońce warzywa, kawały różowego mięsa i białego indyka, rzeczy, których nigdy nie widział - succotash? grzanki z serem?

Matka bała się takich dziwnych potraw. Albo tak przynajmniej twierdziła. Póniej Isaac zrozumiał, że stypendyci nie zawsze mają š czego szukać w bufecie, hojność szkoły miała swoje granice.

Wstydział się swoich torebek z drugim wiadaniem, dopóki koledzy nie uznali, że jego tamales i czarna fasola sš cool. Nie obyło się bez chichotów - ostatecznie to przecież szkoła. Ale uczniowie Burton doceniali zalety różnorodności i kuchnia Imy Gomez najczęściej bardziej im smakowała,

Isaacowi łatwo było wymieniać swoje przysmaki na zawartość tacek bogatszych dzieci. Zajadał się z wymuszonym entuzjazmem, udawał, że smakuje mu nijaka papka, bo rozpaczliwie pragnł się nie wyróżniać.

17 - Pokryny umysł 257

Minęło już sporo czasu, odkšd mama ostatni raz zapakowała mu drugie wiadanie. Pomyślał, że może je wyrzuci, a kupi sobie smažoniš kiełbaskę w budce niedaleko biblioteki.

Nie, załatyby go wyrzuty sumienia. Wepchnł torebkę do teczki, wyszedł i zbiegł na dół po schodach.

Wyrzuty sumienia to jego specjalność. Zapominamy o stopniach naukowych i firmach farmaceutycznych.

No i o domu na plaży.

Kiedy wyszedł na ulicę, znów zmienił zdanie. Dwa dni pracy w bibliotece nic nie dały. Na co mógł mieć nadzieję? Poszedł do Pico, wszedł do siódemki i przejechał aż do Overland, kiedy zapach jedzenia mamy, przesšczajšcy się przez bršzowy papier, pobudził jego soki trawienne. Rozpakował wiadanie i zajrzał do rodka.

Na zawiniętych w folię aluminiowš kanapkach leżała złożona na pół karteczka. Wyjł jš, zobaczył BRAT, wypisane niezdarnymi, drukowanymi literami. Pismo Isaiaha.

Rozłożył licik.

KOBIETA Z POLICJI DZWONIŁA WIECZOREM.

Tylko tyle, bez numeru.

Zerwał się, nacisnął guzik Na żądanie” i wysiadł na najbliższym przystanku.

Tylne wejście na posterunek było zamknięte. Odkąd zaczął tu przychodzić, zdarzyło się to tylko dwa razy, bo kto zapomniał otworzyć drzwi. Isaac znalazł swój klucz.

Nie pasował. Zmienili zamki? Potem zauważył kamerę nad drzwiami. W miejscu, gdzie zainstalowano urządzenie, ze ciany odłaziła farba. Obiektyw był skierowany wprost na niego. Poczł się jak podejrzany i odwrócił tyłem.

Nowe zabezpieczenia z powodu jakiego alarmu terrorystycznego?

Zastanawiał się nad tym, kiedy na parking wjechał stary, srebrny cadillac. To ten detektyw o mentalności sierżanta musztry, Dilbeck.

Isaac podszedł do samochodu, a Dilbeck opucił szybę.

- Dzień dobry, panie detektywie.

- Dzień dobry, panie Gomez.

- Drzwi sš zamknięte, a mój klucz nie pasuje.

- Mój też nie - odparł Dilbeck. - Wchodzimy od frontu, dopóki wszystko się nie uspokoi.

- Uspokoi po czym?

258

Dilbeck wyszczerzył zęby.

- Wczoraj zamordowano kapitana Schoelkopfa.

- O, nie.

- Na razie sš podjęte dodatkowe rodki ostrożności. Chociaż to, co spotkało kapitana, nie przenosi się na nikogo innego. Zdradzał żonę, gniew piekielny nie jest tak straszny i tak daleki. Nie drażnił pan ostatnio żadnych łatwo wpadających w złość pań, prawda, panie Gomez?

Isaac się umiechnął. Żołśdek podjechał mu do gardła.

Dilbeck wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku bramy parkingu. Isaac stał w miejscu.

- Nie pracuje pan dziś, panie Gomez?

Isaac ledwie go słyszał. Mylał: dodatkowe rodki ostrożności oznaczają pewnie wykrywacz metalu. Pistolet...

- Jechałem właśnie do szkoły, wpadłem tylko po numer detektywa Con-nor. Dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem, ale mój brat nie zapisał numeru.

- Jest w domu - powiedział Dilbeck. - Wiesz, co jej się przydarzyło?

- Tak, proszę pana. Mam do niej doć ważną sprawę. Próbowala się ze mną skontaktować w związku ze sprawą, którą prowadzimy... którą ona prowadzi.

- No, w tej chwili nie prowadzi żadnej sprawy, panie Gomez.

- Mimo to uważam, że powinienem oddzwonić... Dilbeck klepnął go w ramię i spojrzał mu w oczy.

- Jest pan sympatycznym młodym człowiekiem, ale mamy tu wszyscy hopla na punkcie prywatności. Zróbmy tak, ja zadzwonię do detektywa Connor i powiem jej, że pan wpadł. Niech mi pan poda numer, pod jakim można pana zastać.

Isaac podał mu numer dziekanatu Wydziału Biostatystyki. Teraz musi wrócić na uczelnię. Niezbadane sš ciężki losu.

Dojechał na USC czterdzieci minut póniej, poszedł na wydział okręžnš drogš, naokoło Doheny'ego, a tam prosto do swojej skrzynki pocztowej. Ostatni raz zagłšdał do niej kilka dni temu i była pełna. Obiegówki, wydziałowe biuletyny, mieci.

Pięć wiadomoci od Klary, wszystkie napisane tym samym pochyłym charakterem pisma. Ostatnie trzy z wczoraj. Z wykrzyknikami.

Między nie wcinęta kartka z nazwiskiem Petry i numerem telefonu, pod którym czekała. Kierunkowy 933 oznaczał, że dzwoniła z domu.

Isaac spytał sekretarkę, czy może skorzystać z wydziałowego telefonu, rozmowa miejscowa.

259

- Dawno pana u nas nie było - zauważyła. Wzruszył ramionami.

- Pracuję nad dysertacjš.

- Biedaku. Niech pan nie dzwoni z tego, proszę skorzystać z aparatu w sali ksero. Zna pan zasady: wyjcie na miasto przez osiem, nie dzwoniemy do Europy.

Drzwi do sali ksero były otwarte. Isaac już do nich dochodził, kiedy na plecach poczuł czyjš dłoń.

Lekkie dotknięcie, bezporedni kontakt. Isaac odwrócił się i stanšł twarzš w twarz z Klarš Distenfield. Miała na sobie granatowš sukienkę w małe żółte rybki. Była umalowana: nowa szminka, tusz do rzęs, perfumy - te same perfumy. Jej dłoń wcišż dotykała jego ramienia blisko szyi.

- Nareszcie - powiedziała.

Wszedł z niš do pokoju.

- Niełatwo cię złapać.

- Klara, przykro mi...

- I bardzo dobrze. - W jej głosie nie było urazy. To zaniepokoiło go jeszcze bardziej. Przyłapał się na tym, że mierzy jš wzrokiem od stóp do głów, przestał, ale obrazy zdšżyły się utrwalić. Rude włosy upięte, kilka miękkich, swobodnych kosmyków. Niebieska sukienka ciasno opinajšca okršgly brzuch i mięsiste biodra. Piersi. Perfumy. Cholera jasna, stanšł mu.

Zmrużyła złotozielone oczy.

- Wiesz, ile razy próbowałam się z tobš skontaktować?

- Nie było mnie. Sprawy rodzinne...

- Každy ma rodzinę. - Wydęła uszminkowane usta; nad górnš wargš pojawiły się maleńkie zmarszczki. - Może to i były sprawy rodzinne, ale niezbyt poważne. Rozmawiałam z twoim bratem i nie powiedział ani słowa. Ma bardzo podobny głos do twojego, tak przy okazji.

Perspektywa wymylania następnego kłamstwa wyczerpała Isaaca.

- To nie było nic poważnego, po prostu wymagało czasu - wyjanil.

- A więc wszystko u ciebie w porzšdku?

- Tak. A u ciebie?

- U mnie? - Zamiała się. - wietnie. Czemu pytasz?



- Myślałem, że jesteście zła.

- Na co?

- Na to, co się stało.

- Ja? - Przycisnęła drobniś dłoń do obfitej piersi. - Byłam troszkę... wzburzona. Ale potem poszliśmy na kawę, pamiętasz? I wszystko mi przeszło. Ie wyglądałam?

260

- Następnego dnia nie było cię w pracy. Mary Zoltan powiedziała, że jesteście chora. Sugerowała, że to co więcej niż przeziębienie. - Pokręcił głowę. - Może i to wszystko rozumiałem.

- Mary to idiotka. Mnie nic nie było. Wzięłam dwa dni wolnego, bo chora była moja córka. Wysoka gorączka, sztywny kark. Martwił się, że to...

- Zapalenie opon mózgowych. Poprawiło jej się?

- Nic jej nie jest, to tylko wirus. Ale bardzo się zdenerwowałam. -Przysunęła się bliżej. - Martwiłam się, że dostałam jakiejś nerwowej zapadki po naszych figlach? To nawet wzruszajcie. - Umiechnęła się cierpko. - Tyle tylko, że zaczęła mnie unikać.

- Nie nerwowej - powiedział. - Myślałem, że ja... - Pokręcił głowę.

- Myślałam, że przyprawiła starś, wyposzczoną bibliotekarkę o psychiczny uraz, a ona zaczęła uprzykrzać ci życie. - Klara odrzuciła do tyłu kosmyk włosów i rozemiała się. Sexy. Zsunęła dłoń na jego krocze. - Za bardzo się nie przejście.

- Klara, to, co się stało...

- Było wspaniałe. Nie widzę tego inaczej. - cisnęła go, puciła. Mrugnęła okiem.

- Klara...

- Chemia to chemia, Isaac. Nie da się tego wytłumaczyć racjonalnie. To nie znaczy, że musimy się poddawać impulsom. - Przebiegły uśmiech. - Chociaż znam gorsze rzeczy. - Poglaskała go po twarzy. - Jesteś pięknym młodym mężczyzną. Podziwiam twój ś inteligencję i uwielbiam twoje ciało, ale to zawsze byłyby tylko figle. Zresztą to wcale nie tak ię, prawda? Masz potencjał, by zostać fantastycznym kochankiem, a ja jestem całkiem niezłą nauczycielką. - Znow ś spojrzenie w dół. - Nie martw się, to nie jest zaproszenie do odcinka drugiego. Bo w tej chwili mamy do omówienia ważniejszą sprawę. I dlatego właśnie próbowałam cię od tyłu dni złapać, głuptasie. Po pierwsze, weszły tu jakiś gliniarz, wypytywał o cię. Przed chwilą wyszedł z biblioteki. Dlatego ja przyszłam tutaj, żeby zostawić ci następną wiadomość.

- Gliniarz? - spytał Isaac. - Jak się nazywa? . - Robert Lucido, detektyw. Mężczyzna, który kręcił się przy tablicy ogłoszeń.

- Cienki wąsik?

- Tak. Nie wiedziałam, że kto oprócz Johna Watersa jeszcze takie nosi.

- Czego chciał ten Lucido?

261

- Powiedział, że prowadzi rutynowe dochodzenie, sprawdza ochotników w policji z powodu jakichś przepisów wprowadzonych po jedenastym września. Chciał wiedzieć, jaki jesteście, z kim przestajecie. Potem przestał się przejmować konstytucją: pytał, jakie książki wypożyczasz. Oczywiście odmówiłam odpowiedzi.

- Skąd się u cię wzięło? Zerknęła na drzwi.

- Najpierw przyszedł tutaj na wydział i powiedzieli mu, że najczęściej siedzisz w bibliotece. Ta historia o rutynowym dochodzeniu to

kit?

- Prawdopodobnie.

- O co tu naprawdę chodzi, Isaac?

- Nie wiem. Naprawdę. Włanie byłem na posterunku, zmienili tam zamki. Może to dlatego że zamordowano ich kapitana...

- Słyszałam o tym...

- Albo rzeczywiście ma to jakiś związek z terrorystami.

- To by było straszne. Wiesz, jak otwarty jest nasz kampus. Smutno ci z powodu tego kapitana?

- Nie znałem go za dobrze.

- Zdradzał swoją żonę - powiedziała Klara. - Trzeba uważać, kogo się pieprzy. I do kogo się przypieprza.

Opuciła dłoń i Isaac przygotował się na kolejne uszczyplenie. Zamiast tego wzięła go za rękę. Poczł się ciężki jak z ołowiu. Tyle pytań bez odpowiedzi, a jego erekcja nie osłabła. Leżeć, ty mały draniu!

- Lucido wyszedł przed chwilę?

- Może dziesięć minut temu. Upewniłam się, że mnie nie ledzi, kiedy tu szłam.

- Dzięki - powiedział Isaac.

- Podziękuj mi buziakiem. Usłuchał.

- Mniem. Masz duży potencjał, ale najpierw obowiązek. Główny powód, dla którego próbowałam się z tobą skontaktować, to nie Lucido. Wreszcie znalazłam co w sprawie tych czerwcowych morderstw.

- Co?

Przyłgnęła do niego, położyła jego dłonie na swoich pośladkach. Przycisnęła je i zmusiła go, żeby sam ją cisnął. Kiedy zaczęła mówić, stali tak blisko siebie, że niemal usta przy ustach.

- Chyba rozwiązałam twój zagadkę, Isaac.

262

45

w^lara wyszła pierwsza i sprawdziła przed budynkiem, czy Lucido so-MVbie poszedł. Isaac zczekał w holu; chwilę póniej Klara zajrzała do niego i podniesionym kciukiem dała znak, że droga wolna. Widać było, że dobrze się bawi.

Poszli z powrotem do Doheny'ego, ginąc w tłumie młodzieży. Dziewczyna w krótkich spodenkach i górze od kostiumu bikini leżała na trawniku przed czteropiętrowym budynkiem, czytając co o filozofii. Dwóch studentów minęło ich pospiesznie; obaj mieli bluzy z napisem LSU SSIE, TENN.POŁYKA.

Klara umiechała się błogo.

Kiedy znaleli się w rodku, zamiast zejć na dół, do piwnic, weszli dwa piętra wyżej.

Sala ksiąg rzadkich. Ssziadujące ze sobą, zamknięte na klucz pomieszczenia i krótkie wytłumione korytarze. Klara miała wszystkie potrzebne klucze.

Główna recepcja była przytulna, cicha, wyłożona nowsz, wzorzysz, dębowski boazerisz w kolorze byczej krwi, dyskretnie owietlona mlecznymi lampami i żyrandolami zwisającymi z białego, zdobionego sztukateriami sufitu, obrzeżonego turkusem. Zielone skórzane

fotele, dębowe stoły. Po lewej stronie kilka gabinetów administracji.

Nikogo w zasięgu wzroku. Przerwa obiadowa?

Klara zaprowadziła Isaaca do drzwi z napisem CZYTELNIĄ. W rodku stały redniej wielkoci stół konferencyjny, kserokopiarka i małe biurko z fotelem.

- To dla obserwatora - wyjaniła. - Kto tu siedzi i patrzy, jak czytasz najrzadsze materiały. Powiedziałam jej, żeby wczyniejsz poszła na obiad.

- Byłem tu kiedy - powiedział Isaac. - Kiedy zbierałem materiały o Lewisie Carrollu na seminarium z angielskiego. Ołówki, żadnych długopisów, białe lniane rękawiczki, gdy trzeba.

- Posiadamy wspaniałą kolekcję Carrolla. Siadaj. Mamy godzinę.

Usiadł przy stole, spodziewając się, że Klara wyjdzie i z czym wróci. Ale ona usiadła obok niego i otworzyła torebkę.

Wyjęła księżkę - broszurę - w brązowej, papierowej okładce zadrukowanej topornymi czarnymi literami. Owiniętsz w plastikowy, zapinany na suwak woreczek.

263

- Zabierając to stąd, postąpiłam bardzo le - przyznała. - Zrobiłam to tylko na wypadek, gdyby ten Lucido cięgle się tu czał i gdybyśmy nie mogli wrócić.

Isaac chwycił jej dłoń i pocałował.

Klara się zamięła, wygładziła folię i ostrożnie wyjęła broszurę.

- To bardzo rzadki egzemplarz. Znalazłam go w zbiorach Grahama. Nie było go nawet w głównym katalogu, tylko w jednym z aneksów. Wycięgnęła z torebki parę miękkich białych rękawiczek.

- Skoro już o nich wspomniące... - powiedziała, obracając broszurę tak, by Isaac mógł przeczytać tytuł. Włożył rękawiczki. Zaczł czytać.

GRZECHY SZALONEGO ARTYSTY

HISTORIA STRASZLIWYCH CZYNÓW

OTTONA RETZAKA

SPISANA PRZEZ T. W. JOSEPHA TELLERA

BYŁEGO INSPEKTORA ZAKŁADU KARNEGO STANU MISSOURI I WYDANA PRZEZ NIEGO SAMEGO W ST. LOUIS

A.D. MCMX

Brązowa okładka była tekturowa, zetlała na brzegach, krucha. Isaac ostrożnie podniósł książkę, przełożył i zaczął czytać. Po pierwszym akapicie odwrócił się do Klary.

- Jeste genialna. Rozpromieniła się.

- Podobno.

Otto Retzak był dzieckiem bawarskich farmerów, którzy przybyli do Ameryki w 1888 roku i osiedlili się na marnym kawałku kamienistej ziemi w rejonie południowego Illinois, znanym jako Mały Egipt. Jako szóste z dziewięciorga dzieci i najmłodszy syn, Otto urodził się już na amerykańskiej ziemi.

Dwudziestego ósmego czerwca 1897 roku.

Dokładnie - co do dnia - sto lat przed morderstwem Marty Doebbler.

Isaacowi zaczęły się trząść ręce. Uspokoił je i nachylił się nad prymitywnie wydrukowanym tekstem.

Retzak miał osiem lat, kiedy jego ojciec pijak zostawił rodzinę. Uważany za wyjątkowo inteligentnego, ale niezdatnego do nauki z powodu przerażająco żwawego i goršcego temperamentu", Otto wykazywał niezwykle talent w posługiwaniu się kawałkami węgla drzewnego, którymi

264 .

stwarzał uderzająco prawdziwe obrazy". Talent ten nie robił jednak wrażenia na jego matce pijaczce, która regularnie biła go różgami i rozmaitymi przyborami kuchennymi, zostawiając na łasce i niełasce starszych braci. Którzy to bracia z wielkim entuzjazmem wspólnymi siłami wykorzystywali chłopca seksualnie.

W wieku dziewięciu lat niepiemienny Otto ukradł z sąsiedniej farmy dwadzieścia dziewięć centów, schowanych w słoiku po mśce, i tłustą kurę nioskę". Za zdobyte pieniądze kupił od innego chłopca zardzewiały scyzoryk. Kurę znaleziono przy zaroniętej cieźce, prowadzącej do podupadłego domostwa Retzaków, wypatroszoną, z wydlubanymi oczami i skręconym gołymi rękami karkiem.

Oskarżony o dopuszczenie się tego czynu, Otto przyznał się do winy bez dziecięcego wstydu, wręcz przeciwnie, chlubił się tym". Został zbity przez matkę wyjątkowo dotkliwie i oddany sąsiadom, którzy dołożyli mu od siebie i zapędzili do pracy w gospodarstwie, gdzie harował przez miesiąc, po czterech godzin dziennie.

Dzień po powrocie do domu Otto bez wyraźnego powodu dgnął nożem w twarz swojej młodszej siostry. Jak pisał inspektor T. W. Joseph Tel-ler: Zimne spojrzenie, chytry umiech nawet, zwrócił ku obecnym, gdy dziewczę krzyczało, łkało i zalewało się krwią".

Wezwano miejscowego szeryfa i Otto trafił do celi z dorosłymi opryskami. Dwa miesiące później, posiniaczony i kulejący, stanął przed objazdowym sędzią pokoju, który mówił z przestrożą o jego znacznym upoledzeniu charakteru" i skazał na pięć lat w stanowym zakładzie poprawczym. Tam Otto nauczył się ponoć, że rodzaj ludzki nie jest chwalebny ani dobry, ani stworzony na Boże podobieństwo. To raczej cuchnąca sterta łajna, grzechu i hipokryzji. Nienawieć, która gnała mnie przez cały mój żywot przeklęty, zrodziła się i wykarmiona została w tamtej ciemnicy. Haniebne czyny, których dopuszczono się na moim ciele i umyle w imię uzdrowienia ducha, przyniosły mi niespodziewaną korzyść. Żywot mój zmieniły w żelazo, a umysł pchnęły na ciężką zemstę".

Zaliczywszy dodatkowe dwa lata za chroniczne problemy z dyscypliną, szesnastoletni Otto, rosły i muskularny, został wypuszczony na wolność. Zaskakująco przyjemnej powierzchowności, kiedy nie popadał we wciekłość, Retzak zachowywał się i wyglądał jak młody mężczyzna w wieku lat dwudziestu kilku. Wszystko to jednak zmienić się mogło w okamgnieniu".

Podczas pobytu w zakładzie poprawczym chłopiec zaprzyjaźnił się z żoną jednego ze strażników, Bessie Arbogast. Zauroczona rysunkami Ottona

265

przynosiła mu papier i węgiel, i to do jej domu skierował swe kroki pierwszego dnia wolności.

Uwolniony z pęt, niepoprawny zbrodzień odpłacił pani Arbogast za jej dobroć, włamując się do jej sypialni przez otwarte okno”.

To, co wydarzyło się potem, zostało opisane ponoć słowami samego Retzaka, ale kwiecisty styl kazał Isaacowi podejrzewać, że Teller potraktował je dość dowolnie.

W jej przytulnej, małej alkwie, podniecony rozkoszsz zadania gwałtu tej glicie jej mężowi, jak i jej samej miękkiemu ciału i duszy o zamglonym spojrzeniu, chwyciłem nieopodal leższ szczotkę do włosów i co żywiej dałem mu w łeb. Zadowolony z siebie, zająłem się potem niš samš, w sposób o tyle dla mnie miłszy, że nieopisanie okrutny”.

William Arbogast przeżył napać, ale został kalekš. Jego żona wskutek traumy przestała mówić.

Retzak uciekł pieszo i uszedł pogoni. Przemierzajš kraj pocišgami towarowymi, żywił się kradzionym drobiem i płodami rolnymi, a także jedzeniem, którym częstowały go z dobrego serca gospodynie. Często odwdzięczał się im, wykonujš drobne prace. Czasami zostawiał rysunki, które niezmiennie budziły zachwył. Młodzieniec potrafił uchwycić sceny ogrodowe i wewnątrz z największš dokładnościš. Jedynie narysowanie portretu ludzkiej postaci nastęczało mu kłopotu”.

Co ciekawe - pisał Teller - w tym okresie Retzak nie wymierzał owym dobrym kobietom kar, jak to uczynił z paniš Arbogast. Kiedy zapytałem go o przyczynę tej niekonsekwencji, wydawał się prawdziwie zdumiony”.

Nie wiem, dlaczego czynię to, co czynię. Czasem co mnie nagli, czasem za nie. Czasem mózg mój jest chłodny i spokojny, innym razem za bulgocze jak kocioł smalcu. Nie panuję nad swoimi porywami jak większość ludzi i nie żałuję braku pęt wszelakich na mojej duszy. Zostałem namaszczony przez Szatana, czy jakkolwiek widzieć chcecie Anioła Ciemności, by czynić to, co czynię, i posłuchałem mojego Pana z takim samym mechanicznym kretynizmem, jak głupcy i gnidy, co cały swój nędzny żywot marnotrawił na kolanach przed ołtarzem jakiego bełkocšcego, kłamiwego bóstwa”.

Była to, jak stwierdził Teller, wielka zagadka medycyny i charaktero-logii, że cała anatomia Retzaka, łšcznie z jego mózgiem, została przebadana przez uczonych lekarzy i uznana za zwyczajnš. Badania te obejmowały teš szczególowe pomiary jego czaszki, dokonane przez adeptów sztuki zwanej frenologiš, w której naukowe zalety niektórzy zaczęli powštpiewać, ale którš zastosowano w nadziei poznania jakiegokolwiek prawdy o tym potworze. Analiza owa nie wykazała niczego niezwykłego, tak

266

samo jak i inne. Można jedynie żywić nadziejš, że przedstawienie nieludzkich czynów duszy tej spotworniałej, w tym skromnym ujęte traktacie, przyniesie ludzkoci pożytek. Co jest, w rzeczy samej, zamierzeniem Autora”.

W wieku osiemnastu lat Retzak dotarł do San Francisco, gdzie zacišgnł się jako majtek na pokład parowca Grand Tripoli”, płynšcego na wschód, do krajów Orientu. Statek po drodze zawinił do portu na Hawajach, tam Retzak dostał przepustkę na lšd i zdezerterował.

W Honolulu Retzak pogršzył się w pijaństwie i rozpucie z licznymi kobietami lekkich obyczajów. Niedługo potem zamieszkał z konkubiniš, upadłš Alzatkš Ilette Flam, bladš i widmowš, jak często bywajš kobiety w jej typie, uzależnionš od opium. Retzak ogłosił się jej opiekunem i przez blisko rok utrzymywał jš ze swoich nielegalnie zdobytych pieniędzy”.

W dziewiętnaste urodziny Retzaka Ilette wydała na jego częć przyjęcie w portowej spelunce. Podczas zabawy rzuciła mimochodem jakš uwagę, która go rozdrażniła, i kiedy wrócili do swojego mieszkania, doszło do kłótni. Retzak twierdził, że nie pamięta, czym dokładnie uraziła go Ilette Flam. Kiedy jednak Teller przycisnił go mocniej, przyznał, że chodziło jej o to, że jestem leniwy. Suka była nieprzytomna od opium i wódki i šdziła, że rum, który wypilem, przytępi mój umysł i pozwoili jej bezkarnie mnie obrażać. Wręcz przeciwnie! Zmysły miałem wyostrzone i każda głupia uwaga z ust tej wyszczekanej suki rozpałala mnie tylko coraz bardziej! Kiedy cisnęła we mnie kolejnš obelgę, być może podajšc w wštpliwóć mojš inteligencję, przed oczami niczym latarnia w mroku przepłynęła mi myl: suko, masz mózg bezmylnego bydlęcia”.

Retzak zaczął, aż Ilette zapadnie w narkotyczny sen, bo zarobiła dla mnie sporą sumę pieniędzy i zazwyczaj nie była jeszcze najgorsza”, położył ją do łóżka, odwrócił na brzuch, a potem żelaznym łomem uderzył ją w tył głowy.

Czaszka pękła niczym jajko i wypłynęły kawałki mózgu wraz z przejrzystą cieczą, potem krwią. Widok ten podniecił mnie tak, jak nic innego. Umysł mój ogarnęły zupełnie nowe uczucia i dalej w skupieniu uderzałem łomem w kość. Drobinę tkanki spryskały ciany jak najbliższa mgła. Kiedy wielki płat mózgu spłynął na jej plecy, wbiłem weń spojrzenie, zadziwiony, że ta obrzydliwa, różowa i szara galareta może być siedzibą tego, co chrześcijańscy głupcy nazywają tronem duszy. Czy można wyobrazić sobie coś bardziej ohydniejszego? Jedno spojrzenie na mazistą breję powiedziałyby każdemu logicznie myślącemu człowiekowi, że religia to łajno. Nagle ogarnął mnie spokój i usiadłem, wpatrzony w swe dzieło

267

z zachwytem. Było to nowe dla mnie uczucie i bardzo mi się spodobało. Przyniosłem swój papier rysunkowy i ołówki, które ukradłem z domu towarowego Berringtona w Waikiki. Suka leżała przede mną, cieknie ściana, spływająca i niewstydliwie nieżywa, a ja ją narysowałem. Po raz pierwszy udało mi się uchwycić ludzką postać z jakąś wiernością”.

Był to, jak stwierdził Retzak, wspaniały urodzinowy podarek”.

Isaacowi zaschło w gardle. Swędziało go czoło. Przetykając i poruszając językiem, próbował pobudzić wydzielanie śliny.

- To musi być to - powiedziała Klara zduszonym głosem.

Isaac kiwnął głową. Ale myślał o czym innym:

Dla Ottona Retzaka dwudziesty ósmy czerwca był podwójną rocznicą. Upamiętniał jego urodziny i jego pierwsze morderstwo.

Jego pierwszą ofiarą, konkubinę.

Morderca w LA zaczął w 1997 roku. Upamiętniając stulecie urodzin Retzaka.

Jego pierwszą ofiarą była żona.

Przyjaciółki Marty były przekonane, że zabił ją Kurt Doebbler. Czasami rzeczy są takie, na jakie wyglądają.

Isaac przewrócił kartkę.

Ukończywszy rysunek zmasakrowanych zwłok Ilette Flam, Retzak owinął je w zakrwawioną pościel, spakował marynarski worek, poszedł do portu i zaciągnął się na tankowiec płynący do Wenezueli.

Przez całą drogę wspomnienie tego, co uczyniłem tamtej nocy, płonęło w moich myślach jak sakrament. Zdolność ugaszenia ognia, władza. Kiedy zmywałem pokłady i opróżniałem wiadra z pomijami, nie myślałem zgoła o niczym innym. Byłem kim więcej niż pomijawcem. Tańczyłem taniec, który jedynie nieliczni mogą mieć nadzieję poznać. Nocą, gdy leżałem na swej koi, otoczony przez chrapiące winie, tylko to mogłem zrobić, by nie zatłuc ich wszystkich. Ale spryt powstrzymał mnie od tej lekkomyślności, statek bowiem był morskim więzieniem i nie było tu ucieczki. Na brzegu w Caracas dopiero, wiele miesięcy później, pozwoliłem sobie skosztować rozkoszy po raz drugi. Właściciel piwiarni, stary Metys o niewyparzoną języku, obraził mnie i postanowiłem, że to on będzie następny. Zaczekałem, aż zamknie bar na noc i pójdzie na górę, do swoich pokojów; podważyłem zasuwkę tylnych drzwi do jego mieszkania i ku memu zaskoczeniu zastałem go przy późnej kolacji z wieprzowiny, ryżu i pomij, które podawał. On ją przeklinał, ja za porwałem patelnię stojąc na kuchni. Zaiste było to wspaniałe naczynie z odlewanego żelaza, solidnej wagi i o grubej rękojści. W kilka chwil szara gala-268

reta mieszańca spłynęła w ową latynoską kolację. Wyglądała tak samo jak ta sukina, i kiedy ją szkicowałem tę scenę, pomyślałem, że wszyscy ludzie są jedynie żalonymi workami mięsa, chrząstek i obrzydłych cieczy. Nasza ułuda czystości i szlachetności to największe z kłamstw, wiat tępni hipokryzji! fałszem, a odkręcanie kurków człowieczeństwa, by spuścić z niego płyny, jest najuczciwszym z czynów. Takie będzie moje przeznaczenie - postanowiłem - zwiastować Prawdę”.

Retzak po raz kolejny uciekł ze statku i na kilka miesięcy przepadł w Ameryce Południowej. Wrócił w końcu do Stanów, gdzie oddał się włóczędze; krał, dorywczo pracował na farmach, w kuchniach i recepcjach podłych hoteli. W wolnym czasie wdawał się

w bijatyki, nadużywał alkoholu, opium, marihuany i leków, uwodził i gwałcił prostytutki, kradł i zarzywał domowe i dzikie zwierzęta - dla kaprysu.

Zamordował kolejnych pięć osób.

Trzecia ofiara: matrona na spacerze z psem w Le Doux, w Missouri, na bogatych przedmieciach St. Louis. Wyszła nocš; spotkała przystojnego, postawnego młodzieńca, cišgnšcego za sobš psa.

Obserwowałem jš przez wiele dni, kawał był z niej suki, a ja podziwiałem jej figurę i jej chód, uważałem jš za kogo, kogo z przyjemności poznalbym w znaczeniu biblijnym. A potem owładnęła mnš žšdza, by co z tym zrobić, i ukradłem starego żółtego kundla spod domu w sšsiedztwie, tak starego i lepego, że nie bronił się wcale, kiedy przenosiłem go przez płot. Z kawałka sznura uczyniłem smycz i pospieszyłem sprawdzić, czy pójdzie za mnš, a on szedł, choć niezdarnie i co chwila przystajšc. Dałem mu sztukę mięsa, a on popatrzył na mnie tak, jak religijny głupiec mógłby patrzeć na Zbawiciela. Tamtego wieczoru zacząłem się pod domem suki, a ona wyszła, j ak zwykle, o dziewiętej, ze swoim puszystym małym utrapieniem na satynowej wstšżce. Kiedy wychodziła z domu, nuciła wesołš piosenkę i to rozпалиło mnie jeszcze bardziej. Poszedłem za niš w pewnym oddaleniu, aż weszła w ciemnš uliczkę, potem przyspieszyłem z pożyczonym kundlem na rękach. Kiedy byłem juž wystarczajšco blisko, postawiłem psa na ziemi i przeszedłem obok niej, zatrzymałem się kilka metrów dalej i udałem, że głaszczę kundla. Psi towarzysz sprawił, że uznała mnie za człowieka godnego zaufania i podeszła bez wahania. Juž po chwili gaworzyliśmy idiotycznie i wyczułem, że uważa mnie za džentelmena. Wymieniwszy ze mnš kilka uprzejmych uwag, odwróciła się, a wtedy opadł trzonek od siekiery, który ukryłem pod płaszczem. Galareta! Jej małe kosmate zwierzę zaczęło skamleć, więc na deser je rozdeptałem. Jego galareta przedstawiała się moim oczom nie innš niż jej i uznałem to za bardzo zabawne. Kiedy skończyłem rysować

269

owš scenę w moim zeszycie, zabrałem żółtego kundla, zaniósłem go kilkaset metrów dalej, do zagajnika. Patrzył na mnie z oddaniem, a ja skrzyłem mu kark. Sprawdziwszy, czy na pewno zdechł, kopnšłem truchło pod drzewo”.

Isaac wypucił z płuc powietrze. Oddech Klary był głony i miętowy. Isaac zawahał się, czy odwrócić stronę; wiedział, co tam znajdzie.

Numer cztery: czarnuch marynarz”, wyledzony, napadnięty i załuczony w zaułku w Chicago.

Pięć: Bezczelna prostytutka, chuda jak młoda dziewczyna; zarażona syfilisem”. Napadnięta w parku w Nowym Orleanie.

Szeć: Ohydny zboczeniec, mieszkajšcy w tym samym hotelu co ja, w San Francisco, widžc mnie, wydšł obrzydliwie wargi i obraził mnie tak powtórnie następnego dnia. Udałem, że bawiš mnie jego zaloty, zczekałem na bezksiężycowš noc i poszedłem za nim, gdy ruszył na ulice szukać tego, czego tacy jak on szukajš. Spotkałem go w cichym zaułku i zgodziłem się spełnić jego próbę. Pochylił się i spojrział na mnie tak jak tamten żółty pies. Kazałem mu zamknšc oczy i umierciłem sodomitę żwawo i skutecznie, używajšc trzonka siekiery, który ukradłem tego samego dnia rano. Odprawienie obrzędu mojego własnego pomysłu na jego zboczonej czaszce przysporzyło mi dužo radoci. Jego mózg wyglšdał pod każdym względem tak samo jak mózg normalnego mężczyzny”.

Wszystko zgadzało się idealnie.

Ale Retzakowi wcišż było mało.

Jadšc autostopem z San Francisco do Los Angeles, wędrowny morderca uznał, że potrafi juž narysować ludzkš twarz i sylwetkę. Rozstawiał sztalugi przy dworcu kolejowym i próbował zarabiać na życie, rysujšc karykatury turystów.

Jednakowož - pisał inspektor Teller -jeli posiadał jakš umiejętność rysunku, przeważała nad niš skłonnoć do oddawania innych ludzi jako sardonicznych, lubieżnie umiechniętych kreatur. Zwłazcza to, jak rysował oczy, często wzburzało ludzi, którzy mu pozowali, i odmawiano mu zapłaty. Retzak zachował te niesprzedane portrety; stały się owe prace przedmiotem dogłębnych analiz alienistów ze szkoły bostońskiej i wiedeńskiej”.

Kiedy kariera artystyczna nie wypaliła, Retzak znów zaczął krać i imać się dorywczych prac: kopał rowy, gotował, sprzštał w szkole, a nawet nosił przesyłki jako kurier w małym, niezależnym banku. Ni—



gdy nie podbierał pieniędzy z paczek, przyłapano go za to na kradzieży papieru i ołówków z miejsca pracy i zwolniono. Było lato i by nie płacić za kwaterę, Retzak zaczął sypiać na dworze, przy torach kolejowych i w parkach. Pieszce wędrowki zaprowadziły go do Elysian Park, gdzie od dziesiątek lat, w cieniu drzew istniał przytułek dla wojennych sierot chorych na gruźlicę i innych chorych dzieci. Retzak, zawsze czysty i uprzejmy, zwrócił na siebie uwagę pielęgniarek, kiedy tak siadał na ławce niedaleko miejsca odpoczynku dzieci i rysował. Ciekawość przyciągnęła do niego młodzież i opiekunów i już wkrótce Retzak zaczął rysować dla nich obrazki. Uznali go za przyjaznego, porządniejszego, młodego człowieka. Było to, oczywiście, najbardziej fałszywe z fałszywych wrażeń”.

Potrafiłem ze miechu wartę łatwocisz wcielić się w postać rozsądniejszego, zwyczajnego, głupio przyjacielskiego człowieka. Cały czas, nawet kiedy się umiechałem, paplałem i szkicowałem dyszące prosięta, w moim umyśle płonął ogień. Zastanawiałem się, czy nie zwabić jednego z nich w ustronne miejsce z dala od koryta, nie rozbić jego małego mózdzku o twarde ziemię, a potem przyglądać się, jak galareta wsiąka w piasek. Minęło kilka miesięcy, odkąd zaznałem rozkoszy mojej ulubionej zabawy, zdarzały się bowiem okresy, gdy starałem się od niej powstrzymać. W te smutne dni na duchu podtrzymywały mnie wspomnienia moich czynów. Ale później znużyła mnie sama nostalgia i wiedziałem, że przyszła pora na coś nowego i wieżego, na nowe wyzwanie. Dowiedziałem się wszystkiego, czego mogłem, o mózgowej galarecie i uznałem, że nie zadowoli mnie nic innego, jak tylko dokładne medyczne badanie, od czubka głowy po palce stóp. Strumień humorów, istny zalew ulgi miał mnie wynieść na nowe poziomy diabelstwa. Nie prosięcych humorów, lecz czego dojrzałego.

Wtenczas włanie moje oczy spoczęły na umiechniętych, rozpiewanych pielęgniarkach w białych, krochmalonych mundurkach, które opiekowały się małymi grulikami. Mój ulubieniec była zwłaszcza suka o włoskiej urodzie, zacnych kształtach i ciemnych oczach. Najwyraniej oziębła z natury, nie przyłczyła się do innych, gdy oglądali moje szkice. Wręcz przeciwnie, utrzymywała ostrożny dystans, spozierała na mnie zuchwale i zdawała się hołubić niechęć do sztuk pięknych.

Takie prostactwo nie mogło jej ująć bezkarnie. Postanowiłem dać jej nauczkę”.

Klara się wyprostowała.

- Przerazające, co?

- Kiedy ofiarowano tę książkę? - spytał Isaac.

271

- Czterdzieci lat temu. Doktor Graham był psychiatrą, sądowym biegłym. Umarł w 1971 roku. Jego synowie byli bogatymi bankowcami i dawali nam gratis książki, żeby odpisać je sobie od podatku.

- Muszę się dowiedzieć, kto ją wypożyczał.

- To by było pogwałcenie praw konstytucyjnych.

- Chyba że FBI szuka terrorystów. Klara nie odpowiedziała.

- Proszę - szepnął Isaac. - To bardzo ważne.

- Dokończ czytać.

Kiedy skończył, odbiła mu broszurę na ksero, a potem wyprowadziła go z czytelnii. Poszedł za nią do jej biurka w dziale bibliografii. Jaka kobieta w rednim wieku oglądała mikrofilm, tyłem do nich obojga. Nigdzie nie było widać Mary ani innych bibliotekarzy.

- Zaczekaj tam - Klara wskazała stertę pism.

Isaac posłuchał, wziął egzemplarz "The New Republic" i udał, że czyta. Tymczasem Klara usiadła przy komputerze i włożyła okulary. Napisała coś. Otworzyła okienko na ekranie.

Wydymając wargi, dotknęła prawej skroni. Rozejrzała się. Wróciła do Isaaca.

- O rany - powiedziała. - Ależ mnie rozboleła głowa. Muszę poszukać aspiryny, bo zwariuję. Wyszła, kołysząc się ładnie. Isaac podszedł do biurka.

46

roda, 26 czerwca, mieszkanie Petry, ulica Detroit przy Szóstej

Pielęgniarka - powiedziała. - Maria Giacometti. Jej morderstwo różniło się od innych. Było o wiele okrutniejsze. Bardziej brutalne. - Isaac instynktownie zamknął oczy, przypominając sobie masakrę. Otworzył je szybko, nie chcąc wyjść na mięczaka.

- Typowe, eskalacja. To, co kręci ich na początku, przestaje działać, więc robi się coraz gorsi - stwierdziła Petra.

272

Isaac o tym wiedział; znał nawet fachową nazwę- saturacja sensoryczna - ale nie widział powodu, żeby się na tę wiedzę powoływać. Siedział przy stole jadalnym Petry, a ona przeglądała broszurę.

Mieszkanie było schludne, czyste, nieduże. Pachniało lekko kobietś. Dokładnie tego się spodziewał.

Petra przewróciła kartkę.

- O, rany - powiedziała.

O siódmej poszła na kolację z Erikiem. Potem on pojechał do Camarillo, odwiedzić rodziców, zamierzał wrócić rano. Kiedy Petra przyszła do mieszkania tuż przed dziewiętnastą, na sekretarce zastała nagrany wiadomość od Barneya Fleischera. Isaac Gomez był na posterunku, bardzo chciał z nią porozmawiać, chyba był zdenerwowany. Poza tym, dodał Barney, jaki pajac od gangów z Central wypytywał o chłopaka.

Petra zadzwoniła do Gomezów, bardziej z jakiej matczynej powinności, niż spodziewając się czego konkretnego.

Kiedy telefon dzwonił, zastanawiała się, czy znów obudzi biednego brata Isaaca. Ale odebrał Isaac i kiedy usłyszał, że to ona, zaczął mówić, krzyczeć, z prędkości wiatła.

- Dzięki Bogu! Cały dzień próbowałem cię złapać!

- Detektyw Fleischer powiedział, że...

- Mam odpowiedź, Petra. Na dwudziesty ósmy czerwca, na prawidłowość, na motywy. Kto i dlaczego, wszystko. Kto będzie jego następnym - ofiarą.

- Kim jest ten on? Cisza.

- To Doeblers!

Isaac ciężko oddychał, niemal sapał.

- Zaczynaj od początku - poprosiła Petra.

Podjechała po niego pod jego dom o dziewiętnastej czterdziestu. Chodził w tę i z powrotem, wymachiwał swój szteczek, wskoczył do samochodu, zanim koła przestały się kręcić. W oczach odbijały mu się gwiazdy. Promieniał, był ożywiony. Musiała mu przypomnieć o zapięciu pasów.

Trajkotał jak najęty, a ona jechała z powrotem do domu. Z początku myślała o spotkaniu w restauracji, potem uznała, że potrzebuje pełnej prywatności. Zapraszanie Isaaca do siebie wykluczyłaby jeszcze przed godziną. Teraz wszystko się zmieniło. Trzeba zapomnieć o sprawach osobistych; to jej praca.

18 - Pokrętny umysł 273

Skończyła czytać broszurę.

- Gdzie masz listę?

Isaac wysił z teczki złożonš kartkę papieru. Wydruk z komputera Klary.

Teller, T.W.J. Grzechy szalonego artysty Przystępczoć, historia USA, Retzak O. Katal. Zb. Grahama, nr 4211-3

Pod spodem lista wszystkich, którzy chcieli rzucić okiem na broszurę.

Krótką listą:

4 wrzenia 1978, prof. A.R. Ritchey, Pitzer College

15 maja 1997, K. Doebbler, karta biblioteczna absolwenta.

Kurt Doebbler przeczytał tę makabreskę miesiŃc i trzynacie dni przed zamordowaniem swojej żony.

Szukał inspiracji? Czy bydlak trafił na broszurę przypadkiem, a potem postanowił naładować Ottona Retzaka?

Zapytała Isaaca, co o tym sŃdzi.

- Moim zdaniem wiedział o Retzaku juŃ wczesniej - powiedział Isaac. - MoŃliwe, Ńe przeczytał ksiŃŃkę gdzie indziej i chciał tylko odwieŃyć sobie pamieć.

- Gdzie jeszcze Doebbler mógłby zdobyć co tak rzadkiego?

- Ta broszura nie jest znów tak rzadka. Kiedy miałem juŃ nazwisko Retzaka jako słowo kluczowe, znów zajrzałem do Internetu. Rozmawiano o nim na kilku czatach na temat zbrodni, a broszurę ma co najmniej dwadziecia uniwersyteckich uczelni. Poza tym niedługo po jej pierwszym wydaniu przetłumaczono jŃ na francuski, wloski i niemiecki. Doebbler w mlodoci mieszkał w Niemczech.

- To by miało sens - zgodziła się Petra. - Mógł się na niŃ natknŃć przypadkiem, zastymulowała go, postanowił rzucić okiem po raz drugi.

Wstała i zaczęła krŃŃyć po małym salonie. Isaac patrzył na niŃ, nagle przestał i wbił wzrok w podłogę.

ZauwaŃyła to i zdała sobie sprawę z jego męskoci. Z tego, jak sama była ubrana. Luny czekoladowy sweter i czarne legginsy. Obcisłe. PodkrełajŃce kształtne uda bardziej, niŃby chciała, ale nikt nie mógł jej oskarŃyć o to, Ńe jest uwodzicielska.

Podchwyciła spojrzenie Isaaca. WyglŃdał jak skarcony uczeniak.

- Dobrze - powiedziała - ułóŃmy to sobie: Marta zdradzała Kurta, on się dowiedział, rozpalil w sobie gniew. Zawsze był zimnym, opanowanym człowiekiem, ale teraz jego panowanie nad sobŃ osłabiło. ZaczŃł wpadać w obsesję, przypomniał sobie ksiŃŃkę Retzaka ze swoich mló-274

dzieńczych lat, kiedy tak łatwo ulegał wpływowi. A moŃe był prawdziwym fanem zbrodni, wielu seryjnych nimi jest; trafiłe na co na tych czatach?

- Przejrzałem je tylko pobieżnie, szukałem jakiej wskazówki, Ńe Doebbler się na nich pojawia. Jeli tak, mnie nie udało się go znaleźć.

- Zajrzyjmy tam, sprawdzimy, moŃe co wpadnie nam w oko. Isaac pokręcił głowŃ.

- Czatów nie da się sprawdzić, bo odbywajŃ się w czasie rzeczywistym, nie sŃ zapisywane na twardym dysku. Zapytałem o to na wszelki wypadek specja od komputerów i on to potwierdził.

- Cholera. - Petra wyłamała sobie palce. - Dobrze, do rzeczy... Tak czy inaczej Doebbler przeczytał o Retzaku i pierwsze morderstwo Retzaka utkwilo mu w głowie: konkubina, która chłopaka wkurzyła. Zupełnie niespodziewanie Doebbler sam znajduje

się w roli wkurzonego męża i przygody Retzaka nabierają dla niego zupełnie nowego znaczenia. Zabójstwo Marty stało się czym więcej niż tylko zemstą. Doebbler przeżywał historię na nowo, wcielając się w postać prawdziwego potwora... -Pokręciła głowę. - Chciał być Ottonem II, więc zginęło siedmioro niewinnych ludzi. To wynaturzenie, ale ma sens... pasuje.

- Ofiary, których nic nie łączy, dodawały mu pewności siebie - stwierdził Isaac. - Dlaczego kto miałby go złapać? Petra się umiechnęła.

- Nie spodziewał się ciebie.

- Miałem szczęście. - Wzrok znów w podłogę. Rumieniec. Był uroczy, kiedy to robił. Petra chciała móc znaleźć dla niego genialną dziewczynę.

Siedmioro niewinnych ludzi.

Usiadła i przeczytała broszurę jeszcze raz. Chociaż inspektor Teller podszedł do opisu szczegółów z rezerwą, morderstwo Marii Giacometti przyprawiało o mdłości.

Retzaka znaleziono pod kalifornijskim dębem, niedaleko przytułku Elysian Park, z wnętrznociami młodej kobiety owiniętymi wokół szyi. Miał błogi wyraz twarzy, siedział po turecku jak jakiś jogin morderca. Nucił coś cicho, wyglądał jak w transie.

Przechodzący przez park włóczęga natknął się na niego i przerażony pobiegł zawiadomić policję. Nie trzeba było dużego dochodzenia; Retzak zostawił krwawy ład, wijący się od placu zabaw, na którym zabił pielęgniarkę, do drzewa.

- Wygląda na to, że zupełnie mu odbiło - powiedziała Petra.

- Dzięki Bogu. Wyobrażasz sobie następny raz?

275

Odłożyła broszurę na bok. Miała wrażenie, że głowa jej spuchła; serce waliło jak oszalałe.

- Siedem dla pana Retzaka. Jak dotąd sześć dla pana Doebblera - powiedziała. - A my się postaramy, żeby tak zostało.

Zrobiła im obojgu kawy i jeszcze raz przejrzała ostatni rozdział broszury. Opis ostatnich dni Ottona Retzaka; jego aresztowanie, proces i egzekucja trwały w sumie trzy tygodnie. Dobre, stare czasy.

Retzak poszedł na stryczek bez skruchy. Obwiecił swoją nienawić do Boga, ludzkości i wszystkiego, co wy, bezmózgie barany, uważacie za święte. Dajcie mi szansę wyjść stąd, a porozwalam wam wszystkim czerepy, pożrę wasze bebechy i urzęduję sobie przyjęcie we krwi i galarecie”.

- Zastanawiam się - powiedziała Petra - ile jest w tym mieście pielęgniarek włoskiego pochodzenia.

- Jeli Doebbler jest naprawdę pedantem, powinniśmy szukać pielęgniarki włoskiego pochodzenia, która zajmuje się dziećmi z chorobami układu oddechowego.

- To by zawężało poszukiwania. Chociaż to bez znaczenia. Lepiej zapobiegać niż leczyć. Zaczniemy obserwować Doebblera jutro rano. Nawet się nie zbliży do numeru siedem.

- Powiedz mi tylko, co mam robić.

Isaac nachylił się do przodu na kanapie. W swoim entuzjazmie le zrozumiał słowo zaczniemy”. Ua.

- Mówisz zaczniemy”, miałam na myśli policjantów. Nie mogę cię w to mieszać, Isaac. Mina mu zrzędała. Próbował nadrobić to pewnym siebie kiwnięciem głowy.

- Och. Pewnie, rozumiem. Nie będę aktywnie brał udziału, pojedę tylko z wami i będę obserwował. Na wypadek, gdybyście potrzebowali wolnej pary ręk albo gdybym mógł w czym pomóc.

Petra pokręciła głowę.

- Przykro mi. Jeste bez wątpienia głównym bohaterem tej historii, bez ciebie do niczego bymy nie doszli. Ale w żadnym wypadku nie wolno nam zabierać cywili na akcje o wysokim stopniu ryzyka. Zwłaszcza teraz. Mam wystarczająco dużo kłopotów, nie potrzeba mi więcej.

- To zupełny absurd - zdenerwował się Isaac. - Mam na myli to, że cię zawiesili. Selden zamordował tyle dzieci, a departament najbardziej przejmuje się jakimi proceduralnymi drobiazgami.

- Departament to organizacja paramilitarna; wykonuję rozkazy, więc jestem.

276

Przybrała maskę spokojnej, mądrej mentorki, ale sama gorączkowo się zastanawiała: kogo miałam na myli, mówiąc zaczniemy”?

Chyba siebie i Erica. Przykro mi, wielbny Bobie i Mary, potrzebuję waszego syna bardziej niż wy.

Eric byłby tu asem w rękawie. wietnie sobie radził z obserwacją, miał cierpliwość i... niskie tętno spoczynkowe. Ale tylko dwie osoby? obserwacja bardzo ograniczona, dobra wyłącznie w przypadku mało ważnych, stacjonarnych dyżurów. A jeli dom Doebblera ma tylne wyjście? Albo drań pojedzie zawiłš trasš, a oni utknš w korku?

Nie mogš go zgubić! Nie ma mowy! To nie wchodzi w grę!

Troje działałoby o wiele więcej niż dwoje. Troje zawodowców...

Zerknęła na Isaaca. Był załamany i próbował to ukryć. Czy mogła zaryzykować? W żadnym wypadku. Zwłaszcza że wydział gangów z kolei jego obserwował.

Może powinna go o to zapytać.

Nie, to kiepski pomysł.

Dlaczego nie?

- Co tam u Flaca Jaramillo? - spytała. Isaac zbladł. Omal nie spadł z kanapy. Chwila ciszy.

- Dlaczego pytasz?

- Ty mi powiedz, Isaac.

- Powiedz co?

- Co cię łączy z Flakiem Jaramillo.

Pozostał spokojny, ale rysy twarzy mu stwardniały. Wyostrzyły się nieprzyjemnie. Dłonie zacisnął w pięci i zaczął nimi obracać, napinając mięsie przedramion; żyły wyskoczyły na wierzch jak miniaturowe pytony. Miał grube ręce, sprężyste mięśnie; nigdy nie zwróciła na to uwagi. Potęga jego mózgu przesłoniła jej fakt, że Isaac był młodym, zdrowym mężczyzną w najlepszych swoich latach.

A teraz poruszyła co, co obudziło tę jego cielesność. Zastanawiała się, na ile się przed nią maskował.

- A więc to tak - powiedział.

- Jak?

- Kto z departamentu wypytywał o mnie na uczelni. Jaki Lucido, detektyw.

- Bobby Lucido. On i jego partner rozmawiali ze mną kilka dni temu. Oczy Isaaca rozblęły gniewem.

- Nie pomyślała, żeby mi o tym powiedzieć.

277

- Ani przez chwilę, przyjacielu. Bo nie wiedziałam, co kombinujesz. Dalej nie wiem.

- Idioci - wymamrotał. Zamiał się ochryplym, urywanym, wcale nie wesołym miechem. - Nie ty. Ale pracujesz z bandą bardzo głupich ludzi.

- Nie każdy może być geniuszem.

- Jezu, nie o to mi chodziło. - Stuknął się pięciś między oczy, czoło mu się zaczerwieniło.

- Majś zdjęcia, Isaac. Ramiona mu zeszywniały.

- Zdjęcia czego?

Teraz pogrżyłam się do reszty.

- Ciebie i dealera prochów łamane przez przypuszczalnego płatnego zabójcę, gawędzścych sobie w najlepsze w spelunie.

Skrzyżowała ręce na piersi.

Isaac próbował na siłę się rozlunąć.

Jego ciało posłuchało, ale oczy były za bardzo rozbiegane. Zupełnie jak u podejrzanego. Chłopak złamał klucz do sprawy, a teraz ona łamała jego. Czy życie naprawdę musi być takie trudne?

- Rozumiem, że mogło to prowadzić do błędnych wniosków - mruknął.

- Nie pieprz mi tu.

Zamrugnął oczami. Twardziel zniknął, został przestraszony dzieciak. Co jest prawdą, a co nie?

- Nie pieprzę - uparł się. - Ale nie dzieje się nic złego. Flaco i ja znamy się od dawna. Razem się wychowywaliśmy, pomagałem mu w podstawówce. Zanim poszedłem do Burton. Spotykamy się przypadkiem od czasu do czasu. Wiem, że ma kłopoty, ale ja nigdy nie miałem z tym nic wspólnego. Kilka dni temu zadzwonił do mnie, chciał się spotkać. Żeby mi pomógł w sprawach rodzinnych.

- Jakich sprawach rodzinnych?

- Jego matka jest chora. Na raka. To nielegalna imigrantka, nie podpada pod Medi-Cal. Flakowi wydawało się, że jestem już w szkole medycznej, pomyślał, że może uda mi się załatwić darmową opiekę lekarską. Zawsze taki jest, zawsze czego chce. Pojechałem się z nim spotkać, bo bronił mnie, kiedy bylimy dziećmi. Wyjaniłem, że nic nie mogę. Nie chciał mnie słuchać, nalegał. Obiecałem, że zobaczę, co się da zrobić. Kiedy wróciłem na uczelnię, zadzwoniłem do paru osób. Nic nie wskórałem. Powiedziałem mu to. I tyle.

- I tyle?

278

- Tak, do cholery.

- Nie roznosisz prochów? Zrobił wielkie oczy.

- Oszalała?

Nie odpowiedziała.

- Słowo, Petra. Przysięgam. Nigdy nie miałem nic wspólnego z prochami. Nigdy. A kiedy się dorasta w takiej okolicy jak ja, okazji

nie brakuje. Flaco to psychopata i przestępca, ale nie przyznamy się ze sobś. Tu chodziło o przysługę i tyle, i uważam, że to wariactwo, że kto mnie za to ledzi. Pewnie nie mogła mi powiedzieć wczniej, ale gdyby powiedziała, wszystko by się wyjaniło.

- Chora matka - powtórzyła Petra.

- Tak.

- To można bardzo łatwo sprawdzić.

- Więc sprawdzaj.

Ich oczy się spotkały; Isaac wytrzymał. Rozlunił pięci. Wyglśdał na zmęczonego.

- Były pytania o twojś teczkę - powiedziała Petra. - Flaco podszedł do baru, może wziśł co, co potem podał ci pod stołem. Isaac się zamiał.

- Teczka? Widziała mnie kiedy bez niej? Proszę, chcesz zajrzeć? Podniósł teczkę i podał jej. Modlił się.

- Nie, nie chcę - powiedziała Petra.

- Nigdy nie sprzedawałem narkotyków i na pewno nie jestem kurierem. Jezu, Petra, wyobrażasz sobie, co by się stało z mojś karierś na uczelni, gdyby mnie na czym takim przyłapali? - Zmarszczył czoło. -Co wciśż może się stać, jeli twoi durni koledzy nie dadzś mi spokoju. -Przygryzł wargę. - Może pora postarać się o adwokata.

- Rób, co uważasz za stosowne. Ale nie sśdżę, żeby jakikolwiek rozgłos wyszedł ci na dobre.

- To prawda. - Pokręcił głowś. - A to się porobiło.

- Jeli nic się nie stało, nie będzie problemu.

- Jak mam to udowodnić?

- Id na wykrywacz kłamstw. Jeli do tego dojdzie. Kiedy to wszystko się skończy, zrobię, co będę mogła, żeby ci pomóc. Dlatego dla twojego własnego dobra jest ważne, żebyś więcej już nikomu nie podpadła. Czy jest jeszcze co, o czym mi nie powiedziało?

- Nie. Twoje zawieszenie nie miało nic wspólnego ze mnś, prawda?

- Nie, to załatwiłam sobie sama, samiutka.

279

.^.^a^fck.J^B

Wstała -jeszcze trochę kawy; zaproponowała też dolewkę Isaacowi.

- Nie, dzięki.

- Co jeszcze na temat Doebblera? Pokręcił głowś.

- Zawiozę cię do domu - powiedziała.

- Mogę pojechać autobusem.

- Nie ma mowy, nie o tej porze. Przy okazji, ten siniak. Co się naprawdę stało?

- Tarmosiłem się z bratem. Nic poważnego, wiesz, jak to jest między rodzeństwem.

- Trochę jesteście za starzy na takie przepychanki.

- Isaiah to równy facet, Petra, ale nie ma w życiu lekko. Haruje jak wół, nie wysypia się.

- Kiedy ostatnio do ciebie dzwoniłam, obudziłam go, biedaka. Isaac się umiechnął.

- Mówił mi. Wstał, wziął teczkę.

- W porządku - powiedziała Petra. - Cieszę się, że oczyciliśmy atmosferę.

- Ja też.

Wyszli z mieszkania w ciepłą, czerwcową noc. Dwadzieścia pięć godzin do godziny mordy.

- Mówiłam poważnie, Isaac. Jeste bohaterem.

- Z drugiej strony, gdybym nie zauważył prawidłowości, nie musiałaby się o to wszystko martwić.

- Owszem, niewiedza może być błogosławieństwem. Ale ja wolę tak, jak jest.

47

Czwartek, 27 czerwca, 14.30,

Plexi-Tech Inc. Westridge Hills Advanced Industrial Park,



Wytwórnia plastiku - potężne, białe, pozbawione okien pudło na kapelusze trzy kilometry na północ od autostrady - otoczona była otwartym, niestrzeżonym, asfaltowym parkingiem. Na w połowie zastawionym

280

samochodami osobowymi, ciężarówkami i furgonetkami placu sporo było, tu i tam, pustych miejsc. Z pierwszych kilku rzędów widać było dobrze, choć z ukosa, mniejszy ceglany budynek po drugiej stronie ulicy.

Cegła w kolorze piasku. Lustrzane szyby w oknach, miejscami krzewy; czarne drukowane litery nad również lustrzanymi drzwiami głównego wejścia. Pacific Dynamics.

Miejsce pracy Kurta Doebblera było mniej zachęcające niż jego wielki sąsiad. Teren otoczony płotem z kutego żelaza. Przy wjeździe szlaban z terminalem na kartę kodową. Można było pod nim przejść, ale przejechać nie. Przed samym budynkiem nie było parkingu. Podjazd wił się w lewo i zakręcał za zachodni róg. Kiedy infimti Doebblera skręci, nie będzie go widać. Cholera.

Petra zastanawiała się, czy nie wejść od tyłu do budynku, kiedy na podjeździe pojawiła się wysoka kanciasta sylwetka Doebblera; szedł wolno, jakby z wahaniem; długie chude nogi. Bładozielona koszula z krótkimi rękawami, brązowe spodnie i białe adidasy. Do tego okulary w czarnej oprawce. W jednym ręku torebka z Dunkin Donuts, w drugim metalowa kasetka. Swobodne ruchy - facet był chodzący reklamą Kanału Komputerowców.

Ale nie było w nim nic miesznego. Petra patrzyła, jak Doebbler podchodzi do głównego wejścia Pacific Dynamics i znika w rodku.

To było o dziewiętej trzydzięci. Teraz, pięć godzin później, nic się nie działo; Petra i Eric tkwili na przeciwległych krańcach parkingu firmy Plexi-Tech, pili kawę i przeżuwali zeschnięte kanapki, które ona przygotowała. Porozumiewali się przez komórki.

Przydałyby się im te zmyłne, trudne do zakłócenia dwukierunkowe krótkofalówki, w które właśnie zaopatrzył się departament.

Przydałoby się też oficjalnie usankcjonowane dochodzenie w sprawie Kurta Doebblera.

Dzień był słoneczny i gorący. W powietrzu unosił się chemiczny zapach; mimo upału niebo zasnuwane było cienką, szarą kopułą chmur. Petra zadzwoniła poprzedniego wieczoru do rodziców Erica, tuż przed północą, kiedy już odwiozła Isaaca do domu. Chłopak był wyranie załamany tym, że wykluczyła go z obserwacji, ale wybrnął z tego z fasonem. Petra obiecała sobie, że kiedy będzie już po wszystkim, wyjani nieporozumienie wynikłe z kontaktów Isaaca z Flakiem Jaramillo.

Eric nie odebrał od razu i zaczęła się zastanawiać, czy nie poszedł już spać. Zazwyczaj nie kładł się do późna, ale wielebny Bob i Mary Stahlowie kładli się wcześniej, więc może zrobił to, co oni.

281

Spał wciśz w swoim dawnym dziecięcym pokoju w skromnym domu w Caramillo. Wród plakatów, proporczyków i sportowych trofeów, które zachowali jego rodzice. Wród odznaczeń wojskowych, które chciał wyrzucić, a które jego mama powiesiła na korkowej tablicy.

- Czeć - powiedział, kiedy Petra już miała się rozłszyć.

- Obudziłam cię?

- Nie, nie pię.

- Przepraszam, że cię wycięgam, ale chyba co drgnęło z dwudziestym ósmym czerwca. - Opowiedziała mu o Ottonie Retzaku i o Doebblerze, wskrzeszającym morderstwa sprzed stu lat.

- Kiedy będę ci potrzebny? - spytał Eric.

Następnego dnia spotkali się za piętnacie siódma przy budce z taco na Reseda Boulevard, półtora kilometra na północ od Yentura. Pięć minut jazdy z domu Doebblera na Rosita.

Eric, nieznanym ciganemu, był oczywistym kandydatem do obserwacji z bliska. Pojechał swoim jeepem na północ, znalazł szary dom, minął go, zawrócił i stanął w cieniu drzewa. Osunął się nisko za kierownicę, osłonięty szybami przyciemnionymi o wiele bardziej, niż zezwala na to prawo.

Cicha okolica; minęło go kilka smukłych kobiet uprawiających jogging, z podjazdów wyjeżdżały nowe modele zagranicznych sedanów, którymi mężczyźni w garniturach jechali do pracy. Jeep był czarny, nie rzucał się w oczy, pasował tu idealnie. Gdyby kto pytał, Eric miał przygotowanych kilka historyjek. I odznakę, gdyby aż do tego doszło.

Nie doszło.

Petra zajęła pozycję na południowej Yentura, po wschodniej stronie ulicy, gotowa ledzić Doebblera, gdyby ten pojechał do szosy numer 101 albo skręcił w bulwar. Najprawdopodobniej skręciłby w lewo: do Pacific Dynamics było stąd trzydzieści pięć kilometrów na zachód.

O ósmej piętnacie zgłosił się Eric:

- Doebblerijegocórkawsiadajšdoinfiniti... Cofa, jedzie na wschód. Jeżeli szkoła nie jest gdzie na wzgórzach, niedługo powinien cię minąć. Zajrzę szybko za dom i cię dogonię.

Kilka minut później sedan Doebblera przejechał na zielonym wietle przez Yentura. Petra przepuściła dwa następne samochody, zanim sama ruszyła. Doebbler minął zjazd na autostradę, pojechał na północ aż do Riverside, skręcił w lewo, przeciął cztery przecznice, potem odbił w prawo. Jeszcze trzy przecznice i infiniti zatrzymał się w rzędzie samocho-282

dów przed Akademiš West Yalley. Policjant na przejściu dla pieszych kierował ruchem poruszającej się powoli kolejki wozów. Erica ani ladu. Petra postanowiła do niego zadzwonić i powiedzieć, gdzie jest. Kiedy jednak sięgnęła do przycisku szybkiego wybierania, w lusterku zobaczyła czarnego jeepa. Kto inny? Nie, przyciemnione szyby i zakurzona kratownica chłodnicy... to Eric. Minął jšjakby nigdy nic, przejechał wzdłuż kolejki i zniknął.

Petra zaparkowała, nie spuszczaając oka z Doebblera. Infiniti łatwo było wypatrzeć: samotny sedan w przesuwającej się zrywami paradzie limuzyn. Szczupłe, ładnie uczesane mamy w wielkich mechanicznych behemotach wysadzały dobrze odżywione dzieci w szkolnych mundurkach, rozmawiając przez komórki. Uczniowie nosili białe koszule; chłopcy oliwkowozielone spodnie, dziewczynki oliwkowozielone kraciaste spódnice.

Obok przejechało niebieskie volvo C-70. Za kierownicę siedziała ruda blondynka - Emily Pastern. Na tylnym fotelu kabrioletu gromadka dzieci. Petra zsunęła się niżej w fotelu.

Policjant machnął ręką. Doebbler podjechał do przodu.

Akademia była małym budynkiem o dużej renomie, wyglądała jak zaadaptowany na szkołę apartamentowiec z lat pięćdziesiątych. Porodku niewielki trawnik, całość otoczona wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza. Dzieci zgarbione pod ciężkimi torniŝtrami były wszystkie białe, wiele miało jasne włosy. Infiniti dojechał do bramy i Katia Doebbler, wysoka jak na swój wiek, o długich prostych włosach zwiŝszanych w kucyk, wysiadła i weszła przez bramę na teren szkoły, nie mówiąc ani słowa i nie oglądając się ani razu na ojca.

Smutne dziecko. Niedługo będzie jeszcze smutniejsze.

Doebbler ruszył ulicę prosto przed siebie. Sekundę później zadzwonił Eric.

- To lepa uliczka, będę musiał zawrócić.

- Ja go przejmę - powiedziała Petra.

Emily Pastern wysadziła swojąstrzódkę i wysiadła, żeby porozmawiać z matką którego z dzieci. Petra wrzuciła bieg, czekając na Doebblera. Dostrzegła go, kiedy przejeżdżał obok niej, niewiadomy, że kto go ledzi. Siedział wyprostowany i patrzył przed siebie. Okulary na nosie, zdecydowanie zarysowana szczęka. Twarz bez wyrazu.

Obie ręce na kierownicy. Doskonała pozycja, dłonie na dziesiątej i trzeciej.

Z powrotem na Reseda. Jadący do pracy zakorkowali dwie przecznice na północ od Yentura Boulevard, ale Ericowi udało się nie ugrzęznąć i kiedy Doebbler skręcił na zachód, jeep jechał trzy samochody za nim.

Oba wozy sunęły pasem wolnego ruchu. Ze rodkowego, pięć samochodów w tyle, Petra obserwowała Erica: utrzymywał stały dystans, nie zwracał na siebie uwagi do tego stopnia, że wydawał się niewidzialny. Jego styl jazdy był pozbawionym wysiłku, jedwabnicie gładkim baletem; nigdy nie tracił celu z oczu. Jej mężczyzna miał wdzięk.

Jej mężczyzna.

Rozemiała się głono. Nie spodobał jej się dźwięk własnego miechu.

- Och, zamknij się - powiedziała.

Doebbler zamienił podróż do Westlake Yillage w spokojną, powolną przejażdżkę. Trzymał się Yentura, zatrzymywał na każdym żółtym wietle, pozwalał się wyprzedzać innym kierowcom, przepuszczał na pasach pieszych.

Nie chciał się dać zamknąć za łamanie przepisów. Miał wielkie plany na wieczór.

Niecały kilometr od swojej pracy Doebbler zatrzymał się przed Dunkin Donuts, wysiadł, kupił ciastka, wyszedł z torebek.

niadanie z fast foodu? Kto by pomyślał!

Wrócił do samochodu z tym samym wyrazem twarzy robota.

Upiorne; naprawdę wystarczy, żeby co le kontaktowało w głowie?

Rozejrzał się pobieżnie dookoła, wsiadł do infiniti i podjął swoją powolną wędrówkę przez szeroki, skąpany w słońcu zachodni kraniec Yal-ley.

Pięć godzin i osiemnacie minut nudy.

Przez cały ten czas dwa wydarzenia.

O dziesiątej czterdziestu Eric przeszedł przez ulicę do Pacific Dynamics i pod szlabanem na parking. Idąc ladem infiniti, zniknął za zachodnim rogiem budynku i nie wracał przez dziesięć minut.

Potem pojawił się znienacka przy oknie samochodu Petry.

- Rampa załadunkowa, zamknięta na zasuwę od zewnątrz, wygląda na nieużywaną. Piętrowy parking, parter zabudowany, góra otwarta. Doebbler zaparkował na gorze. Jeli wyjedzie, będzie musiał wrócić tą samą drogą, którą tam wjechał.

- A jeli wyjedzie pieszo?

- Z-tyłu jest pięciometrowy mur. Po drugiej stronie jaki magazyn. Tamtędy nie wyjedzie, chyba że trenuje wspinaczkę. Jeli wyjedzie, zobaczymy go.

O jedenastej piętnacie Petra zrobiła sobie przerwę na toaletę; cofnęła się aż do Yentura, zanim znalazła zachęcający wyglądem bar. Skoro już tam była, kupiła sobie na wzmocnienie frytki. Dla Erica też; zaryzykowała krótki sprint do jego jeepa, żeby mu je dać.

Kilka chwil później, kiedy tylko wsiadła do własnego samochodu, z Pacific Dynamics wyszły trzydziestu trzy osoby w małych, rozgadanych grupkach; wszyscy wsiedli do swoich samochodów i odjechali. Dwudziestu pięciu mężczyzn, większość w koszulkach z krótkimi rękawami, jak Doebbler. Osiem kobiet, ubranych równie swobodnie.

Przerwa obiadowa. Ani ladu ich obiektu.

- Może je pączki - powiedziała Petra. - Ładuje się węglowodanami na ciężki wieczór. Głos Erica w słuchawce był cichy.

- Praca przy biurku pasowałaby do tego typu osobowości.

Dotyczyło to również samego Erica. I Petry.

Zerknęła dwa miejsca dalej, gdzie stał zaparkowany jeep.

- To trochę dziwne, że muszę z tobą rozmawiać w ten sposób. Co powiesz na seks przez telefon?

- Proszę bardzo - odparł. - Ale byłaby to tylko rozgrzewka przed prawdziwym.

O trzeciej dwadzieścia Doebblera wciśz nie było. Na wszelki wypadek, żeby się upewnić, że go nie zgubili, Eric zadzwonił do niego do pracy. Doebbler odebrał.

- Pan Doebbler?

- Tak.

- Mówi Dwayne Hickham z New Jersey Life. Czy zastanawiał się pan nadubezp... Klik.

- Sympatyczny gość - mruknęła Petra. Eric nie odpowiedział.

O trzeciej pięćdziesiąt trzy zadzwonił jej telefon. cierpł jej tyłek, z głodu bolała głowa, a pęcherz prawie już pękł. Widok za przednią szybą przypominał nieciekawą obraz olejny. Co Eric mógł mieć do powiedzenia?

Odebrała.

285

- Co tam?

- Detektyw Connor? - zapytał wesoły głos. Z niemieckim akcentem.

- Komisarz Bandorffer.

- Tak, tu Klaus. Pomyślałem, że to dobra pora, żeby do pani zadzwonić.

- Dobra, proszę pana. Co słyhać?

- Słyhać to, że trafiłem w naszych archiwach na coś interesującego. Nie jest to seryjne morderstwo, w ogóle to nie jest morderstwo. Napad. Ale doszło do niego dwudziestego ósmego czerwca, a szczegóły daj się do mylenia.

- Którego roku? - spytała Petra.

- Siedemdziesiątego dziewiętego. Gudrun Wiegeland, młoda kobieta, dekoratorka w jednej z naszych najlepszych cukierni, została zaatakowana, kiedy wracała do domu. Pracowała nad skomplikowanym tortem weselnym, wyszła z pracy tuż przed północą. Dwie przecznice od domu ktoś złapał ją od tyłu za szyję, przewrócił na ziemię, odwrócił na brzuch i zaczął kopać po żebrach. Potem poczuła straszny ból w potylicy. Napastnik wciśz był za nią, więc niestety go nie widziała. Obrażenia były poważne. Trzy złamane żebra, urazy organów wewnętrznych i pęknięta czaszka. Była nieprzytomna przez dwa dni, a kiedy się obudziła, nie miała policji nic szczególnego do powiedzenia. Złożyłem jej dzisiaj wizytę. To wystraszona kobieta w rednim wieku, mieszka z matką starszą niż żyje z zasiłku. Rzadko wychodzi z domu.

- Biedaczka.

- Fraulein Wiegeland miała opinię rozrywkowej dziewczyny i nasi ludzie podejrzewali byłego kochanka, cukiernika z problemem alkoholowym. Często się publicznie kłócili. Ale cukiernik umiał udowodnić, gdzie wtedy był, i sprawa pozostała nierozwiązana.

Sprawdziłem, że ten pani Doebbler i jego rodzina mieszkali w tym czasie w amerykańskiej bazie.

- Ile wymierzono ciosów w głowę? - spytała Petra.

- Jeden - odparł Bandorffer.

- Nasz chłopiec wali ofiary kilkakrotnie.

- Może spanikował. Był młody i niedowiadczony. Jeli to wasz chłopiec.

Dwadziecia cztery lata temu Kurt Doebbler miał osiemnacie lat.

Ten potwór faktycznie trafił na księżkę Tellera jako młody chłopak i co przestawiło mu się w głowie.

Szalejsze hormony. Seksualna niepewność.

Dysfunkcja jakiego nerwu, Bóg wie, co jeszcze.

Knuł i planował, ale pierwszy napad nie skończył się morderstwem. Czy na porażkę zareagował osiemnastoletniś przerwś?

286

Czy wręcz przeciwnie?

Inne miasta, inne czerwce. Sama myl przyprawiała o mdłoci. Tak czy inaczej zdrada Marty była katalizatorem. Rozpaliła - albo podsyciła -jego wewnętrzny ogień.

- Dziękuję, panie komisarzu - powiedziała Petra.

- Cała przyjemność po mojej stronie, pani detektyw. Proszę dać mi znać, jeli znajdzie pani jakie rozwieżanie. Bandorffer odłożył słuchawkę. Isaac znów trafił, pomyłała Petra.

48

Czwartek, 27 czerwca,

pokój numer 19, zajazd Casa Figueroa

## Figuroa przy Jefferson Boulevard

Jest po prostu cudownie - powiedziała Klara. Zsunęła przecieradło do pasa, przesunęła dłońmi po miękkich, białych, piegowatych piersiach, szczytnęła swój różowy sutek i z zadowoleniem popatrzyła, jak nabrzmięwa. Sięgnęła do poobijanej szafki nocnej, wzięła kieliszek z winem i upiła łyk.

Butelka chardonnay za piętnacie dolarów; uparła się, że to ona zapłaci.

Isaac leżał na plecach obok niej, wpatrzony w dziurawy, połatany gipsem sufit. Przyglądał się brązowemu zaciekowi w miejscu, gdzie przeciekał klimatyzator. Kleks wyglądał jak z testu Rorschacha...

- Prawda? - powiedziała Klara, mocząc palec w winie i przesuwając nim po jego górnej wardze. - Że cudownie? Kiwnął głowę. W tej pozycji oznaczało to kiwanie sufitowi. Klara nachyliła się i ugryzła go lekko w ucho.

- Pięć minut temu miała w sobie więcej entuzjazmu, mój drogi. O wiele więcej. Powiedziałabym, że był jak wulkan.

Isaac się umiechnął. Brązowy zaciek miał wyrany kształt. Dwa niedwiedzie, duży i mały, stojące tyłem do siebie. Albo tańczące. Jak to wiadczy o jego podwiadomości?

- Mój osobisty Wezuwiuszu. - Klara sięgnęła ręką w dół. - Jeste gotów na następny erupcję?

287

Piekł go członek i bolała głowa, ale Klara była naprawdę niezła i drugi raz wyszedł bardzo dobrze.

- Pora na prysznic - powiedziała i, kołysząc biodrami, poszła do łazienki, obnosząc się z obfitości swojego ciała, niespieszona pulchną talią, obwisłymi piersiami i skupiskami cellulitu. Isaacowi bardzo się to spodobało i kiedy go zawołała, dołączył do niej. A gdy wciśnęła go pod prysznic, by głęboko pocałować, zupełnie nie miał nic przeciwko.

Kabina prysznicowa była chyba z włókna szklanego, tak samo jak ta, którą Isaac miał w domu, ale nie tak czysta. Klara namydliła go energicznie, przykładając jego dłonie do swoich liskich, delfinich kręgłoci, odrzuciła głowę i zamiała się w strumieniu wody.

- Udawajmy, że to wodospad - zawołała. - W jakim egzotycznym kraju, gdzie jesteśmy tylko my dwoje.

Umył jej włosy szamponem z podróźnej buteleczki, którą przywiozła, wycisnął rude loki i owinął je ręcznikiem. Wrócili do podwójnego łóżka z lampą plazmową na drobne monety, przynitowaną do wezgłowia z imitacji drewna.

Tandeta. Isaac był zaskoczony, jak bardzo mu się to podoba.

Sam nie wiedział, kiedy do tego doszło, ale w jaki sposób stał się kim innym. Człowiekiem, którego sobie wyobrażał, kiedy kochał się z Klarą.

Jurnym latynoskim buhajem, śpijącym z chętną, ognistą włosą kobietą. Na schadzce w tanim, klaustrofobicznie ciasnym pokoiku z zasłonami poprzypalanymi papierosami, z cienką, wytartą wykładziną cuchnącą grzechem, piwem i rozpuszczalną kawą.

Casa Figueroa. Dwie kondygnacje szarych cian w kolorze błota, nakrytych imitacją dachówki. Trzydzieci dwa pokoje wychodzące na basen w kształcie nerki, z osobnymi wejściami do każdego. Klara zapłaciła kartą, wzięła klucz od recepcjonistki ze sztucznym kokiem i kołysząc biodrami, poprowadziła Isaaca po schodach.

Ani ladu wstydu. Było mu dzięki temu łatwiej. Mimo to, gdyby zobaczyła go matka albo kto z kocioła...

To Klara wszystko zaplanowała. Załatwiła opiekunkę dla swojej zdolnej córki, przyniosła wino, prezerwatywy i ćwierćdolarówki do wibrującego łóżka.

I batonik, który przełamała na pół.

- Deser, mój drogi? Oboje zaczęli jeść.

- Tuczšce - powiedziała Klara, oblizujšc usta z czekolady. - Ale naładowane teŹ dobrymi rzeczami, na przykład przeciwutleniaczami. ZasłuŹyliŹmy na odrobinę zabawy. W koŹcu rozwišzalimy powaŹnš sprawę.

Znalazła go o osiemnastej w bibliotece, pracujšcego nad swoimi danymi i starajšcego się nie myleć, co robi Petra. Podeszła do niego, wzięła go za rękę i wsunęła jš sobie pod sukienkę.

Nie miała majtek.

Isaac się zaczerwienił. Klara wiedziała, Źe go ma, i umiechnęła się psotnie.

- Proszę spakować ksišŹki, drogi panie, wychodzimy.

Obejrzeliz dwadzieciz minut okropnego programu na USA Network; Klara tymczasem czesała włosy.

- Pora do domu, mój słodki - powiedziała, kiedy zaczęły się reklamy. - Domowe obowišzki i tak dalej. Powtórzymy to jeszcze. - Wepchnęła mu w usta język słodki od czekolady. -I to niedługo.

Gdy Isaac odprowadzał jš do samochodu, powiedziała:

- To naprawdę fantastyczne. To, jak rozwišzalimy zagadkę tych wszystkich morderstw. Pomył tylko, Isaac. Takie mole ksišŹkowe jak my okazały się prawdziwymi detektywami.

- Najwięszym detektywem jeste ty, Klaro. Klepnęła go lekko w ramię.

- SkšdŹe znowu! Byłam tylko narzędziem twojego intelektu. Doszli do samochodu. Klara oparła mu głowę na ramieniu i Isaac wyczuł, Źe potrzebuje więcej pochwał.

- Klaro, nic bym bez ciebie nie zdziałł.

Stała przytulona do niego na ciemnym motelowym parkingu. W koŹcu wyprostowała się i otworzyła samochód.

- Czytałam to jeszcze raz - powiedziała. - Tę straszńš ksišŹeczkę. -Zadrzała. - Jak kto moŹe być aż takim potworem? Isaac wzruszył ramionami.

- Pytam powaŹnie - naciskała, - Jak co takiego wytłumaczyć?

- Retzak twierdził, Źe był molestowany.

- Wielu ludzi jest molestowanych, ale tak nie koŹczš.

- To prawda.

Klara wzięła go za rękę i zaczęła się bawić jego palcami.

- Wiem, Źe musisz być dyskretny i w ogóle, ale czy ten facet, ten, na którym skupia się policja, czy on był molestowany? Bo muszš być jakie paralele, prawda? Międyz nim i Retzakiem. W przeciwnym razie dlaczego by go naładował?

19 - Pokrętny umysł

- Nie wiem - odparł Isaac. - W ogóle niewiele o nim wiem.
  - Jedno wiemy na pewno. Jest zły. A ty przyczyniłeś się w dużym stopniu do usunięcia go z ulic miasta.
  - Policja to zrobi.
  - Miejmy nadzieję, że potrafi. Bo muszę ci powiedzieć z własnego dowiadczania, że nie zawsze tak jest. Raz, kilka lat temu, w mojej okolicy było włamanie do ssiadki, samotnej kobiety, i policja tylko spisała raport.
  - Detektyw prowadzący tę sprawę jest wietny - owiadczył Isaac. Obronnym tonem.
  - Mam nadzieję. Tak czy inaczej, jak będziesz mógł mi opowiedzieć więcej, opowiedz, bo cała ta sprawa mnie fascynuje. Skończyłam historię w Smith, ale zawsze ciekawiła mnie psychologia. To, co zmienia ludzi. To największa tajemnica, prawda? - Poglaskała go po twarzy. - Którego dnia zostaniesz lekarzem. Nie psychiatrą, ale kto wie, może będziesz umiał jako to wytłumaczyć.
  - Na razie wystarczyłoby mi, gdybym skończył doktorat.
  - Skończysz. Masz charakter, a ludzie z charakterem kończą to, co zaczynają. - Otworzyła drzwi samochodu, ujęła jego twarz w obie dłonie. - Wierzę w ciebie, Isaacu Gomezie. Nie Kocham cię i nigdy nie pokocham. Ale bardzo cię lubię. Możemy zostać przyjaciółmi?
  - Już nimi jesteśmy.
- Jej oczy zwilgotniały. Prawe mrugnęło.
- Czas wracać do domu i znów być mamą. Ale będę myśleć o wulkanach.



Czwartek, 27 czerwca, 21.21, dom Doebblera, Rosita Avenue, Tarzana

est. - Szept Erica był ledwie słyszalny w słuchawce telefonu.

- Co robi? - spytała Petra.

- Czyta jakie pismo i ćwiczy rękę.

- Ćwiczy rękę?

- Sprężynś do ciskania. I czyta.

- Ćwiczy przed swoim popisowym wieczorem. Widzisz jakś broń?

290

- Nie.

- Pewnie trzyma jś w którym z samochodów - powiedziała Petra. -A Katia?

- Tu jej nie ma.

- Pewnie jest na górze. Kiedy z nim rozmawiałam, cały czas tam siedziała. Wyglśda na spiętego?

- Nie bardzo.

- Normalnie?

- Bez wyrazu.

- To włanie u niego normalne.

Petra wyłączyła telefon i wywietlacz zgasł. Aparat miał dwie linie, ale tylko jedna była otwarta i ustawiona na alarm wibracyjny. I to tylko dla Erica. Telemarketerzy przeszkadzali im tak często, że oboje postanowili przekierować wszystkie rozmowy oprócz swoich na numery stacjonarne. Wymagało to trochę pracy, ale mieli tego samego operatora i o ósmej trzydziści byli już połączeni. Co pół godziny każde z nich sprawdzało wiadomości, żeby mieć pewność, że niczego nie przeoczyło. Ostatni raz był dziesięć minut temu: kilka reklam i telefon od brata Petry, Brada. Nic ważnego, chciał tylko pogadać. Mogła oddzwonić jutro.

Kiedy będzie już po wszystkim.

Poprawiając się w fotelu kierowcy, napiła się wody z butelki i zjadła kilka skittlesów, nie spuszczając wzroku z szarego domu. Tym razem miała mocne postanowienie wypatrzeć Erica wychodzącego z podwórka i idącego do swojego jeepa.

Stała piętnacie metrów od drzwi Doebblera, przodem na zachód, a jeep kawałek dalej, już za zasięgiem wzroku, przodem na wschód. Gdziekolwiek Doebbler by pojechał, które z nich zawsze by go przejęło.

Kilka drzew, ale na ciemnej ulicy widoczność była niezła. A ogrodzenia uniemożliwiały ucieczkę podwórkami.

Doebbler musiał się pokazać.

Ponad dziesięć godzin i nic. Mózg Petry zaczynał się rozsychać nieużywany.

O szesnastej trzydziści Kurt Doebbler wyszedł z Pacific Dynamics razem z garstkś innych pracowników. Podjechał do Dominos po pizzę, potem pojechał po Katię; wyrobił się tuż przed piśś. O tej godzinie Akademia West Yalley wyglśdała na zamkniętś, ale kiedy Doebbler zadzwonił, ponura Katia pojawiła się przy bramie w towarzystwie siwowłosej nauczycielki, która j ś wypuciła.

Mieli tam wietlicę. Nauczycielka umiechnęła się i powiedziała co do Doebblera, który odszedł bez słowa. Nie rozmawiał z córčkś,

kiedy szli

291

do infimti. Plecak Katii wyglądał na ciężki. Doeblers nawet nie próbował go od niej wziąć.

Pojechali prosto do domu, dotarli o piątej dwadzieścia pięć. Doeblers podszedł do drzwi tym swoim dziwnym krokiem, spory kawałek przed Katiś, i zamknął pilotem samochód, nawet sienie oglądając. Dziewczynka podbiegła, żeby dogonić ojca, a on otworzył jej drzwi i wpucił do domu.

Zabrał pocztę ze skrzynki przybitej na cianie przy drzwiach i przejrzał koperty na zewnątrz. Nie zerknął nawet na ulicę, wszedł do rodka i zamknął drzwi.

Dlaczego miałyby się denerwować? Uchodziło mu płazem przez sześć lat.

Od tamtej pory nie pokazał się ani on, ani jego córka, a oba samochody stały na podjeździe. O dziewiętej Petra i Eric doszli do wniosku, że które z nich powinno zajrzeć od podwórka, na wszelki wypadek, żeby się upewnić, że ich cel nie wymknął się na piechotę.

Padło na Erica.

Zegarek Petry wskazywał dziewięć dwadzieścia osiem. Erica nie było już osiem minut, wciąż się nie pokazał. Co go zatrzymało?

Telefon zawibrował.

- To znowu ja.

- Gdzie jeste?

- Z powrotem w samochodzie.

- Wpatrywałam cię. Jak ty to, do cholery, robisz?

- Co robisz?

- Panie Niewidzialny. - - Po prostu szedłem.

- Jasne, mistrzu ninja.

Żartowała, ale drażniło ją, że go nie zauważyła. Czyżby się zamyliła, choć bardzo starała się skupić? Boże, nienawidziła obserwacji, erodowało od tego IQ.

- Co tak długo?

- Patrzyłem.

- Co nowego?

- Nie.

Piekło to na pewno cała wieczność obserwacji.

Rozłszyli się i Petra zjadła jeszcze kilka draży. mierć mózgu i rozkład zębów. Do godziny zero co najmniej dwie i pół godziny, a Doeblers siedzi sobie w swoim fotelu, czyta pismo i ćwiczy ręce.

292

Co, ostatni numer Nowoczesnego Mordercy”?

Pracuje nad siłš ucisku. Może to znaczy, że jednak się denerwuje.

Dwie i pół godziny. Ułożył tak dokładny plan, że nie musi wczesniej wychodzić?

Upatrzył już sobie ofiarę. Pielęgniarkę. Kogo, kto opiekuje się dziećmi. Może chorymi na płuca. Może Włoszkę, jeli aż tak dokładnie naladował Retzaka.

Petra sprawdziła już, że w Elysian Park nie ma szpitala. Chore dzieci... pierwsze, co przychodziło na myl, to Dziecięce Centrum Medyczne Western Peds, w Hollywood. Niedaleko parku, Petra domylała się, że to dla Doebblera musi być kuszące.

O tej porze do Western Peds z Tarzany jechało się autostradš co najmniej pół godziny, pewnie nawet dłużej, więc Doebbler rzeczywiście grał na styk.

Petra znała godziny pracy szpitalnych zmian, bo tam trafił Billy Straight, a ona spędziła dużo czasu przy jego łóżku. Popołudnia: od trzeciej do jedenastej. Czyli dzienne pielęgniarki wychodziły do samochodów między jedenastš i jedenastš trzydzieci, w miarę, jak do pracy przychodziła nocna zmiana. Między szpitalem a parkingami kręciło się wtedy dużo kobiet.

Wschodnie Hollywood, zapuszczone, boczne uliczki. Nie najciekawsza okolica, niezbyt ciła ochrona, ale odkšd Petra pracowała w Hollywood Division, nie słyszała, żeby były tam jakie poważne problemy.

Jak Doebbler wybierze ofiarę wśród tylu kobiet?

Już j š wybrał.

Minęło pięć minut. Dziesięć, piętnacie, w szarym domu wcišz nic. Wycieczka do Hollywood stawała się coraz mniej prawdopodobna, więc Petra uznała, że pewnie pomyliła się co do Western Peds. To nic, w mieście jest na pewno dużo oddziałów pediatrii.

Czas uciekał, więc Doebbler pewnie mierzył bliżej domu. Gdzie tu, r w Yalley.

Northridge Hospital jest piętnacie minut drogi stšd, nawet krócej przy małym ruchu, pomylała. Czy pielęgniarki z Northridge pracujš w tych samych godzinach, co personel Western Peds?

Zadzwoniła do Erica, uprzedziła go, że jej linia będzie przez kilka minut zajęta, i połączyła się ze szpitalem. Nocny dyżurny potwierdził: od trzeciej do jedenastej.

Doebbler miał aż nadto czasu. Petra nie wiedziała, jak wyglšda parking w Northridge.

I nie miała pewności, że to będzie Northridge.

293

Yalley jest duże. Kiedy Doebbler wykona swój ruch, pozostanie jej improwizacja. Jak zwykle.

50

Czwartek, 27 czerwca, 22.59, mieszkanie Gomezów, Union District

Z górnego łóżka dobiegało chrapanie Isaiaha, głone i natarczywe. Najstarszy z braci Gomezów wrócił do domu póno, zmęczony i w podłym nastroju, który uciszył resztę rodziny. Isaiah rozebrał się, rzucił swoje robocze ubranie na podłogę i walnął się spać.

Pokój gorzko mierzdiał smołš. I alkoholem. Isaac postanowił zachować to dla siebie, nie było powodu denerwować mamy.

Po drugiej stronie małego jak cela pokoiku na dmuchanym materacu spał Joel: zamknięte oczy, wolno unosząca się i opadająca pier i umiech na niemal kobieco ładnej twarzy. Joel, denerwujšco radosny kłębek libido i powierzchownoci, zawsze był zadowolony z siebie.

Isaac, wyczerpany po motelowych zabawach z Klarš, zjadł co lekkiego i szybko zasnł. Sny miał szalone i dwuznaczne. W samym

rodku koszmaru rodem z obrazu abstrakcjonisty obudził się zlany potem i dezorientowany. Hałas z górnego łóżka powiedział mu, gdzie jest. Bogu niech bądź dzięki za skrzywioną przegrodę nosową Isaiaha.

Leżał rozbudzony i starał się nie myśleć o Klarze, ale oczywiście nie myślał o niczym innym.

Nie o tym, co robili. O czym, co powiedziała.

Muszę być jakieś paratele... w przeciwnym razie dlaczego by nalał Retzaka...”

Ekscentryczka, prawdopodobnie neurotyczka, ale mądra. Zbyt mądra, by ją lekceważyć; Isaac zaczął się pocić z zupełnie innego powodu.

Wielki balon niewiary został przekłuty.

To już nie zależy od ciebie. Petra wie, co robi.

Sięgnął do drewnianej skrzynki, służącej mu za stolik, wymacał zegarek: jedenasta dwie.

Niecała godzina. Niedługo będzie po wszystkim.

Będzie?

294

Zamknął oczy i ujrzał fakty, wielkie i złowróżbne. Rozbieżności, których nie sposób było zignorować. Zsunął się z łóżka, znalazł teczkę, na palcach podszedł do drzwi.

Isaiah się poruszył, zaskrzypiały sprężyny.

— Hm?

Isaac wymknął się z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi, i poszedł do kuchni, z nadzieją, że nie usłyszą go rodzice w pokoju obok. Zwłaszcza jego matka sypiała czujnie jak chihuahua.

Włączył słabe światło nad kuchenką, usiadł i zaczął myśleć. Stwierdził, że nie dostaje jednak psychozy.

Wyjął z teczki i podłączył laptop - przełożył jednocześnie owiniętą w szmatę broń - poszukał jeszcze chwilę i w końcu znalazł swój rzadko używany modem. Podłączył go do gniazdka telefonicznego za stołem, i - oby się powiodło - włączył komputer. Kupił modem wiele lat temu, ale rzadko go używał. Bo po co, skoro na uczelni miał dostęp do szybkich, stałych łącz. Kable telefoniczne w mieszkaniu były niepewne i skorodowane. Nawet gdyby złapał sygnał, podłączenie się do Internetu byłoby denerwujące powolne męczarnie.

Neandertalski dial-up. Niezły dowcip.

Rozpuszczony dzieciak.

Wystraszony dzieciak.

Modem zapiszczał. Ucichł. Znow zaczął hałasować.

Do kuchni weszła matka, przecierając oczy.

- Co robisz?

- Uczę się.

- O tej porze?

- Przyszło mi coś do głowy.

- Co?

- Moje badania, nieważne, mamó.

- Jeli to nieważne, wracaj do łóżka. - Zamrugęła, nie mogła skupić wzroku. - Wracaj do łóżka. Za mało sypiasz.

- Za kilka minut, mamó. To mój doktorat.

- Nie może poczekać do jutra?

- Nie, mamó. Połóż się.

Modem bzyczał, szumiał i piszczał, ćwierkając swojs modelowš piosenkę. Bez końca!

- Co to? - spytała matka.

- Co, przez co się łączy z Internetem.

- Dlaczego to tu włszyłe?

- Używam linii telefonicznej.

- A jak kto zadzwoni?

295

- Nikt nie zadzwoni, mamó. Spojrzała na kuchenkę.

- Zrobię ci co do jedzenia.

- Nie. - Podniósł głos, a ona drgnęła. Wstał i objął jš ramieniem. -Nie, dziękuję, mamó. Naprawdę nie trzeba.

- Nie... - rozejrzała się po kuchni.

Zaprowadził jš z powrotem do jej pokoju. Nie był pewien, czy w ogóle się obudziła.

Kiedy wrócił do kuchennego stołu, pośczenie było już gotowe i załogował się na uczelniany serwer. Przeglądając ulubione”, znalazł chat, który zapisał, i zaczął się cofać po cyberkrokach.

Pięć minut póniej serce zaczęło mu walić tak mocno, jakby miało rozerwać klatkę piersiowš.

Online Host: \*\*\*\*\*Witamy w KrewIFlaki\*\*\*\*\*

Niegrzeczna: Jak dla ranie OttoR = Manson czy każdy inny.

BulldogD: Nie z chlebiaj mu to tylko zwykły seryjny

Niegrzeczna: Nie schlebiam mu (ortografia!!!) tylko mowie jak jest.

BulldogD: Znam ortografie tylko mi się nie chce

Niegrzeczna: Jasne. Mimo to uważam ze OR był interesujący może wyjstkowy jak na swoje czasy.

P-Kasso: Oboje nie widzicie najważniejszego.

Mephisto: Proszę! Zawsze znajdzie się taki, co widzi najważniejsze.

Niegrzeczna: Nie wiem jak wy ja posłucham inteiegentnej wypowiedzi. Mów, P.

P-Kasso: Retzak wybija się ponad innych przez swój artyzm. Jego pobudki sš o wiele wyższe niż masona, bundyego, JTR czy

całej reszty. Jemu chodziło tylko o sztukę, rysował scenę zbrodni, ja bym go porównał do van Gogha

Mephisto: Obciśł sobie ucho haha

Niegrzeczna: Bardzo mieszne. Nie.

BulldogD: Pikasso. Co jeste jednym z tych pseudo artystow ze tak tow idzisz???

Mephisto: Nie odpowie?

P-Kasso: Pędzel nie jest rai obcy.

BulldogD: A solidna pała?

Mephisto: Teraz nie odpowie?

Niegrzeczna: Chyba sobie poszedł.

296

Mephisto: Zasraniec.

Niegrzeczna: Nie musisz używać takiego jeż.

P-Kasso: Jestem. Ale teraz się wyłuszczam. Macie pusto we łbach.

Mephisto: Arogancki dupek.

Niegrzeczna: Cały czas czekam na inteligentnego nosiciela chromosomu y.

BulldogD: A John Gacey? Kumplował się z Jimmy Carterem i cały czas zakopywał trupy.

Mephisto: To była Rosmarie Carter.

Niegrzeczna: Rosalyn, madrało.

P-Kasso: samozwańczy artysta. Największy fan Retzaka.

Isaac przewinął chat, przeczytał go jeszcze raz. Poczuł, że dłonie robiś mu się zimne. Wylogował się, wyłuszczył modem, pobiegł do telefonu i zadzwonił na komórkę Petry.

Pościszyło go z jej domowym numerem. Sekretarka: nagrał się, starajśc sienie zdradzić słaboci, strachu ani popiechu, domylajśc się, że zawiódł.

Czy sprawdzi wiadomoci? Po co? Przecież jest zajęta, obserwuje Doebblera.

Mylśc, że zna prawdę.

Zegar na kuchence wskazywał jedenacie po jedenastej.

P-Kasso.

Isaac pobiegł do swojego pokoju; szukał butów, nie mógł ich znaleźć, zaczął macać podłogę wokół łóżka, w końcu wymacał prawy mokasyn, potem jego kolegę. Kładł się spać w koszulce i spodniach od dresu, bez skarpet. To musi wystarczyć. Z butami w ręku pobiegł do drzwi.

Isaiah usiadł.

- Co, do...

- Słodkich snów, braciszku.

- Gdzie... idziesz?

- Wychodzę.

Joel na podłodze przeturlał się na bok do ciany. Z powrotem na plecy. Umiechnął się.

- Znowu na cipki? - spytał Isaiah. Isaac zamknął drzwi.

Isaiah miał ciężarówkę bez silnika. Jedynym sprawnym pojazdem Go-mezów była psująca się regularnie Toyota Corolla, którą tata ryzykował dojazd do pracy. Kluczyki zwiisały z plastikowej żaby, przykręconej do ciany przy lodówce.

297

Samochód dopiero wrócił z warsztatu, miał jakieś nowe filtry. Isaac odczepił kluczyk do stacyjki z kółka i zaczął się skradać przez kuchnię. Czuł się jak włamywacz. Zatrzymał się.

Drobne niedopatrzenie.

Poprawka. Wyszedł.

51

Czwartek, 27 czerwca, 23.03, dom Doeblera, Rosita Avenue, Tarzana

Jesteś pewny? - spytała Petra. Eric właśnie wrócił z kolejnej wyprawy za dom. Tym razem widziała, jak wyłania się z ciemności, ledwie widoczna smuga czerni na tle granatowej nocy. Pewnie specjalnie się pokazał, żeby zrobić jej przyjemność.

- Już nie czytał, oglądał telewizję. Nie mogłem zobaczyć ekranu. Punkt jedenasta wstał, zgasił światło, poszedł na górę.

Została niecała godzina. Oba samochody Doeblera stały na swoich miejscach.

- Na pewno nie miał jak wyjść od tyłu?

- Stróżka od strony posesji sąsiada, do tego kute ogrodzenie. Wszystko jest możliwe, ale...

- Jeśli to możliwe, to musimy to brać pod uwagę. - Panna Złonica. Nie zdążyła przeprosić, bo Eric już pytał:

- Mam tam wrócić i zostać?

- Tylko ja obserwowałabym wtedy ulicę, ale może...

- Zdecyduj.

- Jak sądzisz?

- Trudna sprawa.

- Co tu nie gra, Eric. Nawet jeśli upatrzył sobie miejsce niedaleko kliniki, zostawił sobie za mało czasu. Lubi mieć wszystko przygotowane. Nie spieszyłby się.

- Może właśnie się szykuje. W głowie.

- Może - przytaknęła. - Dobra, posłuchaj, wracaj tam. Jeśli nic się nie zdarzy w ciągu dziesięciu... piętnastu minut, idę do drzwi i zaczynam dzwonić.

Bez odpowiedzi.

- Mylisz, że to zły pomysł?

- Nie - powiedział. - Już idę.

52

Czwartek, 27 czerwca, 23.23, Yermont Avenue, przecnicę na południe od Pico

Toyota znów zaczęła nawalać. Po raz trzeci, a przejechała dopiero półtora kilometra. Isaac wrzucił luz, zjechał na prawy pas, wyprzedzany przez inne samochody. Wcisnął sprzęgło i pucił je, dociskając gaz i próbując ocucić zapłon. Silnik zakaszłał, nanosekunda paniki, znów zawarczał. Zatrzymał się na skraju mierci... i został reanimowany.

Z trudem.

Cholerna kupa złomu. Tyle pod adresem Montalvo, przyjaciela ojca, podobno mechanika.

A może to jego wina - kiepsko zmienia biegi. Dawno nie siedział za kółkiem.

Włókł się na północ Yermont, próbując utrzymać równy dopływ paliwa - przewidywał zmiany wiatel i starał się jak najrzadziej zatrzymywać.

Półwka księżycy na nocnym niebie; jego promienie przeszczały się przez neony, smog i wilgoć. O tej porze na Yermont ruch był spory. Tęcze neonowych napisów po hiszpańsku, potem koreańsku, potem znów hiszpańsku. Samochód mijają z trudem ciemne budynki na przemian z rozświetlonymi i gwarnymi barami, sklepami z alkoholem i klubami.

Przy lepszych klubach kręcili się młodzi Azjaci. Ładne ubrania, auta, które jeżdższ. Pewne siebie umiechy zamożnej młodzieży. A potem znów klasa pracująca meksykańskich i salwadorskich barów.

Yamos a bailar\*...

Isaac mówił po angielsku, angielski był jego paszportem do podmiejskiego xanadu, ale czasami nił po hiszpańsku. Najczęściej nie nił w ogóle.

\* Yamos a bailar (hiszp.) - chodmy potańczyć (przyp. red.).

299

Z rozpustnie wyglądającego dansingu na ulicę wylewała się muzyka. Toyota powoli go minęła.

Wesoły gwar brzmiał niestosownie w godzinie mordu.

Pogoda też była niestosowna; ciepła noc, przyjemny wiaterek.

A może to nie jest godzina mordu?

Musi być. Nie, nie musi. Już raz się pomylił.

P-Kasso.

Nawet jeli co miało się tej nocy wydarzyć, Isaac prawie na pewno wyruszył w miasto na darmo.

Zmierzał ku celowi opartemu na teorii i na zimnej, niewybaczającej religii o nazwie logika.

Z dostępnych faktów wycisgnął najtrafniejszy możliwy wniosek. Ale co znaczsz fakty?

Jest szansa, że znów się pomylił. Straszliwie, tragicznie pomylił.



Przy Trzeciej toyota znów zakaszła, groźsc zganięciem. Wstrzymując oddech, Isaac docisnął lekko gaz i cholerny gruchot odpucił.

Dojechał do Czwartej, Beverly...

To był idiotyzm, walka z wiatrakami, ale co miał zrobić? Komórka Pe-try wciśz przekierowywała - pewnie to jaka policyjna procedura, policjanci nazywajś co takiego liniś taktycznś. A kontaktowanie się z kimkolwiek innym z departamentu nie wchodziło w grę. Policja jego zaczęłaby szukać.

Cztery-piętnacie, chory psychicznie, mężczyzna, Latynos, kieruje się na północ Yermont w rozpadającym się gruchocie.

Minśł Melrose. Jeszcze tylko parę kilometrów...

A potem co?

Potem zaparkuje w bezpiecznej odległoci, a dalej na piechotę. Obejrzy sobie okolicę i znajdzie jaki punkt obserwacyjny.

Pobawi się w detektywa.

Cel jego zgadywanki: Szpital Dziecięcy Western. Jedyne miejsce, gdzie zawsze można znaleźć dużo pielęgniarek opiekujących się dziećmi.

Isaac był tam na praktykach na drugim roku. Wprowadził go profesor biologii, który chciał, żeby przyszli lekarze zobaczyli, jak naprawę wyglśda opieka zdrowotna.

Isaac uznał szpital za cudowne i jednocześnie przerażajśce miejsce: współczucie, gorśczkowa krźstanina i smutne historie.

Wielkie oczy ciężko chorych dzieci. Łyse główki, woskowata cera, chude jak patyki rśczki podłśczone do kroplówek.

Wtedy włanie stwierdził, że pediatria jest nie dla niego.

300

Teraz wracał tam z zadaniem tak straszliwie dumnym, że aż przeszył go dreszcz.

Samochód zacharczał. Isaaca wcisnęło w fotel, kiedy wóz szarpnął do przodu. Udało mu się zachować niepewne panowanie nad kierownicś i przetoczyć przez skrzyżowanie kawałek na południe od Santa Monica. Przejechał znak stopu i cudem uniknął rozniesienia na strzępy przez wielkś jak dom ciężarówkę.

Jechał dalej, aż ryk klaksonu go ogłuszył.

Dwie sekundy póniej toyota odmówiła posłuszeństwa,

Na piechotę.

Przebiegł niecały kilometr do Sunset, trzymajśc się cienia, pod cianami, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Chory psychicznie mężczyzna biegnie na północ...

Dotarł do celu o jedenastej czterdzieci trzy i zwolnił. Trzymajśc się południowej strony ulicy, powoli zbliżał się do wielkich, kanciastych budynków szpitala.

Więszoć z nich była ciemna. Logo Western Peds - dwie białoniebie-skie, złożone dłonie - wieciło na krawędzi dachu jednego z bloków.

Isaac nie wychodził z cienia, kiedy kobiety, głównie młode, w białych, bladoróżowych, pastelowniebieskich i kanarkowożółtych mundurkach wysypały się z kilku wyjć i przeszły przez Sunset.

Tylko dwadziecia kilka pielęgniarek wymęczonych po dziennej zmianie. Jeli jakim cudem miał rację, bydlak powinien gdzie tu być i patrzeć.

Ale gdzie?

Isaac obserwował pielęgniarki - doszły do znaku PARKING DLA PERSONELU. Strzałki wskazywały w dwie strony i grupa się rozdzieliła. Większość poszła na zachód, kilka na wschód.

Dwa parkingi. W którą stronę?

Przemysłał to. Jeli Doebbler tu jest, na pewno chce załatwić sprawę najciszej, jak się da.

Na wschód.

Poszedł za pięcioma odległymi, kobiecymi sylwetkami zaskakująco ciemną uliczką. Po obu stronach mijał zapuszczone kamienice, takie jak jego własna. Pół przecznicy na północ znajdował się piętrowy parking.

Ciemno. Pielęgniarki minęły betonowe ciany i kiedy Isaac zbliżył się do budynku, spostrzegł zamknięte łańcuchem wejście. Na bramie z siatki wisiała tabliczka:

301

BUDOWA ZABEZPIECZEŃ PRZECIWIW TRZĘSIENIOM ZIEMI, PRZEWIDYWANY CZAS ZAKOŃCZENIA ROBÓT:  
SIERPIEŃ 2003.

Pielęgniarki szły dalej. Siedem metrów, dziesięć, piętnaście. Prawie do końca kwartału. Następny znak - za daleko, żeby go przeczytać, ale Isaac dostrzegł samochody.

Przyspieszył.

TYMCZASOWY PARKING DLA PERSONELU.

Ostre wiatło latarni wybieliło prawy, tylny róg placu. Lewa latarnia nie działała i połowa parkingu pogrążona była w pasie czerni.

Zaniedbanie czy sprawka drapieżnika?

Niewielka szansa, że chodzi o to drugie, dała Isaacowi nadzieję, że odgadł trafnie.

Nadzieja matką głupich. W mieście jest pełno innych szpitali i lecznic, z których wiele dba o zdrowie dzieci. Ile zajmuje się chorobami płuc? Nie miał pojęcia.

To było gorsze niż akademickie rozważania o diabłach na czubku szpilki. To było zgadywanie na lepo, a błąd niósł ze sobą konsekwencje najgorsze z możliwych.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i wliźnił się między dwie kamienice, czując pod stopami miękkie zielsko. Doleciał go smród piesiego gówna.

Jak w domu.

Cofnił się jeszcze kawałek i upewnił, że ma dobry widok na parking. Całkiem możliwe, że Doebbler czai się niedaleko, że słyszy jego chrapliwy oddech.

Spróbował się wyciszyć. Patrzył, jak pięć pielęgniarek idzie do swoich samochodów, niektórych owietlonych działającą latarnią, innych tonących w mroku.

To musi być po ciemnej stronie. Jeli...

23.54.

Jelijelijelijelijelijeli.

53

Idę do drzwi - powiedziała Petra. - Mam tu zostać? - spytał Eric.

302

27 czerwca, 23.46, dom Doebblera, Tarzana

- Tak.

Wyjęła pistolet z torebki, wysiadła z samochodu, zatrzymała się na chwilę, żeby uspokoić oddech, a potem przeszła przez ulicę pod drzwi Doebblera.

Z ręką na glocku, gotowa na wszystko.

Mdlący skurcz żołądka ostrzegł, że wszystko jest możliwe.

Co było nie tak. Jak mogła aż tak się zdenerwować?

Zadzwoniła do drzwi. Nic. Powtórne naciśnięcie dzwonka - znów nic. Może Doebblerowi udało się jednak wyjść tak, że ani ona, ani Eric go nie zauważyli.

Jś mógł oszukać, owszem. Ale Erica?

Zadzwoniła trzeci raz. Nic. Zadzwoniła do Erica.

- Nic.

- U mnie to samo... poprawka, schodzi na dół... włącza wiatło na półpiętrze. Szlafrok i piżama. Wygląda na to, że go obudziła. Jest wciekły.

- Broń?

- Nie widzę. Dobra, idzie do drzwi. Za chwilę będę.

- Kto tam? - zapytał Kurt Doebbler zza drzwi.

- Policja. Detektyw Connor. - Petra cofnęła się metr czy dwa. Za nią czekał schowany w krzakach Eric. Czują jego zapach. Bardzo przyjemny zapach.

Doebbler nie odpowiedział. Petra powtórzyła nazwisko.

- Słyszałem.

- Może pan otworzyć?

- Po co?

- Proszę otworzyć.

- Po co?

- Sprawy policyjne.

- Jakie sprawy?

- Zabójstwo.

Drzwi się otworzyły i Doebbler popatrzył z góry na Petrę, krzyżując na białym szlafroku frotte swoje długie ręce. Wielkie, kociste dłonie wystawały zza krótkich rękawów. Olbrzymie dłonie. Pod szlafrokiem - pasiasta piżama. Duże, białe, żyłaste stopy. Siwe włosy potargane. Bez okularów nie wyglądał tak pierdołowato, był nawet przystojny w chłodny, kanciasty sposób.

Oczy Petry znajdowały się na poziomie klap kołnierza szlafroka. Zauważyła po prawej stronie małą brązową plamkę, może zaschniętą krew.

303 .

Spojrzała w górę i dostrzegła na szyi Doebblera zacięcie po gołeniu. Trzy zacięcia, strupki.

Czyżby stary Kurt rano się zdenerwował? Planował co, co odwołał, bo wiedział, że jest obserwowany?

Skąd wiedział?

- Czy mogę wejść, proszę pana? - spytała.

- To pani. - Petra nie sądziła, że w dwóch krótkich słowach można zawrzeć aż tyle pogardy. Zablokował drzwi.

- Zostaje pan dziś wieczór w domu? - spytała.

Doebbler odgarnął włosy z czoła. Ze spoczonego czoła. Miał sińce pod oczami. Ramiona mu drgały i przez chwilę Petra myślała, że zatrzaskanie jej drzwi przed nosem. Podeszła bliżej, gotowa mu na to nie pozwolić.

Patrzył na nią i marszczył brwi.

Powtórzyła pytanie.

- Zostaje w domu? - spytał. - A co miałbym robić?

- Wyjść.

- Po co miałbym wychodzić?

- Bo - powiedziała - za kilka minut będzie dwudziesty ósmy czerwca. Doebbler zbladł.

- Pani jest chora. - Oparł się jedną ręką o futrynę. Był tak wysoki, że jego dłoń spoczęła prawie na samej górze framugi. - Nie wychodzę - powiedział. - Jedni pracuj i opiekuj się dziećmi. Inni w swojej pracy wykazuj się minimum kompetencji. - Mruknął co pod nosem, Petra była prawie pewna, że powiedział: Kretynka”.

- Czy mogę wejść, proszę pana?

- Wejść?

- Do domu. Porozmawiać.

- Złożyć mi towarzyską wizytę? - mruknął Doebbler. Udało mu się umiechnąć samymi ustami, oczy pozostały obojętne. Splótł swoje wielkie dłonie, trzasnął kłykciami i popatrzył na nią.

Za nią - przez nią - jak za pierwszym razem. Tak jak patrzył przez Emily Pastern i Sarah Casagrande. Po plecach Petry przeliznął się zimny, suchy wąż; cieszyła się, że ubezpieczają Eric.

I ona się umiechnęła.

Doebbler z hukiem zatrzasknął przed nią drzwi.

304

54

Piątek, 28 czerwca, 00.06,

Rodney Avenue, tymczasowy parking dla personelu

Szpital Dziecięcy Westem

Isaac patrzył, jak przeskakują cyferki na wyświetlaczu jego zegarka. 00.07.

Cyfrowy wyraz najwyższej dezaprobaty.

Wszystkie pielęgniarki pojechały.

W przeciwieństwie do jednej, gdzie tam, ciemnowłosej dziewczyny, może Włoszki...

Wyobraził sobie, co się z nią dzieje, i oklapł, zgarbił się jak starzec.

Tkwiał w swojej kryjówce, nie wiedział, co innego mógłby zrobić. Wpatrywał się w plac. Po oświetlonej stronie stały trzy samochody, dwa, a może trzy, w ciemności trudno było powiedzieć.

Pewnie niektórzy z nocnej zmiany przyjechali wcześniej.

Ale jeśli tak, dlaczego jest ich tak mało?

Łatwo się domyślić: personel najwyraźniej wołał zachodni parking. Był pewnie lepiej oświetlony, każdy, kto przyjeżdżał wcześniej, tam zajmował sobie miejsce.

00.08.

Jeszcze pięć minut, potem wróci do toyoty ojca, zaparkowanej przy Yermont. Zapomniał jż zamknąć. Tata zostawił w rodku... niewiele, tata lubi porządki.

Ubranie robocze złożone w kostkę na tylnym siedzeniu. Pewnie jakie papiery w schowku. Może nic wartego kradzieży.

Czy samochód w ogóle jeszcze tam stoi?

Jeśli nie, jak wytłumaczy to rodzicom?

Pięć minut minęło. Isaac zwlekał, nie chcąc stawić czoła rzeczywistości.

O dwunastej dziewiętnacie, czując się jak idiota, wyszedł z kryjówki i ruszył na południe.

Zatrzymał się, słysząc głosy z Sunset. Kobięce głosy.

Trzy kobiety... drobne, chyba młode, minęły zamknięty betonowy parking i weszły na plac.

Isaac pospiesznie wrócił do kryjówki i zaczął je obserwować.

Białe mundurki, ciemne włosy ciśnie w koński ogon. Drobne sylwetki... Filipinki? Trajkotały wesoło. Zatrzymały się trzy metry za bramą. Jedna skręciła na oświetloną połowę, dwie inne w mrok.

20 - Pokrętny umysł

305

Nic im nie grozi. Doebbler nie zaatakowałby dwóch, zależało mu na samotnej ofierze.

Oświetlona pielęgniarka odpaliła swojego minivana i odjechała. W ciemności parkingu zapaliły się reflektory i z charakterystycznym warkotem silnika wyskoczył stamtąd mały, sportowy samochodzik - żółta mazda RX.

Została jedna.

Isaac czekał na następne światła.

Ciemno.

Cicho.

Czyżby co przeoczył - wyjazd od tyłu? Kiedy przysunął się bliżej chodnika, w ciemności nocy rozbrzmiał cichy, zduszony dźwięk.

Daremne rżenie silnika, który nie chce zapalić.

Otworzyły się drzwi samochodu. Zamknęły.

Potem: krzyk.

Isaac popędził w tamtym kierunku, sięgając do kieszeni. Nie mógł wyciągnąć pistoletu, który utkwił w miękkim materiale spodni.

Szybciej, szybciej.

- Przestań! - krzyknął. Potem jeszcze raz, głoniej.

Szarpał gorączkowo kieszeń. Pistolet beznadziejnie się w niej zaplątał.

Isaac dopadł do bramy i pobiegł po czarnym żuźlu. Nic nie widział, pędził w kierunku, z którego słyszał krzyk.

A potem to zobaczył.

Mężczyzna - bardzo wysoki, ubrany w długi biały płaszcz, lekarski kitel - stał nad drobną, bezbronną kobietą.

Leżała na brzuchu. On przydeptywał jej jedną stopę, przygwałdzając do ziemi jak motyla do tablicy.

Próbowała się wyrwać, machała rękami i nogami, jakby płynęła żabką. Znowu krzyknęła.

Napastnik sięgnął pod płaszcz i szarpnął co, co długociś i rednicę przypominało kij baseballowy. Ale nie z drewna... z czego przezroczystego.

Gruby kawał przezroczystego plastiku.

Gładki, tępo zakończony. Oto dlaczego nie było włókien w ranach.

Przestań analizować, durniu, zrób co!

Isaac pobiegł w kierunku wysokiego mężczyzny. Z jego ust wydobył się obco brzmiący głos, ochryple ryk.

- Stój, skurwysynu, albo odstrzelę ci dupę!

Mężczyzna w białym kitlu wciąż przyciskał nogą drobną, ciemnowłoszą kobietę. Ładną kobietę, Isaac widział już jej twarz. Była młoda, może nawet młodsza od niego. Nie Filipinka, Latynoska.

306

A może Włoszka... Przestań!

Jeszcze metr, a on wciąż szarpał się z pistoletem.

Mężczyzna musiał przycisnąć dziewczynę mocniej, bo rysy jej twarzy stężały, a usta się zamknęły. Zakrzuszyła się, zaczęła kaszleć.

Isaac szarpnął za kieszeń z całych sił: pieprzony idiotadurny błazen.

Napastnik odwrócił się do niego z przezroczystą pałką ukonie przez pier. Był bardzo wysoki, barczysty, potężnie zbudowany. Pod kitem miał kraciastą koszulę, dżinsy, adidasy.

Buty zostawiały ludy na miękkiej ziemi, ale Thad Doebbler był dokładny jak artysta; na pewno pamiętałby, żeby je zatrzeć, kiedy będzie już po wszystkim.

Przystojny, pewien siebie - typowe dla macho. Nie przejsł się niezdarńš obecnościš Isaaca. Wiedział, że da sobie radę z takim pajacem.

- Hej - powiedział.

- P-Kasso - odparł Isaac.

Doebbler przestał się umiechać. Pałka zaliła bledo w wietle księżyca.

Isaac wciśz próbował wydobyć z kieszeni pistolet. Trwało to kilka sekund, ale ciśgnęły się jak lata.

Stop! Stłumił rosnćš panikę. Zaczł analizować. Pomacał. Jaka metalowa część, może co na lufie, zapłstała się w nitki; trzeba wyplstać z nich pistolet kolistym ruchem, a nie szarpać i zaciskać je coraz mocniej.

Thad Doebbler, wciśz przygniatajćš dziewczynę do ziemi, wolńš nogš zrobił krok do przodu. Miał długie nogi, stawiał duże kroki, jeden ruch wystarczył, by znalazł się niecały metr od Isaaca. W zasięgu ciosu.

Uniół broń - Isaac odskoczył w tył, szarpnięciem podciśgajćš w górę spodnie. Wpiły mu się w krocze. Thad Doebbler parskńł miechem.

Tylko popatrz, Petra. Durnybłazenidiota.

Drobna, ciemnowłosa dziewczyna jęknęła z bólu.

Thad Doebbler zrobił jeszcze jeden krok do przodu, zmniejszajćš dystans między sobš a Isaakiem.

- Puć jš, bo strzelam. Nie żartuję! - krzyknł Isaac. Thad Doebbler popatrzył na niego z rozbawieniem.

- Z czego? Ze swojego małego fiutka?

Isaac wreszcie wyszarpnł pistolet. Krok do przodu - i wszedł w zasię zamachu morderczego ramienia Thada Doebblera. Unikńł miażdżćšego ciosu o kilka centymetrów, nie stracił równowagi, wycelował w górę.

W przystojńš twarz.

Nacisńł spust.

Mimowolnie zamknł oczy, wciśz z rękš na spucie.

307

55

Poniedziałek, 1 lipca,

okręg Górne Rockridge, Oakland, Kalifornia dom Thorntona Thada” Doebblera

Thad był historykiem. Swego rodzaju człowiekiem renesansu. Zajmował się projektowaniem stron internetowych, grafikš, rysowaniem komiksów i komputerowš animacjš.

Rzebił w akrylu, żywicach i plastiku ery kosmicznej.

Tworzył abstrakcje, nie w gucie Petry. Ale musiała przyznać, że w jego pracach widać talent. Wężowe sploty przezroczystych prętów, w których zatopione były cienkie włókna wiatłowodów; miał oko do kompozycji i przestrzeni.

W zeszłym roku wystawiał swoje prace w San Francisco, w galerii Post Street. Dwa do trzech tysięcy za sztukę, poszły trzy.

P-Kasso.

On i Omar. Rok artystów.

W garażu Doebllera leżały poukładane równo stopy akrylowych prętów najróżniejszych rozmiarów.

Najgrubsze pasowały do wgnieceń czaszki u ofiar dwudziestego ósmego czerwca,

Kiedy Petra spotkała go u jego brata, twierdził, że mieszka w San Francisco. Ale naprawdę dom miał w Oakland, w ładnej części miasta - miniaturowa imitacja tudora na wzgórzu, otoczona malowniczą zielenią. Bez widoku na zatokę, ale z okna sypialni na piętrze było widać obramowany drzewami prostokąt wzgórz Oakland.

W sypialni - tylko ubrania, kilka kryminałów w miękkich okładkach i telewizor na karcianym stoliku. Reszta domu urządzona równie spartańsko.

Z tyłu, do garażu przylegała duża dobudówka z pustaków, pozbawiona okien i zamknięta stalowymi drzwiami z zasuwą. Owietlona punktowo pracownia Thada Doebllera.

Jego muzeum.

Thad był wszechstronnie utalentowanym człowiekiem. Oraz, co dla Petry miało większe znaczenie, cholernym egomaniakiem i kronikarzem ciemnej strony własnego ja.

Dwudziestu czterech lat ciemnej strony.

Facet katalogował każdy program teatralny, bilet lotniczy i kwit z pralni. Już po kilku chwilach Petra była w stanie zweryfikować jego cokolwiek—

308

talne loty do LA. Ale wiedziała już, że wujek Thad zatrzymywał się u starszego brata Kurta i bratanicy Katii w domu na Rosita.

Zajmował pokój gościnny obok pokoju Katii; miał tam kilka par spodni, trzy koszule, skórzaną kurtkę i czarny włoski sportowy płaszcz. Niby mało wartociowe dowody śledcze, dopóki technikom nie udało się zeskrobać z dwóch koszul i nogawki dżinsów maleńkich plamek krwi, które jakim cudem przetrwały pranie i prasowanie.

Może odpowiedzialna była za to psujęca się pralka Kurta Doebllera, którą poważna Katia opisała jako złom”.

- Bez przerwy cieknie i nigdy niczego nie dopiera.

Spojrzała z wyrzutem na tatę.

Kurt się wzdrygnął - w końcu jakie uczucia.

- Kupię nową, Katie.

- Ciężko tak mówisz.

Kilka plamek uległo zbyt poważnemu rozkładowi, by przeprowadzić analizę DNA. Jedna pasowała do DNA Marty Doebller, inna do Coral Langdon, jeszcze inna do podporucznika marynarki Darrena Aresa Ho-chenbrennera.

Petra przyjechała na miejsce śmierci Doebllera, kiedy usłyszała o tym przez swój nasłuch. A usłyszała po niepowodzeniu pod domem Kurta.

Kiedy dotarła na miejsce, Isaac był traktowany jak podejrzany przez dwóch detektywów z Hollywood, którzy go nie znali. Podał im nazwisko radnego Reyesa i zastępcy szefa policji Randy’ego Diaza. W końcu ktoś zadzwonił po Diaza, który przyjechał corvette, ubrany w czarny aksamitny dres i adidas za dwieście dolarów. W samą porę, żeby Petra przechwyciła go i wprowadziła w sytuację.



- Chłopak rozwikłał całą sprawę. - Pospiesznie podała szczegóły.

- Imponująco - powiedział Diaz. - Myli pani, że podzieli się chwałą z departamentem?

- Nie sądzę, żeby zależało mu na chwale - odparła Petra. - To dobry chłopak, wspaniały. Ręczę za niego głową.

Diaz się umiechnął. Pewnie właśnie pomyślał, że Petra nie jest w sytuacji, w której mogłaby za kogokolwiek ręczyć.

- To ładnie z pani strony, pani detektyw.

- Zasłużył sobie na to.

Oboje się zgodzili, że może powstać problem: Isaac zastrzelił Thada z nielegalnie posiadanej broni.

- Znajdzie się na to rada - stwierdził jednak Diaz. Przeciśgłę spojrzawszy na Petrę w oczy. - Na pani problemy też, pani detektyw. Jeli wszyscy będziemy dyskretni. W pani wydziale zajdą zmiany. Chciałbym, żeby zaszły gładko i bez wstrząsów.

309

- Jakie zmiany?

Diaz przyłożył palec do ust. Podszedł do Isaaca.

Następnego wieczoru Petra poleciała do Oakland, a w niedzielę rano, razem z przyjacielskim miejscowym detektywem Arvinem Luddem, zaczęła dokładne, dwudniowe przeszukanie skarbca z pustaków.

Najciekawsze rzeczy znaleźli w dużej czarnej szafce w segregatorze z napisem PODRÓŻE.

Thad miał piękny styl. Zapełnił trzy oprawne w muślin francuskie notesy szczegółowymi opisami morderczych fantazji, które zaczął miewać w wieku lat dwunastu.

Połączenie seksu, przemocy i władzy, utrwalone lekturą książki Tellera, znalezionej w hamburskim antykwariacie.

Retzakejst mnie, a ja jestem nim. Nie wiem, dlaczego ludzie tacy jak my są tym, czym są. Po prostu tacy jesteśmy. Podobają mi się to.

A potem: całe życie wprowadzania marzeń w czyn.

Thad opisał swoją nieudaną próbę zamordowania niemieckiej pracownicy cukierni, Gudrun Wiegeland, jako zrozumiałe niepowodzenie, zważywszy na mój młody wiek i brak dowiadczania oraz krzywdę - ale tylko krzywdę - niepewności. Kiedy tłukł Wiegeland łomem pożyczonym z warsztatu samochodowego w bazie, był szesnastoletnim smarkaczem. Dwa lata młodszym niż wiecznie Przyziemny Kurt.

Może jego niepokój był większy, niż sam chciał się do tego przyznać. Według jego własnego wiadectwa minęło osiem lat, zanim znów spróbował kogo zamordować.

Po dwuletnim epizodzie w wojsku, kiedy to redagował wojskową gazetkę w Manili, Thad przeprowadził się do Pittsburgha i zapisał do Carnegie-Mellona na Wydział Sztuk Pięknych. (A/ma mater Andy 'ego War-hola. Słyszałem, że projektował bloki reklamowe w gazetach. Ja jestem o wiele bardziej twórczy). Wkrótce po odebraniu dyplomu zaczął się na osiemnastoletnią studentkę Randi Corey, która wybrała się na pomy, wieczorny jogging po kampusie.

Dwudziesty ósmy czerwca 1987. Letni semestr się skończył, ale Corey została na uczelni, żeby poćwiczyć z trenerem gimnastyki.

A Thad Doebbler został, żeby ją zamordować.

Trzy miażdżące ciosy w tył głowy i według wycinka z gazety, który Thad wkleił do Tomu I swoich kronik, dziewczyna miała najprawdopodobniej do końca życia pozostać w stanie wegetacji.

Kiedy ją rozłupałem, udało mi się dojrzeć galaretkę. Ale niewiele, koci nie chciały ustąpić, kiedy na nie napierałem. Potem

usłyszałem, że

310

kto nadchodzi, i uciekłem. Dopiero dwa dni później dowiedziałem się, że po raz kolejny w niewytłumaczalny sposób nie użyłem wystarczającej siły, by zdusić płomień życia. Nie powtórzę więcej tego niedopatrzenia.

Dwa miesiŃce później pięćdziesięciodwuletni uniwersytecki stróż Herbert Lincoln padł ofiarŃ miernego ciosu w głowŃ, kiedy szedł do swojego samochodu na parkingu poza kampusem. Z tego, co udało się ustalić Petrze, nie powiŃszano tego wypadku z napaciŃ na Randi Corey.

Młoda kobieta, starszy mężczyzna. Na pozór zgadzałyby się to z kolejnociŃ morderstw Ottona Retzaka, ale Doebbler nie trzymał się cile daty dwudziestego ósmego czerwca.

WciŃż ćwiczyl. Zboczenie nie stłumiło w nim poczucia tryumfalnej satysfakcji.

PrzyglŃdałem się mu, kiedy ciekł, patrzyłem, jak w jego oczach ganie błysk, i szkicowałem wszystkie kolejne fazy. Trudno sobie wyobrazić uczucie wiŃkszego spełnienia.

MiŃdzy kartki notesu włożone były rysunki.

Tym straszniejsze, że bydlak naprawdŃ umiał rysować.

Koniec TOMU I.

OdkładajŃc ksiŃżkŃ i siŃgajŃc po nastŃpnŃ, Petra zapisała sobie w pamieci, Ńeby sprŃbować odnaleć pittsburskich detektywŃw, którzy zajmowali się Corey i Lincolnem. Dowiedzieć się, czy dziewczyna jeszcze żyje i czy dla jej albo Lincoln rodziny dobrze bŃdzie, jeli dowie się prawdy.

Otworzyła drugi tom.

- Ciekawe? - spytał Arvin Ludd.

- Jak kto lubi takie rzeczy.

UmiechnŃł się, założył nogŃ na nogŃ. Kiedy Petra pracowała, on lenił się na oryginalnym, doskonale zachowanym fotelu eames. Teraz wstał i się przeciŃgnŃł.

- IdŃ zrobić kawę. Przynieć pani latte?

- PodwŃjŃŃ espresso, jeli to moŃliwe.

- Załatwione. - Ludd miał chłopiŃcŃ urodŃ, ciemne włosy, niebieskie oczy. Był dobrze ubrany i wyluzowany aŃ do przesady. Prawdopodobnie był gejem. WymachujŃc kluczykami od samochodu, wyszedł z przybudŃwki.

Pozostawiona samej sobie Petra uwiadomiła sobie panujŃcŃ tu ciszŃ. CiszŃ i chłŃd. Doskonałe miejsce mordy. Doskonały loch.

Czy Doebbler przyprowadził kiedy ofiarŃ do domu? WstŃpne testy luminolem nie wykryły krwi. Ale i tak się zastanawiała. Zaproponowała

311

Luddowi, Ńeby policja z Oakland przyprowadziła tu psy i przeszukała sonarem podwŃrko. Wysłuchał, pokiwał głowŃ, nie powiedział ani tak”, ani nie”. Trudno było go przejrzeć. MoŃe nie był gejem...

TOM 2.

Zaczynamy.

Po zamordowaniu Herberta Lincolna Thad zaczął się trzymać reguły dwudziestego ósmego czerwca. Ale nie z coroczną regularnością. Pracował na etacie i to go krępowało; zbrodnie zależały od rozkładu jego podróży.

Dwudziesty ósmy czerwca 1989: symposium komputerowe w Los Angeles, Kalifornia. Thad przyleciał z Filadelfii, gdzie pracował tymczasowo w kasie banku, szukając jednocześnie zaczepienia w branży komputerowej animacji. Tuż po północy Barbara Bohannon, sekretarka kierownika z Intel, została załuczona w podziemnym parkingu swojego hotelu. Zginęła jej torebka, co kazało ledczym przypuszczać, że motywem był rabunek.

Doebbler opróżnił torebkę i wyrzucił ją, zatrzymując gotówkę, karty kredytowe oraz zdjęcia męża i trzyletniego synka Bohannon. Pieniądze wydał, resztę zachował jako „Pamiątka”.

Według jego rysunku kobieta miała okrągłą twarz i jasne włosy; była ładna nawet po mierci. Drewniane drzazgi, które utkwily w jej włosach, wiadczyły, że Doebbler nie odkrył jeszcze magii plastiku.

Dwudziesty ósmy czerwca 1991: znów Filadelfia, następny komputerowy zjazd. Rok wcześniej Doebbler dostał pracę w rozwijającej się prężnie firmie internetowej w San Mateo, ale został zwolniony bez podania przyczyny. Sprzedaż jego udziałów pozwoliła mu kupić dom w Oakland i spróbować sił jako wolny strzelec. Rzebiący w akrylu.

O pierwszej piętnacie w nocy na ulicy w zachodniej Filadelfii znaleziono zwłoki Melvyna Lassitera, kelnera obsługi hotelowej w Inn. Zmiażdżona czaszka, brak portfela. Żona Lassitera twierdziła, że Melvyn regularnie przynosił do domu jedzenie z hotelowej kuchni. Przy zwłokach nie znaleziono ani trochę.

Pasta primavera, pieczony łosoś. Mniemam. Sałatka cezar była trochę stara, ale nawet nieźle, kiedy wyrzuciłem rozmiękłe sucharki.

Dwudziesty ósmy czerwca 1992: Denver, Kolorado. Zjazd animatorów. Znaleziono Ethel Ferguson, lat pięćdziesiąt sześć, hodownicę pudli, załuczona w lesistej okolicy swojego domu.

Dwudziesty ósmy czerwca 1995: Oceanside, Kalifornia. Matthias De-lano Brown, marynarz z amerykańskiej marynarki wojennej, załuczony w pobliżu doków. Thad Doebbler pojechał na trzydniowy urlop do La Jolla, sam, zatrzymał się w hotelu La Valencia. (Uroczo; zasłużony odpoczynek. Z okna oglądałem delfiny).

312

Potem: bratowa Marta. Kochanka Marta.

Thad opisał romans ze wszystkimi szczegółami, rozwodząc się zarówno nad uwolnieniem spętanej dotąd, teutońskiej seksualności Marty, jak i przyjemności czerpanej z oszukiwania Wiecznie Przyziemnego Kurta. (Dalej zwanego WPK).

Podczas trzymiesięcznego romansu Thad przyjeżdżał do L.A. dwanaście razy; powiedział bratu, że dostał posadę ilustratora w agencji reklamowej w Beverly Hills.

W rzeczywistości moja praca polegała na czekaniu, aż WPK wyjdzie do swojej wiecznie przyziemnej pracy, a potem rżnięciu Marty do nieprzytomności na ich małżeńskim łóżku. Na początku udawała, że się waha, ale zawsze mi ulegała. Głono krzyczała. Doszedłem do wniosku, że byłoby miło usłyszeć innego rodzaju krzyki wydobywające się z jej już nieco zmarszczonych ust hausfrau. Robiła się uczuciowa i męcząca.

Cudem uniknęli katastrofy, kiedy Kurt wrócił do domu niedługo po wyjściu, żeby zabrać z kanapy pozostawiony tam katalog. WPK nie zajrzał nawet na górę, żeby pokazać się M, zabrał tylko swoje pismo i wyszedł. Nie ma żadnych talentów towarzyskich, nigdy nie miał. Szczęśliwie dla mnie i M, bo bylimy spleceni w ucisku i pośczeni dość, ekhem, głęboko. Zakryłem jej usta dłońmi, powstrzymując się od miechu.

Po tym zdarzeniu Marta zaczęła nalegać, żeby spotykali się w motelach za wzgórzem, w Hollywood i West Hollywood.

To były te wyprawy do miasta”, o których kłamała przyjaciółkom.

Kiedy Marta oznajmiła Thadowi, że go kocha, że jest gotowa zostawić dla niego Kurta i Katię, postanowił ją zabić.

Przemysłał wszystko, zaczekał, aż wyszła do teatru. Zadzwoił do niej z pobliskiej budki, powiedział, że jest w pobliżu, że ma dla niej niespodziankę i że chce się z nią spotkać po przedstawieniu. Zarezerwował pokój w hotelu Hollywood Roosevelt - apartament. Ale le się poczuł. Co kłuło go w piersi, podejrzewał tylko niestrawność, ale na wszelki wypadek postanowił pojechać na ostry dyżur do szpitala. Powiedział, że zadzwoni, kiedy będzie po wszystkim.

Marta spanikowała, uparła się, żeby go zawieć. Spotkali się przy samochodzie. Zanim zdążyła się zorientować, siedział już za kierownicą. Ruszał. Wyglądał zupełnie w porządku.

Mylałam, że le się czujesz, powiedziała.

Zamiał się, owiadczył, że między nimi koniec.

Zaczęła płakać, chciała wiedzieć dlaczego. Błagała, żeby wyjaśnił jej dlaczego.

313

1

Zaparkował w ciemnej, bocznej uliczce. Objął Martę, pocałował ją, odepchnął brutalnie i wysiadł.

Wyskoczyła za nim. Chciała go uderzyć.

Złapał ją za rękę, wykręcił, pchnął na ziemię i roztrzaskał jej tył głowy akrylową pałką, którą ukrył pod płaszczem. W specjalnie przyszytej kieszeni. Miał zręczne ręce, dużo umiał.

Zaskomlała. Ucichła.

Miałem tę kobietę na każde skinienie, znałem ją tak dobrze, jak to tylko możliwe. A mimo to jej galareta wyglądała dla mnie tak samo jak wszystkie inne. Tak czy inaczej zajcie to umocniło mnie w moim postanowieniu; nigdy nie byłem bliższy ekstazy, i uczczenia pamięci owego mędrca, O.R. To było co, co warto upamiętniać. Obchodzić co roku.

Czując, że uczucia zaczynają brać nad nią górę, Petra przeczytała szybko akapit do końca, zajrzała na koniec notesu, znalazła pomiarne szkice Marty Doebbler. I innych.

Portret Marty wyróżniał się spośród nich. W jej oczach było jakie poszukiwanie, potrzeba i uwielbienie.

Była martwa, ale jej oczy narysował pełne życia.

Tego samego wieczoru, w swoim pokoju w motelu Jack London Inn, Petra wzięła długą, bardzo gorącą kąpiel, pooglądała kanał sędowy i wepchnęła w siebie zamówionego u hotelowej obsługi cheeseburgera.

Dostała przyjemny pokój: białe ściany, niebieska podłoga. Ceny wyższe niż zazwyczaj akceptował departament, ale znalazła dobrą ofertę w Internecie.

Za oknami gwar. Hotel stał na samym środku placu Jacka Londona. W innej sytuacji poszłaby zwiedzać. Tym razem nie zamierzała wychodzić aż do wyjazdu na lotnisko, następnego dnia wieczorem.

Popiła burgera colą i podeszła do barku. Przyjrzała się uroczym małym buteleczkom alkoholu i dodatków. Rozważyła zalety domowej roboty tan-šueraya z tonikiem. Uznała, że to zły pomysł.

Na szafce nocnej zagrzechotał telefon. Cały czas miał włączony wibrator; nie zmieniła tego od czasu zasadzki na Kurta Doebblera.

Jeszcze jedna potencjalna katastrofa. Wywaliła drzwi, obezwładniła Kurta i skuliła go. Obudziła też jego biedną córkę.

Tłumaczyła się specyficznymi okolicznościami.

Zastępca szefa policji Diaz powiedział, że rozumie.

Kurt Doebbler, leżący na podłodze swojego salonu, groził, że pozwie ich do sądu.

314

Zrobiliby to i mógłby sporo wygrać, gdyby nie chore zachowanie jego brata.

Krew na ubraniu w szafie. Kurt twierdził, że nie miał pojęcia o romansie Thada i Marty, a co dopiero o tym, że brat wykorzystywał jego dom jako bazę wypadówś corocznych morderczych wypraw.

Pewnie mówił prawdę, tępy pierdoła. Ale teatralny sceptycyzm prokuratora okręgowego i groba złej reklamy skłoniły Pacific Dynamics do wpłynięcia na Kurta i Doebbler dał sobie spokój.

Jako się dogadali. Petrze żal było Katii, ale to już sprawa kogo innego.

Może, pomyślała, którego dnia zadzwonię do Delaware'a w sprawie dzieciaka...

Nie, nie zadzwoni, jest policjantką, a nie pracownikiem społecznym. Thad Doebbler już nigdy nie rozwali nikomu głowy, sprawa zamknięta.

Z niewielką" pomocą jej przyjaciela.

Isaac strzelał. Z prezentu od Flaca Jaramillo. W końcu powiedział jej dlaczego.

Nie podejrzewała go o taką przebiegłość.

Dzięki Bogu.

Podniosła telefon, spojrzała na numer na wywietlaczu, miała nadzieję, że to Eric. Byli umówieni na kolację, jutro, w LA. Na wystawną ucztę w restauracji na nabrzeżu. W powietrzu wisały - o ile Eric był do tego zdolny - poważne rozmowy, zawodowe plany.

Wszystko jedno.

Numer na wywietlaczu zaczynał się od 213. To nie Eric, ale kto, z kim chętnie porozmawia.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć - odparł Isaac. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Nie. Co słychać?

- Pomyślałem sobie, że ci to powiem: byłem dzisiaj na posterunku i jest tam nowy kapitan. Nazywa się Stuart Bishop. Przyszedł do mnie, porozmawiał, mówił, że cię zna. Wydaje się miły.

- Stu? Żartujesz.

- Co nie tak?

- Wprost przeciwnie. Wszystko gra. Osłupiała. Nie do wiary.

- Zrobił na mnie wrażenie bardzo porządnego człowieka - powiedział Isaac.

- Jest cudowny. Był moim partnerem, dopóki nie odszedł z departamentu.

315

- Aha. No, to chyba wrócił.

Tak jak Eric, Stu mówił, że zacznie pracować na własny rachunek. W przeciwieństwie do Erica miał rodzinny majątek i dojcia do

wiała korporacji. A więc wrócił do departamentu. Nie uprzedził jej.

Z drugiej strony ostatni raz rozmawiali przecież kilka miesięcy temu.

Wrócił jako kapitan. Jak on to zrobił?

W pani wydziale zajdź zmiany”.

- A więc to dla ciebie dobra wiadomość - powiedział Isaac.

- Chyba tak - odparła Petra z umiechem. - A co u ciebie, bohaterze? Kiedy ceremonia?

- Jako w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że to odwołajś.

- Daj spokój, ciesz się chwilś. Ty i radny Reyes, pełni podziwu obywatele, prasa. Zasłużyły sobie.

- Nie jestem żadnym bohaterem, Petra. Miałem szczęście.

- Były mśdry. Szczęście miała Heather Salcido.

Słodka mała Heather z Brea, Kalifornia. Ciemnowłosa, wielkooka, drobna dwudziestotrzylatka. Ładna jak cheerleaderka mimo otarć na policzku. Włanie skończyła szkołę pielęgniarstk, pracowała na oddziale dziecięcych chorób płuc od niecałego roku. Ciśgle mieszkała z rodzicami. Tradycyjna rodzina: tata emerytowany szeryf, mama gospodyni domowa, starszy brat - twardziel, policjant z motocyklowego patrolu.

Sđdzśc po tym, jak dziewczyna patrzyła na Isaaca ze szpitalnego łózka i po tym, jak on patrzył na niś, jej zwiśzek z organami cigania mógł już niedługo nabrać zupełnie nowego wymiaru.

Petra wciśż się umiechała.

- Nie - powiedział Isaac. - To było szczęście, nic więcej.

- W takim razie jeste farciarzem. I za to ci dziękuję.

- To ja powinienem podziękować tobie. Za to, że tak dużo mnie nauczyła.

- Cała przyjemność po mojej stronie, doktorze Gomez.

- Jeszcze jedno...

- Pistolet - powiedziała.

- Ja...

- Został wpisany na listę dowodów jako legalnie zarejestrowana broń, Isaac. Zarejestrowana na twoje nazwisko od zeszłego stycznia, dostałe nawet pozwolenie, by nosić go w ukryciu. Ponieważ działasz w organach cigania i mieszkasz w okolicy o wysokim wskaniku przestępczoci. Jak się okazało, dobrze zrobiłe, prawda?

Cisza.

- Dzięki - powiedział.

- Nie ma sprawy - odparła. - A teraz id się rozerwać.

316

56

Pišteek, 5 lipca, 20.04,

restauracja U Leonarda

róg Ósmej i Albany, niedaleko na zachód od centrum LA

Isaac wbił nóż w swój stek. Wielki jak baseballowa rękawica i miękki jak pšczek.

- Smakuje ci? - spytała Heather, Robiła niewiarygodne postępy ze swoim befsztykiem i kawałkiem polędwicy. Jak taka drobna dziewczyna może zmieścić w sobie tyle mięsa?

- Jest wietny - odparł. I naprawdę tak uważał.

- Uwielbiam ten lokal - powiedziała. - Częciowo ze względu na jedzenie, ale też przez te wszystkie wspomnienia. Kiedy mój tata pracował w biurze szeryfa i musiał do póna zostać w sšdzie, zabierał nas tutaj. Zamiast stać w korkach z powrotem do Brea, mama, Gary i ja spotykaliśmy się tu i urządzaliśmy sobie wielkš ucztę. Trochę jakby niedziela wypadła w rodku tygodnia.

Otarła kšcik ust rogiem nieznobiałej serwetki. Miała ładne usta. Wygięte w łuk, błyszczšce. Otarcia na gładkim, oliwkowym policzku szybko się goiły. Zakryła ciemne lady makijażem. Wyszło jej o wiele lepiej niż Isaacowi z siniakiem.

- My nie jadamy na miecie. - Po co to powiedział?

- Wiele rodzin nie jada. My też nie za często. Dzięki temu takie wyjcie jest bardziej wyjštkowe, nie uważasz? - Potarła róg Inianej serwetki. - Uwielbiam nastrój tego miejsca.

Isaac się umiechnł. Ona odpowiedziała umiechem i wrócili do jedzenia. Napili się wina. Czerwonego; szecioletniego caberneta, o wiele za drogiego dla Isaaca. Udał, że wybiera z pięciostronicowej karty win, wiedzšc, że do wołowiny pasuje czerwone, ale nic ponadto. Niby się namylajšc, w końcu wybrał jedno na chybił trafił, majšc nadzieję, że wybrał dobrze.

Potem odegrał wšchanie korka i mieszanie w kieliszku, tak jak to widział na filmach.

Gomez. James Gomez.

Agent Zero Zero Zero.

- Bardzo dobre - powiedział kelnerowi.

- Cieszę się. Heather upiła łyk.

317

- O rany, fantastyczne - zachwyciła się. - Znasz się na winach.

Odwiedził jš dwa razy w szpitalu, ale to była ich pierwsza randka. Wynikła zupełnie spontanicznie po ceremonii na stopniach ratusza.

Heather zawróciła mu w głowie, odkšd jš tylko zobaczył.

W ceremonii brali udział radny Gilbert Reyes, kilku klakierów, media, Isaac i jego rodzina.

Rodzice promienieli z dumy, a bracia przestępowali z nogi na nogę, kiedy przyjmował wykaligrafowanš oficjalnš pochwałę na imitacji pergaminu, a potem wygłaszał krótkš mowę - podstawione pod nos mikrofony, szemrzšce kamery i trzaskajšce flesze.

Każda minuta była dla niego mękš. Tęsknił za ciszš swojej biblioteki, swoim laptopem, ksižškami i wiatem dedukcji. Nie za Klarš na swoich kolanach, co to, to nie, ale zamierzał nie tracić jej przyjani.

Wytrzymał męczarnie: ciskał dłonie, umiechał się i czekał na sposobnoć ucieczki.

Wtedy podeszła do niego Heather - gdzie ona była? Zanim zdšżył zapytać, zauważył jš radny Reyes i poprosił, by pozowała do zdjęć, wcinięta między niego i Isaaca.

Póniej Isaac dowiedział się, że chciała być na całej ceremonii, tylko utknęła w korku.

- Ale słyszałam całą twoją mowę - zapewniła. - A ceremonia była w radiu. Tata zawsze słucha wiadomości i rozmów na żywo... o, jest.

Zza szeregu medialnych ogarów wyszedł wielki jak szafa mężczyzna. Siwe włosy i wśsy, ogorzała cera. Żelazny ucisk dłoni. Za nim drobna, energiczna kobieta, młodo wyglądająca jak na swój wiek. Heather była do niej uderzająco podobna.

Pewnie ładnie się zestarzeje.

Nancy i Robert Salcido podziękowali Isaacowi, a potem wciśnęli do rozmowy po hiszpańsku Irmę i Isaiaha Seniora Gomezów.

Isaac i Heather nie wiedzieć jak znaleli się z dala od tłumu, w zacienionym miejscu przy schodach. Heather poprosiła, żeby opowiedział co o sobie.

- Doktorat i magisterka - pochwaliła. - Wysoko mierzysz, to niewiarygodne! Nie mów nikomu, aleja też myślałam o szkole medycznej. Miałam dobre stopnie, a opiekun twierdził, że powinnam złożyć podanie. Ale tyle lat, to mnie odstraszyło. Pomyślałam, że szkoła pielęgniarska wystarczy, teraz nie jestem już taka pewna.

- Powinna spróbować.,

318

- Tak mylisz?

- Oczywiście, dasz sobie radę. - Jakby wiedział, o czym mówi.

- Dzięki za zaufanie. Sama nie wiem. Może spróbuję... No, miło było znów cię widzieć.

- To się nie musi tak skończyć.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, od którego serce mu się skurczyło. A potem się umiechnęła i cholerny mięsień się napompował.

- Na przykład możemy ić na obiad - zaproponował Isaac. - Na przykład teraz. Niele... Dureń!

- Teraz? Dobrze. Powiem rodzicom. Mielimy ić co zjeć całą rodzinę, ale twój pomysł bardziej mi się podoba.

Nie znał żadnej dobrej restauracji - tylko udawał luzaka - więc był wdzięczny, kiedy Heather zaproponowała Leonarda. Mimo że miał się tam całkiem sflukać. Reyes dał do zrozumienia, że szykuje się jaka nagroda. Może to prawda, może nie. Do cholery z tym, do odważnych wiat należy.

Teraz Isaac patrzył, jak Heather odkrawa od koci różowe mięso, gryzie, połyka. Wszystko, co robiła, było urocze.

- Co się stało? - spytała.

- Słucham?

- Nagle zamilkła.

- Po prostu jem, napawam się ciszą i spokojem.

- Rozumiem. - Przykryła jego dłoń swoją. Poczował, że robi się czerwony.

- Życie jest zabawne, wiesz? - powiedziała. - Układasz plany, kombinujesz, a potem zupełnie niespodziewanie co się zdarza.

- Wiem - przytaknął. - Przykro mi, że musiała co takiego przeżyć.

- O, nie. - ciskała jego dłoń i umiechała się. - Nie o to mi chodziło .